



Diane A.S. Stuckart
Dama z Portretu

Mediolan, rok 1483. Śmierć raz jeszcze zawitała do zamku Ludovica Sforzy. Książę rozkazuje, by Leonardo da Vinci, jego nadworny wynalazca i detektyw, zbadał sprawę samobójstwa młodej służącej. Leonardo przemycza na dwór jej pani swojego ucznia w kobiecym przebraniu. Nie przeczuwa, czym może skończyć się dla Dina służba u tajemniczej hrabiny, która karty do tarota ceni bardziej niż ludzkie życie...

Tę książkę dedykuję kilku ważnym dla mnie osobom...

*Po pierwsze, Helen Janet Ponewczynski Smart,
prawdziwej damie, która od urodzenia dostarczała
mi inspiracji. Kocham cię, Mamo!*

*A także moim ulubionym pisarkom i przyjaciółkom,
Holly Thompson i Gail Selinger. Dziękuję wam za wsparcie
i słowa zachęty przez wszystkie te lata. Jesteście wspaniałe!*

*I, jak zawsze, Gerry'emu, który dbał o to, by wszystko
było przygotowane... w każdym sensie.*

*Kochanie, nie poradziłabym sobie bez ciebie!
A na koniec uściski dla Rangera, mojego prawdziwego Pio,
który zawsze potrafił mnie rozbawić. Dobry piesek!*

1. Mag

Niech cię nie zwiedzie wielka iluzja.

Leonardo da Vinci *Notatniki Delfiny della Fazio*

Mediolan, Lombardia, sierpień 1483

Dzięki wszystkim świętym jesteśmy prawie w domu. Widać już mury zamku.

Ten radosny okrzyk wydał Vittorio, terminator jak ja. Mnie również ulżyło, gdyż co najmniej już pół godziny dźwigaliśmy wielki płócienny worek, niemal tak wysoki jak my. Był pełen ciężkich, przesuwających się przedmiotów, a jego zawartość pozostała dla nas tajemnicą. Nawet na równej drodze byłby dostatecznie nieporęczny, zaś niesienie go przez wzgórze stanowiło duże wyzwanie.

Ten śliczny chłopiec o twarzy cherubina i ja właśnie pokonywaliśmy ostatni pagórek, gdy się odezwał - zobaczyliśmy w odległości wzniesiony ze spalonego słońcem brązowego kamienia zamek Sforzów. Jak zawsze widok zbudowanej z wielkich bloków piaskowca potężnej twierdzy, odcinającej się wyraźnie na tle jasnobłękitnego nieba, wzbudził we mnie respekt. Zamki w innych prowincjach mogły być większe i piękniejsze, lecz z pewnością żaden z nich nie przytaczał swoją potęgą tak jak twierdza księcia Mediolanu.

Ten widok mnie zachwycił, dając upust mej artystycznej wyobraźni. Z tej perspektywy zamek przypominał ogromną dłoń wysuniętą z łagodnie falującej zielonej równiny. Masywne baszty wznoszące się w narożnikach twierdzy - dwie okrągłe i dwie kwadratowe - oraz potężna wieża zegarowa przy głównej bramie przypominały palce. Nie pozwalając, by cokolwiek stanęło jej na drodze, ręka ta - księcia Ludovica Sforzy - bierze z sąsiednich prowincji wszystko, czego zapagnie.

I właśnie dlatego nasz Mistrz, Leonardo Florentyńczyk, znany także jako Leonardo da Vinci, miał zapewnione stałe zatrudnienie, będąc nadwornym wynalazcą wymyślnych rodzajów broni.

Mieszkaliśmy w Mediolanie ja i jeszcze kilku chłopców zaledwie od paru miesięcy i pracowaliśmy w warsztacie Leonarda. Wszyscy koledzy znali mnie jako Dina, nieco starszego niż Vittorio, drobnego, ciemnowłosego chłopca, który przybył z małej wioski na północy. Ponieważ mam niemały talent malarski - mówię to, bo to prawda, nie żeby się chwalić - udało mi się zostać terminatorem u artysty, którego sława dotarła do Florencji, a nawet do Rzymu. Jednak nikt z nich, nawet sam Leonardo, nie znał mojego sekretu, którego ujawnienie spowodowałoby natychmiastowe usunięcie mnie z pracowni.

Nikt nie wie, że naprawdę mam na imię Delfina i jestem dwudziestoletnią kobietą, która przebrana za chłopca uciekła z domu od zaaranżowanego małżeństwa i pobiera nauki u samego wielkiego Leonarda! Tak pilnie strzegłam swej tajemnicy, że wszyscy, którzy mnie tutaj znali, byli przekonani, iż jestem chłopcem.

My, terminatorzy, rzadko opuszczaliśmy pałac, tak jak ja i Vittorio tego dnia. Większość czasu spędzaliśmy w pracowni, ćwicząc się w naszym rzemiośle. Czasami pracowaliśmy pod czujnym okiem Mistrza, częściej jednak pod równie surowym nadzorem jego najstarszego ucznia, Constantina. Tego dnia jednak Mistrz przewidział dla nas zajęcie inne niż pokrywanie gipsiem ścian i przygotowywanie szablonów do kolejnego fresku.

Książę bowiem nalegał, by Leonardo ukończył niektóre z licznych wynalazków, dzięki którym Mistrz tak długo cieszył się patronatem kapryśnego Ludovica. Z tego właśnie powodu znaleźliśmy się tamtego dnia tak daleko od miasta i pałacu. Od wczesnego ranka kilku z nas pluskało się w niewielkim strumieniu, pomagając Mistrzowi testować jego najnowsze modele".

Pierwszy, przenośny, most składał się z niewielkich, wsuwających się jedna w drugą części. Kilka tygodni wcześniej pomagałam Mistrzowi przy pracy nad małym modelem tego urządzenia. Ten, którego funkcjonalność sprawdzał teraz, znacznie mniejszy niż w ostatecznej wersji, był dostatecznie duży, by mógł po nim przejść ktoś mojego wzrostu. Poruszone skomplikowanym mechanizmem elementy wysuwały się kolejno, sięgając przeciwległego brzegu. Model naturalnej wielkości miał umożliwić przeprawę przez rzekę; ta wersja wystarczała, by dostać się na drugi brzeg małego strumienia.

Nie byłam całkowicie przekonana, że tak wymyślne urządzenie może naprawdę działać. Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, w czasie pierwszej próby miniaturowy most zachował się dokładnie tak, jak powinien. Przy zgrzycie mechanizmu rozciągnął się do drugiego brzegu z gracją, zupełnie jak wyciągający szyję wodny ptak, co przyjęliśmy pełnymi zachwyty okrzykami. Mistrz wydawał się dość zadowolony z tej próby choć narzekał, że urządzenie pracuje zbyt wolno.

Drugi wynalazek był znacznie mniej imponujący. Zaprojektowana do oczyszczania zamulonych rzek i kanałów, podobna do barki machina, wymachując ramionami przytwierdzonymi do koła i zakończonymi kubłami, przepłynęła wzdłuż brzegu strumienia, a efekt jej działań był niewielki. Sam Leonardo przyznał, że urządzenie wymaga pewnych modyfikacji, zanim zostanie zaprezentowane księciu.

Pod koniec dnia ja i Vittorio zostaliśmy wysłani naprzód ze sprzętem, którego nie można było przewieźć na wozie razem z innymi mokrymi i ubłoconymi rzeczami, aby nie uległ

uszkodzeniu. Zbliżyliśmy się do zamku z boku. Główna brama i Mediolan były bardziej na wschód. Niegdyś być może szlibyśmy przez las, lecz drzewa zostały już dawno temu wycięte, aby żołnierze Ludovica mogli bez przeszkód ostrzeliwać nieprzyjaciela, który odważyłby się zaatakować miasto. Dlatego, choć od murów wciąż dzieliła nas spora odległość, mogłam zobaczyć odzianą w barwny strój postać leżącą u stóp jednej z wież.

- A cóż to takiego? - mruknęłam, marszcząc brwi.

Postać ta leżała nad wewnętrznym brzegiem fosy otaczającej zamek. Zależnie od pory roku i przebiegu licznych konfliktów Ludovica z sąsiadami szeroka fosa mogła być wypełniona brudną wodą, co miało dodatkowo zniechęcać napastników. Wprawdzie od dłuższego czasu była pusta, lecz i tak nie miałabym ochoty odpoczywać na porastającej jej brzegi trawie, wciąż jeszcze przemokniętej smrodem zawartości nocników i zgnilizny.

Teraz widziałam już wyraźnie, że przy fosie leży kobieta, a błękitna suknia rozpościera się wokół niej szeroko. Być może któraś z dam dworu cieszy się wolnym popołudniem, pomyślałam, marszcząc brwi. Dziwne, że jest sama. A jeszcze dziwniejsze, że spoczywa wprost na trawie jak pasterz, a nie na kawałku tkaniny, który chroniłby jej piękną suknię przed zabrudzeniem.

Mój niepokój narastał w miarę, jak się do niej zbliżaliśmy. Odkąd ją zauważyłam, nawet nie drgnęła, nawet kiedy Vittorio, uradowany bliskim końcem pracy, zaczął przeraźliwie pogwizdywać. Przenikliwe dźwięki z pewnością dały się słyszeć z tej niewielkiej odległości i były na tyle głośne, że powinny ją obudzić, gdyby spała.

- Dino?

W głosie Vittoria, gdy wypowiadał moje imię, zabrzmiała nuta strachu odzwierciedlająca mój nagły niepokój. Puścił swój koniec worka, który nieśliśmy, przyglądał się przez chwilę leżącej na trawie kobiecie, po czym spojrzał na mnie szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

- Dino - powtórzył ciszej. - Ta kobieta koło wieży... ona chyba nie śpi. Jak sądzisz?

Ostrożnie postawiłam worek na ziemi.

- Poczekaj tutaj - powiedziałam do Vittoria, z zaskoczeniem zdając sobie sprawę, że ja mówię szeptem. Postanowiłam jednak nie ulegać panice, a przynajmniej nie w tej chwili, i dodałam, starając się mówić normalnie:

- Sprawdzę, czy nic jej nie jest.

Vittorio spojrział na mnie z powątpiewaniem, po czym skinął głową. Staliśmy o jakieś dwadzieścia kroków od kobiety, która leżała na plecach, twarzą zwrócona ku wieży. Gdyby promienie słońca padały pod innym kątem, znajdowalibyśmy się w cieniu potężnej bryły wieży. Teraz jednak popołudniowe słońce świeciło niemiłosiernie wprost na nas... i na nią.

Może zasłabła od upału, pomyślałam z nadzieją, czując strużkę potu spływającą po czole. Podeszłam bliżej i usłyszałam ciche brzęczenie, podobne do tego, które słyszeliśmy pośród kwiatów rosnących nad strumieniem, gdzie pracowaliśmy. Ale co przyciągnęło pszczoły tutaj, gdzie nie rosły kwiaty ani pachnące trawy?

Podchodząc bliżej, zdałam sobie sprawę, że to nie pszczoły są źródłem brzęczenia.

Nad kobietą unosił się rój czarnych much, zwabionych kałużą krwi, która plamiła piękną błękitną suknię i trawę. Dama nie leżała na plecach, jak początkowo sądziłam, lecz dziwnie wykręcona, odwrócona twarzą ode mnie. Ramię osłonięte błękitnym rękawem było odrzucone w bok, a delikatna biała dłoń wyciągała się ku mnie w niemej prośbie.

Zamknęłam oczy i przełknęłam ślinę, czując wzbierające mdłości. Nie żyła... co do tego nie było wątpliwości. Z wahaniem otworzyłam oczy i spojrzałam na Vittoria. Na jego pogodnej zazwyczaj twarzy malowało się przerażenie, przez co wydawał się poważniejszy niż w rzeczywistości. Zastanawiałam się, czy po mnie również widać podobne emocje. Pamiętając, że jestem starsza, stwierdziłam, że muszę zapanować nad sytuacją.

Pokręciłam głową, dając mu do zrozumienia, że nie powinien się zbliżać.

- Zostanę tutaj! - zawołałam do niego. - Mistrz powinien być gdzieś niedaleko. Biegnij do niego i opowiedz, co się stało.

Ale właściwie co się stało?

Nie znając odpowiedzi na to pytanie, patrzyłam na martwą kobietę leżącą niemal u moich stóp i zastanawiałam się nad tą kwestią, podczas gdy Vittorio biegł drogą, którą przed chwilą przyszedliśmy. Po chwili zniknął za pagórkami.

Muszę przyznać ze wstydem, że w pierwszej chwili pomyślałam o sobie. Na krew świętych, dlaczego akurat ja musiałam się na nią natknąć? Zwłoki kobiety nie były pierwszymi, jakie znalazłam w czasie mego krótkiego pobytu w zamku Sforzów.

Kilka tygodni wcześniej miałam nieszczęście natknąć się na ciało kuzyna księcia, okrutnie zamordowanego w zamkowym ogrodzie; zdarzyło się to, kiedy reszta dworu zabawiła się oglądaniem partii żywych szachów rozgrywanej na cześć francuskiego ambasadora. Za sprawą tego niefortunnego zdarzenia odegrałam pewną rolę w rozwiązaniu ponurej zagadki zbrodni, pomagając Mistrzowi na wyraźny rozkaz księcia. A zanim cała sprawa się zakończyła, były również inne zwłoki... przy tym niewiele brakowało, abym sama zginęła!

Starając się teraz nie patrzeć na twarz kobiety, obejrzałam uważnie jej ubranie, próbując określić, jaką pozycję zajmowała na dworze. Jak zauważyłam wcześniej, na białej koszuli miała jasnoniebieski kaftanik, do którego były przywiązane rękawy w tym samym kolorze. Teraz jeden był odcepiony, drugiego zaś brakowało, tak że widać było rękaw koszuli.

Szeroka spódnica włożona na szkarłatną halkę miała ten sam odcień, co rękawy i stanik - delikatny kolor porannego nieba. Spódnica i halka, z jednej strony wysoko podciągnięte, odsłaniały błękitną pończochę starannie zawiązaną nad kolaniem.

Zauważyłam też brak pantofli.

Nie była arystokratką, gdyż suknia nie miała modnych rękawów z rozcięciami, noszonych przez kobiety, które nie musiały pracować. Poza tym nie została uszyta z drogiej, ciężkiej tkani-

ny ani starannie wykończona, jak stroje wysoko postawionych dam, które stać było na najlepsze dzieła mojego przyjaciela, signora Luigiego, lub innego równie utalentowanego krawca. Nie zauważyłam też ciężkich złotych łańcuchów i wysadzanych klejnotami obręczy na szyi i nadgarstkach.

Najpewniej była córką kupca lub służącą jakieś wielkiej damy. Nie potrafiłam się zmusić, by spojrzeć na jej twarz, lecz z młodzieńczej figury domyśliłam się, że nie była wiele starsza ode mnie.

Świadomość, że jej życie zostało przerwane tak nagle, zasnuwała mnie tym bardziej wobec naszego zbliżonego wieku i podobnej pozycji. Jej dziewczęce marzenia nigdy się nie spełnią, a na gładkim czole nie pojawią się zmarszczki, jakie nieuchronnie przychodzą z wiekiem. Ale przynajmniej ta nieszczęsna kobieta nie zginęła z ręki zabójcy, jak ostatnia osoba, którą znalazłam martwą.

Spojrzałam w górę na potężną wieżę. Gdybym była w nastroju do fantazjowania, jej widok przywiódłby mi na myśl mitycznego kolosa podtrzymującego mury twierdzy. Nagromadzone przez cały dzień ciepło promieniowało z wielkich bloków piaskowca, wnosząc nieco życia w nieprzyjazne otoczenie. Stojąc blisko kamiennego giganta, musiałam zadzierać głowę, by zobaczyć jego szczyt.

Pod tym kątem ledwie widziałam długie, wąskie okna, które - niczym argusowe oczy - otaczały najwyższe piętro wieży, tuż poniżej zwieńczonego iglicą hełmu. Z tych okien łucznicy poprzednich książąt zasypywali strzałami nadciągające nieprzyjacielskie armie. Choć z ziemi otwory wydawały się bardzo wąskie, wiedziałam, że w kamiennych obramowaniach swobodnie może stanąć człowiek.

Kobieta, niewysoka i smukła, bez trudu przecisnęłaby się przez takie okno, by rzucić się w dół.

Z pewnością bowiem właśnie to się wydarzyło, o czym świadczyły nienaturalnie wykręcone ciało, a także długi strzęp błękitnej tkaniny, zwieszający się niczym zapomniana flaga z jednego

z okien. Zapewne, spadając, zaczepiła rękawem o wystający kamień. Ale przede wszystkim - dlaczego znalazła się w tej wieży?

Wiedziałam, że nie mogła tam mieć żadnych spraw do załatwienia. To było miejsce żołnierzy księcia Sforzy, zwanego też Il Moro - zuchwałych, hałaśliwych mężczyzn, którzy z tej wysokości obserwowali zamek i okolicę. Mieszkając wśród labiryntu magazynów i komór zbudowanych wewnątrz grubych murów, opuszczali zamek tylko po to, by walczyć z nieprzyjacielem. Jedynymi przedstawicielkami piękniejszej płci, jakie zapuszczały się w tę męską sferę, były praczki i prostytutki. Żadna szanująca się kobieta nie zadawałaby się dobrowolnie z tymi wojakami.

A może jednak?

Z tych rozmyślań wyrwał mnie okrzyk dobiegający z wieży. Spojrzawszy w górę, zobaczyłam trzech żołnierzy patrzących na mnie z zadaszzonego chodnika. Rozmawiali ze sobą, gestykulując z ożywieniem. Oczywiście z takiej odległości nie słyszałam, co mówili, ale ich gesty nietrudno było odczytać. Jeden został na miejscu, by pilnować, żebym nie uciekła, zaś dwaj pozostali zniknęli. Nie miałam wątpliwości, że popędzili do głównej bramy zamku, zamierzając zbadać tę dziwną sprawę i dowiedzieć się, jaką rolę w niej odegrałam.

Nerwowo spójrzałam za siebie. Dlaczego Vittorio tak długo zwleka ze sprowadzeniem Mistrza? Nie chciałam być przesłuchiwana przez żołnierzy, a już z całą pewnością nie w takich okolicznościach. Mając ograniczoną wyobraźnię - albo, co równie prawdopodobne, obawiając się zarzutu, że pozwolili, by tragedia rozegrała się dosłownie u ich stóp - mogli na mnie zrzucić winę za śmierć tej nieszczęsnej kobiety!

Wyobraziłam sobie tę scenę tak dokładnie, że drgnęłam nerwowo, kiedy chwilę później usłyszałam, że ktoś woła moje imię.

- Dino - rzekł Leonardo kpiąco. - Czyżbyś znowu wpakowała się w jakąś ponurą sprawę?

- Niestety, obawiam się, że tak, choć nie z własnej woli - odparłam, nie kryjąc ulgi, jaką odczułam na jego widok.

Tuz za Mistrzem dreptał wystraszony Vittorio. Pozostali uczniowie szli dalej za nimi w pewnej odległości, właśnie mijali ostatni pagórek. Constantin i Paolo prowadzili ciągnięte przez konie wozy, na których jechały składany most i pogłębiarka. Nie kierowali się w naszą stronę, lecz podążali główną drogą biegnącą równoległe do zamkowych murów.

Tymczasem Mistrz zainteresował się martwą kobietą. Ukłękł obok niej, przyglądając się nieruchomemu ciału pod różnymi kątami, raz i drugi zerknął na górującą nad nami budowlę. W końcu wstał i otrzepał z kolan źdźbła trawy.

- Obawiam się, że już nikt nie może jej pomóc - rzekł szorstko. - Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną co do przyczyny śmierci.

- Wieża - odparłam, rozczarowana jego brakiem współczucia w obliczu takiej tragedii.

Spojrzałam na ów zapomniany strzęp materiału zwieszający się z okna. O czym myślała ta nieszczęsna kobieta, robiąc ostatni krok z parapetu w nicłość? Zakładając, że jej upadek był przypadkowy, a nie celowy, z pewnością była przerażona. Ale jeżeli skoczyła z własnej woli? Czy w ostatnich sekundach życia czuła lęk i żal, czy może rozłożyła ramiona i z ulgą witała pędzącą ku niej ziemię?

Tak czy inaczej, groza takiej śmierci z pewnością zasługiwała chociaż na chwilę pełnego szacunku milczenia.

Te myśli musiały się odmalować na mojej twarzy, gdyż Mistrz położył mi rękę na ramieniu.

- Powiedziałem już: nic więcej nie możemy dla niej zrobić, ale na pewno zadbamy o to, by po śmierci została potraktowana lepiej niż w ostatnich chwilach życia.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, rozmowę przerwały okrzyki zwiastujące nadejście żołnierzy. Za tymi niewiele starszymi ode mnie mężczyznami o surowych obliczach podążała gromadka służących i handlarzy. Niektórzy z gapiów przybrali stosowny wyraz zgrozy i smutku, inni zaś przyglądali się

z chorobliwym zainteresowaniem, bardziej stosownym podczas świątecznego widowiska. Żołnierze gestem nakazali im zostać z tyłu, sami zaś podeszli do nas z wyrazem ponurej determinacji na twarzach.

- Mistrzu wynalazco - odezwał się ciemnowłosy żołnierz, zatrzymując się raptownie na widok Leonarda. Spojrzał ostro na Mistrza, najwyraźniej zaskoczony widokiem jego mokrego ubrania i włosów, a także ledwo wyczuwalną wonią mulistej wody: pamiątką po naszych doświadczeniach przy strumieniu. Po krótkiej chwili, wskazując leżące przed nami ciało, zapytał stanowczo: - Co wiesz na ten temat?

- Nie obawiaj się - odezwał się ironiczny głos, nim Mistrz zdążył odpowiedzieć. - Wielki Leonardo z pewnością będzie umiał wytłumaczyć nam, co się tu zdarzyło.

Spośród tłumu gapiów wyszedł człowiek, w którym natychmiast rozpoznałam nadwornego medyka. Napuszony, łysiejący mężczyzna w fałdzistej zielonej szacie, która podkreślała jego wielki brzuch osadzony na cienkich nogach, żywił do Mistrza niechęć, odkąd Leonardo pojawił się na dworze. Dowiedziałam się o ich konflikcie, kiedy Mistrz i ja badaliśmy sprawę śmierci kuzyna Il Moro.

Najwyraźniej medyk został tu wezwany, gdyż drugi żołnierz dał mu znak, by podeszedł.

- Ty, medyku, sprawdź, czy ta kobieta nie daje żadnych oznak życia - polecił szorstkim tonem, dziwnie kontrastującym z jego jasnymi włosami i pucułowatymi policzkami. - Co zaś się tyczy ciebie, signor Leonardo, odpowiedz na pytanie. Co wiesz o tej przykrej sprawie?

- Nie potrafię powiedzieć wiele więcej ponad to, co sami widzicie - odparł Mistrz spokojnie, choć zauważyłam, że nerwowo strzela palcami, jak zwykle, gdy był zirytowany. - Ta młoda kobieta zginęła, spadając z wieży. Moim zdaniem najdalej przed godziną.

- Biorąc pod uwagę obrażenia, równie dobrze mogła zostać przejechana przez wóz - wtrącił medyk. Patrzyłam ze zgrozą,

jak, przykładając do nosa chustkę, trącił nieruchome ciało czubkiem buta. - Poza tym może tu leżeć znacznie dłużej, niż przypuszcza nadworny wynalazca. Dzień jest upalny i...

Wydał zduszony jęk, gdy Leonardo chwycił go za ramię i bezceremonialnie odciągnął od ciała martwej kobiety.

- Twoja hipoteza nie ma żadnego uzasadnienia - rzekł uprzejmie do lekarza, który parsknął z oburzeniem i wyszarpnął ramię z uścisku Mistrza. - Ziemia tutaj jest miękka, a w pobliżu ciała nie ma śladów kół, jakie zostawiłby przejeżdżający wóz. Poza tym, jeśli przyjrzyj się dokładniej, zauważysz w miejscu, gdzie leży, lekkie zagłębienie w ziemi, jakby coś uderzyło tu z wielką siłą. Jeśli zaś odważysz się zobaczyć coś więcej niż czubek własnego nosa - dokończył z kwaśnym uśmiechem - dostrzeżesz zwieszający się z okna na wieży kawałek tkaniny, który zapewne jest brakującym rękawem sukni tej kobiety.

- Zgadzam się z signorem Leonardo - wtrącił pierwszy żołnierz, podczas gdy medyk nie przestawał mamrotać z oburzeniem. - Widywałem ludzi, którzy spadli z muru... To nie jest miły widok. Ale co z chłopcem? - Zawiesił głos i spojrzał na mnie. - Widzieliśmy z góry, jak stał przy niej. Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

Szczyściem nie rozpoznałam żadnego z żołnierzy, więc być może nie wiedzieli nic o mojej niefortunnej skłonności do znajdowania trupów na dworze II Moro. Gdyby o tym wiedzieli, zapewne potraktowałiby mnie z większą podejrzliwością. Kiedy Mistrz skinął głową, zbliżyłam się do nich o krok.

- Obawiam się, że mam niewiele do dodania - powiedziałam, starając się mówić jak najpokorniej. Wskazałam ręką Vittoria, który stał ukryty za Leonardem, ściskając skraj tuniki Mistrza dla dodania sobie odwagi jak dziecko, którym przecież wciąż jeszcze był. - Mój kolega i ja wracaliśmy do zamku, kiedy zauważyliśmy leżącą tutaj tę nieszczęsną kobietę. Vittorio pobiegł po pomoc, a ja zostałam na straży. Żaden z nas nie widział, jak spadła.

Albo skoczyła, dodałam w myślach, choć sama nie umiałam powiedzieć, skąd miałam pewność, że upadek nie był przypadkowy.

Żołnierze sprawiali wrażenie usatysfakcjonowanych moją odpowiedzią.

- Zaniesiemy ją do infirmerii i poczekamy na kogoś, kto będzie umiał ją rozpoznać. Ty i ty. - Wskazał dwóch spośród gapiów, którzy natychmiast stanęli na baczność, jakby sami byli żołnierzami. - Znajdźcie jakieś nosze albo wózek, żebyśmy mogli ją przenieść.

Kiedy dwaj wskazani posłusznie oddalili się na poszukiwania, gwardzista zwrócił się do Mistrza.

- Signor Leonardo, może zechcesz towarzyszyć medykowi - powiedział z lekkim uśmiechem, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że żaden z nich nie będzie zachwycony taką prośbą. - Będziecie mogli obaj zbadać ciało i dojść do wspólnych wniosków. Zależnie od tego, kim się okaże zmarła, być może będziemy musieli złożyć raport naszym przełożonym.

Czekałam oburzona, aż Leonardo odmówi przyjęcia tego wątpliwego zaszczytu. Wiedziałam, że jako nadworny wynalazca podlega bezpośrednio samemu księciu i nie musi słuchać poleceń jakiegoś uzbrojonego grubianina. Jednak, ku memu zaskoczeniu, Mistrz skłonił się lekko.

- Z przyjemnością będę służył pomocą szanownemu medykowi - odparł. - Zaś co do tożsamości tej kobiety, z jej stroju wnoszę, że była służącą kogoś z rodziny Il Moro. Może moglibyście powiadomić o tym smutnym wypadku pokojówki; niech ustalą, czy któraś nie zaginęła.

Zamilkł, delikatnie odczepił dłoń Vittoria od swej tuniki i lekko popchnął chłopca w moją stronę.

- Jeśli nie macie dalszych pytań do moich uczniów, pozwólcie im odejść. To nie jest odpowiedni widok dla wrażliwych chłopców w ich wieku.

- Mogą iść - zgodził się wspaniałomyślnie gwardzista i machnął ręką.

Mistrz podziękował skinieniem głowy i zwrócił się do mnie.

- Wracajcie z Vittorioem do pracowni, żebyście zdążyli na wieczerę ze swymi kolegami. Powiedz też Constantinowi, że po posiłku dam wam wolne i możecie spędzić resztę wieczoru, jak wam się będzie podobało.

W innej sytuacji zapowiedź nieoczekiwanej chwili wytchnienia przyjęlibyśmy radosnymi okrzykami - a zwłaszcza Vittorio, który chętnie korzystał z każdej okazji do zabawy. Tym razem jednak tylko spuścił wzrok i w milczeniu podszedł do miejsca, gdzie zostawiliśmy wielki worek, który Mistrz powierzył naszej opiece.

Ja zaś zdobyłam się tylko na to pokorne:

- Jak sobie życzysz, Mistrzu.

Kiedy żołnierze prowadzili przesłuchanie, jakaś litościwa dusza spośród tłumu podeszła ze starą derką, by osłonić powykręcanie ciała martwej kobiety przed spojrzzeniami ciekawskich. Starając się nie patrzeć na okryty już kształt, pospiesznie dołączyłam do Vittoria.

Pragnąc jak najszybciej opuścić to ponure miejsce i wrócić do pracowni, przeszliśmy z ciężkim ładunkiem przed rosnącym tłumem gapiów. Vittorio szedł w milczeniu, co rzadko mu się zdarzało, a ja zastanawiałam się, czy nie powinnam próbować jakoś go pocieszyć. Choć niewątpliwie był już w takim wieku, że poznał śmierć, widok tego ciała poruszyłby nawet najodporniejszych.

- Jakie szczęście, że przechodziliśmy tędy - odezwałam się. - Inaczej ta biedaczka leżałaby tam do rana, nim ktoś by ją znalazł. Nie martw się, Mistrz dopilnuje, by przyzwolicie się nią zajęto i by jej rodzina została zawiadomiona.

Vittorio tylko skinął głową, zobaczyłam łzę spływającą mu po policzku. Westchnęłam. Gdybym nie była przebrana za chłopca, puściłabym worek, żeby go przytulić i pocieszyć. W tej sytuacji mogłam zrobić tylko to, co zrobiłby na moim miejscu każdy z terminatorów - udawać, że nie zauważyłam niestosownych objawów uczuć.

Kilka minut później dotarliśmy do głównej bramy, po drodze mijając dwóch ludzi, którzy otrzymali zadanie znalezienia jakiegoś środka transportu. Pchali przed sobą ręczny wózek - nie był to może najwytworniejszy sposób przewiezienia ciała, lecz z pewnością najbardziej skuteczny, jeśli wziąć pod uwagę jego stan.

Kiedy żołnierze stojący na warcie przy bramie dali nam znak, że możemy wejść na rozległy dziedziniec, poczułam ulgę. Zamek jak zwykle tętnił życiem, cała służba dbała, by wszystko w rezydencji Il Moro funkcjonowało sprawnie. Wprawdzie słońce chyliło się już ku zachodowi, lecz życie w zamku nie zamierało nawet nocą. Jeszcze długo po tym jak my, uczniowie, kończyliśmy skromną wieczerzę, ci, którzy pracowali w kuchni, w pocie czoła przygotowywali wymyślne dania na książęcy stół.

Ludovico i jego dworzanie zwykli bowiem wieczerzać późno, często w kompanii różnych czcigodnych gości z tych sąsiednich prowincji, które aktualnie nie były skłócone z księciem. Nawet w najspokojniejsze wieczory służący pracowali jeszcze przez wiele godzin. Zapewne zazdrościli mieszkańcom miasta, którzy - prócz garstki najbogatszych - czym prędzej wskakiwali do łóżek, ledwie dogasły ostatnie szczapy drewna w palenisku i ogarki świec rozjaśniające ciemność.

Ale czy mi uda się zasnąć tej nocy, skoro wciąż nie mogłam przestać myśleć o nieszczęsnej kobiecie leżącej pod wieżą?

Dobrze, że Mistrz nie życzył sobie mojej obecności przy oględzinach ciała. Ta myśl przyniosła mi wielką ulgę. Ponieważ zmarła nie była arystokratką i nie została zamordowana, książę nie będzie miał powodu, by nakazać Leonardowi zbadanie okoliczności jej śmierci.

Tak, czułam ulgę... Skąd więc brało się moje niejasne rozczarowanie?

Zastanawiałam się nad tym dziwnym odczuciem, kiedy razem z Vittoriem szliśmy do kwatery Mistrza. Tam zostawiliśmy wielki worek, który - jak nam się zdawało - dźwigaliśmy przez

wiele godzin. Potem wróciliśmy do znajdującej się tuż obok pracowni.

Pozostali uczniowie, trzymając w rękach miski i łyżki, byli gotowi przejść do kuchni. Widząc mnie i Vittoria wchodzących przez drzwi z nieheblowanych desek, stanęli w bezruchu. Kipiąc z ciekawości, zasypali nas pytaniami, słyszeli bowiem pogłoski o tym, co się wydarzyło, lecz nie dotarli blisko wieży, by cokolwiek widzieć.

Vittorio nie chciał nic mówić, ja zaś opędzałam się od nich, chcąc najpierw porozmawiać z Constantinem i przekazać mu słowa Mistrza. Podziękował mi z uśmiechem, po czym krzyknął na pozostałych, każąc im się uciszyć.

- Ponieważ dzisiaj ciężko pracowaliście, Mistrz postanowił zwolnić was wieczorem od wszelkich zajęć! - oznajmił, co zostało przyjęte radosnymi okrzykami. - Zaraz pójdziemy na kolację. Potem możecie spędzić resztę wieczoru tak, jak zechcecie. Ale, żebyśmy nie musieli już wracać do tej sprawy, Dino odpowie na wasze pytania o to, co zdarzyło się po południu.

Na znak dany przez Constantina niechętnie wystąpiłam naprzód i pokrótce opowiedziałam o tym, co działo się przy wieży.

- Ale dlaczego miałyby skoczyć? - zastanawiał się na głos Tommaso. - Żeby odebrać sobie życie, mogła przecież użyć noża albo trucizny.

- Albo się utopić - pisnął Bernardo, jeden z młodszych terminatorów.

Ten niewysoki, pulchny chłopiec z burzą jasnobrązowych loków mógłby wystąpić jako cherubinek na którymś z obrazów Mistrza, gdyby nie jego zwykle nadąsana mina.

- A co by było, gdybyśmy znaleźli ją pływającą w strumieniu? - zastanawiał się dalej z rozszerzonymi z emocji oczami.

- Albo powieszoną - podsunął Tito, śniady chłopiec ze sładami po ospie, najbliższy przyjaciel Bernarda. - Gdyby miała sznur, mogłaby...

- Przestańcie! - rozległ się przenikliwy głos, po którym z trudem rozpoznałam Vittoria.

Przecisnął się przez zwartą grupkę chłopców i stanąwszy obok mnie, wycelował drżący palec w Tita.

- To był wypadek - rzekł stanowczo. - Ona spadła, nie skończyła. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Ty też nie. - Wskazał na Bernarda. - Ani ty, ani ty! - mówił, patrząc na wszystkich po kolei. - Wreszcie, odwracając się do mnie, dodał: - Ani nawet ty, Dino.

Zanim zdążyłam powiedzieć słowo, przecisnął się przez krąg stojących teraz w milczeniu uczniów i pobiegł do alkozy, w której wszyscy sypialiśmy. Chwilę później zniknął za kotarą. Ciężka zasłona nie była jednak na tyle gruba, by stłumić dobiegające zza niej ciche łkanie.

2. *Arcykapłanka*

Mądrość jest córką doświadczenia.

Leonardo da Vinci *Kodeks Forster III*

Co dziwne, tylko mnie poruszyły niespodziewany wybuch Vittoria i jego dobiegające zza zasłony łkanie. Pozostali uczniowie, wzruszając ramionami i szepcząc do siebie z rozbawieniem, zapomnieli o dramacie i skierowali się do wyjścia, zainteresowani wyłącznie zapełnieniem pustych żołądków.

Nie chciałam zostawiać Vittoria w takim stanie. Kiedy jednak zrobiłam krok w stronę sypialni, Constantin zatrzymał mnie, chwytając mocno za ramię.

- Zostaw go, Dino - szepnął najstarszy z uczniów, aby jego głosu nie było słyhać za zasłoną. - Młody Vittorio ma powody do wzburzenia. - Zamilkł i rozejrzał się dookoła, a widząc, że

w pracowni zostaliśmy tylko my dwaj, mówił dalej cicho. - Nikt inny nie zna tej historii oprócz Mistrza i mnie. Jeśli dasz słowo, że nikomu nie powiesz, wyjaśnię ci przyczynę.

- Przysięgam, że nikomu nic nie powiem - wyszeptalam z ręką na sercu.

Constantin, skinąwszy głową, zaczął mi szeptać do ucha:

- To tragiczna opowieść. Kiedy Vittorio miał zaledwie sześć lat, jego matka zginęła w taki sam sposób jak ta kobieta dzisiaj. Wieszala pranie w oknie na piętrze ich domu, a w chwilę potem leżała na bruku. Oczywiście zmarła, nim ktokolwiek zdążył do niej dobiec.

- To musiał być wypadek - powiedziałam cicho, choć domyślałam się, co usłyszę.

I tak, jak się obawiałam, Constantin pokręcił głową.

- Początkowo wszyscy tak sądzili, ale później zaczęły się plotki. Ludzie szeptali, że może to nie był wypadek, lecz że sama odebrała sobie życie.

Westchnął, a na jego szczupłej twarzy odmalował się smutek, co mu dodało lat.

- Moim zdaniem gdyby Vittorio był wówczas młodszy... albo może starszy, nie wywarłoby to na niego aż tak wielkiego wpływu. Tymczasem wątpliwości dotyczące jej śmierci najwyraźniej nie przestają go dręczyć i dzisiejsze wydarzenia przywołały bolesne wspomnienia.

- To straszne - odpowiedziałam szeptem. - Ale to jeszcze jeden powód, żebym spróbował go pocieszyć.

- Nie, Dino, zostawmy go w spokoju - powtórzył Constantin. - Widzisz, kiedy Vittorio opowiedział mi tę historię, zaklinał się, że plotki o śmierci jego matki były nieprawdziwe. Zapewniał, że to był tylko tragiczny wypadek. Teraz jednak widzę, że on sam przypuszcza, iż jednak mogło w nich być trochę prawdy. Obawiam się, że rozmowa o śmierci tej kobiety całkiem wytrąciła go z równowagi.

Skinęłam głową bez przekonania.

- Może masz rację, Constantinie, i rzeczywiście powinniśmy pozwolić, by sam się z tym uporał. Nie mówmy więc już o tym, tylko chodźmy na kolację - odparłam i zaczęłam się rozglądać za swoją miską i łyżką.

Gdy później wróciliśmy z kuchni, z zaskoczeniem zobaczyłam, że Vittorio siedzi przy ogniu i rzeźbi coś w kawałku drewna, jakby nic się nie wydarzyło. Czym prędzej dołączyłam do pozostałych i po chwili był już całkowicie pochłonięty grą w kości z Paolem i kilkoma innymi chłopcami. Tommaso wydobył swoją starą lutnię i uraczył nas piosenką, zaś David i Bernardo, udając wytwornego młodzieńca i damę, całkiem zgrabnie wykonali taniec.

Początkowo i ja przyłączyłam się do zabawy, lecz wkrótce powróciła melancholia, gdy przypomniałam sobie żalostny widok kobiety leżącej koło wieży. Celowo tracąc wszystkie wygrane przy następnym rzucie kości - oczywiście graliśmy o kawałki malowanego gipsu, gdyż nikt z nas nie miał nadmiaru pieniędzy - usiadłam przy palenisku i wydobyłam mój notatnik.

Codziennie przelewanie na papier, podobnie jak czynił Mistrz, przemyśleń i pomysłów, weszło mi w nawyk. Każdego dnia Leonardo zapełniał notatkami wiele stron... Jestem pewna, że zbierałaby się z nich cała biblioteka. Pisząc w dzienniku, na luźnych skrawkach papieru lub pergaminu, notował swoje refleksje niezwykłym lustrzanym pismem.

Wprawdzie większość tych zapisków dotyczyła teorii malarstwa, lecz nie mniejszą uwagę Mistrz poświęcał różnym aspektom nauki, anatomii i przyrody. Często, jeśli zainteresował się czymś tylko przelotnie, jego obserwacje ograniczały się do kilku linijek, innym razem potrafił zapisać wiele stron uwagami na pochłaniający go temat

Niezależnie od tego spod jego ręki wychodziły szkice i plany niezwykłych wynalazków. Niektóre z nich, jak składany most i pogłębiarkę, rzeczywiście próbował zbudować. Przypuszczam, że wiele innych tworzył jednak tylko na papierze, wyłącznie dla rozrywki. A gdyby ktokolwiek wątpił w rozległość jego zainte-

resowań, Leonardo zaczął nawet pisać bajki, z których kilkoma podzielił się z nami, swoimi uczniami.

Oczywiście większość jego pism była bogato ilustrowana wszelkiego rodzaju szkicami, dużymi i małymi. Niektóre rysunki sprowadzały się do kilku kresek, mających pokazać przyszłemu czytelnikowi, w jaki sposób należy oddać na papierze coś tak prostego, jak fałdy draperii; gdzie indziej zamieszczał wspaniałe szkice węglem przedstawiające ludzi i zwierzęta; często nie miały nic wspólnego z opisywanym tematem - rysował je wyłącznie dla przyjemności.

Moje skromne próby przelewania myśli na papier trudno porównywać z geniuszem Mistrza; niemniej notatniki były dla mnie powodem do dumy. Na ich stronach zapisywałam wszelkie nauki i wykłady Mistrza, a także własne nieporadne próby objaśniania różnych aspektów teorii malarstwa. Poza tym odnotowywałam pokrótce wydarzenia każdego dnia, czasami ilustrując je drobnymi szkicami.

Skończyłam zapełniać pierwszy zeszytik krótko po tym, jak Mistrz i ja po żmudnym śledztwie odkryliśmy okoliczności śmierci hrabiego Ferrary. To osiągnięcie wydało mi się stosownym zakończeniem tamtego notatnika. Zapisawszy ostatnie zdanie, związałam okładki i wsunęłam dość grubą książeczkę do skrzyni zawierającej mój skromny dobytek. Wkrótce zaczęłam zapisywać następny notes pewna, że na jego stronach znajdą się tylko prozaiczne szczegóły z życia terminatora.

Niestety, dzisiejsze wydarzenia pozbawiły mnie tej nadziei i niemal odebrały mi chęć notowania czegokolwiek.

Tak więc, nie mogąc się skupić ani na pisaniu, ani na grze w kości, w końcu schowałam notes do sakiewki zawieszanej przy pasie. Pozostali uczniowie - wśród nich Vittorio - wciąż cieszyli się wolnym wieczorem. Dzienna racja oleju i świec rozjaśniała pracownię i wiedziałam, że minie jeszcze sporo czasu, nim ciemność zagoni chłopców do łóżek. Nie chcąc psuć im humoru swoim smutnym nastrojem, cichutko wymknęłam się z pracowni

i usiadłam na ławie tuż przy wejściu. Oparłam się o kamienną ścianę, wsuwając dłonie w rękawy tuniki dla ochrony przed nocnym chłodem. Z miejsca, w którym siedziałam, miałam dobry widok na rozległy czworobok zamku i warowne mury. Wypielęgnowane trawniki i zamknięte ogrody skryła ciemność; mimo późnej pory zamek wciąż tętnił życiem.

Teraz, gdy umilkł już jednostajny zgiełk dnia, słyszałam wyraźnie chrzęst kroków na wysypanych żwirem alejkach, od czasu do czasu niespokojne rżenie koni dobiegające ze stajni i żałosne krzyki nocnych ptaków z pobliskich ogrodów. Mogłabym odpoczywać i napawać się rzeźkością nocnego powietrza, gdyby nie to, że miałam przed oczami sylwetkę wieży, która odegrała tak ponurą rolę w dzisiejszej tragedii.

A co jeszcze bardziej niepokojące, mogłabym przysiąc, że dostrzegłam słaby odbłask światła w jednym z jej górnych okien.

Zadrżałam mimo ciepła promieniującego z nagrzanego słońcem kamiennego muru. To oczywiście musi być któryś z żołnierzy, tłumaczyłam sobie, pochylając się do przodu, by lepiej widzieć. Wiedziałam, że straż patrolowała mury dniem i nocą, nie więc dziwnego, że gwardziści krążyli wokół zamku. Niemniej widok ten wzbudził mój niepokój, zupełnie jakby duch martwej kobiety wrócił na wieżę, by jeszcze raz powtórzyć jej ostatnie kroki przed upadkiem.

Jednak kiedy starałam się skupić na nim wzrok, światełko na wieży nagle zgasło.

Z ulgą oparłam się o ścianę pracowni, wsłuchana w dobiegający oknem szmer głosów moich kolegów i wesołe dźwięki lutni Tommasa. Pomyślałam, że dobrze mieć grupę oddanych, beztraskich chłopców, na których mogłam polegać. Gdyby nie ich przyjaźń, byłoby mi znacznie trudniej znieść rozłąkę z rodziną przez ostatnich kilka miesięcy.

Czując się nieco podniesiona na duchu, wstałam i dołączyłam do pozostałych. Większość świec już dogasła i w pracowni panował półmrok. Tommaso odłożył instrument, a gra w kości

przebiegała znacznie leniwiej niż poprzednio. Kilku młodszych chłopców ziewało przeraźliwie, ja zaś z trudem się powstrzymałam, by nie pójść w ich ślady.

- Pora spać. - Poczułam ulgę, słysząc głos Constantina.

Zgasił ostatnią świecę i ruszył przodem w stronę pomieszczenia, które było niegdyś magazynem, a teraz służyło nam za sypialnię. Był to długi, wąski przedsionek, oddzielony od głównej części pracowni grubą kotarą; panującą wewnątrz ciemność rozjaśniało tylko blade światło wpadające przez umieszczone wysoko, podobne do szczelin okna. Poniżej okien i w przeciwległej ścianie znajdował się rząd głębokich nisz.

Niegdyś stały tu skrzynie, beczki i pakunki; teraz w każdą z nich wstawiono prostą pryczę. Niestety, nisze nie były na tyle głębokie, by pomieścić całe łóżka, które częściowo wystawały na środek pomieszczenia, pozostawiając pośrodku wąskie przejście, w którym mogły stanąć obok siebie tylko dwie osoby.

Nikt jednak nie narzekał, gdyż nisze dawały pewne poczucie prywatności, na co inni terminatorzy rzadko mogli liczyć. Wiedziałam, że chłopcy kuchenni sypiali po dwóch, a czasami nawet po trzech na jednym wąskim sienniku! W porównaniu z nimi mieliśmy iście książęce posiana.

Udało mi się zająć jedno z łóżek stojących w głębi sypialni, dzięki czemu zyskałam jeszcze większą prywatność. Gdyby nie to, prędzej czy później ktoś z pewnością odkryłby mój sekret. Tymczasem pod osłoną ciemności w moim zacisznym kąciku mogłam niezauważona rozbierać się na noc i ubierać rano, starannie ukrywając strój, który pomagał mi udawać chłopca.

Niegdyś używałam długiego pasa płótna, by spłaszczyć piersi. Teraz, dzięki uprzejmości krawca Luigiego - jedyne go człowieka w całym Mediolanie, który znał mój sekret - miałam znacznie wygodniejszy gorset wypchany końskim włosiem.

Mężczyźni nosili je ciasno tak, że związana dolna część spłaszczała brzuch, a dzięki poduszkom w górnej części tors wydawał się bardziej muskularny. Włożony do góry nogami przez

kobietę ten sam gorset spłaszczając piersi i powiększając brzuch, tworząc męską, prostą sylwetkę. W obszernej tunice i luźno zasnuwanej kurtce wyglądałam zupełnie jak chłopiec... Może tylko nieco ładniejszy od pozostałych!

Tej nocy jednak, kiedy wsunęłam się na wypchany sianem materac i przykryłam kocem, moim największym zmartwieniem nie było przebranie.

Leżąc w ciemności, wśród cichego pochrapywania kolegów, wróciłam myślami do kobiety, której ciało znalazłam u podnóża wieży. Czując niespodziewaną złość, żałowałam, że nie znam jej imienia. Teraz Leonardo i medyk z pewnością poznali już jej tożsamość, może nawet udało im się ustalić, co jej się przydarzyło. Niewykluczone, że niedługo ja także się tego dowiem.

Westchnęłam i chwilowa złość ustąpiła miejsca smutkowi. Czego się spodziewałam? Odkąd przed kilkoma tygodniami wyjaśniliśmy sprawę ponurego zabójstwa hrabiego Ferrary, powoli traciłam pozycję zaufanego ucznia Mistrza. Dokładnie tak, jak przewidział signor Luigi, najwyraźniej dobrze zaznajomiony z funkcjonowaniem warsztatu Leonarda.

- Widywałem to już wielokrotnie - mówił z ubolewaniem krawiec. - Signor Leonardo wybiera sobie jednego z uczniów na ulubieńca, aby pomagał mu w jakichś pracach albo po prostu zapewniał towarzystwo. Chłopak chodzi za swoim mistrzem, gorliwie spełnia jego prośby, patrzy na niego cielejącym wzrokiem... Bo który młody człowiek oparłby się urokowi tak utalentowanego geniusza? Ale to nigdy nie trwa wiecznie. W końcu nudzi się chłopcem i odsyła go do normalnych obowiązków. Chłopak, który czuł się kimś wyjątkowym, odtąd znowu staje się jednym z wielu. A kiedy to się dzieje, wszyscy mają ten sam wyraz twarzy, jak szczeniaki wyrzucone ze stajni na ulicę.

Oczywiście nie uwierzyłam ostrzeżeniom Luigiego. Byłam przekonana, że ja, bardziej niż inni uczniowie, zajmuję szczególne miejsce w sercu Mistrza. Ba, Leonardo dotrzymał nawet złożonej wcześniej obietnicy i nauczył mnie podstaw strategii

szachów - gry, która odegrała tak istotną rolę w wyjaśnieniu tajemnicy śmierci kuzyna Il Moro.

Przez dwa tygodnie co wieczór siadaliśmy przy szachownicy. W końcu jednak odesłał mnie pod jakimś pozorem pewnego dnia, potem następnego. Grywalismy już tylko raz na tydzień, później co dwa tygodnie, aż wreszcie nasze spotkania ustały. Wtedy właśnie zauważyłam, że regularnie towarzyszy mu Tito.

Młody Tito, syn skutnika, miał pewną wiedzę o budowie łodzi i obróbce drewna. Niewątpliwie były to umiejętności, które Leonardo uznał za użyteczne, gdy przystąpił do tworzenia swoich najnowszych wynalazków. I tak Tito stał się jego nowym faworytem, podczas gdy ja wróciłam do mieszania stiuku i gipsowej zaprawy oraz przygotowywania szablonów.

- Widzisz, dokąd zaprowadziła cię próżność - szepnęłam w ciemność.

Schlebiało mi bowiem to, że Mistrz mnie słuchał, nawet jeśli najczęściej potrzebował nie tyle rady, ile raczej mojej obecności, gdyż w ten sposób mógł testować swoje nowe pomysły. Nie mogłam też zaprzeczyć, że mimo wszystkich niebezpieczeństw, z jakimi wiązała się tamta rola, tęskniłam za tamtymi dniami noszenia przebrań i przemykania się nocami w poszukiwaniu zabójcy... Teraz jednak największą podniętą była dla mnie niepewność, czy znajdę się wśród uczniów, którzy będą się wspinać na chwiejne rusztowanie w przedsionku, gdzie właśnie pracowaliśmy, aby pomóc przy przygotowywaniu kolejnej partii ściany pod fresk.

Czy wszystko było warte tej mojej maskarady?

Kiedy zostałam przyjęta do pracowni Mistrza, przypuszczałam, że moje talenty natychmiast zostaną zauważone. Z upokorzeniem zdałam sobie sprawę, że większość uczniów umie malować równie dobrze jak ja, a niektórzy nawet robili to lepiej. Szybko zrozumiałam, że talent nie jest tak ważny, jak umiejętność naśladowania stylu Mistrza. Jak inaczej mógłby realizować wszystkie zamówienia i pokrywać freskami ścianę za ścianą, gdyby nie miał armii pomocników umiejących malować

podobnie jak on? Ich zadaniem było wypełnianie tła i przedstawianie drugoplanowych postaci tak, aby całe malowidło wydawało się dziełem jednego artysty.

Musiałam zapomnieć o znacznej części wiedzy i umiejętnościach zdobytych do tej pory. Mogą minąć całe miesiące, a może nawet lata, nim Mistrz uzna, że jestem na tyle doświadczona, bym mogła malować samodzielnie. Ale czy uda mi się wytrzymać tak długo w przebraniu chłopca? Już w tym krótkim czasie, który spędziłam w zamku, zauważyłam, że nawet najmłodszy z uczniów powoli zbliżają się do wieku męskiego. Ludzie z pewnością zaczęną się zastanawiać, dlaczego na moich policzkach nie pojawia się zarost, dlaczego mój głos się nie zmienia.

Na krew wszystkich świętych, to niesprawiedliwe! Moja płęć nie powinna przeszkodzić w zostaniu artystką. Co innego, gdybym wybrała zawód murarza lub inny, wymagający fizycznej siły. Sam Mistrz często powtarzał, że w odróżnieniu od rzeźby malarstwem można się zajmować w strojach jedwabnych i aksamitnych. To zaś niewątpliwie znaczy, że kobieta równie dobrze jak mężczyzna może zostać mistrzem sztuki.

Byłam już na najlepszej drodze, by zacząć się użalać nad sobą, kiedy trudy całego dnia wzięły górę nad strapieniami. Spałam więc całkiem smacznie, kiedy tuż po północy obudził mnie odgłos cichych kroków. Nawet gdybym nie rozpoznała znajomej wysokiej sylwetki, niecierpliwe szarpnięcie za okrytą kocem stopę zdradziłoby, kto przyszedł.

- Dino, czy śpisz? - spytał szeptem Mistrz, puszczając moją nogę. - Chodź, czeka nas praca.

Praca? Stłumiłam przeraźliwe ziewnięcie. Przecież po wszystkim, co zrobiliśmy tego dnia, nie będzie chyba chciał testować jakiejś maszyny...

Ale tego nie można było wykluczyć.

Posłusznie usiadłam na łóżku. Leonardo stał nade mną. W panującym mroku widziałam tylko złocisty odblask światła księżycy na jego kasztanowej grzywie.

- Czy mam przyjść do twojej pracowni, Mistrzu? - spytałam szeptem, przecierając senne powieki.

Skinął głową.

- Tylko nie ociągaj się, drogi chłopcze. Jestem przekonany, że czekają nas sprawy interesujące - odparł, po czym zniknął za zasłoną równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Muszę wyjaśnić, że nie zdziwiło mnie, iż Leonardo nie spał jeszcze o tej porze. Podobnie jak w przypadku wielu geniuszy, wystarczało mu na dobę kilka godzin snu. Często zdarzało się, że budził kogoś z uczniów, aby towarzyszył mu w nocnych wędrówkach. Powody, dla których szukał takiego towarzystwa, były najzupełniej przyzwoite - wbrew wstrętnym pogłoskom, jakie rozsiewali pewni niegodziwi mieszkańcy zamku sugerujący nieczyste motywy!

Prawda była taka, że Mistrz miał zwyczaj przyjmować więcej zleceń, niż był w stanie wykonać. A ponieważ nierzadko zdarzało mu się przerywać w połowie prace, rozwścieczeni patroni zmuszali go do kończenia fresku czy obrazu groźbą utraty honorarium. W takich okolicznościach uczniowie służyli mu jako niezbędna pomoc.

Jednak w czasie, kiedy byłem wybranym uczniem Mistrza, więcej mówił, niż pracował. Nie przeszkadzało mi to, gdyż w swoje wykłady wplatał niezwykle pomysły i fascynujące teorie, których słuchałam z zapartym tchem. Podejrzywałam też, że Leonardo od czasu do czasu cierpiał na chorobę, która może powalić nawet największego geniusza - na samotność.

Choć swobodnie obracał się wśród wysoko urodzonych i mógł bez trudu uchodzić za jednego z nich, nie należał do arystokracji. Dowiedziałam się, iż w rzeczywistości był nieślubnym synem notariusza. Z drugiej strony nie można go było równać z zamkową służbą. Niewiele też łączyło go z zadowolonymi z siebie miejskimi kupcami i rzemieślnikami.

Jego geniusz oraz wyniosła natura zmuszały go do życia w samotności, jakby w odrębnym świecie. Czasami całkowicie

pochłaniała go praca; nie miałam jednak wątpliwości, że potrzebował takich samych, zwyczajnych kontaktów z innymi ludźmi, jak wszyscy. Kiedy wzywał mnie na jedną z nocnych wędrówek, nigdy nie żałowałam straconych godzin snu.

Odczekałam chwilę, by mieć pewność, że jego wizyta nie obudziła żadnego z pozostałych uczniów. Wreszcie z niejakim trudem w ciemności zasznurowałam gorset pod tuniką, którą nosiłam jako nocną koszulę, włożyłam pończochy i buty. Zabrałam kurtkę na wypadek, gdyby nocne powietrze okazało się zbyt chłodne, i przemknąwszy się po cichutku między śpiącymi kolegami, wyszłam na zewnątrz.

Byłam podekscytowana, delikatnie pukając do drzwi Leonarda. Po chwili na jego zaproszenie weszłam do środka. Tutaj znów poczułam zapierające dech w piersiach podniecenie, jak wtedy, gdy szukaliśmy zabójcy hrabiego Ferrary. Czy nocne wezwanie Mistrza miało coś wspólnego z kobietą, której martwe ciało znalazłam dzisiaj pod wieżą?

Na odpowiedź musiałam poczekać, ponieważ Leonardo był pochłonięty innym projektem.

Gestem zaprosił mnie do małego okrągłego stolika, przy którym siedział, mając za jedyne oświetlenie dogasające węgle w palenisku oraz kilka ogarków świec. Zwykle na stoliku piętrzył się stos książek, połowa jego biblioteki! Teraz jednak ciężkie tomiska leżały na podłodze przy stopach Mistrza. Ich miejsce zajmował arkusz papieru, na którym Leonardo coś szkicował kredą.

Kiedy dzisiejszego popołudnia wraz z Vittoriem zostawiliśmy tu nasz pakunek, zauważyłam, że pokój Leonarda niewiele się zmienił od mojego ostatniego pobytu przed kilkoma tygodniami. Stały w nim te same skromne meble: wąskie łóżko, prostokątny stół, przy nim dwie ławy oraz mały stolik z krzesłami, przy którym siedzieliśmy. Proste drewniane półki na ścianie za moimi plecami teraz były może nieco bardziej zagracone. Oprócz zwyczajnych glinianych naczyń leżały na nich przedmioty tak

różnorodne, jak trzy trójkątne szare kamienie, ogromny bukiet zasuszonych żółtych kwiatów i coś, co przypominało czarną skórzaną uprząż.

Doliczyłam się też co najmniej czterech glinianych modeli przedstawiających mężczyznę na koniu. Każda z figurek nie większych od pięści w nieco inny, lecz zaskakująco drobiazgowy sposób przedstawiała wierzchowca i dumnego jeźdźca.

Domyśliłam się, że były to pierwsze wersje ogromnego pomnika z brązu mającego być hołdem dla zmarłego ojca księcia Mediolanu. Z powodu tego zamówienia Leonardo przybył na dwór II Moro. Dopiero później Mistrz zainteresował Ludovica Sforzę swoimi projektami machin wojennych. Ile czasu jeszcze minie, nim dokończy tę rzeźbę - o ile kiedykolwiek to nastąpi - nie śmiałam zgadywać.

Tłumiąc ziewnięcie, spojrzałam na Mistrza. Misa, jak zwykle pełna świeżych owoców, stała przy jego łokciu; kilka kęsów jabłka stanowiło skromny nocny posiłek. Zauważyłam, że przebrał się, zamieniając brązową tunikę i zielone pończochy na strój podobny, lecz czarny, bardziej stosowny na nocną wyprawę. Przyszło mi do głowy, że może to jego lampę widziałam nieco wcześniej w wieży.

W końcu przerwał szkicowanie i przez chwilę, marszcząc brwi, przyglądał się rysunkowi. Wreszcie, najwyraźniej usatysfakcjonowany, odchylił się do tyłu, rozparł wygodnie na krześle i spojrzał na mnie z namysłem.

- Powiedz, drogi Dino, czy patrzyłeś kiedyś na liść spadający z drzewa?

- Ależ oczywiście - odparłam, zaskoczona tak nieoczekiwanym tematem. - Chyba każdy to widział.

- Zatem objaśnij mi, jak to się dzieje.

- Cóż, to proste. Kiedy pod koniec lata liść usycha, traci połączenie z gałęzią i spada na ziemię - powiedziałam, naśladując dłonią dobrze znany chwiejny ruch lecącego liścia.

Skinał głową.

- A teraz załóżmy, że stoisz przede mną i trzymasz na wysokości ramion kamień. Opisz, jak spada upuszczony kamień.

- Cóż, spadnie prosto na ziemię - odparłam, starając się opamiętać nieprzyjemny ucisk w żołądku, kiedy zdałam sobie sprawę, do czego prowadzą te pytania.

Lecz Mistrz, zamiast dalej drażnić temat, podsunął mi rysunek, nad którym pracował.

- Spójrz, Dino, i powiedz, co o tym myślisz.

Posłusznie przyjrzałam się szkicowi.

- Przypomina człowieka trzymającego nad głową dużą, szpiczastą kopułę.

Leonardo pokręcił głową i strzelił palcami w dobrze znanym geście zniecierpliwienia.

- Ależ Dino, nic nie widzisz? Narysowałem urządzenie, które pozwoli człowiekowi zeskoczyć z dużej wysokości i opaść na ziemię łagodnie jak liść, a nie runąć jak kamień. - Wskazał narysowaną na kartce postać.

- Ten pomysł przyszedł mi do głowy już dawno. Jeśli się przyjrzyz dokładniej, zauważysz, że ten człowiek trzyma nad sobą drewnianą ramę przypominającą, jak sam powiedziałaś, szpiczastą kopułę. Taka rama powinna być pokryta tkaniną, może woskowanym płótnem - oznajmił i przerwał na chwilę, by coś zanotować. Skończywszy pisać, dodał: - Kiedy człowiek zeskoczy z dużej wysokości, trzymając nad sobą tę kopułę, którą nazywam „ludzkim żaglem”, urządzenie nabierze powietrza, podobnie jak liść. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, mój wynalazek pozwoli człowiekowi opaść powoli i bezpiecznie wylądować na ziemi.

- Ale po co ktoś miałby skakać z takiej wysokości?

Mistrz spojrział na mnie z zaskoczeniem.

- Przychodzi mi do głowy mnóstwo powodów. Żołnierz może wspiąć się na mur fortecy wroga, żeby szpiegować albo dokonać sabotażu. Gdyby został zauważony, bezpieczny skok na

ziemię byłby znacznie szybszą metodą ucieczki niż zsuwanie się po murze.

- Ale najpierw musiałby wnieść żagiel, żeby z nim zeskończyć - zauważyłam. - Obawiam się, że wspinaczka z takim urządzeniem przytroczonym do pleców byłaby dość trudna.

- To już nie mój problem - rzucił Leonardo, strzelając palcami. - Innym zastosowaniem może być ucieczka z wysokiego budynku, gdyby wybuchł pożar... co, jak dobrze wiesz, nierzadko zdarza się w mieście. Pomyśl, ile istnień można by ocalić, gdyby w każdym domu był taki żagiel. Można by też zeskończyć z mostu lub urwiska, aby doświadczyć uczucia lotu.

- Na krew wszystkich świętych, cóż za przerażający pomysł!

Patrzyłam na niego z niepokojem, wyobrażając sobie Mistrza zawieszonoego pod taką kopułą i skaczącego z ogromnej wysokości.

- Czy próbowałeś zrobić coś takiego? - spytałam ze zgrozą. Ku mej uldze pokręcił głową.

- Jeszcze nie, chociaż może pewnego dnia spróbuję. Tragiczna śmierć tej kobiety przy wieży natchnęła mnie, by wrócić do tego wynalazku. I właśnie o tym chciałbym z tobą pomówić. - Zawiesił głos, uśmiechając się ironicznie. - Jeszcze raz, mój drogi Dino, zadałeś mi interesującą zagadkę. Podejrzewam bowiem, że w śmierci tej młodej kobiety kryje się coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. - Wstał od stolika i zaczął spacerować po pokoku, jak miał w zwyczaju, kiedy wygłaszał wykład. - Jak wiesz, towarzyszyłem naszemu szanownemu medykowi - jego arystokratyczne wargi skrzywiły się nieznacznie na wzmiankę o tym człowieku - przy oględzinach nieszczęsnej ofiary. Czy zdajesz sobie sprawę, Dino, co dzieje się z człowiekiem, kiedy spada z dużej wysokości?

Pokręciłam głową w milczeniu, nie mając najmniejszej ochoty uzupełniać swej wiedzy w tej materii. Jednak nie miałam większego wyboru.

Nie zwracając uwagi na moją konsternację, sięgnął po jeden z glinianych modeli. Na tej samej półce leżał zwinięty płócienny worek. Mistrz włożył do niego figurkę jeźdźca na koniu.

- W grę wchodzi wiele czynników - mówił dalej, zawiązując worek. - Zależnie od kąta uderzenia, rodzaju podłoża i wysokości śmierć może nastąpić z kilku powodów. Często ciało ofiary uderza w podłoże, co zwykle prowadzi do złamania karku. Czasami kręgosłup i inne kości zostają zmiżdżone. Kiedy indziej przyczyna śmierci może być mniej oczywista - dodał i nagle worek wypadł mu z ręki.

Ledwie zdążyłam krzyknąć, usłyszawszy stłumiony trzask pękającej gliny, gdy pakunek uderzył o podłogę. Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie był to wypadek, lecz celowe działanie. Teatralnym gestem Leonardo rozwiązał worek i wysypał skorupy na stół.

- Jak widzisz, takie traktowanie w najmniejszym stopniu nie zaszkodziło samemu workowi - oznajmił, demonstrując pusty worek. - Niestety, model, który znajdował się wewnątrz, został nieodwracalnie zniszczony. Podobnie jest z osobą, która ginie w wyniku upadku z dużej wysokości. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście gdyby miała dość szczęścia, by spaść po drugiej stronie wieży, mogłaby nawet przeżyć. Na zewnątrz zamku spada się wprost na ziemię. W obrębie murów do wieży przylega duży portyk. Ta konstrukcja złagodziłaby uderzenie i dalej upadek byłby już znacznie wolniejszy. Ofiara zostałaby ciężko ranna, ale nie zginęłaby.

Mimo spóźnionych słów pocieszenia przełknęłam ślinę, nie potrafiąc oderwać wzroku od glinianych skorup, które jeszcze przed chwilą stanowiły piękną rzeźbę. To zdumiewające, jak Mistrz mocą słów potrafił zamienić zwykły płócienny worek i kawałki rozbitej figurki w budzący grozę przykład straszliwej śmierci.

- W ten sposób wracamy do sprawy śmierci tamtej kobiety - powiedział, odrzucając worek. - Na imię miała, jak się okazuje, Bellanca. Była pokojówką podopiecznej Ludovica, Cateriny, cór-

ki zmarłego hrabiego di Sasiny. Ponieważ hrabia zmarł, nie zostawiając męskiego potomka, Caterina mimo młodego wieku odziedziczyła tytuł. W każdym razie stwierdzono, że Bellanca zaginęła. Jedna ze służących hrabiny rozpoznała ciało w infirmerii. Nie myliłem się więc co do pozycji zmarłej w zamkowej hierarchii. Wciąż jednak było dla mnie zagadką, dlaczego spotkał ją taki los. I z jakiegoś powodu odczuwałem potrzebę poznania odpowiedzi.

- A co się okazało, Mistrzu, kiedy ją zbadaliście? - spytałam z zaciekawieniem. - Może udało się wam ustalić, czy skoczyła z wieży, czy po prostu spadła.

Leonardo parsknął z ironią.

- Nawet nasz szanowny medyk ma dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że kobiety nie mają w zwyczaju wypadać bez powodu z okien na wieżach. Nie zadał sobie trudu, by przeprowadzić sekcję, tylko obejrzał pobieżnie ciało i oznajmił, że sama odebrała sobie życie.

- A ty się z nim nie zgadzasz, Mistrzu?

- Zgadzam się co do tego, że jej śmierć nie była przypadkowa, ale nie mam pewności, że sama się zabiła.

3. Cesarzowa

Lustro trzyma się dumnie, odbijając w sobie obraz królowej...

Leonardo da Vinci *Kodeks Forster III*

Bezceremonialne słowa Leonarda zaskoczyły mnie. Podejrzywałam wprawdzie, że wypadek tej kobiety nie był przypadkowy, lecz nie sądziłam, że przyczyna tragedii mogła być bardziej złowieszcza. Pochyliłam się ku Mistrzowi, senność zupełnie mnie opuściła.

- Nie zabita się sama? - powtórzyłam. - Chcesz powiedzieć, że została zamordowana?

- Tej możliwości nie da się wykluczyć. Powiedz, Dino, czy zauważyłeś, żeby coś było nie tak z ubraniem Bellanki, kiedy ją znalazłeś?

- Jeden rękaw jej sukni odwiązał się i zaczepił o okno wieży - odparłam pospiesznie, przypominając sobie skrawek materiału, który powiewał w górze niczym flaga.

Mistrz skinął głową.

- Tak, ale czy to wszystko?

Widząc w jego oczach zniecierpliwienie i słysząc ponaglenie w głosie, domyśliłam się, że oczekiwał innej odpowiedzi. Przymknawszy oczy, próbowałam odtworzyć w myślach makabryczną scenę, szukając w pamięci jakichś wskazówek. Jednak mimo usilnych starań nie potrafiłam przypomnieć sobie niczego, czego nie powinno tam być.

A więc może czegoś brakowało.

Ledwie ta myśl przemknęła mi przez głowę, gdy przypomniałam sobie, czego nie zobaczyłam. Z poczuciem triumfu otworzyłam oczy.

- Buty. Nie miała butów!

- Doskonale, Dino - orzekł Mistrz, a jego aprobata była dla mnie równie cenną nagrodą, jak najbogatszy dar, jaki mogłabym dostać od Il Moro. - Ja także uważam, że to niezwykle. Ale wybiegłem nieco zanadto naprzód. - Zamilkł i na jego twarzy pojawił się wyraz rozdrażnienia. - Czasami zapominam, że ci, którzy nie studiują pilnie ludzkiej anatomii, nie podchodzą do śmierci tak chłodno jak ja. Zwłaszcza kobiety mają skłonność do ulegania porywom emocji na widok martwego ciała. Tym razem jednak takie widowisko okazało się użyteczne. Służąca, która rozpoznała ciało... zdaje się, że miała na imię Lidia... była bardzo poruszona widokiem martwej przyjaciółki. Szczerze mówiąc, wpadła w taką rozpacz, że medyk musiał ją odprowadzić do jej

pokoju. Oczywiście wykorzystałem kilka minut jego nieobecności, by nieco dokładniej obejrzeć zmarłą.

Mówiąc, znowu zaczął chodzić po pokoju, w swoim ciemnym stroju podobny do zwinnego czarnego lwa. Słuchałam z rosnącym przerażeniem jego opowieści, która z każdym słowem stawała się bardziej niepokojąca.

- Badając szczątki osoby, która zginęła gwałtowną śmiercią, nie zawsze łatwo ocenić, czy urazy widoczne na ciele powstały za życia, czy też są wynikiem okoliczności towarzyszących śmierci - tłumaczył. - Jak się domyślasz, na ciele Bellanki znalazłem obrażenia spowodowane silnym uderzeniem, które ją zabiło. Jednak podczas dokładniejszych oględzin odkryłem na jej ramionach i szyi ślady, które najprawdopodobniej powstały, gdy jeszcze żyła. - Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na mnie poważnie. - W obliczu takich dowodów doszedłem do nowych wniosków co do prawdopodobnej przyczyny jej śmierci. Wydaje mi się bardzo prawdopodobne, iż nieszczęsna Bellanca została przez kogoś napadnięta, a może nawet pozbawiona przytomności i wypchnięta przez okno wieży.

Mimowolnie jęknęłam. Jeśli Mistrz miał rację, to wydarzenie, które początkowo wydawało się tylko tragiczne, teraz okazuje się czymś o wiele bardziej ponurym.

- Ale kto mógł zrobić coś takiego? - zastanawiałam się na głos i dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdałam sobie sprawę z bezsensowności mojego pytania.

Jednak ku mojej uldze Mistrz nie potraktował go z pogardą, na jaką zasługiwało. Siadając naprzeciwko mnie, powiedział:

- Zastanawiałem się nad tym samym. Jak ci wspomniałem, miałem tylko kilka minut na zbadanie ciała. Zdążyłem jednak wykonać kilka szkiców na znalezionym tam kawałku papieru. Ledwie skończyłem, kiedy wrócił nasz przyjaciel medyk. Oczywiście niczego nie zauważył; był zbyt pochłonięty uzalaniem się, że musiał się zajmować prostą służącą, podczas gdy zwykł leczyć

samego Ludovica. Nie omieszkął jednak podkreślić, że woli takie zajęcia od współpracy ze mną. - Mistrz parsknął z oburzeniem. - Dobrze wiesz, że opuściłem jego gabinet z równie wielką ochotą, z jaką on pozbył się mnie. Chyba nigdy nie uda mi się uwolnić od smrodu tej rzeźni.

Skinęłam głową, wiedząc, jak bardzo Leonardo pogardzał umiejętnościami nadwornego medyka, podobnie jak jego kolegów po fachu. Wielu z nich zaczynało karierę jako balwierze i zamieniało brzytwę na skalpel bez pobierania jakichkolwiek nauk. A nawet ci, którzy byli kształceni w sztuce leczenia, w odróżnieniu od Mistrza mieli niewielką praktyczną wiedzę o anatomii. Dlatego pacjenci mogli umrzeć równie dobrze w wyniku leczenia, któremu byli poddawani, jak od ran lub choroby.

Zły nastrój Leonarda minał równie szybko, jak się pojawił. Odzyskując humor, mówił dalej:

- Ponieważ nie podzielałem opinii medyka, doszedłem do wniosku, iż sam przeprowadzę maleńkie śledztwo. Oczekałem, aż zapadnie ciemność, i udałem się do tej samej wieży, z której spadła Bellanca.

- A więc to twoje światło widziałem! - wykrzyknęłam, myśląc z ulgą, że to świece Leonarda, a nie jakieś widmowe ognie migotały nocą. - Powiedz, Mistrzu, czy coś znalazłeś?

- Mój drogi chłopcze, jeśli tylko okażesz cierpliwość, wszystko ci opowiem.

Wziął ze stołu dwa kawałki rozbitej glinianej figurki i bezwiednie zaczął je do siebie dopasowywać.

- Początkowo martwiłem się tylko, żeby nie spotkać żołnierzy. Gdyby mnie tam zastali, bez trudu przekonałbym ich, że przyszedłem na polecenie Il Moro. Ale gdyby moja obecność wyszła na jaw, wzbudziłbym podejrzenia mordercy, bo przecież jeden z tych ludzi jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym.

Dopasował jedną z kończyn glinianego konia do fragmentu rozbitego tułowia. Podnosząc ze stołu drugą nogę i kawałek boku, kontynuował:

- Być może o tym nie wiesz, Dino, ale armia Ludovica składa się głównie z najemników, których lojalność kupi ten, kto napełni ich sakiewki większą ilością pieniędzy. Oczywiście większość z nich to zawodowi żołnierze, chlubiący się swoimi umiejętnościami. Mogą walczyć dla pieniędzy, dla sławy albo po prostu dlatego, że to umieją robić najlepiej. Ale przy tym wszystkim kierują się pewnym kodeksem, który nie pozwala im popełniać zbrodni.

Skinał z satysfakcją głową, gdy udało mu się dopasować nowy kawałek do poprzednich. Wreszcie, ostrożnie ustawivszy częściowo odtworzoną figurkę na stole w taki sposób, że połowa miniaturowego konia wyglądała, jakby zastygła w pół kroku, zwrócił swoje władcze spojrzenie na mnie.

- Ale powinieneś wiedzieć jedno. Wśród nich zawsze znajdują się tacy, którzy zabijają tylko dla przyjemności. Taki człowiek nie ma wyrzutów sumienia, nie czuje żalu i nie obchodzi go, co reszta społeczeństwa myśli o jego czynach. Czci wyłącznie Marsa, boga wojny. Taki człowiek mógłby zabić bezbronną kobietę tylko po to, by się zabawić. I właśnie ten ktoś nie może się dowiedzieć o moich podejrzeniach aż do chwili, kiedy będę mógł otwarcie go oskarżyć.

Wbrew sobie zadrżałam na myśl o nieznanym czcieliu starożytnego boga wojny. Nie wątpiłam, że tacy ludzie istnieją. I modliłam się, by nieszczęsna Bellanca nie okazała się jedną z jego ofiar.

Tymczasem Leonardo stracił zainteresowanie rozbitym modelem. Pozwolił, by elementy się rozpadły, i pokręcił kędzierzawą głową.

- Ach, jak cierpliwie znosisz moje gadulstwo - rzekł z uśmiechem. - Resztę opowiem ci już szybciej, byś mógł wrócić do łóżka przed świtem. Jak już wspomniałem, obejrzałem pokój w więźy w nadziei, że znajdę jakieś ślady tego, co wydarzyło się tam tuż przed śmiercią Bellanki. Wydaje się, że pomieszczenie było używane przede wszystkim jako magazyn, ponieważ, wchodząc,

zauważyłem, że większą część zajmują stopy skrzyń i beczek. Jednak moją uwagę przykuły kobiece buty leżące na podłodze.

Leonardo chwycił kartkę, na której wcześniej rysował ludzki żagiel, i kilkoma szybkimi ruchami naszkicował dwa delikatne damskie pantofelki, ustawione jak ptaki szykujące się do lotu.

- Jak widzisz, ani ich kształt, ani materiał nie wskazują, by mogły należeć do arystokratki; niemniej są znacznie zgrabniejsze od butów, jakie zwykle noszą służące. Były ciemnoniebieskie, uszyte ze skóry i przy palcach ozdobione haftem - rzekł, uzupełniając szkic kilkoma delikatnymi liniami przypominającymi pędy winorośli. - Wydaje się więc mało prawdopodobne, by zostawiono je tam przypadkowo. Łatwo więc dojść do wniosku, że musiały to być buty Bellanki.

- Z pewnością masz rację, Mistrzu - przyznałam, zdając sobie sprawę, że chętnie zrezygnowałabym ze snu, byle tylko usłyszeć wszystko, co wie na ten temat. Poza tym rozbudził moją ciekawość tak, że nie mogłabym przestać rozmyślać o tej sprawie.

- Ale czy nie może być tak, że to my próbujemy uczynić tę sprawę bardziej tajemniczą, niż jest w rzeczywistości? - zapytałam, wracając do swojej dawnej roli pilnego ucznia, który uważnie słucha racji mentora.

Spojrzał na mnie pytająco, więc mówiłam dalej:

- Urazy mogły powstać w inny sposób. Co do brakujących butów, nie można wykluczyć, że celowo je zdjęła, być może po to, by łatwiej wspiąć się na parapet.

- Dobre spostrzeżenia, Dino, lecz obawiam się, że twój drugi argument jest mało prawdopodobny. Widzisz, na podłodze w tym pomieszczeniu leży stara słoma, nie dość, że jest bardzo sucha i łamliwa, to jeszcze może skrywać najróżniejsze nieprzyjemne robactwo. Gdyby zdjęła pantofle z własnej woli, zrobiłaby to przy oknie, żeby nie stapać bosą po brudnej podłodze. Co zaś się tyczy pierwszego argumentu - dodał po chwili zastanowienia - to zapewniam cię, że ślady na jej ciele były świeże.

Skinęłam głową. Muszę przyznać, że mimo ukłucia rozczarowania, jakie poczułam na myśl o prawdopodobnej przyczynie tragicznej śmierci Bellanki, perspektywa rozwiązywania kolejnej zagadki wzbudziła we mnie dreszcz podniecenia. Natychmiast jednak skarciłam się za własną głupotę. Nawet jeśli Leonardo zamierza badać tę sprawę, nie znaczy to, że po raz drugi zechce korzystać z mojej pomocy.

Mistrz najwyraźniej nie zwrócił uwagi na moje nagłe milczenie, gdyż jego opowieść nie dobiegła jeszcze końca.

- Ponieważ z samych butów niewiele więcej mogłem się dowiedzieć, postanowiłem zwrócić je prawowitej właścicielce. Ale spiesząc opuścić to nieprzyjemne pomieszczenie, omal nie przeczyłem czegoś, co może się okazać najważniejszą ze wszystkich poszlak. Właściwie gdyby kropla wosku nie spłynęła ze świecy na moją dłoń, kiedy zмагаłem się z drzwiami, być może nie zostałbym tam na tyle długo, by zauważyć dowód leżący pod moimi stopami.

Sięgnął pod tunikę i wy dobył płaską, owiniętą w tkaninę małą paczuszkę, która z łatwością mieściła się w jego dłoni. Odgarnął resztki glinianej figurki i ostrożnie położył pakiecik na stole.

- Patrz, Dino - rzekł, odwijając materiał barwy czerwonego wina. - O ile się nie mylę, w tym kawałku jedwabiu spoczywa klucz do poznania tożsamości zabójcy nieszczęsnej Bellanki.

Sama nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć na skrawku czerwonego jedwabiu. Plik obciążających listów? Książkę, a może jakąś broń? Z całą pewnością nie byłam przygotowana na widok czterech kart ułożonych jedna na drugiej. Każda z nich została pieczołowicie wycięta ze sklejonych ze sobą arkuszy grubego papieru, a ich odwrotne strony pomalowano na krwisto-czerwony kolor.

- Cóż, to karty do tarota - powiedziałam, mając na myśli grę strategiczną, popularną wśród bogaczy. Nie potrafiłam ukryć rozczarowania tak prozaicznym znaleziskiem. - Nie jestem pewien, na co to może wskazywać - przyznałam, kręcąc głową. -

Takie karty nie są żadną rzadkością. Mogą należeć do któregoś z żołnierzy II Moro.

- I tutaj się mylisz - odparł Leonardo, uśmiechając się z satysfakcją.

Swoją delikatną dłonią ułożył karty w rzędzie, a następnie odwrócił je obrazkami do góry. Teraz widziałam namalowane na nich wizerunki określające ich miejsce w talii.

- To nie są zwyczajne karty przeznaczone do gry - wyjaśnił. - Zwróć uwagę na obfitość złociń, na jaskrawe, lecz subtelne kolory, wreszcie na precyzję wykonania. Te karty powstały na specjalne zamówienie i kosztowały niemało. Co więcej, malował je utalentowany artysta.

Zaintrygowana, przyjrzałam się dokładniej leżącym przede mną czterem miniaturowym dziełom sztuki. Zdarzyło mi się kilka razy grać w tarota, lecz rzeczywiście nie talia tak elegancka jak ta, z której pochodziły leżące przede mną karty. Widoczne na nich wizerunki nie były mi jednak obce.

Jedna z nich należała do Małych Arkanów - Trójka Mieczy. Drugą była karta dworska - młody Rycerz Denarów dosiadający dumnie swego konia. Dwie ostatnie karty należały do Wielkich Arkanów. Jedną był Diabeł o rozpustnym spojrzeniu, drugą wizerunek płonącej Wieży.

Zmarszczyłam brwi, widząc obrazek namalowany na ostatniej z kart. Płonąca Wieża, całkiem podobna do tych, które wznosiły się przy murach zamku Sforzów, miała rozbitą kopułę, z której w niebo strzelały płomienie. Jednak o wiele bardziej niepokojące były dwie ludzkie figurki spadające ze szczytu zniszczonej wieży. Co prawda ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć poza zaskoczeniem tym, co ich spotkało, jednak nieunikniony koniec przywodził na myśl okrutny los Bellanki.

Spojrzałam znad tego dziwnie proroczego obrazka na Mistrza. Jego uśmiech wydał mi się ironiczny.

- Interesujący zbieg okoliczności, nieprawdaż? A jeśli chcesz spytać, skąd mam pewność, że te karty są z nią w jakiś

sposób związane, to trzy z nich znalazłem w pokoju w wieży. Tę - podniósł kartonik ozdobiony wizerunkiem Diabła - odkryłem przy niej, kiedy wróciłem do gabinetu medyka, by odnieść jej buty. - Uniósł brwi, krzywiąc się pogardliwie. - Zastanawiam się, czy nasz szanowny lekarz w ogóle zwrócił uwagę na to, że ciało wcześniej było bose, teraz zaś jest obute. W każdym razie właśnie wtedy, gdy wkładałem pantofle na jej stopy, płomień świecy odbił się w złoceniach karty zatkniętej za jej gorset. Dołączyłem ją do kolekcji, którą masz teraz przed sobą.

- Ale talia tarota nie mogła należeć do Bellanki - rzekłam, wiedząc dobrze, że tak cenna rzecz musiała być własnością kogoś bogatego, może nawet arystokraty. - Czy sądzisz, Mistrzu, że ukradła te karty?

- Tego nie jestem pewien. Ale podejrzewam, że prawowity właściciel talii będzie chciał odzyskać swój skarb. Będę pilnował tych kart, dopóki ktoś nie zacznie ich szukać, a wtedy może dowiemy się, co spowodowało, że Bellancę spotkał taki właśnie koniec.

Mistrz złożył ozdobne karty i z powrotem owinał je w jedwab. Na koniec utkwiał we mnie spojrzenie pełne wyrozumiałości.

- Obawiam się, że pozbawiłem cię cennego snu. Powinieneś wrócić do łóżka i zapomnieć o tej nieprzyjemnej sprawie. \

- Ale czyż nie powiedziałaś, że te karty są kluczem do odkrycia zabójcy Bellanki? Chyba powinniśmy zacząć szukać tej osoby? - wypaliłam i natychmiast zaczerwieniłam się, zawstydzona własnym zuchwalstwem.

Leonardo jednak nie skarcił mnie, tylko pokręcił głową.

- Podziwiam twój zapał, chłopcze, ale wątpię, by nasz łaskawy książę pozwolił mi się tym zająć, nawet gdyby uwierzył w moją teorię. Ludovico ma dla mnie inne zlecenia - rzekł, spoglądając ze smutkiem na rozbitą figurkę jeźdźca. - Lepiej, abym go nie rozczarował.

Wiedziałam, co znaczy narazić się na konsekwencje legendarnego zniecierpliwienia księcia. Co więcej, powszechnie było

wiadomo że Il Moro pragnie, aby wspaniały monument na cześć jego zmarłego rodzica został odsłonięty w niedalekiej przyszłości. Toteż doskonale rozumiałam wahanie Leonarda.

Mimo to nie potrafiłam ukryć zawodu, gdy Mistrz dodał:

- Pomijając, że stała się źródłem nowej plotki, śmierć Bellan-ki ma niewielkie znaczenie dla dworu. Była tylko służącą i nie-trudno ją zastąpić. Nikomu poza mną nie przyjdzie do głowy zastanawiać się, czy na pewno z własnej woli skoczyła z wieży. - Wstał i odłożył owinięte w tkaninę karty na najwyższą półkę. - Opinia medyka będzie decydująca - kontynuował. - Dla dobra jej przyjaciół i rodziny może okazać się na tyle delikatny, by przed-stawić jej śmierć jako wypadek, a nie rozmyślny skok. W każdym razie wszyscy zapomną o sprawie, kiedy tylko biedaczka zosta-nie złożona w ziemi.

- A zatem morderca może pozostać bezkarny! - wykrzyknę-łam, nie kryjąc rozgoryczenia. - Jak możesz do tego dopuścić, Mistrzu? To niesprawiedliwe.

- Zgadza się, to niesprawiedliwe - przyznał łagodnie. - Ale tak właśnie będzie. A ty masz już dość lat, by rozumieć, że życie składa się z takich małych okrucieństw. Teraz wracaj do łóżka. Jest bardzo późno.

Mówiąc to, otworzył drzwi, wpuszczając do środka cie-płe nocne powietrze. Znałam swoje miejsce na tyle dobrze, by nie spierać się z nim dłużej, więc wyszłam w milczeniu z nisko opuszczoną głową, by Mistrz nie zauważył moich łez. Nie po raz pierwszy tłumaczył mi, jak daremne jest szukanie sprawiedliwo-ści, co jednak nie znaczy, że przyjął tę lekcję potulnie.

Udało mi się panować nad emocjami do chwili, gdy znalaz-łam się w zaciszu swojego łóżka w sypialni terminatorów. Przez nikogo niewidziana otarłam wilgotne strużki spływające po po-liczkach, zdjęłam kurtkę i gorset, po czym wślizgnęłam się pod koc. Moi koledzy wciąż najwyraźniej nadal spali spokojnym snem. Chciałabym pójść w ich ślady, ale wciąż byłam poruszona ostatnimi przeżyciami.

Oczywiście nie miałam żalu do Leonarda. Przebywał w Mediolanie wyłącznie dla rozrywki księcia. Gdyby przestał zabiegać o względy patrona, musiałby opuścić zamek. Wówczas my, uczniowie, zostalibyśmy bez Mistrza, a może i bez dachu nad głową. Ponieważ był odpowiedzialny za grupę młodych chłopców - niezależnie od konieczności zapewnienia sobie utrzymania - byłoby z jego strony głupotą postępować wbrew woli II Moro.

Z jego strony może byłaby to głupota, ale z mojej?

Ta nieoczekiwana myśl uspokoiła zamęt w mojej głowie. Mistrz musi być posłuszny poleceniom księcia, jednak ja, jako zwykły uczeń, nie podlegam takim ograniczeniom. Leonardo nie może podjąć tego śledztwa, lecz to nie powstrzyma mnie przed poszukiwaniem zabójcy Bellanki!

Ostrożnie, jakbym miała do czynienia z ocalałym glinianym modelem Mistrza, rozważyłam tę możliwość. Czyż nie okazałam mu cennej pomocy, kiedy szukaliśmy mordercy kuzyna II Moro? Mało tego, dwukrotnie próbowano mnie zabić, gdy starałam się poznać prawdę. Z pewnością mam wystarczające doświadczenie, by podjąć się takiego zadania.

Ta myśl wprawiła mnie w takie podniecenie, że wielkim wysiłkiem woli pohamowałam chęć zerwania się z łóżka z krzykiem. Z triumfalnym uśmiechem ułożyłam się wygodnie, czekając, aż nadejdzie sen. Nie wiedziałam jeszcze, jak zabrać się do tak trudnego przedsięwzięcia. Na razie wystarczała mi świadomość, że zabójca Bellanki mimo wszystko nie pozostanie bezkarny.

Zapał do rozwiązania tej zagadki nie opuszczał mnie. Wstając z łóżka tuż po wschodzie słońca, postanowiłam, że moim zadaniem na dziś będzie udział w pogrzebie Bellanki. I przyznaję, że motywy, które mnie do tego skłaniały, nie były zupełnie czyste.

W czasie poprzedniego śledztwa nauczyłam się bowiem od Leonarda, że winny często wraca, by po raz ostatni zobaczyć

swoją ofiarę. Czasami popychają go do tego wyrzuty sumienia; kiedy indziej okrutna radość ze wspomnienia ostatnich chwil zmarłego. Może odkryję tożsamość zabójcy, uważnie obserwując obecnych na cmentarzu.

Najpierw jednak muszę się dowiedzieć, kiedy odbędzie się pogrzeb. Po tę informację udam się do pracującej w kuchni Marcelli, której „Dino” już dawno wpadł w oko. Jeżeli zapytam ją w czasie południowego posiłku, z pewnością dowiem się tego, nim moja miska będzie pusta.

Ruszyłam do pracowni w ślad za pozostałymi uczniami. Wzięłam pęk nowych pędzli, by dokończyć ich wiązanie, i starałam się pozbyć poczucia winy, jakie budziła we mnie perspektywa wyciągnięcia korzyści z mojego męskiego przebrania. Z pewnościążytek, jaki może przynieść gotowość Marcelli do służenia mi pomocą, usprawiedliwi drobne okrucieństwo tego oszustwa. Później będę tylko musiała poprosić Mistrza, by zwolnił mnie na godzinę, abym mogła pożegnać zmarłą.

Ten wspianały planomal nie spalił na panewce, kiedy moi koledzy jeszcze przed śniadaniem zaczęli sprzeczkę.

- Ostatnim razem ja przebierałem się za kobietę. Teraz kolej na kogoś innego - irytował się Bernardo. Z gniewnym parsknięciem odrzucił płat tkaniny, którym miał owinięte ramiona, i spojrział znacząco na Vittoria.

Vittorio energicznie pokręcił głową.

- Ja przebierałem się wcześniej - zaprotestował. - Może Tito powinien włożyć suknię.

- Jestem zbyt brzydki, by ktokolwiek wziął mnie za kobietę - odparł Tito, a na jego usianej śladami po ospie twarzy pojawił się krzywy uśmiech. - Poza tym byłem modelem do świętej Anny, kiedy pracowaliśmy nad szablonami do sali klasztornej w zeszłym tygodniu. Weźcie kogoś innego.

Kiedy przygotowywaliśmy szablony do któregoś z projektów Mistrza, ten temat zawsze budził sprzeczki. Leonardo wcześniej dawał Constantinowi szkic przedstawiający ogólną kompozycję

nowego dzieła. Naszym zadaniem było przekształcenie małego rysunku w pełnowymiarowy wzornik, czyli szablon malowidła. Taki szablon był następnie przenoszony w postaci konturów na pokrytą gipsem ścianę, która miała być ozdobiona freskiem. I, oczywiście, Mistrz malował największą część ostatecznego dzieła, dzięki swemu geniuszowi nadając życie naszym skromnym rysunkom.

Lecz na dużym fresku, zwłaszcza o tematyce religijnej, występowały liczne drugoplanowe postacie. Anioły, świętych i grzeszników zazwyczaj rysował na szablonie z pamięci jeden ze starszych uczniów. Naturalnej wielkości gliniane modele - rąk, nóg, stóp, nawet torsów - których mnóstwo mieliśmy w pracowni, wystarczały jako pomoc przy malowaniu mniejszych postaci. Jednak sylwetki ważniejsze często wymagały żywego modelu, aby uczniowie mogli lepiej przedstawić skręt tułowia czy draperię. W takich przypadkach ktoś z nas musiał się przebrać w kobiecy strój.

Spór zapoczątkowany przez Bernarda rozgorzał na dobre, mimo że Constantin próbował zaprowadzić w pracowni spokój. Ja także wolałam nie służyć jako model, choć z innych przyczyn. Kobięce ubranie było zgodne z moją naturą, toteż obawiałam się, że suknia zdradzi mój sekret. Poza tym trafiłam do pracowni Mistrza w nadziei na podniesienie umiejętności malarskich. Pełniąc taką funkcję, traciłam możliwość sprawdzenia się i nie miałam szansy zostać dopuszczona do rysowania szablonu, a może nawet jakiejś części samego fresku.

Dziś jednak byłam gotowa ponieść ofiarę, jeśli dzięki temu nasza praca miałaby ruszyć z miejsca.

- Ja to zrobię! - zawołałam, przekrzykując zgiełk. Chwycałam tkaninę, którą rzucali między sobą moi koledzy, i zaczęłam wymachiwać nią nad głową niczym flagą. - Hej, posłuchajcie, macie swojego modela. Pozwólcie mi zająć miejsce, żebyśmy mogli wreszcie zacząć.

- Dobra robota, Dino - rzekł Constantin i podziękował skinnieniem głowy, gdy pozostali uczniowie rozeszli się do swoich zajęć, a Paolo i David zaczęli się przygotowywać do rysowania. -

Poproszę Mistrza, żeby w nagrodę pozwolił ci namalować kawałek tła, kiedy już przystąpimy do pracy nad freskiem.

- To będzie dla mnie prawdziwą nagrodą - odpowiedziałam z uśmiechem.

Z tkaniną zwiniętą pod pachą pospieszyłam pod ścianę pracowni, gdzie zawsze było najlepsze światło. Zdjęłam tunikę, zostając tylko w długiej, białej koszuli i pończochach, po czym owinęłam się materia, drapując ją tak, by przypominała suknię.

- Kogo mam wyobrazić? - zapytałam Davida, który właśnie przyklejał arkusz papieru do sztalugi.

- Będiesz Magdaleną. - Spojrzał na mnie kpiąco. - Musisz więc ukazać zmysłową pobożność.

- Postaram się - odparłam ostrożnie.

Zdołałam udrapować tkaninę w dość realistyczną imitację sukni, owijając wokół żeber kawałek liny wyobrażający sznurowany gorset. Drugim kawałkiem zasłoniłam krótko ostrzyżone włosy; moi koledzy będą mogli namalować skromny welon albo rozwiane włosy, zależnie od tego, co podpowie im natchnienie.

Na koniec pozwoliłam sobie na podstęp: starannie zwinęłam tunikę w niewielki pakunek, który wsunęłam pod gorset mojej imitacji sukni, tworząc imitację piersi, które tak bardzo starałam się ukryć.

- I co o tym sądzisz? - zwróciłam się do Davida i wskoczywszy na drewnianą skrzynkę, na której zwykle sadowali się modele, przybrałam pozę.

David i Paolo wpatrywali się we mnie bez słowa, z ustami otwartymi ze zdumienia. Constantin, który przydzielał innym uczniom zadania do wykonania, podszedł do nas i zamarł. Dopiero po chwili odchrząknął i stwierdził z konsternacją:

- Całkiem dobrze udajesz kobietę, Dino. Dzięki twojemu przebraniu David i Paolo będą mieli o wiele łatwiejsze zadanie.

Natychmiast straciłam dobry humor, kiedy przyszło mi do głowy, że być może popełniłam błąd, robiąc to przedstawienie. Lecz obaj chłopcy szybko się otrząsnęli i udzieliwszy mi instruk-

cji, jak powinnam się ustawić, by bardziej przypominać postać ze szkicu Mistrza, gorliwie zabrali się do pracy.

Obaj byli doświadczonymi artystami, stałam więc cierpliwie by mogli rysować. Inni uczniowie jednak zaczęli się nudzić swoimi zajęciami. Zerkali w naszą stronę, a po chwili staliśmy się głównym obiektem ich zainteresowania.

- Zobaczcie, jaka z niego ładna dziewczyna! - zawołał Bernardo, parszkając śmiechem. Odstawił naczynie, w którym właśnie mieszał gips, zerwał się z ławy i zaczął przechadzać po pracowni, naśladując chód kobiety. - Zobaczcie, jestem Dino, najpiękniejszy z terminatorów.

Vittorio natychmiast przyłączył się do zabawy. Porzucając swoje zajęcie, ruszył za Bernardem, a pozostali ze śmiechem dodawali mu odwagi.

- Och, Dino, jesteś taki piękny - zwrócił się do kolegi. Chwytał go za dłonie, padł na kolana, podczas gdy reszta chłopców, głośno cmokając, otoczyła ich kołem. - Proszę, wybac mi - mówił dramatycznym tonem. - Gdybym wiedział, jaki jesteś piękny, nigdy nie ośmieliłbym się w twojej cudownej obecności bekać i puszczać wiatrów!

Teraz nawet Constantin się uśmiechał, choć próbował ukryć wesołość, osłaniając ręką usta. David i Paolo szczyrzyli zęby bez skrępowania. Staralam się zachować powagę, ale kiedy Bernardo i Vittorio puścili się w tany, nie wytrzymałam i wybuchnęłam śmiechem.

I jak to zwykle bywa, w następnej chwili moje rozbawienie było jedynym dźwiękiem, jaki dał się słyszeć w pracowni.

Czym prędzej umilkłam. Pozostali uczniowie spieszenie wrócili do obowiązków, całą uwagę skupiając na pracach, jakie mieli do wykonania. Nawet Bernardo i Vittorio siedli na ławie, pracowicie mieszając gips. Jęknęłam w duchu. Ta nagła cisza mogła oznaczać tylko jedno.

Zerknąwszy w stronę drzwi pracowni, zobaczyłam stojącego w progu Leonarda skapanego w blasku świtu. Patrzył na mnie

z wyraźnym rozbawieniem. W końcu na jego wargach pojawił się uśmiech; pokręcił głową i podszedł do Davida i Paola pochłoniętych rysowaniem.

4. *Cesarz*

Wszyscy ludzie są posłuszni i rządzeni przez swoich władców...

Leonardo da Vinci *Kodeks Atlantycki*

Poczułam, że policzki mi płoną. Było oczywiste, że mój widok zaskoczył Mistrza. Pytanie tylko, czy przez chwilę wziął mnie w tym przebraniu za kobietę? A może zorientował się, kim jestem, i pomyślał, że pasuje mi ten strój? Wiedziałam, że każda z tych możliwości może się okazać kłopotliwa.

Na szczęście, nie odezwał się do mnie od razu, lecz najpierw zajął się Paolem i Davidem. Zerknął na szkic Paola, po czym stanął przed sztalugami Davida i skinął głową.

- Doskonała robota, jak zwykle - odezwał się do chłopca, który uśmiechnął się z dumą, słysząc komplement. - Wyczuciem proporcji i umiejętnością przedstawiania ruchu kończyn oraz fałd tkaniny znacznie przewyższasz wielu starszych od ciebie malarzy. Ale tym razem... - zawiesił głos i spojrzał na Paola, który starał się usilnie nie okazać rozczarowania tym, że poczuł się zlekceważony. - Tym razem wykorzystamy rysunek Paola. On uchwycił w swoim wizerunku sugestię gorliwej pobożności, jakiej można oczekiwać po kobiecie, o której wiadomo, że była najbliższą przyjaciółką Jezusa.

Paolo wytrzeszczył oczy, po czym odrzekł, uśmiechając się promiennie:

- Dziękuję, Mistrzu. Cieszę się, że moja wizja przypadła ci do gustu.

Skończył mówić, gdy David podszedł, by spojrzeć na szkie kolegi.

- Zgadzam się z Mistrzem, Paolo - zwrócił się do przyjaciela ze wspaniałomyślnym uśmiechem. - Tym razem twoje dzieło jest lepsze.

Nie chcąc dać się prześcignąć w uprzejmości, Paolo pokręcił głową.

- Tym razem tak, ale jak orzekł Mistrz, masz wielki talent, Davidzie!

Kiedy obaj wymieniali dalsze komplementy, Mistrz podszedł do mnie. Zdażyłam zejść ze skrzynki i zdjąć z głowy prowizoryczny welon. Leonardo pokręcił głową, unosząc ironicznie brew.

- Mój drogi chłopcze, nie wiedziałem, że masz taki talent do noszenia kostiumów - powiedział, jak mi się wydało, z nutą uznania w głosie. - Gdyby znudziło cię malowanie, mógłbyś spróbować swoich sił na scenie. Nie zawahałbym się powiedzieć, że zostałbyś dobrze przyjęty w każdej z kobiecych ról, jakie zwykle przypadają gładkolicym młodzieńcom.

Rumieniąc się, tytułem usprawiedliwienia wymamrotałam, że lata dzieciństwa spędzałam w towarzystwie licznych kuzynek. Nie wiem, czy mi uwierzył, lecz nie miałam ochoty dłużej się nad tym zastanawiać. Odniosłam wrażenie, że Mistrz zupełnie przestał interesować się tą sprawą i natychmiast odszedł, by sprawdzić, jak Tito i Tommaso radzą sobie z nową techniką złocenia, której tajniki właśnie poznawali.

Odetchnęłam z ulgą, pomodliłam się w duchu, czym prędzej zdjęłam z siebie udającą suknię tkaninę i otrzepałam tunikę, by włożyć ją tak, jak miałam w zwyczaju. Na koniec, przypominając sobie wcześniejsze żarty Vittoria, beknęłam i donośnie wypuściłam wiatry.

Poczynania te zostały przyjęte pełnym aprobaty śmiechem przez Paola, a David z wesołą miną przewrócił oczami. Pewna, że taki pokaz nieokrzesań wystarczył, by zatrzeć wszelkie

sugestie kobiecości, rzuciłam tkaninę chichoczącemu Paolowi i poczłapałam na swoje miejsce na ławie.

Reszta przedpołudnia upłynęła jak zwykle. Najwyraźniej podniecenie wywołane przygotowaniem nowego szablonu przyćmiło wesołość, której źródłem stało się moje kobiece przebranie. Wiedząc zaś, że będę miała swój niewielki wkład w powstanie fresku, podobnie jak pozostali nie mogłam się doczekać rozpoczęcia prac.

W czasie, który spędziłam w zamku, poczyniliśmy znaczne postępy w ozdabianiu szacownej rezydencji freskami o różnej wielkości i tematyce. Temat, nad którym pracowaliśmy obecnie, podsunął sam Ludovico, zapewne dopatrzwszy się pikantnej intrygi w historii związków Marii Magdaleny z Panem. Za kilka dni czekało nas przygotowywanie ściany w małej prywatnej komnacie, w której miał się znaleźć ów fresk. Tymczasem jednak zajmowaliśmy się kończeniem szablonu tak, by Mistrz był z nas zadowolony.

Jak zwykle, przerwaliśmy pracę na przedpołudniowy posiłek. Stosownie do naszej pozycji my, terminatorzy - wraz z rzeszą zamkowych służących - zajęliśmy miejsca przy prostych drewnianych stołach ustawionych ciasno w wąskim portyku za kuchnią. Wprawdzie miejsce, gdzie jadaliliśmy, było osłonięte przed deszczem i wiatrem, lecz znajdowało się blisko sterty gnijących odpadków kuchennych. Dawno już zdążyliśmy przywyknąć do tego niezbyt zachęcającego otoczenia, lecz w dniach, kiedy wiatr wiał w naszą stronę, ignorowanie smrodu było znacznie trudniejsze.

Tym razem celowo zostałam w tyle, aby znaleźć się na samym końcu kolejki do kuchni. Chciałam zamienić kilka słów na osobności z Marcellą i dowiedzieć się, na kiedy jest planowany pogrzeb Bellanki. Znając skłonność kuchennej służącej do plotek, nie wątpiłam, że udzieli mi potrzebnych informacji. I się nie pomyliłam.

- Msza odbędzie się dwie godziny przed zmierzchem - powiadomiła mnie Marcella teatralnym szeptem, kiedy jej powiedziałam, że pragnę oddać ostatni hołd zmarłej.

Staliśmy skuleni za beczkami z winem, w miejscu naszych tajnych spotkań. Próbowaliśmy wprawdzie wykorzystać pełną miskę jako tarczę osłaniającą mnie przed jej awansami, lecz w końcu pozwoliłam dziewczynie uczeplić się mego ramienia. Choć czułam się nieswojo w tym uścisku, pamiętałam, że moje oszustwo ma służyć dobrej sprawie i jako takie można je darować.

- Jest pewna osoba, którą musisz zobaczyć - mówiła dalej gorączkowym szeptem. - To mężczyzna, który podobno był jej sekretnym kochankiem!

Sekretny kochanek! Z pewnością fakt, iż Bellanca w tajemnicy przed wszystkimi widywała się z mężczyzną, mógł mieć znaczenie dla wyjaśnienia losu, jaki ją spotkał.

- Wiesz, kim jest ten mężczyzna? - spytałam najbardziej beztroskim tonem, na jaki było mnie stać, aby nie wzbudzić podejrzeń co do kierujących mną motywów.

Zadowolona, że może się podzielić kolejną plotką, Marcella skinęła głową i dramatycznym gestem przyłożyła rękę do serca.

- Mówią, że to nowy kapitan gwardii Il Moro. Przystojny i czarujący diabeł imieniem Gregorio - zawiesiła głos, posyłając mi uwodzicielski uśmiech. - Prawdę mówiąc, gdyby nie to, że wpadł mi już w oko inny chłopiec, miałabym chęć pocieszyć kapitana w bólu po tak wielkiej stracie.

Jęknęłam w duchu, słysząc te zuchwałe słowa, i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam włączyć się w to przekomarzanie. Może lepiej przyjąć rolę zranionego wielbiciela i udawać obrażonego jej sugestią? Korzystając z okazji, wybrałam tę drugą możliwość.

- Cóż, skoro tak uważasz, proszę bardzo; możesz iść do niego - odparłam, wrywając rękę z jej uścisku. Wstałam, posyłając jej urażone spojrzenie, i dodałam: - Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, Marcello. Ale może wcale tak nie jest.

Zanim zdążyła wyjąkać słowa zaprzeczenia, uciekłam z kuchni i dołączyłam do kolegów. Przez resztę posiłku czułam

na plecach gniewne spojrzenie Marcelli, z ulgą więc przyjąłam dany przez Constantina znak, iż pora wracać do pracowni.

Mistrz już na nas czekał. Jak miał w zwyczaju, delektował się śniadaniem złożonym z chleba i świeżych owoców, rezygnując z posiłku dla służby, czyli wczorajszych resztek z pańskiego stołu. Nie miałam mu tego za złe - bywały dni, kiedy zadawałam się kromką chleba i kawałkiem sera - ale sama nie potrafiłabym żywić się wyłącznie owocami, pieczywem i warzywami jak on.

W czasie naszej nieobecności Mistrz naniósł kilka zmian na sięgający sufitu szablon, który rysowali Paolo, David i Constantin. Odsunęliśmy się pod przeciwległą ścianę, by obejrzeć jego poprawki, gotowi na kolejny wykład z teorii kompozycji. Niestety, byłam tak pochłonięta zastanawianiem się, jak poprosić Mistrza, by zezwolił mi pójść na pogrzeb Bellanki, że nie zauważyłam, kiedy zaczął mówić.

- ...odmiana kompozycji trójkątnej - tłumaczył właśnie, gdy wróciłam myślami do szablonu. - W tym przykładzie jest nią postać Chrystusa, która ma stanowić centralny element fresku. Został tu przedstawiony w pozycji stojącej, nieco powyżej poziomu oczu. Po jednej jego stronie, w niewielkiej odległości siedzi dwóch apostołów, zaś u jego stóp klęczy Magdalena w błagalnej pozie. Ziemia oczywiście jest podstawą naszej trójbocznej konstrukcji - wyjaśniał, rysując palcem wyimaginowaną linię wzdłuż szkicu. Mówił dalej, przedłużając tę linię pod kątem w górę. - Maria Magdalena tworzy drugi bok. Wcześniej była przykucnięta, jakby oczekiwała na błogosławieństwo, a teraz zwróciłam uwagę, jak zmodyfikowałam jej postawę. Jedną rękę tej postaci uniosłem w błagalnym geście ku Panu i dodałem rozwiane włosy na plecach. Jak widzicie, to nam daje drugą linię. - Przechożąc na drugą stronę rysunku, mówił dalej: - Wprowadziłem też drobne zmiany do postaci dwóch apostołów. Pierwotnie siedzieli obok siebie, patrząc w górę. Teraz jeden znajduje się niżej i nieco z boku, tak że linia poprowadzona od jednej jego dłoni do drugiej - wskazał palcem na papierze - daje nam kolejny kąt.

W ten sposób mamy ostatni bok trójkąta, z Chrystusem w wierzchołku.

Odczekał chwilę, żebyśmy wszyscy przyswoili sobie jego wyjaśnienia - Paolo i David, marszcząc brwi, kiwali ze zrozumieniem głowami. Leonardo spojrział na nas i rzekł:

- A teraz, Bernardo, wyjaśnij, dlaczego przedkładamy ten rodzaj kompozycji nad układ bardziej linearny.

- To proste, Mistrzu - odparł z zapałem chłopiec i przytoczył niemal dosłownie jeden z wcześniejszych wykładów Leonarda. - Kształt trójkąta nadaje scenie wrażenie ruchu, a zarazem przyciąga wzrok patrzącego ku najważniejszej postaci obrazu.

Leonardo skinął głową z aprobatą.

- Widzę, że uważnie słuchałeś przez ostatnie tygodnie. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania, zanim zabierzemy się do pracy?

- Ja mam, signor Leonardo - rozległ się za nami cichy, nieznamy głos. - Chciałabym wiedzieć, co się stało z moimi zaginionymi kartami tarota.

Jak zwykle w ciepłe dni, drzwi do pracowni zostawiliśmy otwarte, aby mieć więcej świeżego powietrza i światła niż wpadało przez wąskie okna. Głos, który usłyszeliśmy, należał do wirtuoski ubranej damy, która zupełnie nieoczekiwanie pojawiła się w progu. Przedpołudniowe słońce świeciło jasno za jej plecami, pograżając postać w głębokim cieniu. Toteż w pierwszej chwili dostrzegłam tylko niewysoki, smukły kształt spowity w ciemnozieloną tkaninę ze złotymi wykończeniami. Po krótkiej chwili weszła do pracowni i wtedy zobaczyliśmy wyraźnie jej twarz.

Kobieta była bardzo młoda - niemal jeszcze dziewczynka, jej olśniewająca egzotyczna uroda przykuwała uwagę. A jednak, jeśli się dobrze przyjrzeć i zastanowić, nie powinna być piękna.

Jej rysy były mocne, zbyt wyraziste. Miała wielkie czarne, lekko skośne oczy i zaskakująco ostro zarysowane kości policzkowe. Nos wydawał się zbyt długi, a wiśniowoczerwone usta odrobinę za szerokie. Jednak w połączeniu z nieskazitelną

złocistą cerą ta twarz doskonale mogłaby się znaleźć na którymś z portretów Mistrza.

Jedyną wadą, jaka zwróciła moją uwagę, był ledwie widoczny wyraz niezadowolenia błakający się na jej wargach.

Odniosłam wrażenie, że nie jestem osamotniona w ocenie jej urody. Pozostali uczniowie patrzyli na nieoczekiwanego gościa w pełnym szacunku milczeniu, niewątpliwie w równym stopniu wstrząśnięci jej wyglądem i pozycją. Nawet Leonardo przez chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego, jednak bardzo szybko opanował się i wystąpił naprzód.

- Witaj w mojej skromnej pracowni, pani - powitał ją, kłaniając się nisko. - Czym mogę służyć?

Nim Leonardo skończył mówić, Constantin otrząsnął się z zaskoczenia, zdjął czapkę i trącił stojącego najbliżej terminatora, dając mu do zrozumienia, że powinien w podobny sposób okazać szacunek. Pozostali czym prędzej poszli w ich ślady, składając głęboki ukłon. Jednak młoda kobieta nie zwróciła na nas najmniejszej uwagi, lecz z wdziękiem podeszła do Mistrza.

- Ty jesteś nadwornym malarzem mojego kuzyna. Leonardo Florentyńczyk, nieprawdaż?

Kiedy Mistrz skinął twierdząco głową, dodała rozdrażnionym tonem osoby przywykłej do wydawania rozkazów:

- Jak już mówiłam, chciałabym wiedzieć, co się stało z moimi zaginionymi kartami do tarota. - Urwała na moment, sięgnęła do zawieszanej przy pasie sakiewki ze złocistego jedwabiu i wyjęła z niej jakiś prostokątny przedmiot. - Są podobne do tych - ciągnęła wyniośle, pokazując znajomo wyglądające pomalowane na czerwono karty. - Czterech brakuje, a ostatnio miała je moja służąca Bellanca. Powiedziano mi, że ty wraz z medykiem zajmowałeś się nią po śmierci. Czy nie znalazłeś przy niej takich kart?

Na miejscu Mistrza, słysząc jej pytanie, zapewne starałbym się ukryć triumfalny uśmiech. Ponieważ jednak nie byłam na jego miejscu, tylko pokręciłam ze zdumieniem głową. Czyż

Leonardo nie przewidział, że właściciel kart przyjdzie ich szukać?

Jak zwykle miał rację, choć nie potrafiłam odgadnąć, co mogłoby łączyć tę piękną, choć niezbyt miłą młodą kobietę z tak brutalną śmiercią. Nie wyglądała na osobę mającą dość siły, by zrzucić z wieży wyższą od siebie dziewczynę! Zwróciło jednak moją uwagę to, że najwyraźniej bardziej martwiło ją zniknięcie kart niż śmierć służącej.

Leonardo tymczasem wcale nie sprawiał wrażenia zaskoczonego tym, że sprawdziły się jego domysły. Z czarującym uśmiechem, jaki często widywałam na jego twarzy, kiedy rozmawiał z arystokratami, spytał:

- Ponieważ ty, pani, wydajesz się wiedzieć, kim jestem, czy pozwolisz, że spróbuję odgadnąć twoją tożsamość? - Zachęcony jej energicznym skinieniem głowy, kontynuował: - Jesteś kuzynką księcia i panią nieszczęsnej Bellanki. A zatem musisz być, o pani, Cateriną, córką nieodżałowanej pamięci hrabiego di Sasina i jego zmarłej żony.

- Słyszałam, że jesteś bardzo sprytny - odparła, wyraźnie nie dając się oczarować. - Tak, jestem Caterina. A teraz powiedz, co wiesz o tych kartach?

- Niestety, choć zajmowałem się twoją służącą, nie znalazłem kart, których szukasz, pani - odparł gładko.

Otworzyłam oczy ze zdumienia, słysząc tak oczywiste kłamstwo. Dlaczego Mistrz nie chciał jej oddać kart? Biorąc pod uwagę, że wydawała się ich prawowitą właścicielką, nie potrafiłam tego zrozumieć.

Caterina była jeszcze bardziej rozczarowana niż ja.

- Jesteś pewien, signore? Dokładnie przeszukałam moje komnaty. Kart nie było ani tam, ani w pokoju Bellanki. A wiem, że miała je przy sobie tamtego dnia. - Podeszła i coraz bardziej zniecierpliwiona podała Mistrzowi jedną z kart.

- Tę talię namalował przed laty dla mojej matki inny nadworny artysta - wyjaśniła. - Może nie był tak wielkim mistrzem, jak

ty, niemniej nie brakowało mu talentu. Możesz się przyjrzyć jakości złoceń i subtelności pociągnięć pędzlem. Ogromnie mi zależy na odnalezieniu kart, by talia była kompletna.

Mistrz przez chwilę przyglądał się karcie, jakby po raz pierwszy widział tę talię, po czym zwrócił ją hrabinie z lekkim ukłonem.

- Całkiem dobra robota, pani - przyznał. - Pytałaś medyka, czy ich nie widział?

- Twierdzi, że nie. Co więcej, sam poradził, abym zapytała o to ciebie. Ale skoro ty nie potrafisz mi pomóc, nie wiem, gdzie jeszcze mogłabym szukać.

Widziałam, że jest zmartwiona zaginięciem kart i mimo wcześniejszej wyniosłości poczułam wobec niej cień współczucia. Karty najwyraźniej miały dla niej znacznie głębsze znaczenie. Może stanowiły pamiątkę po zmarłej matce i dlatego były jej tak drogie.

Mistrz spojrzał na nią z troską.

- Daję słowo, pani, że będę szukał dla ciebie tych kart. A gdyby nie udało mi się ich znaleźć, może pozwolisz mi namalować zamiast nich nowe, aby nimi uzupełnić talię.

- Jesteś bardzo uprzejmy, ale to nie byłoby to samo - odparła z westchnieniem.

Temu cichemu dźwiękowi odpowiedziało echem dobiegające z zewnątrz warknięcie. Wyraz niezadowolenia na twarzy Cateriny zastąpił szczerzy uśmiech.

- Pio! - zawołała cicho, jakby zapominając o swoim zmartwieniu. - Nie musisz się chować. Chodź, poznaj wielkiego Leonarda.

Na te słowa przez otwarte drzwi wbiegł czarno-biały pies sięgający jej najwyżej do kolan. Nie był to zwierzak podwórzowy, bowiem na smukłej szyi miał szeroką obrozę wykonaną z mięsistej zielonej, wyszywanej złotem tkaniny dopasowanej do stroju pani. Rozejrzał się dookoła i stanął w miejscu z uniesioną łapą.

Uśmiechnęłam się na ten widok, rozpoznając psa z rasy popularnej wśród moźnych. Chudy, o masywnej piersi, długich no-

gach i cienkim ogonie, sprawiał wrażenie równie kruchego, jak gliniane modele Mistrza. Wiedziałam jednak, że te zwierzęta - znacznie silniejsze niż się wydaje - są nie tylko rozpieszczanymi pupilami, lecz całkiem sprawnymi łowcami. Poza tym biegają szybciej niż większe od nich psy, a pod względem inteligencji ponoć mogą rywalizować z właścicielami.

Po krótkiej chwili Pio ruszył naprzód i przeszedł obok nas, przy niektórych zatrzymując się na dłużej i obwąchując ich badawczo. Vittorio, uśmiechając się szeroko, ukradkiem podrapał psa między uszami, gdy ten dostojnie kroczył ku swojej pani.

- A teraz, Pio, musisz poznać signora Leonardo - Caterina zwróciła się do psa, który posłusznie usiadł przed nią. - Jeśli mu się spodobaś, może namaluje twój portret.

Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, jak wiele stron w notatkach Mistrza zapełniały szkice różnych zwierząt, także psów i wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby pewnego dnia i ten trafił do jego kolekcji.

Jakby rozumiejąc słowa pani, Pio podszedł do Leonarda. Stał na tylnych łapach, przednią delikatnie, lecz zdecydowanie opierając na kolanie Mistrza, drugą zaś unosząc w znany sposób.

Leonardo spojrział na psa z pobłażliwym uśmiechem. Powiedział cicho jakieś słowo, na co Pio położył się przed nim, potulnie pochylając głowę i wyciągając przednie łapy, jakby w geście modlitwy, a wtedy zrozumiałam, dlaczego nadano mu imię „Pobożny”.

- Doprawdy, piękny pies - przyznał Mistrz. - Może znajdę dla niego jakieś miejsce na moim najnowszym fresku. Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić, pani?

Caterina pokręciła głową, jej dobry humor minął.

- Nie, chyba że znajdziesz moje karty do tarota. Mam nadzieję, że zawiadomisz mnie, jeśli na nie trafisz.

Odróciła się na pięcie, cicho rzuciła polecenie psu i wyszła z pracowni tak majestatycznie, jak do niej weszła. Pio szedł za nią, radośnie podskakując.

Ledwie minęła otwarte drzwi, wśród uczniów rozległ się szmer podniecenia. Dotarły do mnie jedynie strzępy słów, wszyscy bowiem mówili równocześnie.

- ...niewątpliwie najpiękniejsza kobieta na dworze.
- Spojrzała na mnie i...
- Myślę, że jej pies mnie polubił.

Te ostatnie słowa powiedział Vittorio, na którym - stosownie do jego wieku - większe wrażenie wywarł pupil młodej damy niż ona sama. Ja zastanawiałam się przede wszystkim, dlaczego Mistrz twierdził, że nie ma kart, których szukała, zwłaszcza że przewidział, iż ktoś po nie przyjdzie.

Przerwałam jednak te rozmyślania, gdyż Mistrz gestem wezwał mnie do siebie.

- Chciałbym z tobą zamienić słowo, Dino - zwrócił się do mnie, po czym spojrzał na pozostałych i przerwał ich ożywioną rozmowę, mówiąc: - Reszta niech wraca do zajęć. Główna część szablonu musi być gotowa na jutro.

Kiedy moi koledzy z ociąganiem wracali do pracy, Leonardo wziął mnie na stronę.

- Dla ciebie mam inne zadanie - rzekł półgłosem. - Dziś, na dwie godziny przed zmierzchem odbędzie się pogrzeb Bellanki. Chciałbym, żebyś dołączył do żałobników i zobaczył, co się tam będzie działo.

Nie wierzyłam własnemu szczęściu - czyż nie zastanawiałam się, co zrobić, żeby móc wziąć udział w tym pogrzebie?

- Jak sobie życzysz, Mistrzu - odparłam cicho, podobnie jak on, by inni nie usłyszeli. - Ale czego właściwie mam wypatrywać?

- Cóż, oczywiście zabójcy. - Strzelił palcami w geście zniecierpliwienia. - Tak samo jak wcześniej, po prostu użyj swojego zmysłu obserwacji. Zwróć uwagę na to, kto tam będzie i jak się zachowa w obecności zmarłej. Opowiedz mi potem o wszystkim, co wyda ci się dziwne lub niezwykłe.

- Zrobię, jak powiedziałaś, Mistrzu.

Przemknęło mi przez myśl, by zapytać, dlaczego - skoro ostatniej nocy nie chciał się tym zająć - teraz nagle zaczęło mu zależeć na odkryciu, kto jest odpowiedzialny za tragiczny upadek młodej służącej. Kusiło mnie też, by zapytać, dlaczego okłamał panią Caterinę w sprawie zaginionych kart tarota. Ale oczywiście nie zapytałam ani o jedno, ani o drugie, doskonale zdając sobie sprawę, że jako terminator nie mam prawa kwestionować metod Mistrza. Jeśli zechce, żebym poznała odpowiedź, udzieli mi jej w odpowiednim momencie. Zanim to nie nastąpi, winnam hamować swą ciekawość.

Tylko w duchu uśmiechnęłam się z zadowolenia. Mistrz mógł przecież wybrać innego ucznia, by z nim ostatniej nocy rozmawiać o śmierci Bellanki. Co więcej, mógł poprosić Tita lub Davida, by był jego oczami i uszami na dzisiejszym pogrzebie. Fakt, że mnie właśnie zaufał, może oznaczać, iż przydzieliła mi rolę asystenta przy szukaniu złoczyńców.

Przez chwilę poczułam się niepewnie. Jedna rzecz to szukać na własną rękę człowieka, który pchnięciem wysłał Bellancę na śmierć. Ale robić coś takiego na polecenie Mistrza - to zupełnie inna sprawa. Leonardo będzie oczekiwał szczegółowej relacji o wszystkim, czego się dowiem, i niewątpliwie okaże zniecierpliwienie, jeśli wrócę z tej wyprawy bez nowych informacji.

A zatem będę musiała odkryć coś istotnego, postanowiłam i energicznie skinęłam głową.

Czekałam z niecierpliwością, aż nadejdzie stosowna pora. Wreszcie zegar na wieży wybił w pół do czwartej. Odłożyłam minerały, które miałam do nowych porcji temperry, i po cichu poinformowałam Constantina, że Mistrz wysłał mnie z misją.

Najstarszy z terminatorów nie zadawał żadnych pytań przyzwyczajony, że Leonardo często zleca uczniom różne zadania, kiedy przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł. Z drugiej strony wszyscy wiedzieliśmy, że w takich sprawach nie należy kłamać. Nikt z nas nie zaryzykowałby wyrzucenia z pracowni, żeby zyskać godzinę lub dwie wolnego czasu.

- Dobrze - odparł Constantin. - Po prostu wróć najszybciej, jak się da. Będziemy przenosić szablon do sali, kiedy tylko będzie gotowy, a przy jego wieszaniu przyda się każda para rąk.

Obiecałam mu, że się postaram i, zatrzymawszy się tylko po to, by włożyć czystą tunikę, wybiegłam z pracowni. Kilka minut później byłam już za murami miasta, w drodze na ten sam cmentarz, na którym kuzyn księcia został pochowany w rodzinnej krypcie Sforzów... tej samej, w której przed kilkoma miesiącami omal nie spoczęłam na wieki.

Wmawiałam sobie, że chłód, jaki mnie przeszedł, jest wyłącznie skutkiem rzeńskiej popołudniowej bryzy zapowiadającej po upalnym letnim dniu nadejście burzy. Nawet Mistrzowi nie przyznałabym się, że wciąż nawiedzały mnie koszmarne sny o takich straszliwych godzinach spędzonych w ciemności, sam na sam z dawno zmarłymi Sforzami.

Ranna, pobita do nieprzytomności, związana, wciśnięta w niszę wykutą w jednej ze ścian krypty, byłam zostawiona na pewną śmierć przez człowieka, którego podejrzewałam o zabicie hrabiego. Wprawdzie później okazało się, że moje podejrzania były niesłuszne, niemniej był on podłym złoczyńcą. Gdyby w samą porę nie pojawił się Tommaso, już na zawsze pozostałabym wśród Sforzów. Dlatego wcale nie opłakiwałam śmierci tego, który mnie tam uwięził, gdy niespodziewanie skończył życie.

Droga poza mury miejskie okazała się dłuższa, niż pamiętałam, dlatego przyspieszyłam kroku. Mimo to nie zdążyłam dotrzeć do cmentarza, kiedy z oddali usłyszałam bijący cztery razy dzwon. Pobiegłam wąską ścieżką, przy każdym stąpieniu wzbijając tumany kurzu. Zbeształam się w duchu za to, że nie przewidziałam dość czasu na dojście. Mistrz powierzył mi ważne zadanie, a teraz mogę go zawieść!

Zebrałam siły i z szybkością, jakiej nie powstydziliby się pies hrabiny, przemknęłam przez cmentarną bramę. Wreszcie, dysząc ciężko, skrajem tuniki otarłam z twarzy pot i kurz i wsunęłam się cichutko do kaplicy. Z ulgą opadłam na ostatnią ławkę.

Przez chwilę mrugałam powiekami, nim mój wzrok przywykł do panującego tu mroku. Poza słabymi promieniami słońca przesączającymi się przez ciemne witraże w oknach po obu stronach kaplicy, jedynym źródłem światła były ustawione na ołtarzu dwie przygasające świece. Tak więc złożone przed nim, owinięte całunem ciało Bellanki wydawało się unosić w mroku.

Inaczej niż na pogrzebie hrabiego Ferrary przed jej skromnym katafalkiem nie było procesji żałobników, mszy nie odprawiał arcybiskup Mediolanu. Prawdę mówiąc, msza w ogóle nie została odprawiona, ponieważ nie było rodziny, która mogłaby zapłacić za to księdzu. Zamiast tego braciszek w brązowym habicie wymamrotał nad zmarłą coś po łacinie, a garstka żałobników - sądząc po strojach, służących i terminatorów - ukłękła, by po cichu odmówić modlitwę.

Przypomniałam sobie o moim męskim przebraniu; w geście szacunku zdjęłam czapkę i ukłękłam na nierównej kamiennej podłodze, pochylając głowę i pobożnie składając ręce. Jednak spod opuszczonych rzęs bacznie obserwowałam wszystkich, którzy przyszli pożegnać Bellancę. Mimo że znajdowałam się za nimi, z mojego miejsca widziałam przynajmniej częściowo ich twarze. Poza dwoma mężczyznami, były tu same kobiety, z których jedna głośno łkała.

Jedynym komplementem, jaki należałby się tej kobiecie o popolitej twarzy, byłaby pochwała nietkniętej siwizną czerni jej lśniącego grubego warkocza. Poza tym, jeśli nie liczyć publicznego pokazu rozpaczy, niczym nie zwracała na siebie uwagi. Choć sądząc po wieku, mogła być matką Bellanki, wydała mi się raczej służącą. Prosta brązowa suknia i chustka na głowie wskazywały, że zajmowała pozycję niższą od zmarłej.

Może to jest kobieta, która rozpoznała ciało Bellanki, a potem zasłała w infirmerii?

Długo szukałam w pamięci imienia, jakie podał Mistrz, aż wreszcie przypomniałam sobie: Lidia. Obserwowałam ją jeszcze chwilę, po czym skupiłam się na jej towarzyszkach siedzących w tej samej ławce.

Wszystkie trzy były ubrane w suknie podobne do stroju, jaki miała na sobie Bellanca w dniu śmierci. Domyśliłam się więc, że to służące Cateriny. Każda uroniła ukradkiem kilka łez, lecz ich wytworna żałoba kontrastowała z rozpaczą starszej służącej.

Podobnie jak Bellanca, wszystkie trzy pod obcisłymi, miękkimi czepkami miały jasne włosy z modnie wplecionymi wstążkami. Wszystkie trzy miały smukłe szyje i delikatne figury dziewcząt, które dopiero niedawno przestały być dziećmi... Z pewnością były niewiele starsze od Cateriny. W otoczeniu jasnowłosych piękności korzystnie wyróżniała się egzotyczna uroda hrabiny, wyglądającej jak młoda zwinna pantera wśród gromadki uroczych kociąt.

Zadowolona z dotychczasowych obserwacji, uważnie i dyskretnie przyjrzałam się pozostałym żałobnikom. Nie licząc zakonnika, obaj obecni na pogrzebie mężczyźni siedzieli po przeciwnych stronach kościołka. Obaj, niewiele starsi ode mnie, mieli ten sam wyraz znoszonego mężnie, spokojnego żalu, który kojarzył mi się z emocjami, jakie widziałam na twarzach licznych bohaterów fresków Mistrza.

Wielbiciele Bellanki? Rywale zabiegający o jej względy?

Jeden nosił piękny brązowo-żółty strój pazia, drugi zaś niebiesko-białą tunikę służącego. Obaj dorównywali pozycją zmarłej, obaj mogli się więc o nią starać. Czy któryś z nich mógł przez zazdrość zapomnieć o miłości? Czy któryś mógł pozostawić na ciele Bellanki sińce, które zauważył Leonardo, i być może wypchnąć ją przez okno?

Marszcząc brwi, wypatrywałam oznak poczucia winy, jednak żaden z nich nie wyglądał na dręczzonego wyrzutami sumienia. Mimo to nie byłam jeszcze gotowa skreślić ich z listy podejrzanych. Pamiętając o poleceniu Mistrza, bym przyjrzała się wszystkim obecnym, zajęłam się pozostałymi kobietami.

Najmłodszą była wyłupiastooka, najwyżej dziesięcioletnia dziewczynka o kędzierzawych kasztanowatych włosach, a najstarszą - przygarbiona staruszka w ubraniu piastunki, która bezwiednie kiwała głową w takt łacińskich słów wypowiedzianych

przez zakonnika. Wypełniając instrukcje Mistrza, starałam się zapamiętać ich wygląd i zachowanie. Żadna niczym nie zwracała na siebie szczególnej uwagi.

Zaczęłam się zastanawiać, czy moja obecność na pogrzebie przyniesie w ogóle jakiś pożytek, gdy usłyszałam, jak drzwi kaplicy uchylają się z przeraźliwym skrzypieniem. Ktoś cichutko wsunął się na miejsce obok mnie. Spojrzałam zaciekawiona, kim jest ów spóźniony przybysz, i zamarłam, unieruchomiona mrocznym spojrzeniem niezwykle przystojnego mężczyzny.

5. *Arcykapłan*

Definicję duszy pozostawię mądrości zakonników...

Leonardo da Vinci *Quaderni IV*

ino, posłuchaj listu, jaki napisałem do Il Moro, i powiedz, co o nim sądzisz.

Zgodnie z wcześniejszym poleceniem Mistrza, wróciłam z pogrzebu Bellanki gotowa zrelacjonować moje obserwacje. Znalazłam Leonarda w jego prywatnym mieszkaniu, całkowicie zaabsorbowanego listem, który leżał przed nim na stole. Wskazał mi krzesło naprzeciwko siebie, wziął do ręki pierwszą kartkę i zaczął czytać:

- „Najjaśniejszy Panie, z wielkim żalem piszę do Ciebie **odnośnie** do mojej sytuacji finansowej. Cieszę się Twoim patronatem już od niemal roku i w tym czasie miałem zaszczyt spełniać wszystkie Twoje życzenia. Z przykrością muszę przypomnieć, że do tej pory otrzymałem zapłatę tylko za kilka z wielu projektów, jakie zrealizowałem na Twoje polecenie”.

Zamilkł i spojrzał na mnie, jakby oczekując aprobaty. Kiedy niepewnie skinęłam głową, czytał dalej:

- „Obawiam się, Wasza Wysokość, że moje niewielkie postępy w sprawie spiżowego konia sprawiły, że poczułeś się urażony, i zapewne ta uraza sprawiła, iż zapomniałeś o naszej umowie. Dlatego, Najjaśniejszy Panie, żałuję, iż wzbudziłem w Tobie gniew i proszę o wyrozumiałość i wybaczenie...”

Dalej pisał w tym tonie jeszcze przez wiele akapitów, z których każdy był bardziej pokorny i służalczy od poprzedniego. Słuchając tego, w pierwszej chwili byłam tylko zaskoczona, lecz wkrótce zaskoczenie ustąpiło miejsca rozczarowaniu. Jak może wielki Leonardo - człowiek obdarzony tak wielką dumą, pasją i geniuszem - do tego stopnia płaśzczyć się przed księciem?

Słuchając dalszej części listu, zdałam sobie sprawę, że zwiadam się w duchu na każde przymilne słowo, udręczona w imieniu Mistrza. Cóż, Ludovico to człowiek bezwzględny i grubiański. Ma wprawdzie znaczną władzę i niemały spryt, lecz brak mu błyskotliwości zarówno umysłu, jak i duszy. Zdobył pozycję siłą i dwulicowością, nie zaś dzięki zasługom i uznaniu. Takie płytkie pochlebstwa skierowane do człowieka niegodnego szacunku nie mogły wyjść spod pióra Mistrza, którego znałam i podziwiałam!

- „Ekscelencjo - kończył, sięgając po trzecią stronę - żałuję czasu, który byłem zmuszony poświęcić innym patronom, których mizerne honoraria pozwalały mi się utrzymać. Wiedz, że suma, która dla Ciebie jest skromna, nie więcej niż sto dukatów, powinna wystarczyć, bym bez przeszkód mógł się zająć spiżowym koniem i innymi Twoimi zleceniami. Zawsze gotów spełniać Twoje życzenia, pozostaję Twym uniżonym i wdzięcznym sługą, Leonardo”.

Nieco teatralnym gestem odłożył list i spojrzał na mnie wyczekująco.

- A zatem powiedz, jak znajdujesz ton mojego listu? Dalej, nie wstydz się - nalegał, gdy otworzyłam usta i zamknęłam je, nie wypowiadając słowa. - Powiedz, co myślisz.

- Dobrze, Mistrzu - zaczęłam ostrożnie. - Skoro pytasz o moje zdanie, powiem. Ton tego listu wydaje mi się śliski i bo-

leśnie słuźalczy. Przywodzi mi na myśl lokaja zabiegajacego u skę, na ktora nie zasluzył. Mowiac szczerze, uwazam, ze taki list nie jest ciebie godny - odwazyłam sie dodac, widzac, ze nie najezył sie, slyszac moje śmiałe słowa.

Leonardo siedzial przez chwile w milczeniu, wreszcie uśmiechnal sie z zadowoleniem.

- Doskonale. Obawiałem sie, ze mogłem być nie dośc wy-
lewny - rzekl z satysfakcją i zebrał kartki ze stołu. - Mój dro-
gi chłopcze, chyba zauwazyłeś, ze takie przesadne pochlebstwa
były z mojej strony celowe? - spytał, widzac zmieszanie i dez-
aprobatę malujace sie na mojej twarzy.

Kiedy w milczeniu pokreciłam głowa, wyciagnal rękę i pokle-
pal mnie pocieszajaco po ramieniu.

- Niech to będzie dla ciebie ważną lekcją; na wypadek, gdy-
byś pewnego dnia musiał szukać patrona, aby zarobic na chleb.
Wszystko to jest gra, w ktorej bierzemy udział, klaniajac sie i nad-
skakujac tym, ktorzy mają pieniądze i są gotowi zapłacić za przy-
wilej posiadania dzieł sztuki wychodzacych spod naszych pedzli.

Mowiac to, zložyl list, po czym wzial świecę stojącą przy jego
łokciu, kapnal na papier kilka kropel wosku i odcisnal w nim fan-
tazyjnie rzeźbiony kamień.

Wsunal zapieczetowany list pod tunikę i mowil dalej:

- Zasypujemy szlachetnie urodzonych i bogatych pięknymi
słówkami i nieszczerymi pochlebstwami. W zamian za to oni
otaczaja nas opieką. Co sie zaś tyczy malarzy niepotrafiacych
ugiąć kolan, mogą sie uważać za lepszych od nas, ktorzy to ro-
bimy, lecz szybko przekonaja sie, ze z dumy nie da sie ugotować
posilku na koniec dnia.

- Ależ Il Moro czy ktokolwiek czytający taki list pomysli tyl-
ko, ze z niego kpisz - zaprotestowałam.

Mistrz wzruszył ramionami.

- Obawiam sie, ze nie. Powiedzialbym wręcz, ze im śmiesz-
niejsza retoryka, tym bardziej satysfakcjonuje bogaczy... I tym
głębiej sięgaja do sakiewek. Naturalnie zawsze proszę o sumę

dwukrotnie wyższą niż trzeba. W ten sposób kiedy oni łaskawie wysypują choć połowę, obie strony są zadowolone.

- Rozumiem - odparłam skonsternowana i spuściłam wzrok, czując się nagle bardzo głupio. Powinnam była wiedzieć, że jeśli Leonardo pisał tonem tak służalczym, jest to rodzaj żartu. Może gdybym zwracała większą uwagę na interesy prowadzone przez mojego ojca, zapewne przekonałabym się, że i on musiał czasami pisywać podobnie uniżone listy do swoich klientów.

- Ależ, Dino, nie wpadaj w przygnębienie - pocieszył mnie z uśmiechem. - Teraz, skoro już rozumiesz, na czym polega ta gra i dlaczego ją prowadzimy, będzie ci znacznie łatwiej włączyć się do niej, gdy będziesz starszy. Ale przejdźmy do ważniejszych spraw. Opowiedz, co zauważyłeś na pogrzebie Bellanki.

Z zadowoleniem porzuciłam nieprzyjemną kwestię listu, choć wiedziałam, że następny temat będzie równie niepokojący. Leonardo słuchał z uwagą, gdy opisywałam mu osoby zgromadzone w kaplicy.

Mój wniosek, iż trzy młode blondynki musiały być pozostałymi pokojówkami Cateriny, przyjął skinieniem głowy, podobnie jak przypuszczenie, iż łkająca głośno starsza kobieta była tą służącą, która rozpoznała ciało Bellanki w infirmerii.

- Bez wątpienia opisujesz Lidię - przyznał Mistrz. - Choć dla pewności powinniśmy jeszcze przy okazji zobaczyć ją obaj razem. Zapewniam cię, że dobrze będzie dowiedzieć się czegoś więcej o jej związkach z Bellaną i ustalić, co wprawiło ją w tak wielką rozpacz.

Podobnie zainteresował go mój opis służącego i pazia, który - jak się domyślałam - mogli darzyć zmarłą uczuciem.

- Bardzo dobrze, Dino... Widzę, że coś zapamiętałeś z moich nauk o kompozycji sceny - rzekł z aprobatą. - Mówi się, że czynny przemawiają z większą siłą niż słowa. Fakt, iż ci dwaj starali się siedzieć jak najdalej od siebie w tak małym pomieszczeniu, jest znaczący. Postaramy się dowiedzieć o nich czegoś więcej. Może mógłbyś mi ich naszkicować?

Spełniłam jego prośbę i byłam bardzo zadowolona, kiedy obejrzawszy moje rysunki, Mistrz oznajmił, że teraz rozpozna ich bez trudu. Następnie pokrótce opisałam pozostałych żałobników... a właściwie wszystkich z wyjątkiem jednego. Zawahałam się, kiedy przyszła pora opisać mężczyznę, który usiadł obok mnie.

W pierwszej chwili wydał mi się niebezpiecznie przystojny. Przypuszczałam, że jest o rok lub dwa młodszy od Mistrza, choć jego twarde rysy utrudniały ocenę. Nie nosił brody, choć ostrze brzytwy najwyraźniej od kilku dni nie dotknęło jego policzków. Widząc kędzierzawe włosy przycięte do ramion i strój najemnika, domyśliłam się, że musi być jednym z żołnierzy księcia.

W czasie, który spędziłam na dworze Sforzy, widziałam wielu takich jak on. Kiedy nie toczyli bitew gdzieś daleko ani nie trzymali straży przy zamkowej bramie, nie mieli do roboty właściwie nic poza snuciem się bez celu po okolicy. Byli arogancy i nieokrzesani, w swoich nieprzyzwoicie krótkich tunikach i wielobarwnych pończochach, z mieczami zawadiacko dyndającymi przy pasie. Tylko najdzielniejsi odważyliby się stanąć im na drodze.

A jednak ten człowiek miał w sobie coś, co wyraźnie odróżniało go od prymitywniejszych kolegów. Może unosząca się wokół niego aura leniwej zmysłowości. Może kształt pełnych ust, sugerujący równocześnie namiętność i zimne okrucieństwo. A może coś tak prostego, jak jego dłonie, o palcach kształtnych i zaskakująco eleganckich jak na kogoś, kto zarabia na chleb, wymachując mieczem.

Napotkałam jego spojrzenie i zanim spuściłam wzrok, zdążyłam zauważyć w ocienionych długimi rzęsami oczach wyniosłą obojętność, z jaką przyjął mój wiek, pozycję i rzekomą płęć. Najwyraźniej uznał mnie za osobę nic nieznaczącą i niemal natychmiast zainteresował się tym, co działo się przy ołtarzu.

Natychmiast poszłam w jego ślady, wpatrując się w mnicha, który uczynił nad martwym ciałem znak krzyża i pokropił je

wodą święconą. Domyśliłam się, że może to być jeden z najemnych żołnierzy, o których Mistrz wyrażał się z takim lekceważeniem - jeden z wojowników, którzy poświęcili się Marsowi. W takim razie powinien mi się wydać straszny lub wręcz odpychający.

Tymczasem, choć nasze spojrzenia spotkały się tylko na krótką chwilę, nagle zdałam sobie sprawę, że z niezrozumiałego powodu ów człowiek mnie fascynuje.

Siedząc nieruchomo, patrzyłam wprost przed siebie, choć czułam, jak gorąca fala oblewa mi szyję i barwi ognistym rumieńcem policzki. Wiedziałam, że klęczący obok mnie mężczyzna nie jest świadom, jak nieswojo czuję się w jego obecności. Z całą pewnością zdażył o mnie zapomnieć i nie spojrzy na mnie więcej, o ile jakimś słowem lub gestem nie zwróć na siebie jego uwagi.

Ale ja nigdy go nie zapomnę. Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości!

Tymczasem mnich przyklęknął po raz ostatni, a z mroku wyłonili się dwaj przygarbieni diakoni w zgrzebnych ubraniach. Wzięli na ramiona mary, na których spoczywało ciało Bellanki, i ruszyli za zakonikiem ku drzwiom kaplicy. Kiedy wstałam z ławki wraz z pozostałymi żałobnikami, odważyłam się jeszcze raz zerknąć na siedzącego obok mnie mężczyznę. Z rozczarowaniem stwierdziłam, że zniknął równie cicho, jak przybył.

Wyszłam z kaplicy za innymi żałobnikami. Choć chylące się ku zachodowi słońce wciąż jeszcze świeciło jasno, w oddali zaczynały się zbierać chmury zapowiadające nadejście burzy. Idąc między grobami, doszłam do wniosku, że taki nastrój jest odpowiedni do dzisiejszej skromnej uroczystości.

Przypomniałam sobie, w jakich okolicznościach ostatnio przemierzałam tę krętą drogę, zawahałam się i zwolniłam kroku. Wówczas moim celem była wielka kamienna krypta Sforzów, wykuta u stóp niewielkiego wzgórza wznoszącego się nad cmentarzem. Każda moja wizyta w wilgotnym, zatęchłym grobowcu kończyła się niemiło, przez co nabrałam zrozumiałej niechęci do tego miejsca.

Szczęściem teraz zostaliśmy na powierzchni ziemi, kierując się w róg cmentarza, gdzie miała zostać pochowana Bellanca. W odróżnieniu od pobliskich wykutych w skale krypt, jej grobem miała się stać zwykła dziura wykopana w kamienistej ziemi i ledwie widoczna wśród splątanych pędów winorośli. Przyglądając się temu miejscu, rozmyślałam ponuro, że Bellanca będzie tu spoczywać w zupełnej samotności, gdyż żadna rodzina nie upomniała się o jej ciało.

Zastanawiałam się, czy naprawdę była całkiem sama na świecie, czy też podobnie jak ja opuściła dom w jakiejś małej wiosce, by wyruszyć ku wielkiej przygodzie czekającej w Mediolanie? Może miała rodziców, braci i siostry, bliskich, którzy niepokoją się coraz bardziej, kolejne miesiące i lata czekając daremnie na jakąkolwiek wieść od niej. Czy kiedykolwiek dowiedzą się, jaki los ją spotkał, czy też tajemnica jej zniknięcia będzie ich dręczyć do końca życia?

Zadając sobie te pytania, trudno było nie myśleć o swojej sytuacji, toteż postanowiłam skupić się na tym, co mnie czeka w najbliższej przyszłości. Czułam się dziwnie nieswojo wśród żałobników - choć kierowały mną uczciwe pobudki - i trzymałam się za nimi w pewnej odległości. Lidia znowu zaczęła szlochać, a ja, słysząc jej łkania, poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Zamrugałam i starałam się spokojnie patrzeć, jak diakoni kładą na ziemi szeroką deskę i zdejmują z niej ciało Bellanki.

Całun w kilku miejscach przylegał ściśle do bezwładnego ciała, jego kształt wyraźnie odznaczał się pod płótnem. Trzymając za głowę i stopy, diakoni bezceremonialnie złożyli zwłoki w grobie, podczas gdy zakonnik pospiesznie recytował ostatnią modlitwę, a żałobnicy obejmowali się nawzajem.

Kiedy przyglądałam się tej scenie, kątem oka dostrzegłam cień, który zwrócił moją uwagę. Tym razem nie starałam się zachować dyskrecji. Obejrzałam się, by sprawdzić, kto stoi obok mnie.

Poczułam dreszcz podniecenia, gdy ujrzałam opartego o narożnik pobliskiej krypty tego samego żołnierza, którego widziałam w kaplicy Jego muskularna postać w czarnej tunice i czerwono-czarnych pończochach odcinała się na tle brązowego spękanego kamienia. Na tunice nosił ciasno zasnuowaną czarną skórzaną kurtkę, a przez rozcięcia rękawów zgodnie z nakazami mody widać było białą koszulę... Całość wyglądała elegancko i zarazem groźnie. Przy biodrze miał zawieszony niezbędny w jego przypadku miecz, w którego ozdobnej pochwie odbijało się popołudniowe słońce. Jednak sposób, w jaki opierał dłoń na rękojeści, wskazywał, że - ozdobna czy nie - broń jest śmiertelnie niebezpieczna.

Zmarszczyłam brwi. Teraz, gdy mogłam mu się lepiej przyjrzeć, zauważyłam, że nie jest zwykłym żołnierzem. Może to kapitan gwardii II Moro, ten sam, który według Marcelli był sekretnym kochankiem Bellanki?

Ta myśl przywróciła mi poczucie rzeczywistości. Przypomniałam sobie stanowczo, że jestem tutaj po to, by dowiedzieć się, kto mógł zamordować Bellancę, a nie żeby oddawać się marzeniom o niebezpiecznie urodziwych żołnierzach. Czym prędzej obmyśliłam plan działania. Na wypadek gdyby kapitan obserwował mnie równie bacznie jak ja jego, odegrałam scenkę ocierania skrajem rękawa oczu i nosa. Następnie, jakbym nie potrafiła dłużej znieść ostatnich modłów, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę kaplicy. Szłam spokojnie, dopóki nie minęłam rozpadającej się krypty, wyższej i szerszej niż ja; zerkając ostrożnie przez ramię, by się upewnić, że nie jestem obserwowana, ukryłam się za nią.

Bezpieczna, rozsiadłam się wygodnie za grobowcem i ostrożnie wyrzałam zza narożnika. Teraz kapitan stał dokładnie na wprost mnie, całkiem niedaleko, zwrócony do mnie plecami. Z mojego miejsca mogłam go bez przeszkód obserwować, przynajmniej dopóki on nie poczuje na sobie mojego wzroku i nie odwróci się w moją stronę.

Obiecywałam sobie w duchu, że tym razem nie dopuszczę, by wymknął się niezauważony. Miałam powód, by żywić wobec niego podejrzenia, choćby z uwagi na jego domniemany związek ze zmarłą. A przy tym wszystkim jego zachowanie było co najmniej niezwykle. Gdyby to, co łączyło go z Bellanca, chciał utrzymać w sekrecie nawet po jej śmierci, więcej sensu miałoby, gdyby w ogóle nie zjawił się na pogrzebie. Jeśli zaś chciał ją pożegnać, nie zważając na to, co ludzie będą mówić, czemu nie dołączył do pozostałych, lecz trzymał się na uboczu?

Zastanawiałam się nad tym przez kilka minut, nim zakonnik wypowiedział ostatnie „amen”. Żałobnicy odpowiedzieli chórem ze spuszczoneymi głowami i powoli kierowali się ku bramie cmentarza. Przypuszczałam, że kapitan zechce utrzymać w tajemnicy swoją obecność; dlatego byłam zaskoczona, że wcale nie starał się ukrywać, gdy mijała go grupa żałobników. Wszyscy jednak zdawali się ignorować jego obecność - z wyjątkiem jednej osoby.

Przechodząc powoli obok niego, wsparta na ramieniu dziewczynki o kędzierzawych włosach Lidia podniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Z mojego ukrycia nie widziałam wyrazu twarzy kapitana, lecz nawet z tej odległości trudno było nie dostrzec bólu i rozpaczony w spojrzeniu Lidii. Natychmiast jednak odwróciła wzrok i ruszyła dalej.

Teraz zbliżali się do mnie i musiałam przykucnąć za kryptą, aby nikt mnie nie zauważył. Poczekiałam, aż ucichnie chrzęst ich kroków na żwirowej ścieżce, i dopiero wtedy zdecydowałam się wyrzeć.

Cała grupa minęła bramę w zardzewiałym żelaznym ogrodzeniu i skręciła na pokrytą pyłem drogę prowadzącą do bram miasta. Kiedy spojrzałam jeszcze raz na cmentarz, ujrzałam robotników zasypujących wąską jamę w ziemi i wpatzonego w przestrzeń, zatopionego we własnych myślach zakonnika.

Kapitan zniknął bez śladu.

Zaniepokojona takim rozwojem wypadków, popatrzyłam za oddalającymi się żałobnikami. Może dołączył do nich, kiedy nie

widziałam, pomyślałam, marszcząc brwi. I w tej samej chwili jakaś silna ręka spadła ciężko na moje ramię.

- Ejże, chłopcze - rozległ się przy moim uchu cichy głos uwodzicielsko szepczącego demona. - Co ty właściwie robisz?

Ból w połączeniu z instynktownym strachem wystarczył, by łzy napłynęły mi do oczu. Myśląc gorączkowo, zacisnęłam powieki, by dwie krople spłynęły mi po policzkach, i szeroko otwartymi oczami spojrzałam na kapitana.

- Och, zostaw mnie, proszę! - krzyknęłam i pociągnęłam nosem, wycierając go skrajem rękawa. - Nie chcę, żeby ktoś widział, jak płaczę!

Uścisk na moim ramieniu zelżał. Załkałam jeszcze kilka razy i pociągnęłam nosem, po czym, udając, że staram się wziąć w garść, wstałam z ziemi. Pamiętając o mojej sytuacji, nie odważyłam się spojrzeć na niego bezpośrednio, lecz zerkałam spod opuszczonych rzęs, i ścisnęłam w dłoniach płócienną czapkę, całkiem nieźle udając rozpacz.

Gdy stał nade mną, z bliska otaczająca go aura niebezpieczeństwa, którą wyczułam wcześniej, wydawała się jeszcze bardziej intensywna. Wzrostem dorównywał Mistrzowi. I pod każdym względem był równie przystojny jak wcześniej w kaplicy. Najbardziej jednak zaskoczyło mnie jego zachowanie.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że każdy inny żołnierz, mając przed sobą zapłakanego małego chłopca, wybuchnąłby śmiechem, a może nawet wpadłby we wściekłość. Ale kapitan gwardii tylko przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. W końcu wzruszył ramionami.

- To już koniec. Zmykaj stąd, chłopcze.

Nie sprzeciwiłam się ani nie czekałam, aż powtórzy to jeszcze raz. Skinęłam posłusznie głową, odwróciłam się na pięcie i najszybciej, jak mogłam, pobiegłam dobrze mi znaną ścieżką, z ulgą zostawiając za sobą cmentarz.

Teraz, kiedy starałam się przekazać Mistrzowi moje wrażenia dotyczące kapitana gwardii, w końcu uświadomiłam sobie, co najbardziej mnie w nim zaniepokoiło.

- Wydawało się, że śmierć Bellanki nie zrobiła na nim żadnego wrażenia - powiedziałam na głos. - Nie zauważyłam żadnych oznak żalu ani wyrzutów sumienia. Prawdę mówiąc, nie wiem, po co właściwie tam przyszedł, skoro nie rozpaczał ani się nie radował. Zastanawiam się jednak, czy się nie mylimy i jej śmierć nie kryje żadnej tajemnicy.

Leonardo rozmyślał przez chwilę nad moimi słowami, po czym pokręcił głową.

- Chyba jeszcze nie jestem gotów poniechać tej sprawy. Przypomina to trochę znalezienie rozplecionego gobelinu. Dopóki wszystkie luźne nitki nie zostaną na powrót ułożone, nie da się zobaczyć całego obrazu. A na razie mamy bezładną płataninę wątków.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, starając się zrozumieć tę metaforę. Mistrz wreszcie uśmiechnął się nieznacznie i wzruszył ramionami.

- Pozwól mi przy tym zostać, drogi Dino, przynajmniej jeszcze jeden dzień - rzekł, zdmuchując świecę i wstając od stołu. - Mam pewien pomysł, który zamierzam jutro wcielić w życie, a który może nieco rozjaśnić sytuację. Wrócimy jeszcze do tego tematu. Tymczasem jednak... - zawiesił głos i poklepał się znacząco po piersi. - Muszę bezzwłocznie dostarczyć pewien ważny list.

- Moja cierpliwość zużywa się tak łatwo, jak tani płaszcz - oznajmił z groźbą w głosie. - Powiedz, Leonardo, ile jeszcze mam czekać na mojego konia?

To pytanie zadał surowym tonem Ludovico Sforza, książę Mediolanu. Jego pojawienie się w pracowni rankiem następnego dnia niewątpliwie było spowodowane wczorajszym melodramatycznym listem Mistrza. Nieprzyjemna twarz Il Moro wydawała

się teraz bardziej mroczna niż zwykle. Mierzył gniewnym wzrokiem Leonarda, czekając na odpowiedź.

Patrzyłam zza wysokiego parawanu stojącego w rogu pracowni, gdzie przezornie ukryłam się, widząc nieoczekiwane nadejście księcia. Było tuż po porannym posiłku. Pozostali uczniowie wrócili do zamkowej komnaty, gdzie właśnie zaczynaliśmy pracę nad nowym freskiem. Ja zaś skierowałam się do pracowni, o co wcześniej poprosił Mistrz. Dał mi do zrozumienia, że ma jakieś interesujące informacje na temat śmierci Bellanki, lecz przybycie rozjuszonego księcia uniemożliwiło nam rozmowę.

Leonardo spokojnie wytrzymał rozwścieczone spojrzenie patrona. Tego ranka zamiast swego zwykłego stroju roboczego miał na sobie prostą, lecz elegancką krótką błękitną tunikę obszytą czarnym galonem oraz czarne pończochy. Z tym statecznym strojem Mistrza kontrastował wygląd księcia, który miał na sobie tunikę z wysokim kołnierzem ze złoto-białego brokatu. Na nią włożył dobraną długą szatę obszytą czarnym aksamitem, który dobrze skrywał zabrudzenia, nieuniknione przy noszeniu jej przez cały dzień. Przy pasie miał przytroczoną wyszywaną klejnotami sakiewkę z tego samego materiału, a czarna aksamitna czapeczka ukrywała coraz wyraźniej widoczne miejsce, w którym czarne włosy Ludovica były nieco przerzedzone.

Kiedy porównywałam tych dwóch mężczyzn, jak zwykle Mistrz wydał mi się nieporównanie bardziej dostojny mimo skromniejszego stroju i niższej rangi.

- Ekscelencjo, rozumiem twoje zniecierpliwienie - rzekł Leonardo pojednawczo. - Pokazywałem ci liczne gliniane modele, więc dobrze wiesz, że ani na chwilę nie przestaję myśleć o tym wielkim spiżowym pomniku. A zdając sobie sprawę, że to hołd dla twojego zmarłego ojca, nie ośmieliłbym się nie przyłożyć do niego największych starań.

Księżę chrząknął pojednawczo, więc Mistrz mówił dalej:

- Ale postaraj się zrozumieć, ekscelencjo, że to bardzo trudne dzieło ze względu na ogromne rozmiary. Kiedy ostateczny

projekt mnie zadowoli, będę musiał wykonać gliniany projekt o połowę mniejszy od planowanego posągu, żeby się upewnić, że można go oddać. Taka praca wymaga czasu... i pieniędzy.

- Ba!

Wyraźnie zde gustowany książę zaczął się przechadzać po pracowni, a każdemu jego stąpięciu towarzyszył głośny brzęk. Ulewny deszcz, na który zbierało się wczoraj przez cały dzień, spadł w nocy, zamieniając zamkowe trawniki w grząskie bagno i zostawiając wielkie kałuże na bruku dziedzińców. Dlatego książę na swoje eleganckie buty włożył patynki - wysokie drewniane sandały, które chroniły przed zamoczeniem pięknie zdobioną czarną skórę. Odgłos, jaki wydawały, uderzając o drewnianą podłogę pracowni, tworzył akompaniament odpowiedni do jego ponurego nastroju.

- Wciąż słyszę od ciebie tylko wymówki, Leonardo... Wymówki i prośby o pieniądze - zagrzmiał. - A gdzie obiecowane nowe wynalazki dla mojej armii? Jeszcze nie widziałem rozkładanego mostu, który miałeś zbudować. A co z podwodną łodzią?

Mimo że czułam się nieswojo, będąc mimowolnym świadkiem gniewu księcia, uniosłam brwi ze zdumieniem. Podwodna łódź! Pomyślałam, że chyba coś takiego wykracza poza możliwości ogromnego talentu Leonarda.

- Nie obawiaj się, ekscelencjo, most jest niemal gotowy - zapewnił pospiesznie Leonardo. - Zaledwie dwa dni temu moi uczniowie wypróbowali jego prototyp, który zadziałał znakomicie. Teraz na moje zamówienie miejscowi rzemieślnicy budują model naturalnej wielkości. Spodziewam się, że będę mógł wysłać go w pole z twoimi ludźmi przed końcem miesiąca.

- A łódź podwodna? - powtórzył książę, lecz napięcie w jego głosie nieco zelżało.

Mistrz posłał mu lekki uśmiech.

- Na razie jest w fazie projektowania; mam jednak nadzieję, że kiedy most będzie gotowy, będę miał także jej model.

- Hm. Dobrze więc, pozwolę ci kontynuować pracę. Ale oczekuję, że dotrzymasz obiecanych terminów, i nie chcę słyszeć żadnych więcej wymówek.

Ludovico sięgnął do sakiewki przy pasie i wydobył z niej mały skórzany woreczek, który zadźwięczał zachęcająco, kiedy podrzucił go na dłoni. Wręczył woreczek Mistrzowi ze słowami:

- Ponieważ jestem dobrym człowiekiem, przychylię się do twojej prośby o dodatkowe fundusze. Ale wiedz, że to tylko połowa sumy, o którą prosiłeś w liście. Resztę zatrzymam do chwili, gdy zobaczą gotowy most i łódź podwodną.

- To zrozumiałe, ekscelencjo - odparł Leonardo i wsunął woreczek pod tunikę.

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie lekcję, jakiej udzielił mi Mistrz poprzedniej nocy, tłumacząc, że należy prosić o dwukrotnie wyższą sumę, niż jest rzeczywiście potrzebna, i ostatecznie łaskawie zgodzić się na jej połowę. Najwyraźniej wiedział, co mówi.

Udobruchany książę także zdobył się na uśmiech... A w każdym razie grymas, który mógł za taki uchodzić.

- Doskonale, Leonardo - rzekł. - Skoro więc załatwiliśmy tę sprawę, mam dla ciebie następne zadanie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za dwa tygodnie ogłoszę zawarcie kontraktu małżeńskiego. Dla uświetnienia tego wydarzenia chcę, abyś w zamku zorganizował wielką maskaradę.

- To będzie dla mnie zaszczyt - odparł Mistrz z lekkim ukłonem. - Pozwól, że ośmielę się zapytać, ekscelencjo, czy to twoje zaślubiny będziemy świętować? - dodał, unosząc ze zdziwieniem brwi.

- Raczej nie. - Uśmiech księcia zamienił się w złośliwy grymas. - Obawiam się, że moje kochanki stałyby się zazdrosne, gdybym postanowił wziąć sobie żonę. - Zaczął znowu spacerować po pokoju, unosząc rękę władczyim gestem. - Nie, aranżuję to małżeństwo dla pożytku całego Mediolanu. Postanowiłem uczynić sojusznika z jednego z moich najbardziej nieustępliwych

wrogów. Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną, iż najskuteczniejszym sposobem zamienienia wroga w przyjaciela jest włączenie go do rodziny. - Książę znowu odwrócił się i spojrzał na Leonarda, dla większego efektu zawieszając głos. - A więc kości zostały rzucone. Zamierzam doprowadzić do zawarcia małżeństwa między moją podopieczną, hrabiną Cateriną di Sasina, i pierwszym możliwym do zaakceptowania księciem, z którym zdołam szybko dojść do porozumienia.

- To rozwiązanie godne twojego znamienitego ojca, panie - przyznał Leonardo i skinął głową z aprobatą. - Taki sojusz przyniesie tylko korzyści Mediolanowi. Natychmiast rozpocznę przygotowania do uroczystości. Czy mam rozumieć, że owa dama nie jest świadoma twoich planów związanych z jej osobą, a zatem nie powinienem zasięgać jej rady w tej sprawie?

- Caterina dowie się o tym wszystkim; kiedy traktat zostanie podpisany. Ale nie obawiaj się, Leonardo, narzeczona nie będzie ci przeszkadzać. Caterina jest nie tylko moją podopieczną, ale i kuzynką... Dobrze wie, na czym polegają jej obowiązki.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, ekscelencjo.

Ukryta w rogu pracowni ledwie stłumiłam parsknięcie. Caterina może wiedzieć, jakie są jej obowiązki, ale czy się temu podporządkuje, to zupełnie inna sprawa. Książę powinien zachować większą ostrożność, gdy w grę wchodzi sprawy sercowe.

Mistrz tymczasem, jakby w zamyśleniu, stukał palcem w podbródek.

- Przyszło mi do głowy, ekscelencjo, że niezależnie od tego, kto będzie wybranym narzeczonym, zapewne byłby zadowolony, w czasie uroczystości otrzymując jakiś symbol przychylności przyszłej małżonki. Czy mogę nieśmiało zasugerować, że portret owej damy... rzecz jasna namalowany przez twego nadwornego artystę... mógłby być stosownym darem?

Złośliwy uśmiech powrócił na twarz Ludovica.

- Doskonały pomysł, Leonardo, chociaż obawiam się, że każesz mi słono zapłacić za ten, jak powiedziałeś, symbol

przychylności. Dobrze, powiem Caterinie, że poczawszy od pojutra, będziesz codziennie pojawiać się w jej komnacie, by ją malować.

- Do twoich usług, ekscelencjo.

- Tak, tak... - Księżę machnął lekceważąco ręką i skierował się do wyjścia. - Pamiętaj tylko, że obraz i przygotowania do uroczystości mają być ukończone za dwa tygodnie, inaczej będę musiał przemyśleć moją wcześniejszą hojność.

6. *Kochankowie*

Kochanka pociąga to, co kocha...

Leonardo da Vinci *Quaderni II*

Odczekałam, aż stukot drewnianych sandałów Ludovica ucichnie; dopiero wtedy ostrożnie wysunęłam się zza parawanu i po-deszłam do Mistrza.

- Ach, tu jesteś, Dino - rzekł, z wyrazem satysfakcji na twarzy ważąc w dłoni otrzymaną od księcia sakiewkę. - Obawiałem się, że na widok Ludovica mogłeś czmychnąć i ukryć się pod łóżkiem. Ale rozumiem, że byłeś bliżej i widziałeś wszystko, co się tutaj działo.

- Słyszałem wszystko - przyznałam. - Powiedz, Mistrzu, czy wiedziałeś o tym małżeństwie?

- Nie wiedziałem, ale wcale mnie to nie zaskoczyło. Młode kobiety jej rangi zazwyczaj bywają składane jako ofiary na ołtarzach pokoju. Ale zastanawiam się, czy Ludovico nie mógł wybrać lepszej kandydatki do zawarcia politycznego małżeństwa niż pani Caterina.

- Jest przecież młoda, piękna i dobrze urodzona - zaproponowałam zaskoczona. - Dlaczego sądzisz, że nie nadawałaby się na żonę księcia?

- Właśnie, dlaczego nie? Chodźmy, chłopcze, do mojego mieszkania, a ja wyjawię ci kilka interesujących rzeczy, które pomogą ci zrozumieć moje słowa. Ale najpierw, czy wciąż masz ów piękny strój pazia, który uszył dla ciebie signor Luigi?

Miał na myśli strój, który miałam na sobie kilkakrotnie, kiedy staraliśmy się wyjaśnić tajemnicę morderstwa hrabiego Ferrary. Nasze śledztwo w znacznej mierze polegało na tym, że Mistrz wypytywał różnych wielmożów z dworu Il Moro, co wiedzą o tej tragicznej sprawie. Aby jakoś usprawiedliwić moją obecność, musiałam udawać jego służącego; dlatego nadworny krawiec przygotował dla mnie elegancki strój odpowiedni do odgrywanej przeze mnie roli pazia. Skinęłam głową.

- Pieczołowicie przechowuję go w mojej skrzyni.

- A zatem włóż go czym prędzej i przyjdź do mojej pracowni - polecił i odwrócił się do wyjścia.

Pospieszyłam spełnić jego polecenie, czując, że przechodzi mi dreszcz podniecenia. Nie kazałby mi przecież wracać do dawnej roli pazia, gdybyśmy nie mieli przystąpić do kolejnego śledztwa!

Kilka minut później stałam przed drzwiami Mistrza elegancko wystrojona w chłopięcą tunikę z błękitnego jedwabiu obszytego złocistym aksamitem i dobrane do niej kolorystycznie pończochy. Ukoronowaniem dzieła signora Luigiego były czerwone buty i czapka, doskonale pasujące do sznurówek zdobiących rozcięcia rękawów tuniki. Zgodnie z wymogami najnowszej mody biała koszula, którą miałam pod spodem, wystawała przez rozcięcia, sprawiając, że moje szczupłe ramiona wydawały się znacznie tęższe.

- Ach, tu jesteś, Dino. - Leonardo gestem zaprosił mnie do środka i usiadł przy długim stole w głębi pokoju.

Widać było, że właśnie pracował, gdyż na blacie leżały kartki, kilka różnej wielkości pędzli i noży oraz garnek kleju. W równym rzędzie stał tuzin muszli wielkości dłoni, z których każda służyła jako miseczka na inny odcień farby. Jeszcze jedna muszla zawierała płatki złota tak cieniutkie, że nawet najlżejszy

oddech mógłby je rozrzucić. Obraz, nad którym Mistrz pracował, leżał z boku, starannie przykryty kawałkiem tkaniny, by osłonić schnące farby przed kurzem.

Na środku stołu leżała znajoma prostokątna paczuszka.

- Pamiętasz zapewne karty tarota, które znalazłem - powiedział, odwijając tkaninę i rozkładając malowane karty w równym rzędzie. - Należą do podopiecznej księcia, a więc chętnie je zwrócę właścicielce. Ale ponieważ karty te wydają się mieć jakiś nieznan mi jeszcze związek ze śmiercią Bellanki, nie chciałem się ich pozbywać, nie wykonawszy wcześniej kopii. Zobacz.

Uniósł płótno, odsłaniając drugi zestaw czterech kart. Zebrał oryginały i szybko rozłożył je pod tamtymi.

Westchnęłam z uznaniem. Karty, które namalował Mistrz, były zdumiewająco dobrymi kopiami tych, które należały do Cateriny. Odtworzył najdrobniejsze detale, od stoickiego wyrazu twarzy maleńkich postaci spadających z wieży po bogate złocenia otaczające wizerunek Diabła.

- Nie, nie dotykaj ich - ostrzegł, kiedy z podziwem wyciągnęłam rękę w stronę jednej z kart. - Farba jeszcze nie wyschła. Większą część ostatniej nocy spędziłem, sklejąc papier w karton. Malowanie i złocenie okazały się już znacznie łatwiejsze, gdyż prosty styl tego artysty nie jest trudny do kopiowania.

- Są piękne! - wykrzyknęłam. - I nawet widząc oba zestawy obok siebie, nie potrafiłabym wskazać różnic. Ale co zrobisz z kopiami, Mistrzu?

- Jeszcze nie wiem, ale jeśli okażą się potrzebne, nie będę musiał odtwarzać ich z pamięci.

Zawinał na powrót oryginalne karty, a kopie znów przykrył płótnem. Kiedy skończył, usiadł, lekko wydymając usta.

- Powiedz, Dino, czy wiesz, że karty tarota są używane do odczytywania przyszłości?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym pokręciłam głową.

- Słyszałem o starych wieśniaczkach, które przepowiadają małżeństwa, narodziny dzieci i wielkość zbiorów, patrząc w mi-

skę z wodą lub rzucając garść kamieni - odparłam. - Ale nigdy nie widziałam, by coś podobnego robiono, grając w karty.

- Ja też nie, póki dziś rano nie porozmawiałem z Lidia. Dowiedziałem się, że jest to zajęcie stosunkowo nowe i dość popularne, szczególnie wśród kobiet, które mają czas zajmować się głupstwami. Przypuszczam, iż większość z nich uważa to za jeszcze jedną rozrywkę, nieco bardziej ekscytującą niż zwyczajna gra w karty. - Zmarszczył brwi. - Ale zapewne są wśród nich i takie, które wierzą, że zajmują się sprawami ezoterycznymi i że mogą w ten sposób poznać przyszłość. A to, że bardziej zmarławiła młodą hrabinę utrata kart niż śmierć pokojówki, każe mi przypuszczać, że Caterina jest jedną z takich kobiet.

Spojrzałam na niego z niepokojem.

- Twierdzisz, Mistrzu, że ona zajmuje się przepowiadaniem przyszłości? Ale czyż takie mroczne praktyki nie są zakazane przez Kościół?

- Owszem, nie są zalecane, ale w dzisiejszych czasach większość duchownych jest na tyle wykształcona, by wiedzieć, że czary nie istnieją. - Strzelił palcami, dając wyraz swojej pogardzie dla tak nonsensownych zajęć. - Tak więc nawet jeśli ludzie będą szeptać, że podopieczna księcia zajmuje się wróżbiarstwem, nie sądzę, by groziło jej spalenie na stosie albo ukamienowanie. Ale podobne plotki mogą utrudnić Ludovicowi znalezienie dla niej stosownej partii, a co za tym idzie, przekreślić szanse na sojusz, który ma nadzieję zawrzeć.

- Co więc zrobimy, Mistrzu?

- Nic. - Po tym obojętnym stwierdzeniu wsunął pakiet z kartami pod tunikę i wstał. - Takie sprawy lepiej zostawić doradcom księcia, którzy z pewnością nie będą milczeć, jeśli rozrywki młodej damy okażą się niestosowne. Co zaś do mnie, Il Moro zlecił mi namalowanie portretu swojej kuzynki i zorganizowanie uroczystości, na co będę musiał poświęcić wiele czasu. Tak więc obawiam się, że to uniemożliwi nam zbadanie sprawy morderstwa nieszczęsnej Bellanki.

- Ale przecież nie możemy pozwolić, by zbrodnia pozostała bezkarna - wypaliłam z oburzeniem. - Chętnie zajmę się tą sprawą w twoim imieniu... oczywiście jeśli się zgodzisz, Mistrzu.

Leonardo uśmiechnął się nieznacznie.

- Mój drogi chłopcze, jak sądzisz, po co kazałem odświeżyć ten elegancki strój? Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo, ale mógłbyś zadać jakieś pytanie temu lub owemu, co z kolei mogłoby nas doprowadzić do rozwiązania tajemnicy. A więc moja odpowiedź brzmi: tak, daję ci moje pozwolenie.

A gdy stałam przed nim rozpromieniona ze szczęścia, klepnął mnie lekko w ramię.

- Jeśli chcesz prowadzić śledztwo, to nie trać czasu. Powinniśmy złożyć wizytę pewnej damie.

- Nie mogę uwierzyć, że je znalazłeś! - wykrzyknęła radośnie Caterina, przyciskając do siebie małą paczuszkę, jakby zawierała najcenniejsze klejnoty.

Chwilę wcześniej Mistrz i ja stawiliśmy się w jej prywatnych pokojach. Caterina, jako krewna Ludovica, mieszkała w tym skrzydle zamku Sforzów, gdzie przebywali, pracowali i sypiali arystokraci. Znałam nieco tę część zamku, gdyż bywałam tu z Leonardem, kiedy staraliśmy się rozwiązać tajemnicę śmierci hrabiego Ferrary.

W dawnych latach zamek był przede wszystkim twierdzą, czego pamiątkę stanowiły liczne wilgotne, źle oświetlone komnaty, pozbawione jakichkolwiek malowideł i rzeźb. Il Moro, mimo swego brutalnego podejścia do życia, zmienił ten stan, urządzając sobie luksusowy pałac.

Dlatego też książę przeznaczał znaczne środki na dobudowanie nowych skrzydeł, przeróbki starych komnat, jak również na pokrywanie wszelkich dostępnych ścian freskami Leonarda. Wprawdzie zamek nie mógł się szczycić zapierającym dech W piersiach splendorem pałaców europejskich, lecz jego ogromne rozmiary wciąż budziły mój podziw.

Odgrywając rolę pazia, przekazałam jasnowłosym pokojówkom Cateriny prośbę Leonarda o audiencję u ich pani. Natychmiast zostaliśmy wprowadzeni do jej prywatnych pokoiów. Leonardo wystąpił do przodu, trzy blondynki szczebiotały w kącie komnaty, ja zaś trzymałam się kilka kroków za Mistrzem, jak przystało komuś mojej pozycji. Mistrz z pełnym gracji ukłonem sięgnął pod tunikę i wręczył młodej hrabinie owinięty materiałem pakiet.

Ten prosty gest sprawił, że aż krzyknęła z radości.

W jednej chwili, zapominając o naszej obecności, Caterina uważnie obejrzała każdą z kart, jakby chciała się upewnić, że naprawdę je odzyskała. Tymczasem jej pies przybiegł z sypialni, wesoło szczekając na widok gości.

Dzisiaj miał na swej długiej szyi szeroką, wyszywaną różowo-złotą obrozę, dopasowaną do kolorów brokatowej sukni Cateriny i wstążek zdobiących jej starannie ułożone włosy. Z niejakim rozbawieniem patrzyłam na Pio, wydawał się bowiem równie szczęśliwy z dobrej nowiny, jak jego pani - zaczął skakać na długich, cienkich tylnych łapach niczym akrobata na targowisku.

Najwyraźniej uznając, że karty wróciły do niej nienaruszone, Caterina wsunęła je do sakiewki przy pasie. Dała skaczącemu psu znak, by usiadł, po czym obdarzyła Mistrza i mnie pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Muszę przyznać rację tym, którzy nazywają cię geniuszem, signore. Jak udało ci się je odnaleźć?

- To była tylko kwestia sprawdzenia rzeczy oczywistych - odparł chłodno. - Ponieważ byłaś pewna, że Bellanca miała je przy sobie, po prostu sprawdziłem w ostatnim miejscu, w którym przebywała żywa... W wieży, z której spadła.

- W wieży, tak... - przytaknęła i uśmiech zniknął z jej twarzy. - To dobrze, że poszukałaś tam w moim imieniu, gdyż sama bym ich nie znalazła. Nigdy więcej moja noga tam nie stanie... To znaczy, nie chciałabym znaleźć się w tym miejscu po ostatnich wydarzeniach.

Choć starałam się zachować obojętny wyraz twarzy, przeszedł mnie dreszcz, gdy poprawiła się pospiesznie. Rumieniec, który natychmiast wykwitł na jej policzkach, gdy uświadomiła sobie swój błąd, utwierdził mnie w przekonaniu, że się nie pomyliłam. Ale jaki powód miała hrabina, żeby wchodzić na wieżę?

A co ważniejsze, czy mogła tam być w chwili, kiedy Bellanca spadła lub została zepchnięta?

Choć byłam pewna, że wcześniej niż ja zwrócił uwagę na jej przejęzyczenie i rozumiał jego możliwe konsekwencje, Mistrz nie dał po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał. Rzekł tylko obojętnym tonem:

- Cieszę się, że mogłem wyświadczyć ci przysługę, pani. A prawdę mówiąc, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym spędzić więcej czasu w twoim towarzystwie. Czy książę powiadomił cię, że zamówił u mnie twój portret?

Caterina skinęła głową i zmarszczyła nos z niezadowoleniem, jak mała dziewczynka.

- Powiedział mi o tym dziś rano, choć nie potrafię odgadnąć, dlaczego ktoś miałby sobie życzyć mojej podobizny. Poza tym na dworze jest mnóstwo znacznie piękniejszych kobiet, bardziej godnych tego zaszczytu.

- Z całym szacunkiem, muszę się sprzeciwić - wtrącił skwapliwie Leonardo. - Jako człowiek, który namalował wiele kobiet, mam podstawy twierdzić, że twoje rysy są bardziej warte sportretowania niż większości innych. Zapewniam cię, hrabino, że będziesz zadowolona z rezultatu.

- Dobrze. Nie mogę się sprzeciwiać życzeniom mojego kuzyna, nawet jeśli są sprzeczne z moimi. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała z uśmiechem: - Będę chętniej pozować, jeśli się zgodzisz, by Pio znalazł się na obrazie...

- Doskonały pomysł. Skoro się zgadzasz, pani, przyjdę jutro o tej samej porze, byśmy mogli przystąpić do pracy - rzekł z lekkim ukłonem. - Czy pozwolisz, hrabino, że zadam ci pytanie dotyczące kart tarota?

Odwróciła się do niego, a wyraz jej twarzy nagle stał się nieufny.

- Co chciałbyś wiedzieć, signore?

- Słyszałem, że karty te mogą być używane do celów innych niż tylko rozrywka - odparł obojętnym tonem. - Mówiono mi wręcz, że niektórzy używają ich do przewidywania rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły. Czy może umiesz, pani, odczytywać karty w taki sposób?

- Signor Leonardo, pytasz, czy umiem przepowiadać przyszłość?

Beztronski śmiech, towarzyszący temu pytaniu, zabrzmiał w moich uszach fałszywie. Nie odpowiedziała od razu, lecz najpierw nieco nerwowo zerknęła przez ramię na swoje pokojówki. Te zaś nagle przestały paplać i przyglądały się Mistrzowi z wyraźną podejrzliwością.

Jednak w następnej chwili Caterina odzyskała kontrolę nad sobą i znowu spojrzała mu w oczy.

- Zaskakujesz mnie, signore. Jesteś znany nie tylko jako artysta czy również jako uczony i wynalazca, czyż nie? Człowiek taki jak tylnie wierzy przecież we wróżby i przepowiadanie przyszłości.

- Wprost przeciwnie, hrabino. Jako naukowiec i wynalazca jestem otwarty na wszelkie teorie. Czasami nie jest istotne, w co wierzę... lecz to, w co wierzą inni.

Caterina wzruszyła ramionami.

- Doskonale, nie mam nic do ukrycia. Służąca Lidia powiedziała mi, że moja matka niegdyś odczytywała przyszłość, wyciągając kilka przypadkowych kart i wyjaśniając ich znaczenie. Zaproponowała, że mnie też tego nauczy, ja zaś pomyślałam, że mogłoby to być zabawne. Czasami spędzamy tak czas z moimi dziewczętami, ale to tylko zabawa.

- Tak sądziłem - przyznał Leonardo. - Wreszcie, jakby po chwili namysłu, dodał: - Niemniej muszę wyznać, że zdumiewa mnie, jak Bellance udało się zabrać karty bez twojej wiedzy,

pani. Zastanawiam się, czy wierzyła w ich głębsze znaczenie. Czy możesz mi powiedzieć, hrabino, jak należałoby je odczytać, gdyby ktoś wyciągnął te cztery karty...?

Na mgnienie oka młodzieńcze rysy Cateriny zniekształcił grymas gniewu, a potem cierpienia. Trwało to jednak tak krótko, że może tylko mi się zdawało. Na koniec posłała Mistrzowi lodowate spojrzenie.

- Powiedziałybym, że ostrzegają przed niebezpieczną zażyłością z mężczyzną, który twierdzi, iż proponuje pomoc. Łatwo można ulec emocjom, lecz tak nierozważna współpraca doprowadzi do katastrofy.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i udała do sypialni; radośnie podskakujący Pio podążył tuż za nią. Trzy jasnowłose kobiety spojrzały na Mistrza z mieszaniną gniewu i rozczarowania, po czym pospiesznie ruszyły za swoją panią. Kiedy zatrzasnęły się za nimi drzwi, Leonardo i ja zostaliśmy sami.

- Zdaje się, że nas odprawiono - mruknął z lekko ironicznym uśmiechem.

Spojrzałam mu w oczy. Gestem nakazując milczenie, poprowadził mnie z powrotem przez labirynt korytarzy, aż dotarliśmy do wyjścia na główny dziedziniec.

Szliśmy z pozorną beztróską w stronę kamiennej ławy, na której niegdyś dyskutowaliśmy o różnych naszych domysłach i przypuszczeniach. Zazwyczaj jego hipotezy okazywały się lepsze, choć muszę dodać, że i mnie kilka razy udało się dostrzec zależności, które umknęły Mistrzowi.

Teraz tylko przygryzłam wargę, by myśli kłębiące się w mojej głowie nie znalazły przedwcześnie ujścia. Po naszej krótkiej rozmowie z młodą hrabiną nie miałam wątpliwości, że wie ona coś na temat śmierci Bellanki, a może nawet miała z nią coś wspólnego. Mistrz nie dał po sobie poznać, czy jest podobnego zdania, lecz idąc, kłaniał się i uśmiechał uprzejmie do mijanych arystokratów.

W końcu doszliśmy do kamiennej ławy i gestem zaprosił mnie, bym usiadła.

- Widzę, drogi chłopcze, że aż kipsisz od pytań i teorii - powiedział, ironicznie unosząc brwi. - Mów zatem. Uważaj tylko, bo ktoś może nas słyszeć.

Rozejrzałam się pospiesznie dookoła, by się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu, i rzekłam cicho:

- Ona była wcześniej w wieży. Zastanawiam się, czy mogła tam być, kiedy spadła Bellanca. Może ona właśnie zostawiła na ciele otarcia ofiary, szarpiąc się z dziewczyną, by powstrzymać ją od skoku... lub wręcz przeciwnie, by ją zepchnąć!

- Zakładam, że mówiąc „ona”, masz na myśli panią Caterinę - przerwał Mistrz. - Przyznaję, nie można wykluczyć, że wie o śmierci swojej służącej więcej, niż chce przyznać, lecz bardziej interesuje mnie mężczyzna, o którym wspomniała, przedstawiając swoją interpretację kart. Zaryzykowałbym nawet przypuszczenie, że ma to coś wspólnego z człowiekiem, który do tej pory stanowi dla nas zagadkę... Z kapitanem gwardii Il Moro.

- Może hrabina wiedziała o związku swojej służącej z kapitanem i nie pochwałała go, więc użyła kart, by dać jej to do zrozumienia

Wypowiedziałam tę sugestię po chwili wahania. Caterina oczywiście miała prawo decydować, z kim powinna się wiązać jej pokojówka. Ale czy nie z tego powodu właśnie Bellanca odebrała sobie życie?

Leonardo jednak pokręcił głową.

- Obawiam się, że jesteśmy bliscy popełnienia błędu, jak nowicjusz, który tworzy teorię, nim zgromadzi wystarczające dowody. Najpierw musimy dowiedzieć się więcej o poszczególnych graczach; dlatego dyskretnie zgromadziłem informacje o kapitanie.

Oczywiście nie zapytałam Mistrza o ich źródło, wiedząc, że równie dobrze mógł to być stajenny, jak ktoś z rodu Sforzów. Dawno już zorientowałam się, że Leonardo ma prosty, choć rzadki dar - umiejętność poruszania się z jednakową swobodą wśród prostych ludzi i arystokratów. Często wyznawali mu swoje najmroczniejsze grzechy, nawet jeśli działo się to przypadkowo. Tak

więc, biorąc pod uwagę mój małej sekret nierozważnego zainteresowania osobą niebezpiecznie przystojnego kapitana, bardzo starałam się nie okazywać zbytniego zainteresowania tym, czego dowiedział się Mistrz.

- Ma na imię Gregorio - zaczął Leonardo. - I jeszcze do niedawna dowodził oddziałem w wojnie z jakimś wrogiem Il Moro. Od większości najemnych żołnierzy odróżnia go to, że nie jest cudzoziemcem, lecz najwyraźniej wychował się tutaj, w zamku Sforzów. Podobno bardzo wcześnie zaciągnął się do wojska, co tłumaczy jego odpowiedzialne stanowisko mimo młodego wieku.

Zamilkł, a ja czekałam, co usłyszę dalej. Jak zwykle, Mistrz mnie nie rozczarował.

- Zdaje się, że Gregorio odniósł jakąś niezbyt poważną ranę i z tego powodu przed kilkoma miesiącami wrócił do zamku - opowiadał dalej. - Właśnie wtedy udało mu się zdobyć awans na kapitana gwardii Il Moro. Miał tę przewagę nad innymi kandydatami, że słowami posługuje się równie biegle jak mieczem. - Leonardo nieznacznie zmarszczył brwi. - Kilka osób opisuje go jako czarująco bezwzględneho, co może być doprawdy piorunującą kombinacją... Zwłaszcza w relacjach z kobietami. Tym bardziej że tak dobrze wygląda w mundurze.

- A więc uważasz, Mistrzu, że nie byłoby dziwne, gdyby on i Bellanca byli czymś więcej niż tylko znajomymi - zasugerowałam delikatnie, czując, jak moje policzki oblewa rumieniec na wspomnienie, jak dobrze wyglądał kapitan w mundurze.

Na szczęście Mistrz nie zwrócił uwagi na moje zakłopotanie, choć zrozumiał, co miałam na myśli.

- Z pewnością wieża, z której spadła Bellanca, byłaby idealnym miejscem na schadzki - przyznał. - Mało kto poza gwardzistami ma wstęp na mury otaczające zamek. Cztery wieże są jeszcze pilniej strzeżone, ze względu na ich znaczenie dla obrony zamku. Żeby wejść do którejś z nich, trzeba zostać zaproszonym przez któregoś z gwardzistów albo przynajmniej być mu znanym.

- A więc jak tobie udało się wejść do wieży? - spytałam z zainteresowaniem.

Przez twarz Leonarda przemknął sprytny uśmiezek.

- Powiedzmy, że miałem nad nimi pewną przewagę dzięki pilnym studiom nad architekturą. Zdołałem wydedukować, gdzie budowniczy tych fortyfikacji umieścił zapasowe wejście, którego przypadkowy obserwator nigdy nie zauważy.

Sekretne przejście! W innej sytuacji coś tak tajemniczego z pewnością zajęłoby moje myśli. Tego dnia jednak zagadka tragicznej śmierci Bellanki całkowicie przykuwała moją uwagę.

- Co więc chcesz, żebym zrobił, Mistrzu? - spytałam. - Nie wątpiłem jeżeli coś łączyło Bellancę z Gregoriem, ktoś jeszcze musiał nabrać podejrzeń. Może powinienem odszukać tych dwóch młodych mężczyzn, których widziałem wczoraj na pogrzebie. Jeśli są odrzuconymi wielbicielami, mogą mieć coś interesującego do powiedzenia na temat kapitana.

- Doskonały pomysł, mój chłopcze - odparł z uznaniem, od czego zrobiło mi się ciepło na sercu, niemal tak samo jak na myśl o przystojnym kapitanie. - Ale nie obawiaj się, wbrew temu, co wcześniej mówiłem, nie zrzucę na ciebie całej roboty.

Wstał z ławy, a ja natychmiast poszłam w jego ślady.

- Zamierzam jeszcze raz porozmawiać z Lidią - rzekł, spoglądając w stronę pracowni. - Ponieważ najwyraźniej znała zmarłą hrabinę di Sassina, może być tą osobą, której zwierza się jej córka. Przypuszczam, że może mieć pojęcie o poczynaniach wszystkich młodych kobiet z otoczenia Cateriny, łącznie z Bellaną.

Zwolnił nieco kroku i odsunawszy prawy rękaw, zerknął na dziwny mechanizm przytroczony do ręki. Zegar naręczny, jak go nazywał... zaprojektowana przez niego miniaturowa wersja wielkiego zegara znajdującego się na wieży wieńczącej główną bramę zamku.

Z przyjemnością zauważyłam, że ów zmyślny wynalazek znowu pojawił się na jego nadgarstku. W czasie ostatecznego

starcia z zabójcą hrabiego Ferrary ten właśnie zegar posłużył jako prowizoryczna tarcza i osłonił Mistrza przed śmiertelnym ciosem noża. Wprawdzie jego obudowa nadal wyglądała na trochę uszkodzoną, lecz słyszałam cichutkie tykanie, jakie wydawał skomplikowany układ sprężyn i zębatek odmierzający godziny.

- Już prawie południe - zauważył. - Wracaj do pracowni i przebierz się w zwykłą tunikę, gdyż na resztę dnia wrócisz do swej roli terminatora. - I natychmiast, zanim zdążyłam wyrazić rozczarowanie, dodał: - Ale będziesz szedł bardzo długą drogą do komnaty, w której pozostali zaczęli już pracę nad freskiem. I być może po drodze nadarzy ci się okazja ustalenia tożsamości owych dwóch młodych ludzi. Jeśli ci się powiedzie, spróbuj ich odszukać i wdać się z nimi w pogawędkę. Potem opowiesz mi, czego się dowiedziałeś.

- Rozumiem, Mistrzu.

Cóż, jeśli wszystkie inne sposoby zawiodą, wrócę skruszona do Marcelli. Dino ją przeprosi. Dziewka kuchenna z pewnością zna imiona obu młodzieńców. Ale czy mi je wyjawি, to zupełnie inna kwestia... niewątpliwie wiele będzie zależało od tego, na ile uda mi się ukoić jej zranione uczucia.

- Doskonale - odparł, najwyraźniej zadowolony z tego, że pozwolił mi na własną rękę prowadzić śledztwo. - Ale pamiętaj, że jutro...

Cokolwiek Mistrz zamierzał powiedzieć, przerwał mu przeraźliwy krzyk kobiety, który odbił się echem od zamkowego muru.

W jednej chwili zlokalizowałam źródło tego dźwięku.

Kilkanaście osób zgromadziło się przy głównej bramie, u podnóża cylindrycznej wieży wznoszącej się w najdalszym narożniku czworoboku. Sądząc po ich odzieży, większość zebranych stanowili służący - niektórzy gestykulowali, inni stali nieruchomo - choć zauważyłam wśród nich wyglądających na arystokratów. Byliśmy za daleko, by widzieć, co zwróciło ich uwagę. Niemniej zgromadzenie niepokojąco przypomniało mi to, co wydarzyło się kilka dni wcześniej przy innej wieży.

Mistrz podzielał moje obawy.

- Chodźmy, Dino - ponaglił mnie, ruszając pospiesznie w stronę wieży. - Wygląda na to, że ktoś potrzebuje pomocy, której być może będę umiał udzielić.

Popędziłam za nim. Kiedy znaleźliśmy się bliżej, zauważyłam, że liczba ludzi kłębiących się przy wieży szybko rośnie. Najprawdopodobniej krzyk przyciągnął uwagę spacerujących po okolicy podobnie jak my. Zlatują się jak muchy do łajna, przemknęło mi przez myśl.

Albo jak te owady otaczające rojem coś znacznie bardziej makabrycznego.

Leonardo spokojnie, lecz stanowczo przeciskał się przez krąg gapiów, ja zaś podążałam tuż za nim. Ledwie przebił się przez tłum, stanął jak wryty, a ja omal na niego nie wpadłam. Wspięłam się na palce i zajrzałam mu przez ramię, by sprawdzić, co go tak nagle zatrzymało.

Na pierwszy rzut oka starsza kobieta siedząca na trawie zaledwie kilkanaście kroków przed nim wydawała się pogrążona we śnie. Nogi miała wyciągnięte prosto przed siebie tak, że kostki i łydki wystawały spod prostej brązowej sukni i wytartej koszuli, którą miała pod spodem. Opierała się o kamienne bloki portyku u podstawy wieży, z opuszczoną głową i spokojnie zamkniętymi oczami. Przyjrawszy się dokładniej, zauważyłam, że z jej na wpół otwartych ust spływa strużka piany, a skóra ma nienaturalny bladospiny odcień.

Prerażona, nie mogłam oderwać wzroku, gdyż coś w tej kobiecie wydało mi się bardzo znajome. Dopiero gdy zobaczyłam jej długi czarny warkocz bez śladu siwizny, zdałam sobie sprawę, kim jest.

- Lidia - szepnęłam, na co Mistrz odpowiedział tylko skinieniem głowy.

Podszedł i przyklęknął przy niej, podczas gdy ja zostałam nieco z tyłu, wśród gapiów. Pobieźnie zbadał jej puls, po czym dokładnie obejrzał nieruchome ciało, starając się go nie dotykać.

Na koniec, ku memu zaskoczeniu, pochylił się nad nią i... co dziwne, wydawało się, jakby powąchał jej wargi!

- To Lidia. Ona nie żyje, prawda? - rozległ się tuż za nami rozgorączkowany głos.

Kobieta, która zadała to pytanie, wyglądała na praczkę, szerokie rękawy miała podwinięte tak wysoko, że odsłaniały tęgie, zaczerwienione ramiona ściskające stertę pachnącego świeżością płótna. Wymierzywszy zręcznego kuksańca łokciem, przecięła się między mną a grubym służącym, by lepiej widzieć, co się dzieje.

Natychmiast rozległy się inne głosy powtarzające pytanie praczki. W ciągu kilku ostatnich minut podwoiła się liczba gapiów, którzy po śmierci Lidii interesowali się nią o wiele bardziej niż za życia. Wszyscy trzymali się jednak w bezpiecznej odległości od ofiary na wypadek gdyby to, co spowodowało jej śmierć, okazało się zaraźliwe.

Wbrew sobie również ja się gapiłam, nie mogąc oderwać wzroku. Widok leżącej tam Lidii niespodziewanie przypomniiał mi jedną z kart tarota Cateriny... tę, która symbolizuje Wieżę. Namalowany na niej wizerunek przedstawiał dwie postacie spadające z pękniętej wieży. Dwie. Czy fakt, że w odstępnie zaledwie kilku dni dwie kobiety zostały znalezione w cieniu jednej z zamkowych wież, to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności?

A może karty Cateriny dawały jednak wgląd w przyszłość?

Mistrz, najwyraźniej usatysfakcjonowany oględzinami, wstał i otrząpał trawę z kolan. Spojrzałam na niego pytająco.

- Wiesz, co ją zabiło?

Celowo starałam się mówić cicho i, rozcierając obolałe zębra, odsunęłam się od energicznej praczki. Ta jednak nie zwróciła uwagi na moją rejteradę, gdyż ucapiła osłupiałego służącego za ramię i tak upolowanemu słuchaczowi wykładała swoje teorie.

Leonardo pokręcił głową.

- W tym momencie jeszcze nie potrafię tego powiedzieć z całkowitą pewnością, lecz mam pewne podejrzenia.

Wskazał niewielkie proste gliniane naczynie, które leżało przewrócone przy prawej dłoni martwej kobiety. Było na pół ukryte w trawie i dlatego dotychczas go nie zauważyłam.

Zręcznym ruchem - przy swoich innych talentach Leonardo był również sprawnym iluzjonistą - niepostrzeżenie jak magik wyciągnął płat materiału ze stosu utrzymanego przez praczkę. Wreszcie, starając się go nie dotykać rękoma, podniósł garnuszek i pospiesznie owinał w płótno.

Ledwie zabrał naczynie, tłum gapiów zafalował niczym stado kur spłoszonych pojawieniem się lisa. Przez ciżbę przebijało się trzech księżących gwardzistów... a wśród nich - na ten widok mój puls przyspieszył - mroczny, przystojny kapitan gwardii.

Mając swych ludzi po obu stronach, Gregorio stanął przed ciałem Lidii i patrzył na nie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Po chwili zwrócił się do Leonarda i zapytał ostro:

- Co tu się dzieje?

- Obawiam się, kapitanie, że wiem nie więcej niż ty.

Mówiąc te słowa, Mistrz podał mi zawinięte w płótno naczynie gestem tak swobodnym, że prawie nie zwróciłam na to uwagi. Ostrożnie wzięłam pakunek - teraz miałam pewność, że podejrzewa, iż naczynie zawiera jakąś truciznę - wycofałam się w zgromadzony tłum możliwie jak najdyskretniej.

- Przyszedłem dopiero przed chwilą - rzekł Leonardo z zadowoloną miną. - Niestety, tej nieszczęsnej kobiecie... zdaje się, że miała na imię Lidia... już nie można w żaden sposób pomóc. Jeszcze nie miałem okazji porozmawiać ze zgromadzonymi, by dowiedzieć się, czy ktokolwiek z nich widział coś niezwykłego, jeśli zgodzisz się, by twoi żołnierze ich zatrzymali, postaram się szybko to załatwić.

Twarz kapitana stężała; zignorował sugestię Mistrza.

- Ty jesteś Leonardo Florentyńczyk, czyż nie? Słyszałem od mojego poprzednika, że Il Moro daje ci wolną rękę w zamku. I to właśnie tobie nie tak dawno temu zlecił znalezienie mordercy swojego kuzyna.

- Z pewnością dobrze wiesz, że tę decyzję podjął sam książę - odparł Mistrz, wzruszając ramionami. - Miał powody podejrzewać, że zabójcą jest ktoś blisko związany z dworem, może nawet któryś z gwardzistów. Ponieważ stosunkowo niedawno przybyłem do zamku, uznał, że może mi zaufać.

- Więc dlaczego ja mam wrażenie, że nie powinienem ci ufać? - spytał Gregorio, wyszczerzając zęby w grymasie niezbyt przypominającym uśmiech. - Nie obawiaj się, ja i moi ludzie zajmujemy się wszystkim. Ty już nie musisz sobie zawracać głowy tą sprawą.

Spodziewałam się, że Leonardo będzie oponował, lecz on po prostu skinał głową.

- Jak sobie życzysz, kapitanie. Ale może pozwolisz mi zabrać tę nieszczęsną kobietę do infirmerii, aby medyk mógł ustalić przyczynę śmierci. I oczywiście rodzina, jeśli ma jakąkolwiek tu, w zamku, zostanie powiadomiona o tym smutnym zdarzeniu.

- Stanowczo zbyt dużo oczekujesz po naszym szanownym medyku. Wątpię, by potrafił określić przyczynę śmierci bardziej skomplikowaną od noża wbitego w serce lub sznura zaciśniętego na szyi. Co zaś się tyczy rodziny tej kobiety, to miała tylko syna, który doskonale wie, co się zdarzyło.

- Ale jak to możliwe? - zaprotestował Mistrz. - Przecież do tej tragedii doszło dosłownie przed chwilą.

Krzywy uśmiech kapitana zamienił się w pogardliwy grymas.

- Sądziłem, że jesteś sprytniejszy, Florentyńczyku. Wie, ponieważ stoi przed tobą. Tak się składa, że Lidia była moją matką.

7. *Rydwan*

*Stań na swoim wozie,
a droga będzie wyraźniej widoczna.*

Leonardo da Vinci *Notatniki Delfiny delia Fazio*

Szybciej, Dino! Gips wyschnie, jeśli będziesz stał, śniąc na jawie! - zawołał Constantin i klepnął mnie w ramię.

Posłusznie skinęłam głową, nabrałam na szpachelkę gipsu i rzuciłam na ścianę. Kilka białych kropel prysnęło, plamiąc moja tunikę i twarz. Nie otarłam ich jednak, wiedząc, że następna porcja ochłapie mnie tak samo.

- Pospiesz się, Dino! - odezwał się Tito tuż obok mnie. Szybko nabierał gips ze swojego wiadra i z rytmicznymi plaśnięciami rozprowadzał na ścianie. Vittorio i Bernardo depczą nam po piętach!

Od wczesnego ranka pokrywaliśmy gipsem część ściany, przygotowując ją pod nowy fresk Leonarda. Projekt był mniej ambitny od wielu poprzednich fresków, przy których pracowałam, ponieważ miał zdobić ścianę prywatnego pokoju, a nie sali publicznej. Tutaj ściany były znacznie niższe niż w okazałych komnatach, które dekorowaliśmy wcześniej. Dlatego nie musieliśmy niebezpiecznie balansować na rusztowaniach, aby przygotować podłozę w najwyższych partiach. Kiedy trzeba było sięgnąć wyżej, stawaliśmy po prostu na skrzyniach i stołkach.

Zaprawa - mieszanina wapna, wody i piasku - została przygotowana dzień wcześniej. Dziś rano wystarczyło ją rozmieszać z wodą i rozprowadzić na ścianie. Tito i ja zaczęliśmy w przeciwnym końcu pomieszczenia i przesuwaliśmy się ku środkowi, nakładając warstwę zaprawy. Bernardo i Vittorio szli za nami z dużą deską, wyrównując przygotowane części ściany tak, jak garbarz wygładza skórę skrobakiem.

Drugi zespół uczniów, stosując tę samą metodę, zaczął pracę w drugim końcu pomieszczenia. Mieliśmy się spotkać pośrodku, aby dzięki naszym połączonym wysiłkom powstała jedna, gładka biała powierzchnia. Pracując pod nadzorem Constantina, spotykaliśmy się już dwukrotnie. Po nałożeniu każdej warstwy używaliśmy przypominającego grzebień narzędzia, którym wydrapywaliśmy na całej ścianie rowki, aby następna warstwa mocniej trzymała się poprzedniej.

Westchnęłam, rozprostowując obolałe ręce. Pod koniec dnia ściana będzie pokryta grubą na jakieś dziesięć centymetrów warstwą zaprawy i przygotowana pod ostatnią warstwę gipsu. Na tym jednak nasze zadanie się nie skończy. Kiedy już upewnimy się, że gips całkowicie wysechł, przy użyciu wykonanych przez Paola i Davida dużych wzorników przeniesiemy na ścianę kontury projektu fresku.

Takie prace zawsze wykonywali uczniowie. Specjalnym narzędziem obrysowywaliśmy kontury na szablonie, wykonując maleńkie dziurki wzdłuż narysowanych linii, aby uzyskać szablony. Następnie przytwierdzaliśmy rysunek do ściany za pomocą wosku i jeden lub kilku z nas zabierało się do czynności zwanej przeprószaniem. Polegała na delikatnym uderzaniu małym woreczkiem ze sproszkowanym węglem drzewnym wzdłuż takich dziurkowanych linii. Czarny pył przedostający się przez otworki na ścianę zostawiał wierne odwzorowanie rysunku.

Niestety, człowiek wykonujący tę czynność na koniec był cały czarny od węgla, więc bezwstydnie robiłam, co mogłam, by uniknąć tego zajęcia, jeśli to możliwe.

Dalsze etapy pracy były mi już równie dobrze znane. Kiedy kontury zostały przeniesione na ścianę, Mistrz przychodził obejrzeć rezultat. Marszcząc brwi i mruczając do siebie, nanosił poprawki i zmiany, po prostu ścierając ślady węgla i rysując od nowa takie, jakie bardziej mu odpowiadały. Gdy był już całkiem usatysfakcjonowany, Constantin, Paolo i David nanosili ostateczne kontury tuszem.

I dopiero wtedy naprawdę zaczynała się praca nad freskiem.

Narzuciłam na ścianę kolejną szpachelkę zaprawy na ścianę, wyobrażając sobie, jak wkrótce będzie wyglądać jej powierzchnia. Rankiem jeden z uczniów nakładał cienką warstewkę gipsu na taki obszar, jaki Mistrz miał pokryć freskiem tego dnia. Był to proces wymagający wielkiej precyzji oraz dokładnego przewidywania tempa i czasu pracy. Za każdym razem, gdy Mistrz kończył jakiś fragment fresku, jego krawędzie były starannie przycinane do linii prostych. Dzięki temu warstwa gipsu nałożona następnego dnia dokładnie do niej przylegała i choć ostateczne dzieło składało się z wielu sekcji, sprawiało wrażenie jednolitej całości.

Oczywiście każdego dnia warstwa gipsu zakrywała znajdujące się pod nią kontury i tę część szablonu należało jeszcze raz nanieść na ścianę. Kiedy już było to zrobione, inni uczniowie zajmowali się mieszaniem potrzebnych tego dnia różnych odcieni tempery. Mieszanina pigmentu, żółtka jaja i ciepłej wody szybko wysychała, więc rozrobioną porcję farby należało zużyć w krótkim czasie.

Dopiero gdy wszystko było gotowe, Leonardo mógł przystąpić do pracy. Było to niebywale trudne zajęcie, przy którym nie można było popełnić błędu. Gdy poszczególne kolory kolejno nakładano na gips, tempera wsiąkała w gładką powierzchnię, po wyschnięciu stając się po prostu częścią ściany. Czasami Mistrz pozwalał nam się przyglądać, jak maluje, a wtedy staliśmy za nim, trzymając się z szacunkiem w pewnej odległości i podziwiając magię szybkich ruchów jego pędzla. Kiedy indziej przeganiał nas, wołając pracować w samotności. Jeszcze innym razem, gdy dopadało go znużenie lub rozpierała energia, nie malował w ogóle. Wówczas pozwalał jednemu ze starszych uczniów - takiemu, który umiał już naśladować jego styl - malować całą przewidzianą na ten dzień część fresku.

Westchnęłam, nakładając kolejną porcję zaprawy. Podejrzewałam, że choć tak pilnie pracowaliśmy nad przygotowaniem ściany, minie sporo czasu, nim Mistrz wróci do tej komnaty. Miał

w końcu tylko dwa tygodnie na ukończenie portretu Cateriny, a prócz tego czekało go przygotowanie festiwalu dla uświetnienia jej zaręczyn z jeszcze niewybrany księciem. I przypuszczałam, że po wczorajszej tak dziwnej śmierci Lidii ta sprawa również będzie pochłaniała jego uwagę, mimo że księżę wyraźnie zabronił mu marnować czas na jakiegokolwiek inne zajęcia.

- Dino, ranisz moje uszy, jęcząc i stękając jak stara baba - odezwał się Tito, wyrывая mnie z zamyślenia. - Dla mnie ta praca też jest nużąca, ale nie każę ci wysłuchiwać moich narzekań.

Przyszło mi do głowy kilka ciętych odpowiedzi, ale tylko pokazałam mu język i narzuciłam na ścianę następną porcję zaprawy. Niestety, zrobiłam to odrobinę mocniej, niż było trzeba, i nieco prysnęło na Tita.

Odkoczył, rzucając kilka soczystych przekleństw.

- Patrz, co zrobiłeś! - krzyknął, spoglądając na swoją zaplamioną tunikę z udawanym oburzeniem.

Wzruszyłam ramionami i wyszczerzyłam zęby w głupawym uśmiechu.

- Przepraszam, Tito. Przysięgam, że to nie było celowo. Ale poza tym i tak cały jesteś zachlapany gipsem.

- Tak, ale to wyłącznie przez własną nieuwagę - naburmuszył się. - A to jest twój gips... i zupełnie inna sprawa.

- I kto teraz zachowuje się jak stara baba? - odcięłam się z uśmiechem i wróciłam do swojej pracy. Ledwie jednak nabrałam następną szpachelkę, gdy poczułam, że coś miękkiego uderzyło mnie w sam środek pleców.

- Co to takiego?

Z tym okrzykiem zerknęłam szybko przez ramię. Vittorio i Bernardo patrzyli na mnie, rżąc ze śmiechu. Zmarszczyłam brwi, widząc, że duża kłucha białego gipsu przykleiła się między moimi łopatkami. Tkwiła tam przez chwilę, po czym ześlizgnęła się, lądując z plaśnięciem na kamiennej podłodze.

- Przepraszam - powiedział Tito, tłumiąc śmiech i ostentacyjnie dolewając wody do wiadra z zaprawą. - Przysięgam, że to nie było specjalnie.

- Jestem pewien, że nie - odparłam z przesadną uprzejmością.

Najwyraźniej przekonany, że swoim upomnieniem przywołał nas wystarczająco do porządku, Constantin wyszedł z pokoju. Ośmielona jego nieobecnością, odczekałam, aż Tito znowu pojdzie do ściany; wtedy nabrałam na szpachelkę gipsu i rzuciłam w niego.

Klucha, z miłym dla mojego ucha plaśnięciem, wyładowała na jego ramieniu.

- Ach! - krzyknął zaskoczony. Po czym, uśmiechając się szeroko, zanurzył swoją szpachelkę w wiadrze.

- Wypowiedziałeś wojnę, Dino. Teraz się poddaj - zażądał, wymachując pełną zaprawy szpachelką. - Albo przygotuj się na poniesienie konsekwencji!

- Nigdy!

Po tej buńczucznej odpowiedzi i ja nabrałam porcję gipsu. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, krążąc wokół siebie niczym wojownicy szykujący się do zadania ciosu, a w końcu, wydając bojowe okrzyki, zaczęliśmy się obrzucać gipsem.

- Pokaż mu, Tito!

- Dobry strzał, Dino!

- To drugie trafienie... Dino, on zwycięża!

Vittorio i Bernardo, do których po chwili dołączyli i inni uczniowie, porzucili swoje zajęcia. Otoczyli nas szerokim kręgiem, klaszcząc i głośno zagrzewając do walki.

- Ach! - krzyknął Bernardo, udając ból, gdy jeden z moich pocisków chybił celu. - Trafiłeś mnie zamiast Tita!

Nie miałam czasu na przeprosiny, gdyż porcja gipsu uderzyła mnie prosto w pierś. Tito jednak także nie wyszedł cało, gdyż mój następny pocisk trafił go w tył głowy, gdy odwracał się po amunicję. Odwrócił się błyskawicznie z płonącym wzrokiem

i uśmiechnął się szeroko, unosząc nie jedną, lecz dwie szpachelki pełne gipsu.

- To nieuczciwe - zaprotestowałam ze śmiechem, choć zaniepokoiłam się, widząc, że naprawdę zamierza użyć obu równocześnie. Moje wiaderko było już puste, więc nie miałam czym mu odpłacić. A zanim zdążyłabym podbiec do dużego wiadra stojącego przy drzwiach, by nabrać więcej zaprawy, przez ten czas Tito mógłby mnie ostrzeliwać zupełnie bezkarnie.

Podczas gdy inni uczniowie, śmiejąc się, zagrzewali go do walki, odłożyłam szpachelkę i skrzyżowałam ręce na piersi w teatralnym geście kapitulacji.

- Proszę, oszczędź mnie, mój dobry Tito, a ja chętnie uznam cię za zwycięzcę!

Ta prośba nie była całkiem udawana, ponieważ wyobraziłam sobie gips ściekający mi po twarzy i włosach, lecz wtedy Tito przypuścił ostatni atak. Zacisnęłam zęby. Nieważne, jak to się skończy, oboje spędzimy sporo czasu na zmywaniu śladów naszej małej wojny. A lewą ręką Tito zapewne będzie gorzej celował.

Tito tymczasem pokręcił głową.

- Ty zaczęłaś walkę, Dino - zawołał, przekrzykując innych chłopców - a ja zamierzam ją skończyć! A teraz zmów modlitwę i szykuj się na koniec!

Z tym okrzykiem cisnął równocześnie zawartość obu szpachelek. Nie zwlekając, padłam na kamienną podłogę, osłaniając głowę i mając nadzieję, że zdążę uniknąć bombardowania. Kilka sekund później, gdy nie poczułam spadającego na mnie gradu gipsu, wiedziałam już, że jestem bezpieczna.

- Aha, bitwa skończona - oznajmiłam, siadając i uśmiechając się triumfalnie do Tita. - Myślę, że możemy uznać to za remis i...

Przerwałam nagle, widząc, że Tito wcale mnie nie słucha, lecz wpatruje się z przerażeniem w jakiś punkt za mną. Pozostali uczniowie dziwnie zamilkli, a po ich twarzach również było

widać, że są wstrząśnięci. Wstałam z podłogi, ślizgając się na pokrywających ją plamach gipsu. Nagle ogarnął mnie lęk. Odwracałam się powoli, zdając sobie sprawę już po raz drugi w ciągu zaledwie kilku dni, że tak niespodziewany koniec wesołej zabawy może mieć tylko jedną przyczynę.

Leonardo stał kilka kroków ode mnie, spoglądając z wyraźną odrazą na plamę z gipsu na przodzie jego pięknej czarnej tuniki. Constantin patrzył na nas zza ramienia Mistrza z miną, która stanowiła mieszaninę niedowierzania i dezaprobaty. Przez kilka chwil jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, były ciche plaśnięcia - to gips z ubrania Leonarda skapywał na podłogę. Wreszcie Tito zdjął zachlapaną czapkę i pochylił głowę.

- Mistrzu, wybacz mi, proszę! - wykrzyknął z rozpaczą, ścisnąc w dłoniach nieszczęsne nakrycie głowy - Gdybym widział, że tu stoisz...

- Wtedy celowałbyś dokładniej? - Głos Leonarda brzmiał łagodnie, lecz jego spojrzenie było surowe. - A ty, Dino, co masz do powiedzenia?

- Mistrzu, błagam o wybaczenie! - zawołałam, pochylając głowę. - Nie wiń Tita za to, co się wydarzyło. To moja wina. Ja zacząłem rozchlapywać gips; on tylko poszedł za moim przykładem.

- To moja wina - rzekł stanowczo Constantin. - Na mnie spoczywała odpowiedzialność za to, żeby praca szła gładko - ciągnął, krzyżując ramiona na piersi. - I w tym zawiodłem, zostawiając tych nędzników samym sobie na kilka minut.

- Ale to nie była moja wina - pisał Bernardo, bezpiecznie ukryty za plecami drżącego Vittoria. - Gdy mówiłem, żeby przestali, nie chcieli mnie słuchać.

- Doprawdy? - spytał cierpko Leonardo. - Zwrócił się do Constantina ze słowami: - Tito i Dino zostaną ze mną. Resztę uczniów zabierz do pracowni. Za karę, iż nie pohamowali kolegów przed wszczynaniem awantury, spędzą następny

tydzień na gotowaniu króliczych skór na klej do stiuku, noszeniu wody, drewna oraz sprzątaniu pracowni. Nie pozwól żadnemu nawet tknąć pędzla pod żadnym pozorem. Jeśli zaś idzie o ciebie... - Zawiesił głos i spojrzał na najstarszego ucznia z namysłem. - Za karę spędzisz cały tydzień, wysłuchując ich utyskiwań.

- Mistrzu... - Constantin potulnie schylił głowę, wyraźnie zadowolony z tak łagodnej kary. Dał znak pozostałym, dodając: - Wracajcie do pracowni. Pospieszcie się.

Leonardo czekał, aż wyjdą, i dopiero potem zwrócił się do mnie i Tita.

- Jaką karę powinienem wam wymierzyć? - spytał, patrząc na nas, na swoją zaplamioną tunikę i rozglądając się po pomieszczeniu.

Zawstydzona podażyłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Podłoga i gładka ściana były usiane wielkimi plamami gipsu. Na tej części, nad którą pracowaliśmy, nierówny gips szybko wysychał, gdyż Bernardo i Vittorio porzucili pracę, zanim zdążyli wygładzić powierzchnie. Jeśli nie zabierzemy się natychmiast do naprawiania szkód, trzeba będzie skuwać położony dzisiaj tynk i zaczynać od nowa.

Patrząc na to pobożowisko, poczułam, że rumienię się ze wstydu. Jak mogłam zachować się tak nierozsądnie! Skłęłam sama siebie w myślach.

- Oczywiście, Mistrzu, najpierw wygładzimy resztę tynku, a potem posprzątamy ściany i podłogę - odezwał się Tito.

- Tito i ja sami dokończymy kładzenie gipsu - dodałam pośpiesznie.

Tito przytaknął natychmiast.

Leonardo uniósł ironicznie brwi.

- To raczej naturalne. Ale jak zamierzacie odkupić swój czyn?

Tito i ja wymieniliśmy spojrzenia. Jego nieszczęśliwy wyraz twarzy niewątpliwie był bardzo podobny do mojego.

- Oddamy do prania twoją tunikę i sami za to zapłacimy - zaproponowałam niepewnie.

Tito skinął głową.

- I nie dotkniemy pędzla przez miesiąc.

- I przejmujemy gotowanie skór i inne roboty na następne trzy tygodnie, kiedy kara pozostałych uczniów dobiegnie końca - dodałam, patrząc na Mistrza z nadzieją.

Leonardo rozważał przez chwilę nasze słowa, a w końcu skinął głową.

- Tak, zrobicie to wszystko. A oprócz tego w obecności wszystkich uczniów poprosicie Constantina o wybaczenie nadużycia jego zaufania. Wtedy uznamy, że sprawa jest zakończona. A teraz bierzcie się do pracy. I nie martwcie się - dodał z lekkim uśmiechem, gdy pospieszyliśmy wykonać jego polecenie. - Za chwilę przyśle Vittoria z dwiema miskami, abyście nie musieli przerywać pracy na południowy posiłek.

- Dziękujemy, Mistrzu - odparł Tito.

Wiedziałam, że mówi szczerze. Kara, jaką otrzymaliśmy, była raczej łagodna, jeśli wziąć pod uwagę ciężar naszego przewinienia. Za taki postępek inny mistrz mógłby nas po prostu odprawić.

Ja także przeprosiłam, po czym zaczęłam szpachelką zdrypywać gips z podłogi i wrzucać go do pustego wiadra. Gdy Mistrz zatrzymał się przy w wejściu, podniosłam wzrok. Skinął znacząco głową.

- Dino, kiedy skończysz te porządki, chcę spotkać się z tobą u siebie w innej sprawie.

- Jak sobie życzysz, Mistrzu - odparłam spokojnie, choć przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Od wczorajszego popołudnia czekałam na wezwanie. Ta sprawa musi mieć coś wspólnego ze śmiercią Bellanki i Lidii... A miałam kilka informacji, którymi pragnęłam się z nim podzielić.

Pracowaliśmy bez ociągania - Tito, tak samo jak ja, chciał skończyć sprzątanie. Wtedy właśnie przypomniały mi się słowa,

które kapitan gwardii wypowiedział poprzedniego dnia: „Tak się składa, że Lidia była moją matką” - oznajmił ze spokojem, kiedy Leonardo starał się, by przeniesiono ciało zmarłej do infirmerii.

Uwierzyłam mu od razu. Między nimi nie było uderzającego podobieństwa, jeśli nie liczyć gęstych czarnych włosów, lecz sądząc z wieku, mógł być synem Lidii. Poza tym nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego miałyby kłamać w takiej sprawie, zwłaszcza że jego słowa dałoby się bez trudu zweryfikować, pytając służących, którzy znali oboje.

Zaniepokoiła mnie jednak obojętność, z jaką przyjął tę tragedię... Wydała mi się jeszcze dziwniejsza niż wyniosłość w obliczu śmierci Bellanki. Syn niewątpliwie powinien być bardziej poruszony śmiercią własnej matki.

Nie byłam pewna, co o tym sądzi Mistrz. Złożył kapitanowi uprzejme kondolencje, po czym chwycił mnie za łokieć i pospiesznie wyprowadził poza krąg gapiów, którzy nie ruszali się z miejsca.

- To chyba coś więcej niż zbieg okoliczności - mruknął, gdy już oddaliliśmy się od tłumu, a ja oddałam mu owinięty w płótno garnuszek. - Co o tym myślisz, Dino?

- Mnie również wydaje się to dziwne, ale poza tym niewiele potrafię powiedzieć - odparłam zgodnie z prawdą.

Oto kolejna martwa kobieta została niespodziewanie znaleziona pod jedną z zamkowych wież. Jej śmierć była mniej tajemnicza niż zgon Bellanki. Ale czy na pewno?

- Czy nadal chcesz, Mistrzu, żebyś odszukał pazia i służącego i dowiedział się, co ich łączyło z Bellancą? - spytałam na głos.

Mistrz zastanawiał się przez chwilę i już nabrałam pewności, że zmienił zdanie, kiedy powiedział:

- Odszukaj ich, Dino... A kiedy ich znajdziesz, postaraj się też dowiedzieć, co wiedzą na temat kapitana straży Il Moro. - Te słowa wzbudziły we mnie niepokój. Wprowadzie musiałam przy-

znać, że zachowanie Gregoria jest dziwne, ale przecież Mistrz nie powinien podejrzewać, że człowiek o jego pozycji mógłby zabić którąkolwiek z tych kobiet! A mówiąc szczerze, nie chciało mi się wierzyć, by ów dziarski kapitan miał coś wspólnego z tą tragedią. Niezależnie jednak od tego, czy w grę wchodziło morderstwo, samobójstwo czy nieszczęśliwy wypadek, nie mogłam zaprzeczyć, że okoliczności śmierci obu kobiet były rzeczywiście dziwne. Licząc na palcach, podsumowałam podobieństwa.

Obie służyły podopiecznej Ludovica, Caterinie. Obie miały związek z kapitanem gwardii. I obie, jak się wydaje, popełniły samobójstwo... Choć przy dokładniejszym zbadaniu może się okazać, że były to morderstwa.

Z ciężkim sercem spełniałam życzenie Mistrza i wyruszyłam na poszukiwanie mężczyzn, których widziałam w kaplicy. Pazię nie zdołałam znaleźć, za to na służącego natknęłam się, gdy udałam się za potrzebą za stajnię.

Dowiedziałam się, że nosi imię Luca i ma brzydki zwyczaj podkradania wina, które przynosił z piwnicy. Fakt, że zastałam go z dzbankiem w wolnej ręce, podczas gdy załatwiał sprawę, z którą tu przyszedł, natychmiast dał mi nad nim przewagę. Chętnie przyjął moją propozycję, że nic nikomu nie powiem w zamian za chwilę rozmowy.

Co do Bellanki, dał mi do zrozumienia, że poznał ją w sensie biblijnym, choć podejrzewałam, że to tylko czcze przechwałki. Znacznie mniej powściągliwy był, kiedy nasza rozmowa zesłała na temat kapitana.

- Cholerny arogancki łajdak, kradnie cudze kobiety - wymamrotał Luca z goryczą. - Zachowuje się jak księżę, a jest tylko synem piastunki. O tak, znałem go jako chłopca - ciągnął służący bez żadnej potrzeby zachęty z mojej strony. - Był już wtedy nieczułym, ambitnym łajdakiem, chociaż z jakiegoś powodu lgnęły do niego wszystkie dziewczyny. - W końcu podejrzliwość przedarła się przez opary wina zaćmiewające jego umysł. - A właściwie co cię to obchodzi? - parsknął Luca, przyglądając

mi się nieufnie. Następnie rozejrzał się dookoła i zmarszczył nos z odrazą. - Faj, cuchnie jak padlina. Wracam do kuchni.

Gdy mnie opuścił, poszłam opowiedzieć Mistrzowi o moich odkryciach. Nie zastałam go jednak w pracowni ani w jego mieszkaniu. Wróciłam zatem na resztę dnia do moich codziennych obowiązków i zasnęłam grubo po północy, na próżno czekając, aż Leonardo wezwie mnie do siebie. Rankiem nie otrzymałam żadnych nowych poleceń, toteż poszłam wraz z innymi przygotowywać ścianę pod fresk.

Południe dawno minęło, gdy Tito i ja skończyliśmy naprawiać poczynione przez nas zniszczenia i wygładzać gotową powierzchnię gipsu. Pozostała część pracy zapewne dokończą nazajutrz inni uczniowie, gdyż nie wątpiłam, że Tito i ja zostaniemy skierowani wraz z Vittorioem i pozostałymi do bardziej niewdzięcznych prac.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony - odezwał się Tito, a w jego głosie nie było złości.

Wyszliśmy z sali w przyjaźni, choć nie wątpiłam, że w ciągu najbliższych dni Tito wykorzysta każdą okazję, by przypomnieć, do czego doprowadziła moja lekkomyślność.

Skończywszy zmywać i zeskrobywać z siebie gips, rozstaliśmy się przy warsztacie. Nie zmieniając zaplamionej gipsem tuniki, popędziłam do mieszkania Leonarda. Drzwi stały otworem, więc odważyłam się wejść.

Mistrza nie było wewnątrz, ale porozkładane na stole szkice wskazywały, że ciężko pracował przez ostatnie godziny. Nieśmiało - choć byłam pewna, że nie pogniewałby się o to - wzięłam do ręki rysunki i zaczęłam je przeglądać z ustami otwartymi z zachwytu.

Najwidoczniej spotkał się z Cateriną, którą przedstawiały wszystkie szkice. Jeszcze nie zdecydował w sprawie kompozycji, gdyż każdy rysunek ukazywał hrabinę pod nieco innym kątem, na każdym miała inny wyraz twarzy.

Na jednym siedziała dostojnie, wpatrując się w obserwatora, a Pio leżał elegancko zwinięty u jej stóp. Na drugim stała

profilem, z Pio przy nogach, w scenie nieco przypominającej wizerunki bogini Diany, której zawsze towarzyszył wierny pies. Jeszcze inny ukazywał młodą hrabinę lekko uśmiechniętą, jakby skrywała jakiś sekret, Pio zaś siedział na jej kolanach z wyrazem rozbawienia na smukłym pyszczku. Wszystkie rysunki zawierały ową iskrę, która ożywiała egzotyczną urodę młodej kobiety, więc każdy z nich mógł stać się naprawdę wspaniałym portretem.

- Co o nich sądzisz, Dino? - dobiegł mnie głos Mistrza.

Zaskoczona i zawstydzona upuściłam rysunki na stół.

Wziął je do rąk i zaczął przeglądać z zatroskanym wyrazem twarzy. Zamienił zachlapaną gipsem tunikę na elegancką z zielonego jedwabiu ze złotym wykończeniem. Poczułam, że się rumienię. Rano, udając się do Cateriny, niewątpliwie ubrał się szczególnie starannie, a Tito - i oczywiście ja - zniszczyliśmy jego piękny strój.

Przypominając sobie, że zadał mi pytanie, chrząknęłam niepewnie.

- Wszystkie są wspaniałe - powiedziałam szczerze. - Ale gdybym miał wybrać, wskazałbym ten, na którym hrabina uśmiecha się, jakby wiedziała coś, czego my nie wiemy.

- Zgadzam się z tobą - odparł z pełnym aprobaty skinieniem głowy i odłożył dwa pozostałe szkice, by temu przyjrzeć się dokładniej. - Zbyt często wydaje się, że osoba przedstawiona na portrecie w ogóle o niczym nie myśli. Tym razem będzie inaczej.

Trzymał rysunek w wyciągniętej ręce.

- Tak, zgadzam się z tobą - powtórzył, mrużąc oczy, jakby wyobrażał sobie gotowe dzieło. - Prawdę mówiąc, wybierając takie podejście do jej portretu, będę mógł uczynić z niego coś bardziej interesującego niż zwyczajną podobiznę, która zostanie подарowana jej przysłnemu mężowi. Spodziewam się, że ci, którzy zobaczą gotowy obraz, będą mniej zaintrygowani jej urodą niż sekretem kryjącym się za tym uśmiechem. - Z wyrazem satysfakcji na twarzy odłożył papier i zwrócił się do mnie. - Jak się

domyśliłeś, widząc moje rysunki, udało mi się zobaczyć z hrabiną di Sassina, chociaż odniosłem wrażenie, że myślała przede wszystkim o stracie Lidii. Wydawała się autentycznie zrozpaczona, inaczej niż w przypadku Bellanki. I nie mogła uwierzyć, że Lidia sama odebrała sobie życie.

- A czego udało ci się dowiedzieć, Mistrzu, dzięki naczyniu, które znaleźliśmy przy zmarłej? - spytałam, nie mogąc pohamować ciekawości. - Czy istotnie zawierało truciznę?

- Zostało w nim za mało, by przeprowadzić badania - odparł nieco szorstko, jakby obwiniając o to ofiarę - ale wyczułem zapach migdałów zmieszany z winem... tę samą woń wyczułem na jej wargach. Poza tym śmierć musiała nastąpić na tyle szybko, że nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wszystko to każe mi przypuszczać, że przyczyną był cyjanek potasu. Taki wywar łatwo można przyrządzić, gotując pestki i nasiona pewnych roślin, a następnie zbierając zabójczy płyn, który gromadzi się na powierzchni niczym trująca śmietana.

- Ale czy sądzisz, że wypłała to celowo, czy też ktoś ją otruił? - nalegałam.

Mistrz wzruszył ramionami.

- Mój drogi Dino, to jest pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź. A teraz usiądź na chwilę i powiedz, czego dowiedziałeś się wczoraj.

Przysiadłam na ławie i opowiedziałam mu o rozmowie ze służącym i o tym, że nie udało mi się znaleźć pazia. Moją konsternację z tego powodu zbył lekceważącym pstryknięciem palców.

- Twoja rozmowa ze służącym i tak wiele dała - zapewnił. - Przypuszczam, że paż powiedziała by mniej więcej to samo, potwierdzając nasze informacje na temat Gregoria. Niemniej wciąż jesteśmy dalecy od prawdy o tym, co spotkało obie kobiety.

- To niesprawiedliwe - mruknęłam po raz kolejny, wpatrując się ponuro w szkice. - II Moro tak bardzo troszczył się o swego kuzyna utracjusza, że wydał zakaz opuszczania zamku do czasu

wykrycia mordercy. Natomiast zupełnie nie obchodzi go, że ktoś morduje jedną po drugiej służące Cateriny.

Spojrzałam Mistrzowi w oczy i z zaskoczeniem dostrzegłam na jego twarzy cień satysfakcji.

- Ach, w takim razie z pewnością zainteresuje cię to, że właśnie wracam od Ludovica - odparł. - Wygląda na to, że książkę wie o drugiej już podejrzanej śmierci i zaniepokoił się tym... Choć nie z takich powodów, jakich można by oczekiwać. Martwi się, że kolejne samobójstwa związane z osobą jego podopiecznej mogą obniżyć jej wartość jako narzeczonej w oczach przyszłego sojusznika. Dlatego rozkazał mi położyć kres tym nieprzyjemnym wydarzeniom.

Przez chwilę sama nie wiedziałam, czy powinnam być zadowolona, czy oburzona nagłą decyzją Il Moro. Ostatecznie doszłam do wniosku, że nieważne, co kierowało księciem, skoro wyraził zgodę, byśmy dalej zajmowali się tą sprawą. Wyprostowałam się i spojrzałam Mistrzowi prosto w oczy.

- Jeśli mamy prowadzić śledztwo, powiedz, Mistrzu, jak ci pomóc.

Leonardo skinął głową, pocierając z namysłem podbródek.

- Jeżeli naprawdę chcesz pomóc, Dino, to obmyśliłem plan, którego powodzenie będzie zależało od twojego sprytu i szczęścia... Najpierw mnie wysłuchaj - uciał, gdy próbowałam otworzyć usta, aby gorliwie zgodzić się na wszystko, cokolwiek wymyśli. - Nie jest to wprawdzie misja niebezpieczna, lecz wymaga czegoś więcej niż udawanie mojego pazia. Ale zanim przejdę do szczegółów, chcę cię zapewnić, że nie będę miał ci za złe, jeśli odrzucisz moją propozycję.

Zmarszczyłam brwi, próbując odgadnąć, co właściwie znaczy ostatnie zagadkowe stwierdzenie. Jednak wiedziałam, że nawet najbardziej niezwykły plan Mistrza zawsze prowadził do szczęśliwego zakończenia.

- Przyznaję, że zaintrygowałeś mnie - odparłam. - Bardzo chciałbym usłyszeć, czego ode mnie oczekujesz, Mistrzu.

- Doskonale.

Milczał przez chwilę i przyglądał mi się badawczo, dodatkowo podsycając moją ciekawość. I kiedy czułam, że już dłużej nie zniosę niepewności, odezwał się:

- Powiedz mi, Dino, czy żeby wykryć mordercę... byłbyś gotów przebrać się za kobietę?

8. *Sprawiedliwość*

Sprawiedliwość wymaga siły, inteligencji i woli.

Leonardo da Vinci *Manuskrypt H*

Czy przebiorę się za kobietę?

Pytanie było tak niespodziewane, że zdobyłam się tylko na wybuch śmiechu. Tyle czasu starannie ukrywam się w męskim stroju tylko po to, by teraz Mistrz poprosił mnie o przywdzianie kobiecej sukni. Oczywiście nie mógł wiedzieć, jaką ironię zawiera to pytanie.

Nie mógł też przypuszczać, jak bardzo, ku własnemu zaskoczeniu, zatęskniłam nagle za strojem właściwym mojej płci. Przypomniawszy sobie, że powinnam zareagować tak, jak zareagowałby na tę prośbę Dino, przybrałam ton nieśmiałej urazy.

- Mistrzu, co masz na myśli? - zaprotestowałam. - Chyba nie sądzisz, że chciałbym udawać kobietę. Po co miałbym robić coś podobnego?

- Drogi chłopcze, wierz, że nie chciałem cię urazić - odparł pospiesznie. - I, jak powiedziałem, najpierw mnie wysłuchaj, a dopiero potem podejmij decyzję.

- Jak sobie życzysz, Mistrzu. - Skrzyżowałam ręce na zamaskowanych piersiach i skinęłam głową z naburmuszoną miną.

Przedstawienie odegrane przez Dina nie zniechęciło Mistrza. Przyjmując moją odpowiedź za zachętę, mówił dalej:

- Jak wiesz, zmarłe kobiety łączy to, że obie były służącymi Cateriny. Poza tym nie mamy dowodu, że którakolwiek z tych śmierci nie jest samobójstwem, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Ale jeśli chodzi o nieoczekiwane zgony, trudno mi uwierzyć w zbieg okoliczności; dlatego chciałbym lepiej poznać życie Cateriny i jej fraucymeru. Dzięki temu możemy się dowiedzieć, jak doszło do tego, że Bellancę i Lidię spotkał tak straszny koniec. Być może nawet uda nam się uchronić kolejną kobietę przed podobną tragedią. - Uśmiechnął się do mnie. - Z pewnością domyśliłeś się, że moja propozycja namalowania portretu Cateriny wynikała nie tylko z chęci nakłonienia księcia do sfinansowania kolejnego zamówienia. Miałem nadzieję, że jeśli hrabina poczuje się bezpiecznie w zaciszu własnych pokojów, łatwiej będzie mi zdobyć jej zaufanie i poznać niepokojące sekrety, jakie może skrywać.

- Ale co to ma wspólnego ze mną? - spytałam autentycznie zadowolona.

Uniósł kpiąco brwi.

- Jak wiesz, mężczyźni i kobiety żyją w dwóch zupełnie różnych światach, nawet jeśli mieszkają w jednym domu czy zamku. Może uda mi się zdobyć zaufanie hrabiny i usłyszeć kilka plotek, ale jako mężczyzna nigdy nie będę mógł w pełni wejść do jej świata. Ten przywilej może zyskać tylko inna kobieta.

Teraz skinęłam głową, zaczynając rozumieć, do czego zmierza.

- A więc sugerujesz, Mistrzu, abym przebrał się za dziewczynę i został szpiegiem w domu księcia?

- Jesteś mądrym młodym człowiekiem, Dino - odparł, patrząc na mnie z aprobatą. - Taki właśnie jest mój plan.

Bezwiednie wziął do ręki leżący na stole kawałek węgla i zaczął coś szkicować na rysunku przedstawiającym Caterinę jako Dianę. Kilka oszczędnych linii w rogu kartki zaczęło się układać

w postać młodej kobiety. Zauważyłam, że pod jego ręką staje się coraz bardziej podobna do mnie.

- Il Moro pozwolił mi rozwikłać tę niefortunną sprawę w sposób, jaki uznam za stosowny - mówił, nie przerywając rysowania. - Naturalnie byłby oburzony, gdybym powiedziała mu, że jeden z moich terminatorów zostanie ubrany w kobiece suknie i umieszczony w otoczeniu hrabiny, by mieć ją na oku. Przypuszczam jednak, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdybym oznajmił, że zamierzam wprowadzić zaufaną młodą kobietę, moją znajomą, między służące Cateriny, w nadziei zdobycia użytecznych informacji.

Jeszcze kilka kresek i mój wizerunek był gotowy. Tak musiałam wyglądać, kiedy owinięta w płat tkaniny pozowałam dla Davida i Paola.

- Drogi chłopcze, przypominasz sobie dzień, w którym włożyłeś kobiece ubranie, by pozować do postaci Marii Magdaleny? - spytał, odkładając rysunek i na powrót skupiając uwagę na mnie. - Nawet ja dałem się zwieść przez chwilę. Wykazałeś się umiejętnościami aktorskimi, naśladowując wdzięczne ruchy kobiet.

- Ale ja nie zamierzałem...

- Nie przejmuj się - przerwał mi łagodnie, gdy starałam się zareagować na jego słowa tak, jak powinien zareagować Dino. - Pamiętaj, że role kobiet na scenie zawsze odgrywają chłopcy lub młodzieńcy. Jeśli zgodzisz się na mój plan, będziesz tylko odgrywał rolę tak, jakbyś był aktorem. Mając odpowiednie szaty, nazwijmy je kostiumem, mógłbyś zwieść nawet tych, którzy cię dobrze znają. A cały podstęp będzie trwał tylko dzień lub dwa.

- A więc to będzie jak występowanie w jasełkach? I nikt nie pomyśli, że pragnąłbym uchodzić za dziewczynę? - spytałam, jakby próbując pogodzić się z tą myślą. - I prócz ciebie i mnie nikt nie będzie o tym wiedział?

- Tylko my dwaj, tak... i krawiec Luigi, naturalnie. - Leonardo natychmiast zaczął planować. - Jeśli maskarada ma się udać,

będziemy musieli skorzystać z jego pomocy. Ale wiesz, że Luigiemu można zaufać. On nie złamie danego słowa, jeśli obieca zachować milczenie w tej sprawie.

Skrzywiłam się w duchu na myśl o reakcji Luigiego. Nie wątpiłam, że publicznie krawiec nie piśnie ani słowa. Taki rozwój wydarzeń wyda mu się jednak nadzwyczaj zabawny, więc możliwe, że jeśli zgodzi się wziąć udział w naszym podstępie, prywatnie nigdy nie przestanie o tym mówić.

Błędnie odbierając moje milczenie jako oznakę wahania, Leonardo natychmiast stał się bardziej elokwentny.

- Wiesz, że nie prosiłbym cię o to, gdybym nie wierzył w twoje możliwości. A obawiam się, że żadnemu innemu spośród uczniów nie udałoby się coś podobnego ani też co do żadnego nie mogę być pewien, że nie straci głowy w tak trudnej sytuacji. Oczywiście, jak wspomniałem na początku, nie będę miał ci za złe odmowy. - Zamilkł na chwilę i pokręcił głową, uśmiechając się nieznacznie. - Wielka szkoda, że wśród uczniów nie ma żadnej kobiety, która mogłaby się podjąć tego zadania. Może powinienem rozważyć możliwość przyjęcia do pracowni dziewcząt...

Słyszając tak niespodziewane słowa, otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia. Z największym trudem opanowałam się, by nie wyznać prawdy. Przygryzłam wargi, a w mojej głowie szalała burza sprzecznych myśli... tych samych, które dręczyły mnie od początku, gdy tylko zaczęłam całą maskaradę.

A może powiedzieć? Przecież z pewnością dawno już zdążyłam dowieść swojej wartości, nie tylko jako terminator, ale także jako zaufany pomocnik. Zrzucę z siebie ciężar i problem szukania kogoś, kto odegra rolę służącej, sam się rozwiąże. Później będę mogła wrócić do roli ucznia, a wtedy Leonardo zdecyduje, czy mam przywdziać męskie przebranie, czy też dołączyć do pozostałych w prawdziwej postaci.

Ale z drugiej strony - co będzie, jeśli uzna moje przebranie za podyktowane egoizmem oszustwo? Zamiast pamiętać o mojej lojalności i podziwiać moją inteligencję, może zacząć mna

gardzić. A nawet jeśli jakimś cudem pozwoliłby mi nadal być jego uczniem, mogłabym utracić jego zaufanie.

Ale czy jeszcze kiedyś nadarzy się równie dobry moment, by wyznać tę prawdę?

Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam usta, zamierzając wszystko wyjawić. Powiedziałam jednak:

- Mistrzu, jeśli odgrywając tę rolę, mogę zapobiec czyjejś śmierci, zrobię wszystko, o co prosisz.

- A zatem postanowione.

Przez kilka następnych minut udzielał mi rad na temat zachowań i słów, jakich powinnam używać, aby lepiej udawać kobietę. Przypomniał również, czego jako młoda kobieta nie powinnam robić - smarkać w rękaw, puszczać wiatrów w towarzystwie i ogólnie zachowywać się hałaśliwie. Przestrzegł także o środkach ostrożności, jakie powinnam powziąć, myjąc się i chodząc za potrzebą, aby moja płęć nie została ujawniona.

- To jednak nie wszystko - oznajmił surowo. - Wiem, że jesteś młodzieńcem o dobrym charakterze, mimo to muszę ci przypomnieć, byś nie wykorzystywał swojego przebrania, aby podglądać inne służące, kiedy będą się kąpać lub załatwiać potrzeby. W takich momentach znajdziesz pretekst, by się oddalić, choćby najbardziej kusiło cię zostać.

- Z całą pewnością okażę szacunek - zapewniłam, nie kryjąc rumieńca. Jakże często musiałam szukać powodu, by odwrócić się i wyjść z pomieszczenia, w którym przebywali inni uczniowie, w przeciwnym razie byłabym narażona na oglądanie tego, czego młoda kobieta oglądać nie powinna.

Leonardo skinął głową z satysfakcją i wstał od stołu.

- Chodź, chłopcze. Nie ma dużo czasu. Musimy złożyć wizytę mistrzowi sztuki krawieckiej, by zajął się twoim kostiumem.

- Przebrać go, hm... za kobietę? Signor Leonardo, obawiam się, że tym razem znowu pozwoliłeś się zdrzemnąć swojemu rozsądkowi. To chyba jakiś dziwny żart.

Luigi spoglądał surowo to na mnie, to na Mistrza. Byliśmy w jego niewielkiej, lecz dobrze urządzonej pracowni usytuowanej w dobrej dzielnicy, niedaleko zamku. Właśnie tutaj wszyscy klienci - od znających się na modzie dam po zamożnych kupców i krewnych księcia - przychodzili, by się elegancko ubrać. Zazwyczaj były tu jedna lub dwie osoby. Leonardo jednak oczarował tęgą matronę, która oglądała bele tkanin, nakłaniając ją, by przysłała nieco później, zostawiając nas teraz sam na sam z krawcem.

Liczne podbródki Luigiego zaczęły lekko się trząść, jakby z ledwie hamowanego oburzenia, choć nie wątpiłam, iż w rzeczywistości krawiec tłumi śmiech. Widząc to, przypomniałam sobie, co powiedział dawno temu, gdy odkrył, kim jestem.

„Mogę być oburzony twoją bezczelnością, co znaczy, że dla dobra wszystkich zainteresowanych powinienem podjąć jakieś działania przeciwko tobie - oznajmił krawiec, kiedy zdał sobie sprawę, że chłopiec, któremu na prośbę Mistrza szykuje ubranie, jest naprawdę dziewczyną. - Ale mogę być też rozbawiony twoim pomysłem, to zaś oznaczałoby, że dochowam sekretu, przynajmniej na razie”.

Zamilkł wtedy na chwilę, ja zaś czekałam z przerażeniem, aż zadecyduje o moim losie.

Przyszłam do pracowni na życzenie Mistrza, aby krawiec pobrał miarę do wspaniałego stroju pазia. Nie pierwszy raz odwiedzałam Luigiego, lecz moje poprzednie wizyty były niezbyt przyjemne.

Krawiec i ja poczuliśmy do siebie niechęć przy pierwszym spotkaniu, podczas partii żywych szachów, w czasie której zginął kuzyn księcia. Pragnąc opóźnić ujawnienie tej informacji, Mistrz polecił mi się przebrać i zająć miejsce hrabiego.

Luigi, nieświadom okoliczności, niechętnie przystał na jego prośbę, a ja odpłacałam mu równie nieuprzejmym zachowaniem. Pamiętając o tym, kiedy później przypadkowo odkrył moją płeć, sądziłam, że jestem zgubiona. Byłam pewna, że ów krawiec

o wiecznie niezadowolonej twarzy z rozkoszą skorzysta z okazji, by rozgłosić mój sekret, a wtedy natychmiast zostanie wyrzucona z pracowni Leonarda.

Z tym większym zaskoczeniem i ulgą przyjęłam jego słowa, kiedy w końcu podjął decyzję: „Chyba postanowię być rozba-
wiony”.

Od tamtej chwili signor Luigi okazał się godnym zaufania sojusznikiem. Nie tylko pilnie strzegł mojej tajemnicy, lecz też ocalił mi życie, pielęgnując mnie, gdy leczyłam się z ciężkich ran zadanych przez uzbrojonego w nóż mordercę. Oczywiście nigdy nie przyznał się, że postępując wobec mnie tak szlachetnie, kierował się jakimikolwiek innymi motywami poza tym, że go to bawiło. Nie miałam jednak wątpliwości, że pod jego zgryźliwą powierzchownością kryje się dobre serce.

Z niejasnej aluzji, jaką kiedyś rzucił, domyśliłam się, że Luigi również ukrywa jakiś sekret.

Teraz jednak Mistrz odpowiedział na krytyczne słowa Luigiego lodowatym spojrzeniem.

- Bądź pewien, poczciwy krawcze, że z moim rozsądkiem jest wszystko w porządku - stwierdził obojętnym tonem. - I to wcale nie jest żart. Tak się składa, że sam ksiązę powierzył mi załatwienie pewnej delikatnej sprawy wagi państwowej. Odpowiedzialność spoczywa na mnie, a nasz młody Dino odegra kluczową rolę w rozwiązaniu tego problemu. Nie mogę powiedzieć nic więcej poza tym, że jego kobiece przebranie jest niezbędne dla powodzenia tego przedsięwzięcia.

- Ba! Nie mam cierpliwości do podobnych podstępów. Po co zwracacie mi głowę takimi bzdurami, skoro w mieście jest mnóstwo krawców, którzy z chęcią przyjmą nawet tak dziwaczne zamówienie? - spytał, machając rękoma, jakby chciał pozbyć się nas z pracowni.

Mistrz jednak nawet nie ruszył się z miejsca.

- Przyszedłem do ciebie, signor Luigi, ponieważ biegłością w postęgowaniu się igłą przewyższasz wszystkich krawców

w Mediolanie. Wiem też, że umiesz dochować tajemnicy, zwłaszcza jeśli od tego zależy bezpieczeństwo Dina.

- Doprawdy - fuknął, choć z rozbawieniem zauważyłam, że napuszył się trochę, słysząc komplementy Mistrza. Spojrzał na mnie z namysłem, pocierając gładko wygolony policzek. - A kiedy miałyby nastąpić ta przemiana?

- Natychmiast. Co więcej, przebranie musi wyglądać wiarygodnie nawet przy bardzo dokładnych oględzinach. Nikt nie może nabrać podejrzeń, że Dino nie jest służącą, za jaką się podaje.

- Na świętego Michała, zbyt wiele ode mnie wymagasz!

Po tych słowach Luigi podszedł, chwycił mnie za ramię i pociągnął na środek pracowni. Ustawiwszy mnie tam, odsunął się nieco i przez dłuższą chwilę krążył wokół, pocierając policzek i mrużąc do siebie półgłosem.

- Mogę zrobić to, o co prosisz - rzekł w końcu. - Chociaż w tym celu będę musiał odłożyć na bok kilka lukratywnych zamówień, które właśnie wykańczam. - Obdarował Leonarda kąpiącym grymasem, który w jego wykonaniu oznaczał uśmiech. - Zdaje się, że powinienem ci za nie podziękować. Rozumiem, że to ty organizujesz dla księcia bal kostiumowy za dwa tygodnie. Wybrałeś ciekawy temat: gra w tarota.

Jego czarne krzaczaste brwi schowały się pod kosmykiem przetłuszczonych czarnych włosów opadających na czoło.

- Mam nadzieję, że czekająca nas rozrywka nie ma nic wspólnego ze sprawą, którą starasz się rozwikłać? - dodał oskarżycielskim tonem.

- Ależ najzupełniej nic - skłamał gładko Mistrz. - Choć pozwolę sobie zauważyć, że i ja, i Dino także będziemy potrzebować kostiumów na ten wieczór.

- Dlaczego nie jestem zaskoczony? - mruknął pod nosem krawiec. Wydymając usta, zwrócił się do Leonarda: - Jak wiesz, signore, moje usługi nie są tanie. Powiedz, kto pokryje koszt przemiany, do której za chwilę przystąpimy?

Zamiast odpowiedzi Leonardo wydobyl spod tuniki tę samą sakiewkę, którą Il Moro dał mu przed kilkoma dniami.

- Nie obawiaj się, otrzymasz tę zapłatę - zapewnił go Mistrz i od niechcienia potrząsnął sakiewką.

Na myśl o brzęczących monetach w małych oczkach Luigiego pojawił się ledwie dostrzegalny błysk chciwości. Natychmiast jednak zastąpił go wyraz niepokoju. Krawiec spojrział na mnie.

- A co z hm... chłopcem? - spytał Luigi. - Nie powiedział jeszcze ani słowa. - Zgodził się z własnej woli przyjąć tę skandaliczną rolę?

- Zgodziłem się, signor Luigi - odparłam pospiesznie. - Mistrz nie może w tej sprawie zaufać nikomu prócz mnie. Dlatego jestem gotów zrobić wszystko, o co prosi, nawet jeśli będzie to wymagało przebrania się za dziewczynę. Będę jak aktor odgrywający swoją rolę na scenie i fakt, że włożę strój kobiecy, nie oznacza niczego poza tym.

Krawiec spojrział mi w oczy i na widok mojego entuzjazmu westchnął ciężko.

- Cóż, wygląda na to, że nie mam wyboru. Signor Leonardo, zostaw tutaj Dina, a sam wyjdź z mojej pracowni. Możesz wrócić za dwie godziny i hm... zabrać go sobie.

- Jestem twoim dłużnikiem - odparł Mistrz z lekkim ukłosem, kierując się do wyjścia. - Chciałbym ci tylko jeszcze raz przypomnieć, że ta maskarada ma ogromne znaczenie, więc nie szczędź wydatków na przemianę Dina.

Luigi energicznie skinął głową i z wyrazem ironicznej satysfakcji zatarł pulchne dłonie.

- Pod tym względem nie musisz się obawiać, drogi Leonardo. Po prostu zapłacisz rachunek, jaki ci wystawię.

Odczekał, aż drzwi zatrzasną się za Mistrzem, po czym zamknął zasuwę, aby nie wszedł żaden niespodziewany klient. Upewniwszy się, że nikt nam nie przeszkodzi, zwrócił się do mnie z uśmiechem.

- To po prostu rozkoszne - powiedział i chwyciwszy mnie za ramię, poprowadził w głąb pracowni. - Mam zająć się dziewczy-

na, która przebiera się za chłopaka, i ubrać ją tak, żeby wyglądała na dziewczynę. Sam nie wiem, czy to się okaże moim największym krawieckim wyzwaniem, czy też najłatwiejszym zleceniem, jakie kiedykolwiek miałem.

Mówiąc to, wskazał wysoki stołek. Odłożyłam worek zawierający moje osobiste rzeczy - wśród nich nieodłączny notatnik - które przyniosłam ze sobą i zamierzałam zabrać do zamku. Następnie wdrapałam się na stołek i obserwowałam z zaciekawieniem, jak krawiec zabiera się do pracy.

Luigi wybrał kilka sztuk damskiej odzieży: rękawy, gorset, spódnice i pantofle... wszystkie w różnym stanie wykończenia. Ponieważ czasu było mało, postanowił użyć tego, co akurat miał pod ręką, zamiast kroić je od początku. Co ważniejsze, dzięki temu nie musiał korzystać z pomocy swoich młodych terminatorów pracujących w warsztacie za ścianą.

Przyglądałam się z wielkim zainteresowaniem jego pracy, jak zwykle zafascynowana otoczeniem. Opisywałam już wcześniej jego pracownię w swoich notatnikach, więc teraz nie będę rozwodzić się na ten temat. Dość powiedzieć, że porównałabym to miejsce do komnaty, której ściany zostały zachłapane kolorowymi temperami.

Bele brokatów, aksamitów i jedwabi w tysiącach kolorów leżały na półkach wzdłuż jednej ze ścian. Półki przy drugiej ścianie mieściły pudełka i skrzynki wypełnione najróżniejszymi dodatkami - kawałkami futra, wstążkami, sznurami paciorków, koronkami - przeznaczonymi do wykończenia dekoltów i rękawów. Tutaj, wśród tego oszałamiającego barwami chaosu, Luigi każdego dnia tworzył wspaniałe szaty z niemal takim samym geniuszem, z jakim Leonardo olśniewające malowidła. Nic dziwnego, że był uważany za mistrza w swoim rzemiośle.

Krawiec przyniósł stos tkanin, złożył je na stole i zwrócił się do mnie:

- Właściwie mógłbym nie brać od twego drogiego Mistrza pieniędzy za tak wspaniałe zlecenie! - wykrzyknął. - Ale przyjmę

je z radością. Jednak zanim zajmemy się twoją przemianą, musisz mi opowiedzieć, co się dzieje na dworze Il Moro.

Pamiętając, że Luigi lojalnie dochował tajemnicy przez tyle tygodni, bez wahania postanowiłam mu zaufać i w tej sytuacji. Tak więc, przyjąwszy od niego obietnicę zachowania milczenia, opowiedziałam mu o podejrzeniach, jakie Mistrz żywi w związku z ostatnimi wydarzeniami w otoczeniu Cateriny i z zagadkową śmiercią jej dwóch służących. Wspominałam też o zainteresowaniu hrabiny kartami tarota, gdyż wydało mi się, że Luigi może coś wiedzieć o tego rodzaju wróżbach.

Nie wspominałam jednak o tym, że Il Moro chce zaaranżować małżeństwo między swoją podopieczną a księciem z jakiejś innej prowincji. To była, jak powiedział Mistrz, sprawa wagi państwowej. Gdyby krawcowi wymknęło się cokolwiek na ten temat, wina za ujawnienie tajemnicy spadłaby na Leonarda.

Luigi słuchał tego wszystkiego z dużym zainteresowaniem. Od czasu do czasu, gdy moje słowa zdawały się potwierdzać jego opinię, kiwał głową. Dopiero gdy skończyłam, podzielił się swoimi przemyśleniami. Jednak rozczarował mnie, bo jego słowa dotyczyły mojej osoby.

- Wygląda na to, że zawadiacki kapitan gwardii zastąpił w twoim sercu wielkiego Leonarda - rzekł z chytrym uśmieszkiem, poruszając krzaczastymi brwiami. - Nie, nie zaprzeczaj - przerwał, gdy z rumieńcami na twarzy próbowałam oponować. - Jestem prawdziwym ekspertem w takich sprawach i potrafię usłyszeć w twoim głosie prawdę serca. Być może właśnie dlatego tak chętnie zgodziłaś się uczestniczyć w szalonym planie twojego mistrza. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że kiedy znowu włożysz długie suknie, nieraz znajdziesz się na drodze przystojnego Gregoria.

Oczywiście to, co wyjąkałam w odpowiedzi, ani trochę nie zmniejszyło przeświadczenia Luigiego. Uśmiechnął się szerzej i zaczął przerzucać różne sztuki odzieży leżące na stole. Kiedy jednak nie przestawałam się bronić, przerwał to zajęcie i zdjął z półki duży kawałek delikatnego białego płótna.

- Proszę, idź za tę zasłonę i włóż to - rzekł, rzucając mi coś, co okazało się pięknie uszytą koszulą.

Posyłając spojrzenie pełne urazy, weszłam do alkowy. Szybko jednak zapomniałam o urazie, gdy rozsznurowałam gorset, który miał wyrównać moje kobiece kształty, i z przyjemnością włożyłam koszulę na gołe ciało. Nigdy wcześniej nie nosiłam tak delikatnej bielizny, bardziej odpowiedniej dla arystokratki niż dla osoby mojego stanu. Westchnęłam z satysfakcją, gdy zdałam sobie sprawę, że Luigi dosłownie potraktował instrukcje Mistrza. Zastanawiałam się, ile za ten strój przyjdzie Leonardowi zapłacić... i czy w jego sakiewce wystarczy florenów, by pokryć kosztą mojej nowej garderoby.

Wyrżałam zza zasłony i zobaczyłam, że Luigi za pomocą czarnej tasiemki łączy jasnozielony gorset z dobranymi kolorystycznie rękawami.

- Proszę, nie zapominaj, że jestem tylko służącą - przypomniałam mu. - Wyglądałoby dziwnie, gdybym była ubrana lepiej od hrabiny.

- Nie martw się, wiem, co robię - odparł z chrząknięciem i odłożył gorset.

Po chwili zastanowienia wyjął ze stosu odzieży halkę barwy głębokiej zieleni, którą także odłożył na bok. Następnie przyszła kolej na skromną czarną spódnicę, ożywioną ukośnymi pasami w tym samym bladozielonym odcieniu, jakie miały gorset i rękawy. Na koniec wydobył z pudła na najwyższej półce parę czerwonych pończoch, którymi triumfalnie pomachał, po czym rzucił je na coraz większy stos garderoby.

Zebrał wszystkie rzeczy ze stołu i bezceremonialnie cisnął na ławę stojącą przy alkowie.

- Włóż to - polecił - a ja zobaczę, co trzeba będzie poprawić. Nie ociągaj się, czeka nas jeszcze dużo pracy, zanim twój Mistrz wróci.

Posłusznie spełniłam jego polecenie; włożyłam pończochy, halkę i zaczęłam się zmagać z niedopasowanym ubraniem. Od

tak dawna nosiłam strój chłopięcy, że czułam się teraz dziwnie obco w ciężkiej spódnicy, obcisłym gorsecie i długich rękawach. Może jednak ta przemiana okaże się znacznie trudniejsza, niż którekolwiek z nas sądziło, pomyślałam z niepokojem.

- Chodź, chodź... Pokaż się, jak wyglądasz! - zawołał Luigi, gdy usiłowałam zawiązać tasiemkę jednego rękawa.

Parskając ze złości, wyszłam przed zasłonę.

- Cóż, nikt nie pomyliłby cię z hrabiną - zauważył cierpko Luigi, widząc mój niedopasowany strój. - Ale robimy postępy. Trzeba tylko niewielkich przeróbek.

Wyciągnął spod stołu drewnianą skrzynkę, postawił mnie na niej i zręcznymi, pewnymi ruchami zaczął układać i przypinać szpilkami materiał. Gdyby na jego miejscu był jakikolwiek inny mężczyzna, czułabym się zakłopotana, ponieważ mnie dotykał i szturchał. Wobec Luigiego jednak nie miałam takich obaw, gdyż wiedziałam, że kiedy pracuje, widzi we mnie wyłącznie model, na którym mają zawisnąć jego dzieła.

- Ha, tak jest już lepiej - oznajmił po kilku minutach, wyciągając rękę, by pomóc mi zejść z podwyższenia. - A teraz szybko zdejmij ubranie, żebym mógł dokończyć szycie.

Wróciłam do alkowy i znowu się rozebrawszy, podałam mu wszystkie rzeczy przez szczelinę między zasłonami. Na koniec, ubrana jedynie w koszulę, wystawiłam głowę przez ten sam otwór, dla przyzwoitości owijając się kotarą, i patrzyłam, jak Luigi przystępuje do pracy.

Krawiec poruszał się z gracją niezwykłą u mężczyzny o jego tuszy. Igła połyskiwała niczym maleńki wąż prześlizgujący się przez czarne i zielone materiały. Dla zabicia czasu, jak zwykle, zajął się opowiadaniem plotek.

Słuchałam jego opowieści z mieszaniną poczucia winy i ciekawości. Dawno już spostrzegłam, że Luigi zdawał się wiedzieć wszystko o każdym na dworze i bez najmniejszych oporów wszystko opowiadał. Jego źródłem informacji nie byli ani szpie-dzy zaglądający przez okna, ani niezadowoleni służący podślu-

chujący pod drzwiami swoich panów. W tej dziedzinie Luigi polegał wyłącznie na swoich klientkach.

Były nimi strojnisię, żony bogatych kupców i znudzone arystokratki, które przymierzając suknie, odczuwały potrzebę podzielenia się sekretami swojego życia... Chętnie słuchały fascynujących historii o innych damach. Przy tym krawiec roztropnie nigdy nie wymieniał imion osób, o których plotkował, lecz jego lekko zawołowane opisy zawierały dość wskazówek, więc nie trudno było je rozpoznać.

- Kolejne arcydzieło - oznajmił godzinę później, kończąc ostatni szew na spódnicy. - Przymierzmy jeszcze raz.

Tym razem ubranie wsunęło się na mnie, jakby stanowiło moją drugą skórę. Zawiązałam, zapięłam i włożyłam wszystko, co trzeba, i w końcu mogłam wyjść przed zasłonę.

Kiedy Luigi lustrował mnie wzrokiem, jego zazwyczaj cierpki uśmiech wyrażał uznanie. Niemniej poświęcił jeszcze chwilę na zaciśnięcie gorsetu tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. Potem wysunął materiał koszuli przez rozcięcie między gorsetem a rękawami, by nadać mojemu strojowi modny wygląd. Na koniec cofnął się o krok i skinął głową z satysfakcją.

- Myślę, że rozwiąaliśmy sprawę twojego ubrania. Jest wystarczająco skromne do roli, jaką masz odegrać, a zarazem odpowiednie dla pokojówki młodej damy, która nie chce, by jej służba wyglądała niechlujnie. Poczekaj! - zawołał, gdy skierowałam się do stojącego w rogu lustra, by przyrzeć się swojemu odbiciu. - Zapomniałaś o włosach.

Moje włosy!

Dotknęłam rękoma głowy i roześmiałam się cicho.

- Naprawdę niemal zapomniałam, tak przyzwyczaiałam się do krótkiej chłopięcej fryzury. Potrafisz coś na to poradzić?

Krawiec mrugnął do mnie konspiracyjnie i żwawo podszedł do półek. Teraz dopiero zauważyłam stojącą wśród pudeł ze wstążkami szafkę, wykonaną z misternie rzeźbionego jasnego

drewna. Mebel ten, wysoki i wąski, gdyby stał na podłodze, sięgałby mi do kolan.

Ostrożnie, jakby brał do ręki skrzynkę najcieńszego weneckiego szkła, Luigi przeniósł szafkę na stół. Patrzyłam z rosnącym zaciekawieniem, jak triumfalnie otwiera drzwiczki.

Podeszłam bliżej, by się przyjrzeć, i aż odskoczyłam, gdy zdałam sobie sprawę, co znajduje się wewnątrz.

Szafka była pełna włosów... Całe rzędy długich pukli w najróżniejszych odcieniach, od lśniącej czerni po najjaśniejszy blond. Każdy, starannie związany, był zawieszony na maleńkim haczyku u góry szafki, zupełnie jak u rzeźnika.

- Piękne, nieprawdaż? - rzekł Luigi z dumą.

Roześmiałam się cicho z mojej pierwszej reakcji i stłumiłam dreszcz. Ten widok przypominał gniazdo miękkich węży albo makabryczną kolekcję relikwii długowłosych świętych. Moje rozbawienie minęło, gdy nagle przypomniałam sobie długi czarny warkocz Lidii. Zastanawiałam się z niepokojem, jak Luigi zgromadził ten niezwykły zbiór. Przecież nie...

Jednak gdy zapytałam, skąd pochodzą włosy, pogroził mi żartobliwie palcem.

- Gdybym ci powiedział, mogłabyś próbować wtrącać się w mój biznes. Ale byłabyś zaskoczona, jak wiele biednych kobiet jest gotowych pozbyć się swojej jedynej ozdoby za parę brzęczących monet. - Zamilkł na chwilę i spojrzał na mnie badawczo. - Ufam, że kiedy dokonałaś podobnej rzezi na sobie, dostałaś ładną sumkę od jakiegoś fryzjera albo krawca.

- Prawdę mówiąc, spaliłam włosy, nim wyszłam z domu - wyznałam z zakłopotaniem.

Wywołany przez te słowa wyraz bólu na twarzy Luigiego nie był udawany.

- Głupia dziewczyno, musisz pamiętać, że wszystko ma jakąś wartość. Mam nadzieję, że jeśli znowu coś podobnego przyjdzie ci do głowy, zwrócisz się do mnie, zamiast wyrzucać pieniądze w błoto.

- Obiecuję. Ale po co ci tyle włosów? - Nie potrafiłam opanować ciekawości.

Krawiec spojrział na mnie z politowaniem.

- Widziałas na dworze damy z utrefionymi włosami, prawda? Nie sądzisz chyba, że ich służącym udaje się układać tak misterne konstrukcje, skoro większość z dam ma tyle włosów, że ledwie przykrywają czaszkę. Otóż powstanie tych dzieł sztuki jest możliwe wyłącznie dzięki mnie.

Sięgnął do szafki i wydobył lśniący warkocz w ciepłym brązowym kolorze świeżo zaoranego pola.

- Najdroższe włosy pochodzą od młodych kobiet - wyjaśnił. - Chociaż jestem gotów zapłacić całkiem przyzwoicie za puki matrony, o ile są dobrze utrzymane. Oczywiście najtańszych włosów dostarczają nasi czworonożni przyjaciele, konie, ale te nadają się tylko na wymyślne fryzury stanowiące część jakiegoś przebrania. - Parsknął pogardliwie. - Albo dla tych, którzy mają węża w kieszeni i wmawiają sobie, że nikt nie zauważy różnicy.

Delikatnie odłożył warkocz i wyjął jeszcze kilka innych, w ciemniejszych odcieniach.

- Mamy szczęście, że twoje włosy, choć piękne, są w pospolitym kolorze. Zaraz powinienem znaleźć coś odpowiedniego.

Marszcząc brwi, przykładał kolejne warkocze do mojej głowy, aż w końcu zdecydował się na jeden z nich. Odwiesiwszy pozostałe do szafki, zamknął ją i odstawił na półkę.

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem, każąc mi usiąść na wysokim stołku przy jego stole do pracy. Z tej wysokości przyglądałam się, jak ostrożnie rozplata warkocz i rozprostowuje włosy. Z koszyka wziął garść kościanych szpilek i spał mi włosy z przodu i boków głowy do góry.

- A teraz siedź nieruchomo, moja droga - polecił, biorąc do ręki igłę z nawleczoną długą ciemną, jedwabną nicią. - Za chwilę zobaczysz moje dzieło.

Nie widziałam, co robi, lecz zdawałam sobie sprawę, że igła przesuwana się tu i tam, niebezpiecznie blisko mojej skóry,

zupełnie jak przy szyciu. Stosik włosów leżący na jego stole powoli się kurczył, ja zaś czułam, jak powraca znajomy ciężar na głowie. Kiedy ostatnie pasmo zniknęło, Luigi wyjął szpilki przytrzymujące włosy. Następnie wziął szeroki grzebień i delikatnie rozdzielił pukle, po czym zaczął splatać je w jeden gruby warkocz ozdobiony zieloną wstążką. Kiedy skończył, włożył mi na głowę mały czepek i zawiązał pod brodą.

- Teraz możesz popatrzeć - zezwolił łaskawie.

Wstałam ze stołka i podeszłam do lustra w rogu, nie mogąc się doczekać, kiedy zobaczę swoje odbicie. Zdawało mi się, że minęła cała wieczność, odkąd oglądałam siebie jako młodą dziewczynę. Właściwie zdążyłam już przywyknąć do widoku twarzy chłopca za każdym razem, gdy patrzyłam w wiadro pełne wody albo gdy mój obraz odbijał się w kawałku szkła. Czy kiedykolwiek znowu będę podobna do dziewczyny, jaką byłam, zanim ostatecznie opuściłam dom moich rodziców?

Biorąc głęboki oddech, stanęłam przed srebrzystą taflą i spojrzałam w lustro.

Szeroko otwartymi oczami patrzyła na mnie dobrze znana młoda kobieta ubrana w prostą, a przy tym modną suknię. Wyglądała na szczuplejszą, niż pamiętałam, lecz była to ta sama twarz o miękkich rysach i znamionującym upór podbródka, którą znałam od dzieciństwa. Kiedy obróciłam się bokiem, ujrzałam spływający na plecy gruby, lśniący warkocz, który wyglądał, jakby nóż nigdy nie dotknął moich włosów.

- Signor Luigi, zwróciłeś mi samą siebie - wyszeptalam z podziwem i uświadomiłam sobie z zakłopotaniem, że łzy napływają mi do oczu. Pospiesznie je otarłam i odwróciłam się do krawca. - Jesteś geniuszem, signore.

- Moja droga, czyżbyś miała jakieś wątpliwości? - odparł, przybierając urażony ton. - Oczywiście twój Mistrz jest jedyną osobą, która będzie, miała zastrzeżenia co do twojego wyglądu, więc musimy zadbać, by mieć odpowiedź na jego wszelkie wątpliwości. - Widząc moje pytające spojrzenie, wyjaśnił: - Jak wi-

dzisz, dałem ci koszulę z małym dekoltem. Ponieważ zasłania ciało, mogę wytłumaczyć twą kobiecą figurę jako efekt sprytnego użycia poduszek i wkładek. Co do faktu, że teraz sprawiasz wrażenie znacznie szczuplejszej, muszę tylko przypomnieć twojemu Mistrzowi, iż w chłopięcej tunice każdy wygląda na szerszego niż w ciasno zasnuowanym gorsecie. I oczywiście, o czym dobrze wie każda z moich klientek, pasiasta spódnica może wyszczuplić figurę znacznie masywniejszą od twojej.

- Ale, Luigi, odmieniłeś mnie całkowicie - przypominałam mu, czując równocześnie zadowolenie i obawę. - A co będzie, jeśli ktoś, spojrzawszy na mnie, zacznie się domyślać prawdy?

- To ryzyko, jakie podjęłaś w dniu, w którym włożyłaś chłopięcy strój i obcięłaś włosy - odparł sucho. - Jeśli prawda wyjdzie na jaw, za skutki będziesz mogła obwiniać tylko siebie.

Nagłe pukanie do drzwi przerwało tę rozmowę.

- Zdaje się, że za chwilę poznasz odpowiedź - rzekł z nutą ironii Luigi. - Twój Mistrz przyszedł po ciebie.

9. *Eremita*

*Te poszukiwania trzeba podjąć samemu,
gdyż cel leży wewnątrz.*

Leonardo da Vinci *Notatniki Delfiny della Fazio*

Gdy Luigi szedł w stronę drzwi, westchnęłam z rezygnacją. Za późno, by się wycofać. Mogłam się tylko modlić, by Mistrz był na tyle pochłonięty swym śmiałym planem, że to, co zobaczy, przypisze zręczności krawca i nie będzie szukał znacznie prostszego wyjaśnienia.

Stojąc przed lustrem, widziałam odbicie drzwi pracowni, które Luigi właśnie otwierał. Chwilę później Leonardo wszedł

do środka. Zauważyłam, że zerknął w moją stronę, po czym zwrócił się do krawca z wyrzutem. Usłyszałam, jak mówi półgłosem:

- Luigi, wiedziałeś, że to ogromnie ważna sprawa. Zleciłem ci zadanie, a ty zajmujesz się innymi pracami zamiast tym, o co cię prosiłem. Odpraw swoją nową klientkę i...

Stanął jak wryty, widząc triumfalne spojrzenie Luigiego i spojrzął na mnie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech zrozumienia.

- Dino, czy to ty?! - wykrzyknął, gdy powoli odwróciłam się do niego.

Kiedy skinęłam głową, dał mi znak, bym wyszła na środek, i powoli obszedł mnie dookoła, uważnie oglądając każdy szczegół mojego stroju, jak kupiec ogląda konia na targowisku. Na koniec pokręcił głową z podziwem i zwrócił się do krawca.

- Signor Luigi, chylę czoło przed twoim geniuszem! - zawołał. - Ta przemiana jest doprawdy niezwykła. Ubiór jest taki, jak trzeba, a fryzura to prawdziwe dzieło sztuki. Co zaś do reszty - uśmiechnął się, unosząc dłonie w owym typowo męskim geście oznaczającym piersi - dość powiedzieć, że nikt nie domyśliłby się, iż pod tym strojem kryje się sprytny młody chłopiec. - Po czym, zwracając się do mnie, dodał: - Oczywiście to zasługa nie tylko krawca. Widzę, że starasz się poruszać z większą gracją i radzisz sobie ze spódnicą doskonale jak na chłopca, który przywykł do chodzenia w pończochach. Ty także zasłużyłeś na pochwałę, Dino.

- Dziękuję, Mistrzu - odparłam, pochylając głowę i rumieniąc się, choć nie z takiego powodu, jakiego mógłby oczekiwać. I, co dziwne, sama nie byłam pewna, czy bardziej odczuwam ulgę, pozbywszy się chłopięcego przebrania, czy też urazę, ponieważ Mistrz nie dostrzegł oczywistej prawdy.

- Ale zaczekaj. Została jeszcze kwestia imienia - przypomniał sobie. - Czy już myślałeś, jak powinniśmy się do ciebie zwracać?

- Delfina - oznajmiłam, na co Luigi nieznacznie się uśmiechnął. - To imię mojej kuzynki, a przy tym na tyle podobne do mojego, że będę na nie reagować.

- A zatem niech będzie Delfina. - Odwrócił się do Luigiiego, mówiąc: - Sprawileś się wyśmienicie, ale mamy mało czasu. Terasz zaprowadzę Dina, to znaczy Delfinę, do zamku, żeby mogła się tam urządzić przed zmierzchem. I wrócę czym prędzej, by uregulować nasze rachunki.

- Nie będę na to czekał z zapartym tchem - mruknął Luigi, najwyraźniej dobrze znając skłonność Mistrza do odkładania spłaty długów na później, jeśli tylko było to możliwe. - Przyślę któregoś z moich uczniów, żeby ci przyniósł zmianę bielizny i kilka drobiazgów, które uzupełnią twoją garderobę. I oczywiście będziesz pamiętać, jak uczyłem cię prawidłowo wkładać te ubrania? - zwrócił się do mnie.

- Tak, signore - potwierdziłam, podchwytyjąc jego grę. - Są bardzo dziwne, ale myślę, że sobie poradzę.

Stałam, trzymając worek z moim dobytkiem, podczas gdy Leonardo jeszcze przez kilka minut rozmawiał z krawcem o kostiumach na zbliżający się bal maskowy księcia.

- Przyniosę ci kilka szkiców - obiecał, co Luigi przyjął z westchnieniem rezygnacji.

W moją stronę krawiec wykonał gest, który dziwnie przypominał błogosławieństwo.

- Powodzenia w maskaradzie, dziewczyno... to znaczy chłopcze. I proszę, dbaj o swoje nowe włosy. Są warte sporo i kiedy już to wszystko się skończy, chciałbym je odzyskać.

- A zatem musimy o tym pamiętać - wtrącił szybko Leonardo, biorąc mnie za ramię i prowadząc do drzwi. - Na ulicy pamiętaj o sukni - ostrzegł mnie, gdy doszliśmy do wąskiej uliczki prowadzącej do zamkowej bramy. - Unieś brzeg sukni tak, żeby nie ciągnąć jej po błocie. - Zatrzymał się i pokazał, jak powinienam to zrobić.

Stłumiłam uśmiech i, wykonując jego polecenie, starałam się, by pierwsza próba wypadła trochę niezgrabnie.

- Szybko się uczysz, Dino... a właściwie powinienem cię nazywać Delfiną. A teraz słuchaj uważnie, gdyż opowiem ci, co mówiłem hrabinie o twojej przeszłości.

Słuchając, stwierdziłam z ulgą, że wymyślona przez niego historia była dość prosta. Miałam być córką bogatego handlarza wełną nazwiskiem Gullino i pochodzić z Florencji. Signor Gullino i Mistrz poznali się, kiedy Leonardo przebywał jeszcze w tym mieście. Niestety, mój ojciec wszedł w konflikt z cechem handlarzy wełną („będąc tylko kobietą, nie musisz znać więcej szczegółów”) i musiał opuścić swój dom.

Następnie Leonardo wyjaśnił, że mój ojciec postanowił osiedlić się wraz z rodziną w Mediolanie i że w przed miesiącem przybyliśmy do miasta. Szczęśliwym zrzędzeniem losu Gullino natknął się na dawnego przyjaciela i z przyjemnością usłyszał, że Leonardo nie tylko mieszka w tym samym mieście, co on, ale też ma za patrona księcia Mediolanu. Dlatego mój ojciec poprosił przyjaciela, by wyświadczył mu przysługę i pomógł córce zdobyć posadę na dworze.

- Powiedziałem hrabinie, że jej kuzyn, książę, martwił się niedawną stratą jej służących i pytał, czy nie mógłbym znaleźć kogoś na ich miejsce. Dlatego poleciłem na tę posadę córkę mojego przyjaciela, młodą kobietę o dobrym charakterze.

Tymczasem dotarliśmy do zamkowej bramy. Na dziedzińcu po kilku krokach Mistrz zatrzymał się i odwrócił do mnie.

- Omal nie zapomniałem, że mam coś jeszcze dla ciebie.

Sięgnął pod tunikę i wydobył małą, płaską paczuszkę. Jeszcze zanim ją rozwinął, domyśliłam się, co zawiera.

- Poznajesz zapewne kopie kart tarota należących do hrabiny - wyjaśnił, choć nie było to konieczne, i pokazał mi znajome wizerunki. - Wciąż jestem przekonany, że fakt, iż Bellanca miała przy sobie w chwili śmierci właśnie te karty, ma jakieś znaczenie.

- Czy chcesz, żebym je pokazała hrabinie i zobaczyła, jak zareaguje? - spytałam nieco zdezorientowana.

Skinał głową.

- Można tak powiedzieć. Jeśli nadarzy się okazja, powinnaś poprosić Caterinę, by przepowiedziała ci przyszłość... wcześniej jednak musisz niepostrzeżenie wsunąć te kopie do jej talii. Sądząc z tego, co opowiadała mi o grze Lidia, będziesz mogła sama wybrać karty, które Caterina odczyta. Powinnaś więc wyciągnąć ze stosu te same cztery karty.

- Ale jak mam je rozpoznać wśród innych? - spytałam z niepokojem.

Zamiast odpowiedzi odwrócił karty czerwonymi koszulkami do góry. Wskazując narożniki, powiedział:

- Jeśli przyjrzyś się dokładniej, zauważysz, że wydrapałem z tyłu na każdej karcie mały znaczek. Postaraj się zapamiętać te znaki i odpowiadające im karty; dzięki temu łatwo odróżnisz je od pozostałych.

Mrużąc oczy, dostrzegłam maleńkie zadrapania na wszystkich narożnikach kart. Były tak delikatne, że nie zauważyłabym ich, gdyby Mistrz nie zwrócił na nie uwagi. Z całą pewnością nawet hrabina ich nie dostrzeże, nie wiedząc o ich istnieniu.

Schowałam karty do sakiewki przy pasie. Kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam, że Mistrz nagle spochmurniał.

- Mój chłopcze, teraz zastanawiam się, czy ten plan jest rozsądny - rzekł powoli, gładząc wypielegnowaną brodę. - Może lepiej zrezygnujmy z tego i znajdziemy inny sposób, by dowiedzieć się tego, czego potrzebujemy, o poczynaniach hrabiny. Nie obawiaj się - dodał, gdy już otwierałam usta, by zaprotestować. - Nasz poczciwy krawiec zostanie wynagrodzony za swoje starania.

- Ależ, Mistrzu, ja chcę odegrać tę rolę.

Spojrzałam w kierunku pobliskiej wieży, u której podnóża została znaleziona martwa Lidia. Słońce już kryło się za murami zamku i coraz dłuższe cienie budowli wydawały się sięgać złowieszczo w moją stronę. Zapraszając mnie czy odstraszaając? Wyprostowałam się, postanawiając nie ulegać zabobonom.

- Jeśli ktoś realizuje jakiś niecny plan wymierzony przeciwko zamkowej służbie, to trzeba go powstrzymać - oznajmiłam stanowczo, z niekłamana pasją. - Nikt inny nie dba o to, że te kobiety zginęły. Nawet kapitan gwardii wydawał się dziwnie obojętny wobec śmierci własnej matki!

Mistrz nie odpowiedział.

- Czyż nie powtarzałeś nam zawsze, że wielkim artystą jest ten, kto podejmuje nowe wyzwania? I że dopiero dzięki temu poszerza wiedzę, którą może zastosować w swej pracy? Ten plan niewątpliwie jest nowym doświadczeniem.

- Ach, mój chłopcze, użyłeś przeciwko mnie moich własnych słów - zauważył cierpko Leonardo, kręcąc głową. - Doskonale. Jeśli jesteś pewien, że chcesz odegrać tę rolę, ruszajmy. Ale wiedz, że byłoby niedobrze dla nas obu, gdyby ktokolwiek domyślił się prawdy. Nieważne, że włożyłeś to przebranie na moją prośbę; to ty zostaniesz wtrącony do książęcego lochu, jeśli cię przyłapią.

- Nie boję się, Mistrzu. Proszę, pozwól mi to zrobić.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę i już zaczęłam się obawiać, że może naprawdę chce odrzucić ten plan, zanim zaczęliśmy go urzeczywistniać. Wreszcie skinął głową.

- Przekonałeś mnie. Chodź więc, Delfino, a ja przedstawię cię twojej nowej pani.

- Pio, musisz siedzieć całkiem nieruchomo, żeby signor Leonardo mógł cię namalować.

Łagodnie skarcony, piesek Cateriny przestał gonić własny ogon i spoczął grzecznie na jej kolanach. Położył uszy po sobie i wyciągnął długie przednie łapy, krzyżując je tak, jak widziałam wcześniej; w tej pozycji wyglądał bardzo szlachetnie. Jego smukły czarno-biały kształt odcinał się wyraźnie na tle haftowanej sukni ze złotego brokatu, którą miała na sobie jego pani, zaś czerwona obroża wyszywana złotem była w tym samym odcieniu, co jej peleryna.

Można było odnieść wrażenie, że sama Caterina nie ma ochoty się podporządkować własnym zaleceniom. Poruszała się niepokojnie na krześle, w końcu głośno westchnęła.

- Obawiam się, signore, że jestem równie niecierpliwa, jak biedny Pio - poskarżyła się, choć bez urazy. - Jak długo jeszcze musimy pozować?

- Już niedługo, hrabino - odparł Mistrz. - Będziemy mieli odpowiednie światło jeszcze przez kwadrans, później na dzisiaj skończymy.

Jego uwaga była jednak skupiona nie na Caterinie, ani nawet na stojącej przed nim prostokątnej desce. Koncentrował się na swoich farbach. Ustawił sztalugę tak, by nikt nie mógł obserwować jego pracy, jak miał w zwyczaju. Niemniej z miejsca w przedsionku, gdzie siedziałam wraz z innymi pokojówkami, mogłyśmy bez trudu widzieć samego artystę. Zauważyłam, że dziewczęta wydawały się całkiem zadowolone z tego widoku.

Nie mogłam ich o to winić, gdyż Leonardo tego dnia wyglądał nadwyzczaj przystojnie. Jego prosta tunika, w niemal tym samym rdzawym odcieniu, co rozwiana grzywa, miała czarne wykończenia, pasujące do czarnych pończoch. Ten skromny, lecz doskonale skrojony strój podkreślał wrodzoną aurę elegancji, jaką wokół siebie roztaczał, a zarazem mówił o szlachetnym wyczuciu smaku, kontrastującym z ekstrawaganckimi ubiorami większości mężczyzn na dworze.

Napomniałam sama siebie surowo, że nie jestem tu po to, by się gapić, lecz by szukać poszlak. A jeśli akurat w tej chwili żadnej nie mogłam dostrzec, to powinnam raczej zająć się obserwowaniem pracy Mistrza. A miałam szczęście, gdyż właśnie przy tym portrecie postanowił zastosować nową technikę malarską.

Polegała na mieszaniu pigmentów z olejem, nie zaś z żółtkiem i wodą jak w przypadku tempery. Korzyścią było to, że olejne farby schły wolniej, pozwalając artyście dokonywać zmian. Poza tym umożliwiały tworzenie nowych odcieni przez mieszanie kolorów na palecie, co uwalniało od konieczności

przygotowywania wcześniej każdego z osobna. Gdyby Mistrz malował temperą, musiałyby pieczołowicie nakładać kolejno różne kolory na deskę, w końcu uzyskując pożądany odcień. Wiedziałam, że Leonardo woli tę technikę od farb olejnych, lecz tym razem czas nie pozwalał mu na luksus odłożenia palety.

Patrzyłam z wielkim zainteresowaniem, jak używając najcieńszego pędzla z sierści łasicy, naniósł na deskę kilka kresek. Potem, zerkając ze zniecierpliwieniem przez okno na szybko zmieniające się poranne słońce, odłożył pędzel oraz paletę i dopiero wtedy zwrócił się do Cateriny.

- Zrobiliśmy tyle, ile można było dzisiaj - oznajmił, zakrywając obraz kawałkiem tkaniny. - Spotkam się z tobą, pani, i Pio jutro.

- Ach, co za ulga - odparła z teatralnym westchnieniem i pozwoliła, by Pio zeskoczył z jej kolan.

Kiedy Caterina wstała z krzesła, Pio podbiegł do miejsca, gdzie Mistrz czyścił pędzle i zamykał naczynka z farbami. Stanął przed okrytymi płótnem sztalugami i szczerknął.

Caterina uśmiechnęła się, a ja i pozostałe pokojówki stłumiłyśmy chichot.

- Mistrzowi Leonardo, Pio chciałby zobaczyć, jak postępuje praca. Chyba powinieneś spełnić jego życzenie.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, nawet dla tak zasłużonego psa jak on - odparł Mistrz i przyjaźnie podrapał psa między uszami. - I ostrzegam was, panie, byście nie uległy ciekawości i nie próbowały zdejmować płótna. Farba będzie schła jeszcze przez wiele godzin i jednym nieostrożnym ruchem mogłybyście zniszczyć całodzienną pracę.

- Nie obawiaj się, signore, zostawimy obraz w spokoju - zapewniła go Caterina, zerkając surowo w naszą stronę. - Ale powiedz mi, ile jeszcze sesji będę musiała znieść, zanim skończysz ten portret?

- Jeśli pozwolisz mi przychodzić codziennie, pani, obraz będzie gotowy w niecałe dwa tygodnie.

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią i w końcu skinęła głową.

- To dobrze, gdyż wkrótce będę zajęta projektowaniem kostiumu na maskaradę urządzaną przez mojego kuzyna.

Słyszac te słowa, spojrzalam Leonardowi w oczy i ledwie zauważalnie pokręciłam głową. Wprawdzie wieść o planowanym balu maskowym szybko rozeszła się na dworze, lecz sekret II Moro pozostał bezpiecnie usłyszec, nikt - a zwłaszcza Caterina - najwyraźniej nie wiedział, że uroczystości miały być w rzeczywistości przyjęciem zaręczynowym młodej hrabiny i jej jeszcze nieznanego narzeczonego.

Nie dając po sobie poznać, że było to cokolwiek więcej niż przypadkowe spojrzenie, Mistrz odłożył pędzel i wytarł ręce szmatką.

- Jeśli nie masz swojego krawca albo krawcowej, pani - zwrócił się do hrabiny - czy mógłbym ci polecić signora Luigiego? Jest mistrzem w swoim rzemiośle i z całą pewnością uszyje dla ciebie kostium godny zapamiętania. Nasza młoda Delfina zna go dobrze i chętnie go tu przyprowadzi, jeśli będziesz sobie tego życzyć. Nieprawdaż, Delfino?

Na jego znak podbiegłam i dygnęłam.

- Oczywiście, signore. Uczynię to z przyjemnością, jeśli tylko takie będzie życzenie hrabiny.

- Rozważę twoją radę, Leonardo - odparła, ignorując moje słowa.

Tak potraktowana, spuściłam głowę i pospiesznie wróciłam do pozostałych pokojówek, zaś Mistrz, żegnając się uprzejmie, opuścił Caterinę i Pio.

Tak szorstka odprawa wywołała uśmieszki dwóch pokojówek o złotych lokach, Isabelli i Rosetty. Te smukłe dziewczyny były bliźniaczkami, a ponieważ miały w zwyczaju ubierać się tak samo, jeszcze nie nauczyłam się ich rozróżniać. Wiedziałam już jednak, że były na służbie od samego początku, kiedy Caterina przed rokiem po śmierci ojca zamieszkała w zamku. Pogodziłam

się też z myślą, że najprawdopodobniej nigdy się ze mną nie przyjaźnią, widząc, że odkąd się tu pojawiłam, robią wszystko, by okazać mi swoją wyższość.

Trzecia pokojówka, Esta - pulchniejsza i o nieco ciemniejszych blond włosach - była zupełnie inna. To właśnie ona objaśniła mi moje obowiązki i chętnie dzieliła się ze mną plotkami, mimo że byłam tu zupełnie nowa. Teraz pochyliła się ku mnie i szepnęła:

- A więc naprawdę znasz signora Leonarda! Mój Boże, ależ on jest przystojny. Powiedz mi, czy ma żonę albo jakąś kobietę, która by się o niego troszczyła?

- Nie ma żony - odparłam zgodnie z prawdą, również szep-tem. Po czym, kierując się impulsem, nad którym nie miałam ochoty dłużej się zastanawiać, dodałam, nieco mniej uczciwie: - Ale jestem przekonana, że ma jakąś kobietę.

- Powinłam się domyślić - mruknęła cicho, a w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. Byłam pewna, że powiedziałaaby coś jeszcze, gdyby nie to, że Caterina, kiedy już drzwi komnaty zamknęły się za Leonardem, podeszła do nas żwawo.

- Pozowanie jest takie nudne! - wykrzyknęła, ze zniecierpliwieniem odsuwając stopą skraj sukni. - Esto, chodź ze mną. Pomожesz mi się przebrać w coś wygodniejszego. A gdy Pio zaczął piszczeć, niecierpliwie patrząc w stronę drzwi, dodała: - Isabello, ty i Rosetta wyprowadźcie Pio na spacer.

Czekałam na jakieś polecenia, lecz Caterina, szeleszcząc złotocystym brokatem, odwróciła się na pięcie i popędziła do swojej prywatnej komnaty, z Estą drepczącą tuż za nią.

- Możesz pójść z nami, Delfino - zaproponowała z fałszywą życzliwością Rosetta (a może to była Isabella?). - Smycz Pio leży na stoliku w rogu. Możesz wyprowadzić go na spacer, jeśli chcesz, a my pójdziemy za tobą.

Ponieważ do tej pory żadna z nich nie wykonała przyjaznego gestu w moim kierunku, spodziewałam się, że knują jakąś psotę. Niemniej wzięłam długi złoty sznurek, zadowolona z chwili

odpoczynku od przynoszenia, usługiwania i czekania. Radosny Pio był równie podekscytowany tą perspektywą i, wyczuwając, że czeka go spacer, podskakiwał na tylnych łapach.

Przynajmniej mam tu jednego przyjaciela, pomyślałam ze smutkiem, przypinając smycz do obroży. W podziękowaniu otrzymałam kilka liźnięć długim różowym językiem. Radość psiaka dodała mi otuchy; przytuliłam go mocno do siebie i ruszyliśmy w drogę.

Bliźniaczki szły za mną w takiej odległości, bym nie mogła słyszeć, o czym szepczą. Przeszłyśmy całe skrzydło zamku, by bocznymi drzwiami wyjść na dziedziniec. Pio posłusznie dreptał u mojego boku... Przynajmniej do chwili, gdy jego przednie łapy dotknęły trawnika.

W następnej chwili puścił się pędem przed»siebie i szarpnięcie smyczyomal nie wyrwało mi ręki ze stawu. Na szczęście przezornie owinęłam sobie ramię wokół dłoni, więc pies nie wyrwał mi się, lecz nie byłam przygotowana na jego nagły gwałtowny skok i mało brakowało, bym upadła.

- Pio, niedobry pies! - skarciłam go bez większego przekonania, starając się dotrzymać mu kroku, a jednocześnie nie potknąć się o własną suknię.

Jak na tak małego pieska okazał się zdumiewająco silny i dopiero po chwili udało mi się nad nim zapanować. Z tyłu słyszałam salwy śmiechu bliźniaczek i zaczęłam podejrzewać, że Pio nie pierwszy raz zrobił coś podobnego. Kiedy wreszcie się zatrzymał, byliśmy już w połowie dziedzińca. Wiedziałam, że gdyby nie powstrzymywała go smycz, dawno już uciekłyby przez główną bramę i biegał po rynku.

Oddychałam już niemal normalnie - zdażyłam zapomnieć, jak trudno się biega w długiej sukni - kiedy powoli podeszły do mnie Isabella i Rosetta.

- O mój Boże, chyba zapomnieliśmy ci powiedzieć, że on słucha tylko hrabiny - powiedziała jedna z nich z uśmiechem,

co utwierdziło mnie w podejrzeniu, iż spodziewały się takiego rozwoju sytuacji i chciały zabawić się moim kosztem.

Nie chcąc dać im satysfakcji, uśmiechnęłam się szeroko.

- Ależ nic nie szkodzi. Zaczynałam czuć się nieco odrętwiała po siedzeniu beczynn timer całe przedpołudnie, więc trochę ruchu dobrze mi robi. Prawdę mówiąc, myślę, że mogliśmy sobie jeszcze chwilę pobiegać.

W urażonych spojrzeniach, jakie wymieniły między sobą bliźniaczki, odbiło się ich rozczarowanie tym, że nie zareagowałam tak, jak się spodziewały. Wciąż promiennie uśmiechnięta, ruszyłam z Pio dalej, tym razem już spokojniejszym krokiem. Szepcząc między sobą, Isabella i Rosetta szły za nami.

Następny kwadrans spędziłyśmy na miłym spacerze w ogrodzie, gdzie szczęśliwy Pio wachał liście, robaczki i kamienie, w kilku wybranych miejscach unosząc łapę. Byłam zadowolona z tego spaceru i cieszyłam się z pierwszej chwili relaksu od wczorajszego ranka, gdy Mistrz zostawił mnie pod opieką Cateriny.

Jak dotąd młoda hrabina nie okazała się szczególnie nie miłą panią, choć miała skłonność do wpadania w zniecierpliwienie, najczęściej skupiające się na nas, służących. Poza tym nie zajmowała się jedną rzeczą dłużej niż Pio. Przez krótki czas, jaki przy niej spędziłam, wydawało mi się, jakbyśmy nieustannie skakały tu i tam przy każdym jej nowym pomysśle. Jednak obowiązki pokojówki Cateriny - choć nużące - były znacznie lżejsze niż terminatora Leonarda.

Największą ulgę przyniosło mi to, że nie muszę już ukrywać swej prawdziwej płci. Prawdę mówiąc, ciasno zasznurowany gorset, który miałam teraz na sobie, krępował mi ruchy nie mniej niż to, co nosiłam pod chłopięcą tuniką, a długie spódnice nie były nawet w połowie tak wygodne, jak męskie pończochy. Do tego czułam ciężar warkocza, spływającego dumnie na plecy. Jednak lekkość ducha, jaką czułam, uwolniwszy się od oszustwa, równoważyła wszelkie niewygody, z jakimi musiałam się zmierzyć, występując przed światem znowu jako kobieta. Tak więc

cieszyłam się, mogąc po prostu spacerować po ogrodzie z małym pieskiem u boku.

O tej porze dnia, zaraz po południowym posiłku, mieliśmy tę część zamku praktycznie dla siebie. Hrabina jeszcze się nie pojawiła i wyobrażałam sobie nieszczęsną Estę biegnącą tam i z powrotem na tłustych nóżkach z kolejnymi sukniami, narzutkami i pantoflami, podczas gdy Caterina zapewne nie mogła się zdecydować, co chce na siebie włożyć. Pio przynajmniej był zadowolony ze swej obroży.

- Delfino, jesteście zmęczone - dobiegł mnie z tyłu rozkaszany głos Rosetty, a może Isabelli.

Zerknęłam za siebie na bliźniaczki, które z czerwonymi z wysiłku policzkami starały się dotrzymać kroku mnie i mojemu czworonożnemu podopiecznemu. Pio niewątpliwie rzadko miał okazję wychodzić na zewnątrz, jeśli hrabina się nim nie zajmowała. Nic więc dziwnego, że wydawał się zadowolony z mojego towarzystwa.

- Isabella i ja chcemy wracać do zamku.

Ten głos, najwyraźniej należący do Rosetty, brzmiał ostrzej niż głos jej siostry. Kiedy na nią spojrzałam, dorzuciła:

- Hrabina będzie na nas czekać. Dalej, zabierz tego przeklętego psa i wracajmy już.

Tylko fakt, że hrabina mogłaby na nas czekać, powstrzymał mnie przed udawaniem chwilowej głuchoty. Z westchnieniem zawróciłam Pio.

- Wreszcie - fuknęła Isabella i, przewracając błękitnymi oczętami, wzięła siostrę pod rękę.

Teraz zauważyłam, że rysy miała mniej delikatne niż Rosetta, dzięki czemu było mi łatwiej je odróżnić. Z czasem zapewne nauczę się je rozpoznawać natychmiast, choć przy odrobinie szczęścia moja rola tutaj skończy się za kilka dni. Będę jednak musiała szybko poczynić jakieś postępy, gdyż do zapowiedzianej przez księcia maskarady zostało już tylko dziesięć dni. Ponieważ ostatnio żadnej innej ze służących hrabiny nie spotkał przedwcześniey

koniec, przebywając wśród jej pokojówek, nie dowiedziałam się niczego ciekawego... Pomijając zdawkową uwagę, jaką poprzedniej nocy rzuciła Esta.

- Przyszłaś zastąpić dziewczynę imieniem Bellanca - westchnęła, prowadząc mnie do wąskiego łóżka, które miałam z nią dzielić w pokoju służby niedaleko komnat samej Cateriny. - Byłyśmy na swój sposób przyjaciółkami, chociaż ona trzymała się bliżej z Rosettą i Isabellą niż ze mną. Zginęła w strasznym wypadku kilka dni temu. Może słyszałaś, co się wydarzyło?

Modląc się w duchu, by to kłamstwo zostało mi wybaczone, zapewniłam ją, że nic na ten temat nie wiem. Esta westchnęła znowu i przysiadła na materacu, zaczynając dramatyczną relację, która niewiele różniła się od tego, co sama wiedziałam. Lecz jedno zdanie wypowiedziane przez tę dziewczynę przykuło moją uwagę.

- Wiesz, ona zwykle przekazywała wiadomości od hrabiny. Ciekawe, czy była na wieży na jej polecenie, kiedy spadła - rozważała.

Powstrzymałam się od zapytania o tę zaskakującą informację, natomiast zapamiętałam ją, by później się nad tym zastanowić. Miałam też ochotę zapytać ją o Gregoria, przystojnego kapitana gwardii, aby się przekonać, czy jego związek z Bellancą był powszechnie znany. Ponieważ jednak jako osoba nowo przybyła do zamku nie mogłam nic wiedzieć o życiu osobistym Bellanki, doszłam do wniosku, że roztropniej będzie nie poruszać tego tematu.

Nie odważyłam się też zapytać o Lidię. Podobnie jak Mistrz, nie mogłam uwierzyć, że wyłącznie przypadkowo syn Lidii romansował z dziewczyną, która była jej dobrą znajomą. Czy inni - a przede wszystkim Bellanca - wiedzieli, że Gregorio i Lidia są spokrewnieni? A może Gregorio, rozmawiając z Leonardem, po raz pierwszy publicznie przyznał się do matki? Mogłam mieć tylko nadzieję, że jeśli zdobędę jej zaufanie, Esta podzieli się ze mną dalszymi plotkami.

Wciąż rozmyślałam nad tą rozmową, gdy złowieszcze warknięcie przywróciło mi poczucie rzeczywistości.

To nie Pio szczekał, lecz na ten nieprzyjemny dźwięk natychmiast postawił uszy, starając się zlokalizować jego źródło.

Kilka razy widywałam kundle, które mieszkały wśród zabudowań gospodarczych, i nawet stajenny nie uważał, żeby były miłe. Piaskowej barwy bestie o wystających żebrach i wielkich zębiskach przemykały się wśród stajni niczym wilki. Nieraz widziałam, jak skakały wśród koni i bawiły się z chłopcami stajennymi, najwyraźniej uważając ich za członków swego stada. Poza tym zawsze były gotowe rzucić się z jazgotem - lub z zębami - na każdego, kogo w stajni uznały za intruza.

I wyglądało na to, że teraz jeden z nich dostrzegł w Pio zagrożenie.

Drugie warknięcie - bardziej złowieszcze od pierwszego - rozległo się nieco bliżej, choć nadal nie widziałam psa. Podniosłam drżącego Pio i przycisnęłam go do piersi. Idąc pospiesznie wzdłuż stajni, przeklinałam samą siebie za to, że nie pomyślałam, gdzie jestem. Zerknąwszy za siebie, przekonałam się, że bliźniaczki jeszcze mniej niż ja zważają na to, co dzieje się wokół nich. Zostały w tyle dalej niż poprzednio, paplając i chichocząc między sobą. Spojrzałam na nie z udręką, zastanawiając się, czy w ogóle usłyszały warczenie albo czy zdały sobie sprawę, co ono oznacza.

A wtedy sam Pio szczeknął cicho, lecz odważnie.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że jeden ze stajennych kundli zagradza mi drogę. Ze zjeżonym grzbietem i odsłoniętymi zębami czekał, aż podejść bliżej.

Zatrzymałam się na moment, czując strużkę potu spływającą pod gorsetem, choć dzień wcale nie był upalny. Nie zamierzałam sprawdzać, jak zareaguje pies, jeśli pójdę dalej, ale nie odważyłabym się też odwrócić do niego plecami i cofnąć drogą, którą przyszedłam.

Szepnęłam Pio do ucha kilka słów otuchy, spokojnie skreśliłam i zaczęłam iść w stronę środka ogrodu. Staralam się nie

wykonywać gwałtownych ruchów, wiedząc, że mogłoby to spowodować większego psa do ataku. Zamierzałam oddalić się od stajni i kundla na tyle, by przestał się nami interesować, a następnie pójść dalej swoją drogą. Zrobiłam jednak zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszałam za sobą gardłowy charkot.

Spojrzałam przez ramię w samą porę, by zobaczyć bestię pędzącą ku nam z głuchym warkotem i wyszczerzonymi kłami. Pio dzielnie odpowiadał szczekaniem i wrywał mi się z rąk, zamierzając stawić czoło potężnemu przeciwnikowi

- Nie! - wrzasnęłam na Pio, jak również na napastnika, który teraz krążył wokół nas, wyraźnie szykując się do ataku.

Słyszając za plecami krzyki Isabelli i Rosetty, modliłam się w duchu, by któraś z nich miała tyle przytomności umysłu, by wezwać pomoc. Przy stajniach z pewnością znajdzie się ktoś z solidnym kijem czy grabiami, by odpędzić kundla! Ale zrozumiałam z przerażeniem, że pomoc nie zdąży na czas, bo nagle pies skoczył, chcąc wyrwać Pio z moich objęć.

Uchyliłam się odruchowo i w ostatniej chwili wyszczerzone kły ominęły Pio, zaciskając się na rękawie sukni. Szczęśliwie tylko drasnęły mnie w rękę, nie wbijając się w moje ciało ani w zwierzę. Przy tym kundel skoczył tak szybko, że mój ruch wytrącił go z równowagi i bezwładnie opadł obok mnie.

Zanim zdążył się podnieść, pędziłam już co sił w nogach, choć spowalniały mnie długie spódnice i Pio trzymany na rękach. Biegłam jednak, pełna przerażenia, tak jak moi przodkowie musieli uciekać przed stadem wilków. Cały czas jednak zdawałam sobie sprawę, że ucieczka jest daremna. Za kilka sekund pies zacznie nas gonić i dopadnie kilkoma skokami.

Przemknęło mi przez głowę, że mogłabym po prostu puścić Pio i w ten sposób samej się uratować. Bestia z pewnością szybko rozprawi się z pieskiem, ale przez ten czas zdążę dotrzeć w bezpieczne miejsce. Oczywiście natychmiast odrzuciłam tę myśl. Wiedziałam, że już nigdy nie mogłabym zasnąć spokojnie, gdybym zostawiła niewinnego Pio na tak straszliwą śmierć!

Ledwie podjęłam decyzję, usłyszałam warczenie. Instynktownie odwróciłam się, by spojrzeć za siebie. Pies wstał z ziemi i biegł w naszą stronę. Zaczynało mi brakować tchu, pot spływał z czoła i wiedziałam, że nie zdołam uciec. W ostatniej, rozpaczliwej próbie ratowania nas obojga rzuciłam się na ziemię i przykryłam Pio własnym ciałem, równocześnie osłaniając rękoma głowę i szyję. Pomyślałam gorączkowo, że jeśli będę leżała nieruchomo, kundel przestanie się nami interesować, nim zdąży wyrządzić nam krzywdę.

Słyszałam zbliżające się szczekanie i przygotowałam się na przyjęcie ataku, ciesząc się, że mam na sobie grube spódnice, które może przez chwilę będą nas chronić przed kłami stajennego kundla. Pio leżał nieruchomo pode mną i przez gorset czułam ciepło jego drobnego ciała. Wiedziałam, że gdybym go porzuciła, dzielny psiak stanąłby do walki ze znacznie większym napastnikiem. Był jednak na tyle mądry, by teraz mi się podporządkować. Modliłam się tylko, żeby - jeśli tamtemu psu uda się wyrwać go z moich objęć - koniec nadszedł szybko dla dzielnego Pio.

I wtedy właśnie usłyszałam pojedynczy przenikliwy skowyt, bardziej podobny do głosu człowieka niż psa. Wielka, wściekła masa wylądowała mi na plecach, pozbawiając mnie tchu. Zaciśnęłam powieki, czekając, aż kły wbiją się w mój kark, lecz niespodziewanie poczułam, że ciężar stacza się ze mnie. Potem usłyszałam dziwny dźwięk, jakby coś tuż przy mnie uderzyło o ziemię.

Gdy otworzyłam oczy i ostrożnie odwróciłam głowę, ujrzałam, że płowy pies zwija się na trawie tuż obok z szeroko otwartą paszczą i wywieszonym językiem. Jasnobrązowe futro było teraz splamione krwią, a z karku zwierzęcia sterczała błyszcząca rękojeść noża. Patrzyłam z niedowierzaniem, jak kundel porusza się coraz słabiej, w końcu zupełnie znieruchomiał.

Ostrożnie podniosłam się na kolana, przyciskając do piersi drżącego Pio, i czekałam, co będzie dalej. Jakiś cień przesunął się nade mną i zobaczyłam rękę osłoniętą eleganckim czarnym

rękawem sięgającą po sztylet. Wyciągnęła go z karku psa i wytarła o jego futro.

Słońce stało wysoko na niebie. Zamrugałam, próbując rozpoznać stojącego nade mną mężczyznę. W pierwszej chwili widziałam tylko wysoką postać w ciemnym ubraniu.

Mistrz?

Kiedy mój wzrok przywykł do jasnego światła, zdałam sobie sprawę z pomyłki. Człowiek ten był mi znany, lecz to nie Leonardo rozprawił się z psem w tak zdecydowany sposób. Wysokim, ciemno odzianym mężczyzną, który przyszedł mi z pomocą, okazał się śmiały Gregorio, kapitan książęcej gwardii.

10. Koła Fortuny

Tam, gdzie wkracza los, zazdrość rozpoczyna oblężenie...

Leonardo da Vinci *Kodeks Atlantycki*

To było głupie wyprowadzać psa na spacer przy stajniach - zauważył Gregorio, wsuwając sztylet za cholewę i obrzucając mnie spojrzeniem.

Z przerażenia nie potrafiłam znaleźć stosownej odpowiedzi. Mogłam tylko wpatrywać się w niego z niemym podziwem. Miał na sobie ten sam mundur złożony z czarnej tuniki, ciasno zasnuwanej czarnej skórzanej kurtki i czarno-czerwonych pończoch, surowość tego stroju łagodziła tylko biała koszula widoczna przez rozcięcia w rękawach. Z ciemnymi włosami rozświetlonymi przez padające z tyłu promienie słońca i z mieczem zawieszonym u pasa był podobny do któregoś z upadłych aniołów. Brakowało mu tylko skrzydeł i aureoli. Piękne rysy jego śniadej twarzy mogły się równie dobrze kojarzyć z aniołem i z diabłem.

Wtedy przyszło mi do głowy, że jeden i drugi byłby mile widziany w łóżku przez większość kobiet.

- Wszyscy wiedzą, że tym psom nie można ufać - mówił, podczas gdy ja snułam swoje fantazje. - Gdybym tędy nie przechodził, rozerwałby was na strzępy. Za taką głupotę należałoby cię wychłostać.

Na jego ostatnie słowa zapłonęłam oburzeniem, wytrącona z marzeń na jawie. Przycisnęłam psa do siebie i otworzyłam usta, by zaprotestować. To oczywiste, że nigdy nie zabrałabym Pio w to miejsce, gdybym zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa! Nie jestem aż tak bezmyślna.

Żadne słowa jednak nie padły, ponieważ strach ściskający pierś najwyraźniej odebrał mi głos. Co nie miało znaczenia, gdyż Gregorio mówił dalej:

- I masz szczęście, że to tylko jeden pies, a nie całe stado. Reszta musiała zostać ze stajennymi przy koniach. Gdyby wszystkie goniły ciebie, byłoby nieprzyjemnie.

Zapewne odebrał moje milczenie jako przyznanie się do winy, gdyż skończył reprimendę. Nagle zmarszczył brwi i spytał:

- To jest Pio, prawda? Pies hrabiny? - Pochylił się i podrapał pieska za uchem. - Chyba nic mu nie jest?

- Tak sędzę - wykrztusiłam w końcu.

Pio zapiszczał i polizał Gregoria po ręce, najwyraźniej rozpoznając znajomą osobę. Surowe oblicze kapitana rozjaśniło się nieco. Wyciągnął rękę, by pomóc mi wstać.

- To mądry zwierzak - rzekł, podtrzymując mnie, gdy starałam się utrzymać równowagę z pieskiem na rękach. - Masz szczęście, że nic mu nie jest. Gdyby coś mu się stało, Caterina obdarłaby cię żywcem ze skóry.

Caterina. W tym momencie przypomniałam sobie, po co tu jestem, i zanotowałam w pamięci jego słowa. Z pewnością bowiem człowiek o jego pozycji nie powinien tak poufale wyrażać się o młodej hrabinie. Kiedy uwaga kapitana nagle skupiła się na mnie, omal nie zapomniałam, że mam być oczami i uszami Mistrza.

- A co z tobą? Jesteś ranna? Pokaż rękę.

Ze zdecydowaniem człowieka, który przywykł do wydawania rozkazów, wyjął Pio z moich objęć - z zaskoczeniem spostrzegłam, że moja dłoń wciąż jest ciasno owinięta złotą smyczą - i postawił go na ziemi. Wyjął zza cholewy nóż, chwycił mocno moją rękę, na którą rzucił się stajenny kundel. Spokojnie, lecz stanowczo przeciął sznurówkę łączącą rękaw sukni z gorsetem, a następnie odciął poszarpany, zakrwawiony kawałek koszuli, odsłaniając moje ramię.

Dopiero teraz, gdy minęło przerażenie, zdałam sobie sprawę, że prawa ręka piecze mnie od łokcia do nadgarstka. Krew sączyła się ze skaleczenia, a kiedy owiało je chłodne poranne powietrze, poczułam ostre ukłucie bólu.

- Trzeba to opatrzyć, żeby nie zaczęło się jątrzyć - stwierdził sucho. - Gdzie Isabella i Rosetta?

Spojrzałam na niego zaskoczona. Skąd znał moje towarzyski? Ale on tylko wzruszył ramionami.

- Zakładam, że skoro jest z tobą Pio, jesteś nową służącą hrabiny. A jej służące zazwyczaj nie poruszają się pojedynczo, zupełnie jak stajenne psy.

Psy! Mimo bólu obruszyłam się na te słowa. Musiał zauważyć moje oburzenie, gdyż odpowiedział nieznacznym, leniwym uśmiechem, od którego serce mi zadrzało.

- Nie to miałem na myśli - uspokoił mnie. - Ale gdzie one są? Czy chodziłaś tu sama?

Rozejrzałam się dookoła, lecz nigdzie nie zauważyłam złotowłosych bliźniaczek. Nie potrafiąc ukryć rozgoryczenia tym, że porzuciły mnie w potrzebie, odparłam:

- Szły kilka kroków za mną, kiedy pies zaatakował pierwszy raz. Potem krzyczały i miały się wystraszone. Może pobiegły po pomoc.

- Może.

W tym jednym słowie brzmiała nuta szyderstwa. Najwyraźniej jego ocena obu dziewcząt nie odbiegała od mojej, co mimo bolącej ręki podniosło mnie nieco na duchu.

- Nie martw się, odprowadzę cię. - W jego ustach nie była to propozycja, lecz stwierdzenie faktu. - Możesz chodzić?

- Oczywiście - odparłam, lecz nagle poczułam, że drżą mi kolana. Jednakże z jakiegoś niejasnego powodu nie chciałam przed tym człowiekiem okazać słabości, co oznaczało, że powinnam odrzucić jego ofertę. Przycisnąwszy do siebie krwawiącą rękę, modliłam się, by uśmiech, na który się zdobyłam, nie przypominał grymasu.

- Dziękuję ci, kapitanie, za pomoc. Pio i ja jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że pojawiłeś się w porę. Z pewnością nie omieszkam powiedzieć o tym hrabinie. Ale doprawdy, poradzi-
my sobie sami. - Zwracając się do psa, ponagliłam go: - Chodź, Pio, wracamy do twojej pani. - I lekko pociągnęłam za smycz. Z pieskiem drepczącym tuż obok, dzielnie postawiłam kilka chwiejnych kroków.

I właśnie wtedy - czego się obawiałam - nogi ugięły się pod mną.

Upadłabym, gdyby nie to, że kapitan - a właściwie Gregorio, gdyż uświadomiłam sobie, że właśnie tak zaczęłam o nim myśleć - najwyraźniej przewidział, co się stanie. Zanim znalazłam się ziemi, wziął mnie na ręce z taką łatwością, jak ja podnosiłam Pio.

- Nie mów głupstw - rzekł, kręcąc głową z niesmakiem. - Jesteś ranna i wystraszona. Potrzebujesz odpoczynku, a nie wysiłku.

- Ale... ale pobrudzę cię krwią - wyjąkałam, nie potrafiąc (a może nie chcąc, zakpił jakiś wewnętrzny głos) wymyślić lepszej wymówki.

Parsknął śmiechem, w którym nie było rozbawienia.

- Nie martw się, bywałam zakrwawiony więcej razy, niż potrafiłbym zliczyć. A teraz daj smycz Pio, żebym mógł poprowadzić was oboje.

Czując, że wszelkie dalsze protesty są daremne, posłusznie zsunęłam pętlę z nadgarstka i podałam smycz kapitanowi. Na

koniec, godząc się z tym, co nieuniknione, postanowiłam jak najlepiej wykorzystać sytuację i oparłam się o jego ciepłą, twardą pierś.

Nie po raz pierwszy niósł mnie na rękach mężczyzna. Poprzednio, kiedy byłam bliska śmierci od rany, którą zadał mi nożem morderca, upadłam podobnie jak teraz. Wówczas Mistrz zaniósł mnie z zamkowego ogrodu do pracowni signora Luigiego. Niewiele pamiętałam z tych wydarzeń, gdyż byłam ciężko ranna i przez większość czasu nieprzytomna. Poza tym fakt, że właśnie Leonardo niósł mnie na rękach, budził we mnie dziwne zakłopotanie, toteż nie mogłam uznać tamtego przeżycia za całkiem przyjemne.

Teraz jednak nic nie umiałam poradzić na to, że spoczywając w ramionach Gregoria, czułam zaskakujące podniecenie. Oczywiście jego zachowanie było całkowicie na miejscu, postępował tak, wypełniając obowiązki kapitana książęcej gwardii. Poza tym i Mistrz, i ja żywiłmy pewne podejrzenia wobec tego człowieka, biorąc pod uwagę jego związki z dwiema kobietami, które rzekomo zginęły z własnej ręki w ciągu ostatnich dni. A skoro tak, to czemu sama jego obecność sprawiała mi przyjemność?

W obawie, że mogę się poczuć zbyt swobodnie, postanowiłam poszukać schronienia w rozmowie.

- To zdumiewające, że udało ci się, panie, zabić tego psa nożem - odważyłam się odezwać. - Jak to możliwe?

- Powiedzmy, że jako chłopiec miałem mnóstwo czasu, by wykształcić w sobie takie talenty - odparł dość enigmatycznie. - Trafiam celnie z dość dużej odległości, ale nie chciałem ryzykować, zanim nie położyłaś się na ziemi i nie było obawy, że przypadkowo skoczysz prosto pod nóż. Gdyby nie to, zakończyłbym sprawę szybciej.

- A gdybyś chybił? - spytałam cichutko, po raz kolejny zdając sobie sprawę, jak mało brakowało, byśmy oboje, Pio i ja, zginęli straszną śmiercią.

Gregorio nie wątpił w swoje umiejętności.

- Nigdy nie chybiam - odparł po prostu. - A gdyby nóż nie wystarczył, zawsze mam jeszcze miecz.

Nie wspomniał, że zanim zdążyłby dobiec do nas z mieczem, Pio i ja odnieśliśmy znacznie cięższe, może nawet śmiertelne rany. Ta myśl przyprawiła mnie o dreszcz. Z pewnością wspomnienie rozpaczliwej ucieczki będzie mnie jeszcze prześladowało w snach.

Coś jednak mówiło mi, że Gregorio nie będzie miał podobnych problemów ze snem.

- To dziwne, że nie spotkaliśmy się wcześniej - mówił dalej, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z moich obaw. - Musiałaś niedawno przybyć do zamku. Jak masz na imię?

Odpowiedziałam mu, podając skróconą wersję historii wymyślonej przez Leonarda.

- Dopiero wczoraj zajęłam miejsce wśród dziewcząt hrabiny. Ale skąd mógłbyś to wiedzieć, panie? Przecież nie znasz wszystkich kobiet na dworze.

- Znam wszystkie piękne kobiety... niektóre nawet lepiej niż inne.

Niemal słyszałam w jego głosie ten sam leniwy uśmiech, co przed kilkoma minutami. I tak jak wcześniej, sama nie wiedziałam, czy czuję się bardziej oburzona, czy podniecona tym, co choć niedopowiedziane, jednak wynikało z jego słów. Bezlitośnie tłumiąc to drugie uczucie, przypomniałam sobie, w jakiej roli występuję. Najbardziej niewinnym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć, spytałam:

- Czy znałaś Bellancę, pokojówkę, której miejsce zajęłam?

Poczułam, że gdy usłyszał to pytanie, jego mięśnie niemal niezauważalnie napięły się na ułamek sekundy.

- Rozmawiałem z nią kilkakrotnie, ale to wszystko.

Tym razem w jego głosie nie było wesołości. Prawdopodobnie nie odpowiedziałaby na żadne dalsze pytania dotyczące Bellanki, lecz na razie to nie miało większego znaczenia. Dotarliśmy do portyku prowadzącego do części zamku, w której mieszkali

szlachetnie urodzeni. W odróżnieniu od pustej okolicy stajni tutaj przepływał wartki strumień najróżniejszych służących i handlarzy.

Wszyscy bez wyjątku przyglądali się bezsprzecznie niezwykle młodej dziewczynie niesionej na rękach przez kapitana gwardii oraz małemu pieskowi tuż obok. Twarze większości z nich wyrażały różny stopień dezaprobaty. Tylko jedna bezzębna staruszka w białym zawoju niani na głowie i skromnej sukni klasnęła w ręce i uśmiechnęła się do mnie zyczliwie.

Pazurki Pio głośno stukały w kamienne podłogi, gdy biegł za nami przez mroczne zamkowe korytarze do komnat Cateriny. Powinam się zastanowić, skąd Gregorio wie, którędy iść - choć jako kapitan gwardii z pewnością lepiej niż ktokolwiek inny znał plan zamku - lecz wtedy zupełnie o tym nie myślałam.

Tymczasem moje przedramię już nie piekło, lecz paliło jak ogień i zaczęłam się obawiać, że rana naprawdę może zacząć się jątrzyć. Miałam tylko nadzieję, że ulga, jaką odczuje hrabina, kiedy się dowie, że Pio wyszedł z opresji cało, weźmie górę nad wściekłością. A jeśli tak, to być może pozwoli poszukać kogoś, kto opatrzy moją ranę.

Zanim jednak zdążyliśmy dotrzeć do komnat Cateriny, hrabina wybiegła nam naprzeciw, za nią zaś trzy pozostałe służące. Zatrzymała się gwałtownie i szeroko otwartymi z przerażenia oczami spojrzała na swojego psa.

- Pio! - wykrzyknęła z ulgą, padając na kolana.

Odpowiedział jej radosnym szczekaniem. Wyrwał się kapitanowi i popędził do niej, ciągnąc za sobą smycz przypominającą teraz złocistego węża. Wreszcie, z kocią zwinnością, wskoczył prosto w ramiona Cateriny.

- Pio! - krzyknęła znowu i przycisnęła go do siebie tak mocno, że psiak aż zaskomlał. - Bałam się, że zginąłeś okrutną śmiercią!

- Nic mu nie jest, hrabino - oznajmił cierpko kapitan - lecz nie można tego samego powiedzieć o twojej służącej.

Oderwała wzrok od psa i spojrzała na nas, jakby dopiero teraz zauważając, że też tu jesteśmy.

- Co to ma znaczyć? Co tutaj robisz, kapitanie, i dlaczego niesiesz moją pokojówkę?

- Została ranna, ratując Pio przed stajennym psem. Czy pozwoliłabyś zanieść ją do jej pokoju, by któraś z kobiet mogłaby się nią zająć?

- Uratowała Pio? - Otworzyła oczy jeszcze szerzej i wydawało się, że dopiero teraz naprawdę dostrzegła moją obecność, po raz pierwszy, odkąd pojawiłam się u niej na służbie. Wtedy zobaczyła moją zranioną rękę i jej brzoskwiniowe policzki pobladły.

- Szybko, zanieś ją do mojej komnaty - zdecydowała, stawiając pieska na ziemi i wstając. - Sama się nią zajmę.

Kilka minut później siedziałam wygodnie na miękkim łożku, z ręką opartą na poduszce wypchanej pierzem. Esta na polecenie Cateriny przyniosła miskę gorącej wody i ostrożnie przemywała ranę. Hrabina nałała spory kubek wina i kazała mi je wypić, mówiąc, że to złagodzi ból.

- Wino z ziołami, które moja niania, Lidia, zawsze zalecała na każdą chorobę - wyjaśniła.

Pio leżał na poduszce obok mnie, przeżuając od niechcienia jakiś smaczny kąsek i bacznie obserwując wszystko dookoła. Gregorio robił mniej więcej to samo - oparty niedbale o kolumnę przyglądał się Caterinie i dziewczętom krzątającym się po komnacie. Po chwili widać to zajęcie go znudziło, więc wyprostował się i rzekł do hrabiny:

- Wybacz, hrabino, ale muszę wracać na posterunek - powiedział.

Przypuszczałam, że ów posterunek mieścił się w pokoiku przy wartowni, gdzie inni gwardziści zabijali czas grą w kości i winem.

- Jeśli będziesz sobie tego życzyć - dodał - później chętnie zdam ci relację z tego, co się wydarzyło. Zapewniam, że Delfina starała się ratować Pio, nie zważając na własne bezpieczeństwo.

Zawiesił głos i obrzucił chłodnym spojrzeniem Rosettę i Isabellę. Bliźniaczki, nadaśane, przycupnęły w kącie pokoju. Gregorio, z uprzejmym uśmiechem, który krył w sobie głębsze znaczenie, dorzucił jeszcze:

- Obawiam się, że nie mogę tego powiedzieć o innych twoich służących.

- To nieprawda! - zaprotestowała Rosetta, zaś Isabella energicznie pokręciła głową. - Kiedy tylko zobaczyłyśmy, co się dzieje, przybiegłyśmy tutaj powiedzieć hrabinie, że Pio jest w niebezpieczeństwie...

- ...zamiast pomóc Delfinie go ratować! - przerwała jej Caterina z oburzeniem malującym się na jej twarzy o nieco egzotycznych rysach. Wzięła na ręce swego pupila i ucałowała go czule w łepkę. - A co by było, gdyby kapitan nie przechodził akurat koło stajni, nie zobaczył, co się dzieje, i nie przyszedł jej z pomocą? Mój biedny Pio zostałby rozerwany na strzępy. I Delfina także.

- Proszę, wybacz nam, hrabino. To wina Isabelli. Powinna była ostrzec Delfinę, by nie zbliżała się do stajni - odparła potulnie Rosetta z niewinnym wyrazem twarzy i ze smutkiem wskazała głową siostrę.

Isabella uniosła dumnie głowę i wzięła się pod boki.

- To ty pozwoliłaś jej iść z Pio - zwróciła się do bliźniaczki oskarżycielskim tonem. - Ty powinnaś jej powiedzieć, żeby tam nie szła!

- To teraz nie ma znaczenia - zdecydowała Caterina, marszcząc delikatne brwi. - Zejdźcie mi z oczu, dopóki mój gniew nie minie!

- Te dwie siostry sprzeczą się jak małe dzieci - rzekła półgłosem Esta, podczas gdy kłócące się bliźniaczki wychodziły z komnaty. Spojrzała na mnie i dodała: - Cieszę się, że nie jesteś taka jak one.

Hrabina jednak nie zwróciła uwagi na jej słowa, gdyż była zajęta odprawianiem Gregoria.

- Kapitanie, dziękuję ci w imieniu własnym i Pio - oznajmiła wyniośle, zaszczycając go lekkim uśmiechem i łaskawym skinieniem głowy. - Dopilnuję, żebyś został hojnie wynagrodzony za swoje bohaterstwo.

- Twoje podziękowania są wszystkim, czego mi trzeba, hrabino - odparł z ukłonem i tym leniwym uśmiechem, który widziałam przedtem. Po czym, ku mojemu zaskoczeniu, mrugnął do niej okiem.

Czym prędzej odwróciłam wzrok, udając, że niczego nie widziałam, wcześniej jednak zdążyłam zauważyć, że policzki Cateriny pokrył rumieniec. Co dziwne, wcale nie sprawiała wrażenia oburzonej poufałością ze strony człowieka jego stanu. Wręcz przeciwnie, na jej twarzy odmalowało się zmieszanie połączone z zadowoleniem, przywodzące na myśl reakcję kobiety czującej słodkie ukłucie pierwszej miłości.

Czy możliwe, by hrabina była jedną z kobiet, które Gregorio znał lepiej niż inne? Przypomniałam sobie rzuconą poprzedniej nocy przez Estę uwagę, iż Bellanca przenosiła wiadomości od Cateriny, i nagle nabrałam pewności, że moje przypuszczenie jest słuszne. W końcu szlachetnym damom zdarzało się mieć sekretny romans z człowiekiem niższego stanu, zwłaszcza jeśli ów człowiek był tak przystojny jak Gregorio.

Ignorując nieoczekiwane ukłucie zazdrości - czyż dzielny kapitan zaledwie przed kilkoma minutami nie potraktował mnie podobnie? - jeszcze raz zerknęłam na nich ukradkiem. Co dziwne, mimo różnicy pozycji wydawali się dziwnie do siebie podobni - oboje ciemni, o egzotycznej urodzie i niestałej naturze. Odniosłam wrażenie, że zanim Gregorio, skłoniwszy się, wyszedł z komnaty, wymienili między sobą powłóczyście spojrzenia.

Ledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, Caterina odzyskała swój zwykły nastrój płochej wyniosłości.

- Delfino, czy jesteś ciężko ranna? - spytała, podbiegając do mnie. Nie czekając na odpowiedź, chwyciła mnie za zdrową rękę i mówiła dalej: - Nigdy nie zapomnę, że ryzykowałeś własne życie, by ratować Pio. On teraz jest moją jedyną rodziną. Nie

wiem, co bym zrobiła, gdyby coś mu się stało. - Następnie zwróciła się do Esty, która kończyła opatrywać moje ramię, owijając je długim kawałkiem czystego płótna.

- Czy pamiętałaś, by nałożyć tę maść, której zawsze używała Lidia? Zaklinała się, że to wyleczy każdą ranę. Och, gdyby tylko była tu z nami!

Tłumiąc łkanie, Caterina przysiadła na skraju łóżka i otarła wilgotne oczy koronkową chusteczką. Widząc jej smutek, Pio wdrapał się na kolana swej pani i przytknął zimny nos do policzka Cateriny.

- Nie znałaś Lidii, Delfino... Była bardzo mądrą kobietą - wyjaśniła drżącymi wargami. - Opiekowała się mną w dzieciństwie, gdyż moja matka umarła krótko po tym, jak się urodziłam. Nawet kiedy już dla nas nie pracowała, spotykałyśmy się czasem potajemnie i opowiadała mi cudowne historie. Udawałam nawet, że Lidia jest moją prawdziwą matką. - Zamilkła i pokręciła gwałtownie głową. - Tak, wiem, że to głupie, ale wtedy czułam się szczęśliwa... i ona też, jak sądzę. Wiem, że mnie kochała, i właśnie dlatego nie rozumiem, czemu odebrała sobie życie. Samobójstwo to grzech, prawda?

Zadając to pytanie, spojrzała na mnie błagalnie i zrozumiałam, że ma nadzieję, iż usłyszy ode mnie odpowiedź inną niż ta, którą już знаła. Może gdybym wypijała jeszcze jeden kubek wina, mogłabym wdać się w tego rodzaju filozoficzne dyskusje. Teraz jednak w rozdrażnieniu marzyłam, żeby ona i Esta już sobie poszły i żebym mogła w spokoju opłakiwać zniszczoną suknię i zranioną rękę.

Ponieważ jednak Caterina była - przynajmniej na razie - moją panią, musiałam jej odpowiedzieć. Próbowałam wymyślić jakiś frazes, gdy nagle przyszła mi do głowy historia młodego Vittoria. Przypomniałam sobie, jak Constantin mówił, że matka tego chłopca wypadła przez okno, ludzie zaś mówili, iż nie było to przypadek. Co powiedziałabym Vittoriowi, gdyby zadał mi pytanie, które teraz usłyszałam od hrabiny?

- Kościół uczy, że odebranie sobie życia jest śmiertelnym grzechem - przyznałam łagodnie - ale tylko Bóg wie, co dzieje się w sercu człowieka w chwili śmierci. Być może wydając ostatnie tchnienie, Lidia zmieniła zamiar i nie chciała umierać. W takim razie jej śmierć była pomyłką, wypadkiem, czyż nie?

W oczach Cateriny znowu zaszklily się łzy, lecz teraz uśmiechnęła się i sprawiała wrażenie młodszej, niż była.

- Och, Delfino, mówisz mądrze, zupełnie jak Lidia! - zawołała z ulgą, chwytając mnie za rękę. - Jestem pewna, że masz rację i że to był wypadek. Teraz jest mi o wiele lżej na sercu. - Zerwała się na równe nogi i zwróciła do Esty: - Posprzątaj ten bałagan. Zostawmy Delfinę i Pio, żeby odpoczęli po tak strasznych przeżyciach. Pomożesz mi wybrać dla Delfiny jedną z moich sukien, przecież jej jest zniszczona. A tę później oddamy Rosetcie i Isabelli do naprawy, żeby wyglądała jak nowa.

- Tak jest, hrabino, to cudowny pomysł - przyznała skwapliwie Esta. Uśmiechnęła się do mnie, a z błysku w jej oczach domyśliłam się, że z przyjemnością zobaczy miny bliźniaczek, kiedy dowiedzą się o planach hrabiny.

Popatrzyłam, jak obie wychodzą, po czym z westchnieniem usadowiłam się na stosie poduszek. Pio pisnął cicho i oparł się Wygodnie o mnie, wyciągając swe długie łapy tak, że mimo niewielkich rozmiarów zajmował niemal całe łóżko.

Na szczęście kubek wina, który wypiałam, zaczął działać i ból w ramieniu zelżał. Trunek stłumił też wspomnienie ataku, który przeżyłam, i myśli o tym, jak to wszystko mogło się skończyć. Oczywiście kiedy Mistrz zobaczy mnie jutro z obandażowaną ręką, będzie chciał wiedzieć, co się stało.

Spowijająca mnie mgła odrętwienia uniosła się nieco, gdy wyobraziłam sobie reakcję Leonarda. Co będzie, jeśli uzna, że nie nadaję się do tego zadania, i będzie nalegał, żebym wróciła do roli terminatora? Poczułam dreszcz niepokoju.

Ale to się z pewnością nie zdarzy, próbowałam przekonywać samą siebie. Mistrz na pewno będzie zadowolony z tego, czego

do tej pory zdołałam się dowiedzieć. Dzisiaj, trochę później, skorzystam z nawiązanej zażyłości i wieczorem zaproponuję partię tarota dla rozrywki. Wtedy będę miała okazję sprawdzić swoją zręczność i, jak polecił mi Mistrz, podłożyć do talii kopie kart.

Tymczasem pozwoliłam, by moje myśli leniwie płynęły ku pewnemu przystojnemu kapitanowi gwardii... I zastanawiałam się, jakie to uczucie być jedną z tych kobiet, które znał lepiej niż inne.

11. Siła

Dwie słabości skłaniające się ku sobie tworzą siłę.

Leonardo da Vinci *Kodeks Atlantycki*

Po południu mnie i Pio obudziło z drzemki wejście hrabiny i Esty. Służąca przyniosła tacę. Caterina dała mi chwilę na doprowadzenie się do porządku, po czym wezwała nadwornego medyka.

Wszelkie obawy, że mógłby rozpoznać we mnie ucznia Leonarda, szybko minęły, gdyż medyk ledwie na mnie spojrział. Zniżył się tylko do tego, by pobieżnie obejrzeć moją zranioną rękę, okraszając badanie kilkoma kąśliwymi uwagami na temat kobiet, którym się wydaje, że mogą praktykować medycynę. Oznajmił, że przeżyję, i dał mi lekarstwo, które zapachem i smakiem przypominało ziołowe wino Lidii. Nalegał przy tym, bym co najmniej połowę wypić w jego obecności, po czym zalecił przykrywać ranę, by nie zanieczyściło jej powietrze, i się oddalił.

- Myślę, że Lidia wiedziała o leczeniu więcej niż ten człowiek - szepnęła do mnie Esta, kiedy Caterina dostojnym krokiem odprowadziła lekarza do wyjścia.

Dziewczyna tymczasem przysunęła tacę pełną smakołyków, jakie zwykle jadali szlachetnie urodzeni: leżały na niej plastry wółowiny, pieczone ptaszki, sery i pieczywo, a także stała miseczka

słodczy. Ból ręki w połączeniu z winem sprawił, że zrobiło mi się trochę niedobrze; toteż posiłek przyjął z wdzięcznością, lecz jadłam niewiele. Natomiast Pio z zadowoleniem pochłoniął dwa duże plastry mięsa i spory kawałek sera, po czym z brzuszkiem świadczącym, że jest najedzony, wrócił na swoją poduszkę.

- Esto, musisz pomóc mi to dokończyć - jęknęłam, opadając na posłanie, wskazując niemal pełny półmisek. - Zanieś też trochę Rosetcie i Isabelli... Oczywiście jeśli hrabina nie będzie miała nic przeciwko temu - dodałam, dumna z własnej szczodrości.

- Nic jej nie powiem - odparła Esta, marszcząc brwi ze zdziwieniem. - Ale czemu chcesz być dla nich miłą po tym wszystkim, co się zdarzyło?

- Nie ich wina, że pies nas zaatakował. Poza tym były zbyt przerażone, żeby mi pomóc - dodałam. - Prawdę mówiąc, ja też byłam w strachu.

- Chyba wypić trochę za dużo tego lekarstwa - odparła, biorąc do ręki na wpół opróżniony kubek i odstawiając go ode mnie. Jednak usłyszałam w jej głosie nutkę aprobaty i wiedziałam, że podzieli się z bliźniaczkami.

Po posiłku zasnąłam na chwilę. Kiedy się obudziłam, było już po zmroku, gdyż paliły się świece. Wkrótce nadeszła Caterina, a z nią Esta i bliźniaczki. Młoda hrabina przywitała mnie uśmiechem i usiadła na łóżku obok mnie.

- Wyglądasz znacznie lepiej, Delfino. Jak twoja ręka?

- Niestety, ciągle boli, hrabino - powiedziałam i skrzywiłam się, lekko unosząc ramię. - Ale z całą pewnością jest o wiele lepiej niż rano.

Po czym, przypominając sobie, gdzie jestem, rozejrzałam się dookoła ze skruszoną miną i próbowałam usiąść.

- Jest już późno. Muszę wrócić do naszego pokoju i zwolnić miejsce na tym łóżku, pani.

- Nonsens - odparła wspaniałomyślnie Caterina. - Dziś w nocy możesz odpocząć tutaj, a do swojego łóżka wrócisz jutro. Nie martw się, Pio i ja prześpiemy się całkiem wygodnie na

sofie w pierwszej komnacie. - Spojrzała na pozostałe dziewczyny i dodała: - Jestem pewna, że Delfinie, gdy tak leży tutaj, straszliwie się nudzi. Mam pomysł. Może sobie powrózujemy? Oczywiście tylko dla rozrywki.

Wszystkie przyjęły tę propozycję z entuzjazmem, a ja przyłączyłam się do nich. Caterina podeszła do złoczonej szafki stojącej w przeciwnym końcu pokoju i wyjęła niewielkie, prostokątne pudełeczko wykonane z ciemnego egzotycznego drewna. Podszedłszy do mnie, otworzyła delikatnie rzeźbioną pokrywkę, odsłaniając dobrze mi już znaną talię kart tarota, których złocenia i malowane wizerunki zaślnęły w blasku świec.

„Jeśli nadarzy się okazja, powinnaś poprosić Caterinę, by przepowiedziała ci przyszłość... wcześniej jednak musisz niepostrzeżenie wsunąć te kopie do jej talii”.

Gdybym nie była oszołomiona winem i bólem, zapewne spróbowałabym zrobić to, o co prosił mnie Mistrz. Ale nawet jeśli miałabym jaśniejszy umysł, cztery karty tkwiły w mojej sakiewce, którą Esta dla bezpieczeństwa pieczołowicie wsunęła pod poduszkę. Musiałabym być zręczna niczym Mistrz, by niepostrzeżenie je wyjąć i włożyć między pozostałe.

Tymczasem trzy zaciekawione dziewczyny zgromadziły się wokół łóżka, na którym Caterina uklęknęła i zaczęła starannie tásować karty. Najwyraźniej ten rytuał jest im dobrze znany, pomyślałam, marszcząc brwi.

Właśnie wtedy hrabina podniosła wzrok i, widząc moje zaniepokojone spojrzenie, roześmiała się cicho.

- Nie patrz z takim oburzeniem, Delfino. To tylko zabawa, której nauczyła mnie Lidia. Zobacz, najpierw przepowiem przyszłość Izabelli. Przekonasz się, że to całkiem niegroźne. - Tasując talię jeszcze raz, wyjaśniła: - Oczywiście wiesz, co to są karty tarota. Mają cztery kolory... miecze, denary, buławy i puchary. I naturalnie jest piąty zestaw: figury. Ale czy wiedziałas, że każda karta ma swoje znaczenie, niezależnie od zastosowania w grze, jeśli tylko umiesz je dostrzec?

Caterina zebrała karty w stos i położyła je na łóżku obrazkami do dołu. Następnie rozłożyła je w równym, długim szeregu tak, że widoczna była mniej więcej połowa każdej karty.

- Najpierw Isabella musi zadać pytanie - zwróciła się do dziewczyny i skinęła głową.

Z lekkim uśmieszkiem błakającym się na wargach Isabella zapytała:

- Czy ten przystojny młody mężczyzna, który zwrócił moją uwagę, okaże się mi wierny?

- Doskonałe pytanie do kart - pochwaliła hrabina. - Teraz Isabella wybierze cztery karty... jedna będzie oznaczać ją samą, a pozostałe jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Poczekaa chwilę, aż Isabella wybierze karty, po czym tłumaczyła dalej:

- Teraz odwróci je, żebyśmy zobaczyli, co mają do powiedzenia.

Kiedy przyglądałyśmy się temu z zainteresowaniem, Isabella odsłoniła swoje karty. Hrabina przyjrzała się im kolejno, marszcząc brwi na widok ostatniej. Pochyliła się nad nimi i z uwagą wpatrywała się w nie jeszcze przez chwilę.

Wszystkie patrzyłyśmy z zapartym tchem, skupiając się całkowicie na Caterinie. Migotliwe płomienie świec rzucały cienie na jej twarz, przydając jej egzotycznej urodzie aurę tajemniczości. I nagle atmosfera w komnacie stała się jakby cięższa, bardziej ponura.

Nie byłam pewna, czy ktokolwiek oprócz mnie to zauważył. Może był to tylko wytwór mojej zbyt bujnej wyobraźni albo efekt wypitego wina. Tak czy inaczej, byłam gotowa uwierzyć, że Caterina jest naprawdę obdarzona nadprzyrodzonymi mocami. I wbrew sobie czekałam z niecierpliwością, aż się odezwie.

Po chwili wyprostowała się i uśmiechnęła promiennie do Isbelli.

- Dzisiaj wyciągnęłaś szczęśliwe karty. To jesteś ty. - Wskazała pierwszą kartę, Pazia Mieczu. - Obawiam się, że to oznacza, iż

masz skłonność do prowokowania i niefortunnych zachowań. - A widząc, że Isabella nadała się nieco, dodała: - Ale inne karty wskazują, że umiesz przewycięzać swoje niedoskonałości w kontaktach z mężczyznami. Jeśli będziesz mu wierna, ów młodzieniec również dochowa ci wierności. Musisz tylko pamiętać, by traktować go z szacunkiem i nie dawać mu powodu do zazdrości. W przeciwnym razie znajdzie sobie inną kobietę, która go doceni.

- Taką jak ja - pisnęła Rosetta, na co siostra spiorunowała ją wzrokiem, a my wszystkie parsknęłyśmy śmiechem.

Ta chwila wesołości rozproszyła ogarniające mnie ponure myśli. To, co mówiła Caterina, to tylko dobra rada, pomyślałam z ulgą. Niewątpliwie dobrze znała wady swojej pokojówki i domyślała się, że Isabella może pobłądzić. Jeśli dziewczyna usłucha rady podanej w formie wróżby, interesujący ją młody człowiek może odpłacić podobną wiernością, co dowiedzie, że Caterina miała rację.

- Dziękuję, hrabino - odpowiedziała potulnie Isabella, choć tylko ja zauważyłam, jak uszczypnęła siostrę, na co Rosetta pisnęła i spojrzała na nią ze złością.

Caterina zebrała karty i uśmiechnęła się do mnie.

- Widzisz, to całkiem miłe. Czy mam rozłożyć karty i dla ciebie?

Kiedy skinęłam głową, przetasowała talię i przypomniała mi:

- Najpierw musisz zadać pytanie.

Ułożyła karty w równy stosik i rozsunęła je w rząd, ja w tym czasie zastanawiałam się, jakie pytanie mogłabym zadać. Oczywiście, nie mogłam pytać o to, co najbardziej mnie nurtowało: o śmierć Bellanki i Lidii. Dlatego, być może pod wpływem wina, poszłam za przykładem Isabelli i wypaliłam:

- Czy mężczyzna, który zajmuje moje myśli, kiedykolwiek zobaczy, kim jestem naprawdę?

Jeszcze nie skończyłam mówić, gdy poczułam, że się rumienię i pożałowałam swoich słów, tym bardziej że sama nie byłam pewna, o którego z nich dwóch mi chodziło. Czy o Gregoria,

niezwykle przystojnego kapitana straży, który mógł być kochankiem hrabiny... czy też o Leonarda, mojego mistrza i mężczyznę, którego podziwiałam.

Caterina najwyraźniej nie zwróciła uwagi na moje zmieszanie, gdyż tylko się uśmiechnęła.

- Pytanie zadane. Teraz wybierz karty.

Czując już tylko zakłopotanie, pospiesznie wyjęłam cztery karty z talii. Następnie, za jej zachętą, odwróciłam je. Ale dopiero kiedy czwarta leżała licem do góry, zdałam sobie sprawę, jakie karty mam przed sobą. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyłam dobrze znane wizerunki: Trójkę Mieczy, Rycerza Denarów, Diabła i płonąca Wieżę.

Zamrugałam, nie mogąc uwierzyć, że przypadkowo wyciągnęłam te same karty, które były związane ze śmiercią Bellanki. Opanowałam zaskoczenie i spojrzałam na Caterinę.

Hrabina nie byłaby bardziej wstrząśnięta, gdybym wyciągnęła cztery portrety Pio. Jednak błyskawicznie wróciła do równowagi i jej twarz wyrażała już tylko lekką irytację. Zaczęłam się zastanawiać, czy jednak nie odczytałam błędnie jej reakcji.

- Obawiam się, że talent mnie opuścił, gdyż nie widzę w tych kartach nic szczególnego - oznajmiła, odkładając je na stos. - Nie bądź rozczarowana, Delfino. Spróbujemy następnym razem. - Spojrzawszy na pozostałe dziewczęta, dodała: - Delfina potrzebuje odpoczynku, więc przejdźmy do innej komnaty i po prostu zagrajmy w tarota. Pio zostanie tutaj i dotrzyma jej towarzystwa, a Esta będzie zaglądać do niej w nocy.

Kilka chwil później zostałam w komnacie sama z Pio. Leżałam oparta o poduszki, słyszałam ciche śmiechy z sąsiedniego pomieszczenia, kiedy gra się rozpoczęła. W samotności zastanawiałam się, jak to możliwe, że wyciągnęłam te, a nie inne karty, i przypominałam sobie reakcję hrabiny na ich widok. Czy to był tylko dziwny zbieg okoliczności, czy też działało coś jeszcze?

Jakby wyczuwając mój niepokój, Pio oparł się o mnie i delikatnie dotknął zranionej ręki wilgotnym nosem.

- Ach, Pio, przypuszczam, że gdybyś umiał mówić, miałbyś wiele do powiedzenia - szepnęłam i przytuliłam go mocno, ciesząc się z jego towarzystwa w tym wielkim pustym pokoju.

Mogłabym zająć się pisaniem w moim notatniku, który ostatnimi czasy haniebnie zaniedbałam, lecz świece zaczęły dogasać i wiedziałam, że wkrótce zabraknie światła. Nie mając myśli zajętych niczym innym, nagle poczułam przypływ tęsknoty... lecz tym razem nie za moją rodziną. Zatęskniłam za kolegami - Constantinem, Vittoriem, Paolem, Tommasem, Davidem i resztą. Zastanawiałam się, jak Mistrz wyjaśnił im moją nieobecność.

Zanim jednak zaczęłam się nad sobą użalać, przypomniałam sobie, po co tu jestem. Wysunęłam się spod przykrycia, starając się nie obudzić mojego małego śpiącego towarzysza. Jak mogę leżeć w łóżku, skarciłam się w duchu, skoro powinnam sprawdzić, co robią hrabina i jej pokojówki?

Zdmuchnęłam ogarki świec i skierowałam się do drzwi. Ostrożnie uchyliłam je tylko ma tyle, by zerknąć, co się dzieje w sąsiednim pokoju. Z ulgą stwierdziłam, że ktoś dobrze naoliwił zawiasy, gdyż nawet nie skrzypnęły.

Sąsiednia komnata była jasno oświetlona, więc nie obawiałam się, że ktoś zauważy moje oko w szparze między drzwiami a futryną. Z tego miejsca dobrze widziałam stolik, przy którym siedziały kobiety. Wyglądało na to, że skończyły grę, gdyż Caterina zbierała karty. Siedziała naprzeciwko drzwi, więc dostrzegłam na jej twarzy triumfalny uśmiech, jakby właśnie zwyciężyła w rozgrywce.

Esta i bliźniaczki wstały z krzeseł i zajęły się układaniem jedwabnych prześcieradeł i poduszek na sofie, na której dzisiaj miała spać hrabina. Dobiegał mnie szmer ich rozmów, lecz choć wycężałam słuch, nie udało mi się zrozumieć ani jednego słowa. Wreszcie, pożegnawszy się ze swoją panią, wszystkie trzy wyszły z komnaty i Caterina została sama.

Kiedy szcęknęły zamykane drzwi, wyraz twarzy hrabiny nagle się zmienił i lekki uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi głębo-

kiej rozpaczy. Przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo przy stole... może czekając, czy któraś z dziewcząt przypadkiem nie wróci niespodziewanie.

Ogarnęła mnie fala współczucia i zastanawiałam się, czy nie powinnam pójść do niej. Powstrzymało mnie jednak coś w jej zaciśniętych szczękach i sztywnej pozie; zapewne moja inicjatywa nie zostałaaby dobrze przyjęta. Obserwowałam więc dalej. Caterina wyjęła karty i zaczęła je powoli rozkładać. Zamiast czterech, które wyciągałyśmy ja i Isabella, wybrała z talii pięć razy tyle i wkrótce karty pokryły niemal cały stolik. Położywszy ostatnią, hrabina zamarła w bezruchu, wpatrując się w układ.

Nie umiem powiedzieć, jak długo siedziała w świetle dogasających świec. Ich migotliwy blask wprawił mnie w dziwny stan, pośredni między snem a jawą. Możliwe że stałam na posterunku kilka minut, ale równie dobrze mogły to być godziny. Gdzieś w odległym zakątku mojego umysłu pojawiła się myśl, że może Caterina, zastygła w bezruchu, też znajduje się w podobnym stanie.

I nagle jej skupiona twarz zmieniła się w maskę wściekłości. Wydawszy cichy okrzyk, Caterina zmiotła karty ze stołu. Kartonowe prostokąty rozsypały się wokół niej jak spłoszone ptaki, a ich powierzchnie zaślniły w blasku przygasających świec.

Musiałam westchnąć z zaskoczenia, gdyż hrabina uniosła głowę i spojrzała na drzwi... na mnie. Wiedziałam, że nie może mnie widzieć. Mimo to czym prędzej wróciłam do wielkiego łóżka i wsunęłam się pod koc. Przygarnęłam ramieniem Pio i ledwo zdążyłam zamknąć oczy, udając sen, gdy drzwi cicho się otworzyły, wpuszczając wiązkę światła. Czułam, że stojąc w progu, obserwuje mnie. Leżąc w bezruchu, starałam się oddychać równo i spokojnie. W końcu, jakby usatysfakcjonowana widokiem, hrabina cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Minęło kilka minut, nim moje serce znowu zaczęło bić normalnie. Nawet wtedy jednak nie odważyłam się wstać z łóżka, by dalej ją obserwować. Do tego czasu świece zapewne dogasły

w małych kałużach wosku i w komnacie Cateriny zapanowała ciemność. Wyobraziłam sobie, jak wciąż siedzi na krześle wpatrzone w mrok. Cokolwiek ją dręczyło, sama będzie musiała się z tym zmierzyć.

Rozpaczliwie tęskniąc za moimi kolegami, zakopałam się głębiej w pościeli; chciałam zasnąć jak najszybciej. Zdawałam sobie sprawę, że tej nocy od Cateriny niczego więcej się nie dowiem. Przypuszczałam, że kiedy w końcu wszystko wyjdzie na jaw, wielu rzeczy wołałabym nie wiedzieć.

- Nigdy nie znałam nikogo równie odważnego! - zawołała Caterina, posyłając mi ciepłe spojrzenie. - Signor Leonardo, to prawdziwe szczęście, że przysłałeś do mnie Delfinę!

Po tak wzruszającym wstępie hrabina rozpoczęła dramatyczną opowieść o straszliwej napaści, jaką Pio i ja szczęśliwie przeżyliśmy poprzedniego dnia.

Siedzieliśmy w pierwszej komnacie hrabiny, co stało się już zwyczajem każdego ranka, gdy Mistrz pracował nad jej portretem. Nie zdradzając żadnych oznak dręczących ją wczorajszej nocy emocji, Caterina, ubrana w złotą suknię, zajęła miejsce na krześle. Pio również nie wydawał się pamiętać o wczorajszej przygodzie, położył się z godnością na jej kolanach, od czasu do czasu poszczekując niespodziewanie.

Słuchałam z uwagą Cateriny, czując to występujące na policzki rumieńce, gdy mnie wychwalała, to zimny dreszcz, gdy po raz kolejny zdawałam sobie sprawę, jak niewiele brakowało, byśmy naprawdę źle skończyli. Wprawdzie wołałabym opowiedzieć Mistrzowi naszą przygodę sama, na osobności, jednak było to niemożliwe. Dowód wczorajszych przeżyć był wyraźnie widoczny, gdyż dziś moją rękę podtrzymywał temblak z delikatnej koronki, który Caterina osobiście zawiązała mi na szyi.

- Oczywiście Gregorio... to znaczy kapitan gwardii II Moro... także był dzielny - zakończyła hrabina, a jej policzki zabarwił ledwo dostrzegalny rumieniec. - Gdyby nie znalazł się w pobliżu

i nie użył tak wprawnie noża, obawiam się, że teraz opowiadała-bym ci zupełnie inną historię.

Leonardo słuchał hrabiny i, nie okazując na pozór nic poza uprzejmym zainteresowaniem, starannie układał farby i pędzle. Znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, ile samozaparcia wymagało od niego powstrzymanie powodzi pytań, jakie cisnęły mu się na usta... Nie potrafił się jednak oprzeć pokusie i zapytał o kurację, jakiej zostałam poddana po ugryzieniu.

- Powszechnie bowiem wiadomo, że takie rany, choć wydają się niegroźne, mogą być znacznie bardziej niebezpieczne niż zadane ostrzem - zauważył, zerkając na mnie.

Bezwiednie przyłożyłam dłoń do żeber w miejscu, gdzie gładką niegdyś skórę znaczyła ledwie już widoczna blizna. Żadne z nas nie zapomniało, że zaledwie przed kilkoma tygodniami otarłam się o śmierć.

Hrabina rozwiała jego obawy.

- Nie martw się, signore, nasza Delfina otrzymała najlepszą możliwą opiekę - zapewniła go, przechodząc do szczegółów leczenia, jakiemu zostałam poddana przez nią... a właściwie przez Estę.

- Dopilnowałam też, by nadworny medyk odwiedził ją wczoraj w nocy i zajął się raną - dodała z dumą. - Dał jej do wypicia specjalne lekarstwo, które, jak powiedział, usunie wszelkie złe humory, jakie mogłyby mieć na nią wpływ.

- Miejmy nadzieję, że jego terapia nie przyniesie więcej szkody niż pożytku - mruknął Mistrz, jak zwykle wyrażając wątpliwości co do umiejętności medyka.

Reszta przedpołudnia minęła bardzo szybko. Caterina, opowiedziawszy swoją ekscytującą historię, pozowała spokojnie. Isabella i Rosetta siedziały w kącie komnaty. Najwyraźniej mój wczorajszy dobry uczynek niewiele pomógł, ponieważ szeptały między sobą nadąsane, trudząc się nad moją zniszczoną suknią. Esta miała za zadanie pilnować ich przy pracy i co chwila posyłała mi porozumiewawcze spojrzenia, uśmiechając się z satysfakcją.

Ja sama na wyraźne życzenie Cateriny usiadłam obok niej, abym mogła wezwać ją na pomoc, gdybym poczuła się słabo lub potrzebowała lekarstwa.

- Muszę uważać, by signor Leonardo nie umieścił cię na moim portrecie - zażartowała.

Uśmiechnęłam się cierpko, gdyż Mistrz słynął właśnie z tego, iż wyłącznie dla własnej rozrywki dodawał na swoich obrazach postacie, które wcale nie miały się na nich znaleźć. Biorąc jednak pod uwagę, że portret został zamówiony przez samego księcia, byłam pewna, że tym razem pohamuje swoje poczucie humoru.

Tak więc nie miałam do roboty nic poza siedzeniem i obserwowaniem Mistrza przy pracy. Jednak choć na zewnątrz zachowywałam spokój, aż kipiałam z niecierpliwości, by w końcu móc podzielić się z nim nie tylko moją wersją opowieści o ataku psa, ale także o dziwnych wydarzeniach, jakie towarzyszyły wczorajszemu przepowiadaniu przyszłości przez hrabinę. Wszystko to jednak musiało poczekać, aż Mistrz zakończy pracę; poza tym wiedziałam, że będę musiała wymyślić jakiś pretekst, by zobaczyć się z nim sam na sam.

Jakiś czas później - wydawało się, że minęły całe godziny, choć naturalnie słońce tego dnia wcale nie poruszało się wolniej niż kiedy indziej - światło zmieniło się na tyle, że Mistrz postanowił przerwać malowanie.

- Robimy postępy, hrabino - zapewnił ją, zakrywając obraz. Caterina z westchnieniem podniosła się z krzesła.

- To dobre wieści, signor Leonardo, gdyż do maskarady zostało niewiele dni. Posłałam już do signora Luigiego wiadomość, że chciałabym się z nim dzisiaj zobaczyć i zasięgnąć jego rady w sprawie mojego kostiumu. Może Delfina, jeśli poczuje się lepiej będzie mogła mi towarzyszyć do jego pracowni.

- Czuję się doskonale, hrabino - zapewniłam ją, czując nagle wielką potrzebę wyrwania się z zamku. - Z prawdziwą przyjemnością cię tam zaprowadzę.

Mistrz zerknął na mnie i ledwie zauważalnie skinął głową.

- Delfina będzie dobrym przewodnikiem - potwierdził. - I bardzo się cieszę, hrabino, że postanowiłaś skorzystać z mojej rady w tej sprawie. Może nie będziesz miała mi za złe, jeśli pozwolę sobie posłać naszemu poczciwemu krawcowi kilka szkiców, abyś spośród nich mogła wybrać kostium dla siebie?

Caterina klasnęła radośnie.

- Cudownie! Będę miała na maskaradę kostium zaprojektowany przez samego Leonarda Florentyńczyka! Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę!

- Jestem pewien, że będziesz zadowolona, pani. A teraz, czy mógłbym mieć do ciebie prośbę? Czy byłabyś tak dobra i pozwoliła Delfinie odprowadzić mnie do pracowni? Z pewnością chciałaby przekazać wiadomość swojej rodzinie. - Leonardo z uśmiechem podał pretekst, którego tak potrzebowałam.

- Naturalnie. - Hrabina łaskawie skinęła głową, biorąc Pio w ramiona. - Ale proszę, nie zatrzymuj jej zbyt długo, gdyż będzie mi brakować jej towarzystwa.

Ukłoniłam się Caterinie i w ślad za Mistrzem opuściłam jej pokoje. Kiedy szliśmy przez dziedziniec, zaniepokoił mnie wyraz ponurej determinacji na jego twarzy. Chyba nie będzie mnie winił o to, co się wydarzyło, zanim nie usłyszy mojej wersji!

Milczał całą drogę przez dziedziniec. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do znajomej ławy i znaleźliśmy się poza zasięgiem uszu wszystkich, którzy mogliby się kręcić w pobliżu, odezwał się w końcu.

- Nie jest dobrze, mój chłopcze - rzekł, kręcąc głową. - Po pierwsze, muszę ci powiedzieć, że już wcześniej wiedziałem o tym ataku. Ostatniej nocy przypadkowo natknąłem się na medyka oraz na jednego z jego kompanów i przypadkiem słyszałem, jak opowiada mu o swoim ostatnim przypadku. Oczywiście nie miał pojęcia, że zajmuje się jednym z moich uczniów. Twierdził, że jesteś bardzo zmęczony, więc uznałem, że rozmowa z tobą powinna poczekać do rana. Ale teraz, skoro wiem, że był w to zamieszany kapitan straży... - Zawiesił głos i widać było po nim, że stara się zachować spokój. W końcu przemówił znowu: -

Opowiedz własnymi słowami, co się wydarzyło, dlaczego zostałeś w tak dziwny sposób zaatakowany

Czując narastający niepokój - choć nie umiałam powiedzieć z jakiego powodu - opowiedziałam o wszystkim, co zaszło, nim nastąpiła ta przerażająca scena przy stajniach. Zapewniłam, że rana niemal wcale już nie boli i wygląda na to, że wkrótce się zagoi... Dodałam także, że najprawdopodobniej tylko szybka pomoc Gregoria ocaliła mi życie.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że moje słowa wcale go nie uspokoiły; wręcz przeciwnie, jego twarz jeszcze bardziej spochmurniała. Ale mimo wszystko, kiedy skończyłam opowieść, jego reakcja mnie zaskoczyła.

- To moja wina - powiedział. - Powinienem był przewidzieć, że wysyłając cię do zamku, narażam twoje życie. Musimy zakończyć tę maskaradę, zanim następny zamach nie okaże się skuteczny.

- Następny zamach? - powtórzyłam ze zdumieniem. - Mistrzu, co masz na myśli? To przecież był tylko wypadek.

- Obawiam się, że nie, mój chłopcze. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten atak na ciebie został celowo zaaranżowany.

Patrzyłam na niego, a jego dalsze słowa wprawiły mnie w jeszcze większe zmieszanie.

- Dziś rano rozmawiałem o tym zdarzeniu ze stajennym. Zapewnił mnie, że żaden z jego psów nigdy wcześniej nikogo nie zaatakował. Owszem, zdarzało im się kogoś uszczypnąć czy ugryźć, ale nigdy nie było tak zaciekłego ataku. A potem dowiedziałem się czegoś jeszcze. - Rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt się do nas nie zbliża, i ciągnął półgłosem: - Wygląda na to, że jeden z psów ze stajni został znaleziony martwy tego samego dnia, w którym Lidia odebrała sobie życie. Stajenny pokazał mi, gdzie leżał; to było tuż za główną stajnią.

Skinęłam głową, przypominając sobie rozmowę ze służącym w dniu śmierci Lidii i jego uwagę o smrodzie. Niewątpliwie źródłem tej woni był pies, o którym wspomniał stajenny.

- Ponieważ wydawało mi się to kolejnym dziwnym zbiegiem okoliczności, postanowiłem przeszukać okolicę w nadziei, że znajdę coś, co mi wyjaśni, dlaczego zwierzę padło tak niespodziewanie - mówił. - Prawdę mówiąc, obawiałem się, że skończę z pustymi rękoma, ale tak się nie stało. Za stertą drewna znalazłem małe gliniane naczynie, identyczne z tym, które leżało przy Lidii. Wewnątrz pozostała odrobina płynu, którego zapach nie pozostawiał cienia wątpliwości, że i to wino zostało zatrute.

Zmarszczyłam brwi.

- Przypnę, Mistrzu, że jestem zdezorientowany. Możliwe, że ktoś otruł tamtego psa, ale co to ma wspólnego z psem, który zaatakował mnie i Pio?

- Przypuszczam, że pierwszy pies padł ofiarą, ponieważ zabójca chciał sprawdzić, jaka ilość mikstury będzie śmiertelna. Zbyt dużo uśmierci zwierzę, ale odrobina krążąca w żyłach nie zabije, lecz sprawi, że pies poczuje się źle i będzie rozdrażniony. A wtedy wystarczy drobny bodziec, na przykład inny pies w pobliżu, by rozdrażnienie przerodziło się w furję.

* Mimowolnie zadrżałam. Gdyby ktoś inny mówił o tak niegodziwej intrydze, wyśmiałabym to jako głupi wymysł. Ale to, co przedstawił Mistrz, brzmiało wiarygodnie, wręcz prawdopodobnie. A jednak nie miało sensu. Dlaczego ktoś miałby mordować właśnie mnie? A właściwie pokojówkę imieniem Delfina?

Kiedy zadałam to pytanie Mistrzowi, wzruszył ramionami.

- To także mnie martwi. W ciągu jednego dnia spędzonego na dworze nie mogłaś się dowiedzieć czegoś, co stałoby się dla ciebie wyrokiem śmierci. Zatem pozostaje możliwość, że nie ty miałaś być ofiarą.

- Ale kto...

- Pamiętaj, że bezpośrednią przyczyną ataku był Pio. Nikt nie mógł wiedzieć, że tego dnia ty właśnie będziesz z nim spacerować.

Spojrzałam na niego z niepokojem, zaczynając rozumieć, do czego zmierza. Skinał głową i mówił dalej:

- Jest tylko jedna osoba, której można było się spodziewać razem z Pio na dziedzińcu, a mianowicie jego pani. Obawiam się więc, że zgodnie z tym niecnym planem ofiarą miała być hrabina.

Po tych słowach zapadło milczenie. Przez kilka długich chwil starałam się wszystko zrozumieć. Jeśli ktoś próbował zabić Caterinę, to dlaczego zginęły tamte kobiety? Może każda z nich dowiedziała się o planach zabójcy i zamierzała ostrzec hrabinę, więc trzeba je było uciszyć? A może należały do spisku i odebrały sobie życie dręczone poczuciem winy?

A jednak coś mówiło mi, że Leonardo nie do końca ma rację. Nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego ktoś mógłby chcieć zgładzić hrabinę, nie widziałam też żadnego prawdopodobnego mordercy. Właściwie jedyną osobą budzącą jakiegokolwiek podejrzenia był Gregorio, którego związek z Cateriną zdawał się wykraczać poza zwyczajną przyjaźń.

Pokręciłam głową. Czułam się, jakbyśmy próbowali poskładać rozbity gliniany model Mistrza i przekonali się, że kilku fragmentów brakuje. Choćbyśmy nie wiem jak próbowali, nie uda nam się złożyć całego konia, dopóki nie odnajdziemy brakujących części.

- Wybacz, Mistrzu, ale nie jestem tak całkiem przekonany - odezwałam się w końcu. - Jest wiele rzeczy, których jeszcze nie wiemy a sam powiedziałeś mi kiedyś, że głupotą jest przywiązywać się do jednej teorii, nie mając dostatecznych dowodów, które by to usprawiedliwiały.

Na te słowa jego twarz rozjaśniła się po raz pierwszy w ciągu całej naszej rozmowy.

- I jeszcze raz, drogi chłopcze, użyłeś przeciwko mnie moich własnych słów - rzekł, śmiejąc się cicho. - Obawiam się, że trochę za dobrze cię wykształciłem. Czy chcesz powiedzieć, że zamierzasz kontynuować tę maskaradę?

- Tak! - wykrzyknęłam energicznie. - Ale jest coś jeszcze, o czym powinieneś usłyszeć. Ostatniej nocy dowiedziałem się czegoś, co może być ważne.

Opowiedziałam, jak hrabina zaproponowała przepowiadanie przyszłości, i o tym, że zupełnie przypadkowo wyciągnęłam z talii te same karty, które odgrywały tak ważną rolę w tej sprawie... mimo że wcześniej nie miałam okazji umieścić między nimi kopii Mistrza. Powiedziałam też, że hrabina wydawała się tak zaskoczona, iż przerwała zabawę, nie odczytując kart.

- Jej reakcja jest godna uwagi - przyznał, kiedy skończyłam. - Natomiast co do samych kart, to, że akurat te wyjąłeś z talii, może być tylko dziełem przypadku. Oczywiście o ile hrabina nie miała jakiegoś powodu, by chcieć, żebyś je wyciągnął. Czy możliwe, że jest sprytniejsza, niż nam się wydaje, i użyła jakiejś sztuczki, by ci je podsunąć?

Rozważałam przez chwilę taką możliwość, po czym pokręciłam głową.

- Nie sędzę, żeby tak było, Mistrzu. Jestem pewien, że wybrałam karty zupełnie przypadkowo, a jej zaskoczenie nie wyglądało na udawane. Poza tym nie mogła wiedzieć, że kiedykolwiek widziałem karty, które zabrała Bellanca w dniu swojej śmierci.

- Musisz powtórzyć ten eksperyment - zdecydował. - Wygląda na to, że przynajmniej ta część naszego planu daje jakieś rezultaty. Może jeśli zobaczy te same karty wyciągane raz za razem, da jakąś wskazówkę, co naprawdę dla niej znaczą.

Przytaknęłam z ulgą, gdyż to polecenie oznaczało, że nadal będę odgrywać swoją rolę. Opowiedziałam, co działo się później, kiedy obserwowałam hrabinę siedzącą samotnie w komnacie.

- To jeszcze większy powód do niepokoju - odparł Leonardo, marszcząc brwi. - Ponieważ nie wiedziała, że jest obserwowana, a jednak zareagowała tak gwałtownie. Widać, że ona naprawdę wierzy w to, co mówią jej karty.

- Może jest obdarzona jakimiś zdolnościami, których inni nie mają? - zaproponowałam nieśmiało.

Mistrz roześmiał się w odpowiedzi.

- Dino, mój chłopcze, powinieneś pamiętać, że wkładając kobiecy strój, nie zamieniasz się w kobietę - zakpił. - Jesteś

moim uczniem na tyle długo, by wiedzieć, iż nie daję wiary zaborcom. - Następnie spojrział kpiąco na czerwoną jedwabną suknię, którą miałam na sobie, i dodał: - A skoro już mowa o stroju, obawiam się, że nasz poczciwy krawiec będzie zrozpaczony, jeśli pojawisz się w jego pracowni, mając na sobie suknię, którą nie on uszył.

- Na to nic nie poradzę - zaprotestowałam żałośnie, bezwiednie przesuając dłonią po tkaninie. - Hrabina nalegała, bym włożyła jedną z jej sukien, żeby wynagrodzić zniszczenie mojej. - Po czym, przypominając sobie, że powinnam się zachowywać jak Dino, parsknęłam śmiechem i dodałam: - Muszę przyznać, że w pewnym momencie bałam się, iż mogę zostać odkryty. Gdybym nie przyjął tej sukni, i to z wdzięcznością, obawiam się, że ona i jej damy powaliłyby mnie, obdzierając z ubrania.

- Postąpiłeś, jak należało. A czy pamiętasz, by zachowywać się skromnie, jak przystoi kobiecie? To dobrze - rzekł z aprobatą, gdy przytaknęłam. - Czy mogę zrobić coś jeszcze, by pomóc ci w odgrywaniu roli?

- Chyba pozbawić mnie słuchu - odparłam, żartobliwie zasłaniając uszy rękoma. - Na krew świętych męczenników, te kobiety szczebioczą bez przerwy jak ptaki w zaroślach. Przyznaję, że z przyjemnością wrócę do moich kolegów.

Uśmiechnął się ze współczuciem, po czym przybrał poważniejszy wyraz twarzy.

- Ale pamiętaj, że twoim zadaniem jest słuchanie tego szczebiotu. A teraz wracaj do swojej pani, zanim zaczniesz się zastanawiać, dlaczego nie ma cię tak długo.

Klepnął mnie po ojcowsku w ramię i wstał z ławy, po czym - na wypadek, gdyby ktoś nas obserwował - łaskawie podał mi rękę i pomógł wstać.

- Dokładnie zapamiętaj, o czym będzie się rozmawiać u krawca - udzielił mi ostatniej rady, odchodząc. - Wiesz, że Luigi uwielbia plotki. Może hrabina w jego obecności będzie mniej skryta i wyjawi jakieś ciekawe dla nas informacje.

Patrzyłam, jak oddala się w stronę pracowni, i jakaś część mnie rozpaczliwie pragnęła wrócić tam razem z nim. Ale podjęłam się tej roli i nie zawiodę Mistrza. Wkrótce będę znowu Di-nem skazanym na gotowanie skór i szorowanie podłóg do czasu, aż odkupię niefortunną zabawę z gipsem, która teraz wydawała się należeć do zamierzchłej przeszłości.

Stanowczo odsuwając od siebie wszelkie pokusy i utwierdzając się w postanowieniu pomagania Mistrzowi w rozwiązaniu zagadki, pospieszyłam do zamku. Dopiero gdy już byłam z Cateriną i jej dworkami, zdałam sobie sprawę, że zapomniałam powiedzieć Mistrzowi o jednej ważnej rzeczy, której się wczoraj dowiedziałam.

A może celowo o tym nie wspomniałam, po prostu dlatego, że wolałam udawać, iż to nieprawda?

Dlaczegoż bowiem miałabym zapomnieć powiedzieć o tak ważnej tajemnicy... o moim podejrzeniu, iż hrabinę i kapitana gwardii łączy szokująco niestosowny romans?

12. *Wisielec*

*Ten, kto chce stać się bogaty w ciągu jednego dnia,
zawiśnie w ciągu roku.*

Leonardo da Vinci *Windsor Drawings*

To jest kostium, jakiego pragnę, signor Luigi - oznajmiła Caterina, wskazując ostatni z kilku szkiców leżących na jego stole. - Weź miarę, żebyś mógł szybko przystąpić do pracy.

Krzaczaste brwi krawca uniosły się wysoko.

- Hm, czy jesteś tego pewna, hrabino?

Ja także spozjrzałam na nią pytająco. Zanim wyszliśmy z zamku, Caterina zmieniała złotą suknię na ciemnobrązową z kremowymi wykończeniami, na którą włożyła zielono-kremowy surcot.

Skromniejszy, choć nie gorzej uszyty niż strój, jaki zwykle nosiła, nadawał jej wygląd matrony dwa razy starszej, niż była w rzeczywistości... W każdym razie dopóki nie skrzywiła się z irytacją jak mała dziewczynka.

Zdając sobie sprawę z popełnionego błędu, Luigi pospiesznie dodał ugodowo:

- Chciałbym zasugerować, że Królowa Mieczы byłaby doskonałym wyborem dla kogoś o twojej ciemnej urodzie. - Podnosząc szkic przedstawiający ten właśnie kostium, mówił dalej: - To byłby strój w bieli, złocie i srebrze, miałabyś też koronę i miecz. Gdybym mógł sobie pozwolić na śmiałość, tamten projekt jest mniej stosowny dla młodej damy o twojej pozycji, pani. I jestem przekonany, że signor Leonardo zaprojektował ten kostium z myślą o kimś innym - dodał, zerkając na mnie dyskretnie.

Zamiast odpowiedzi, Caterina chwyciła rysunek, który wcześniej pokazywała.

- Nie dbam o to - odparła zdecydowanie. - To jest kostium, który chcę mieć! - Podała mi rysunek. - Spójrz, Delfino, czyż nie jest cudowny? Wygląda jak Paź z moich kart tarota.

Wzięłam od niej kartkę i natychmiast rozpoznałam rękę Mistrza w szkicu androgynicznego młodzieńca. Podpisany jako Paź Buław, trzymał - lub trzymała - w jednej ręce ozdobną laskę i nie miał żadnego nakrycia głowy. Notatka zapisana obok rysunku uściślała, że postać ma nosić wysokie czerwone buty haftowane złotem i czerwone pończochy. Druga notatka dotyczyła tuniki z czerwono-złotego brokatu, o długich rękawach kończących się szerokimi zielonymi bufkami. Na tym wszystkim Paź miał nosić krótką pelerynę w niebieskie i złote pasy, bogato obszytą białym i złocistym futrem. Ponieważ kostium był przewidziany na bal maskowy, postać w ręce trzymała dużą złotą maskę, która zasłaniała twarz od czoła po nos.

Spojrzałam w oczy Luigiemu i skinęłam głową. To był barwny i widowiskowy strój, stosowny dla młodego chłopca. Chłopca takiego jak Dino.

Natychmiast domyśliłam się, jakie były intencje Mistrza. W noc maskarady zamierzał przebrać mnie w kostium Pazia i wprowadzić między szlachtetnie urodzonych gości. W ten sposób mogłabym nadal być jego oczami i uszami w tę niewątpliwie niezmiernie interesującą noc. Zapewne tylko przez pomyłkę nie oddzielił tego rysunku od pozostałych, kiedy wręczał je krawcowi.

- To piękny kostium - zapewniłam. - Ale obawiam się, że muszę przyznać rację signorowi Luigiemu, że Królowa Miecz była by bardziej odpowiednia. Pojawienie się hrabiny w takim stroju, w męskich pończochach, będzie szokujące.

- Niczego nie rozumiesz - parsknęła, odbierając mi rysunek. - Kiedy jeszcze będę miała szanse zaznać takiej wolności? W końcu to jest maskarada. Nikt nie będzie wiedział, kim jestem, dopóki nie trzeba będzie zdjąć masek, a ja wcześniej wymknę się z sali i nikt się o niczym nie dowie.

Już otwierałam usta, by zaprotestować, lecz natychmiast je zamknęłam.

Oczywiście Caterina jeszcze nie wie, że ma być gościem honorowym na balu, który w rzeczywistości będzie jej przyjęciem zaręczynowym. Co by się stało, gdyby przyszła tak przebrana, po czym zdjęła maskę przed Il Moro i całym jego dworem oraz nieznanym jeszcze księciem, który ma zostać jej mężem?

Niepokoiliłam się coraz bardziej. Ależ przyszły małżonek mógłby odwołać zaręczyny, a nawet zerwać traktat, za którego podpisanie ceną miała być Caterina. Ponieważ Leonardo urządza maskaradę i projektuje kostiumy, księżę całkiem niesłusznie zrzuci na niego winę za tę katastrofę.

Jeszcze nie przestałam myśleć o tych przerażających scenariuszach, gdy hrabina nagle ustąpiła.

- Dobrze - zwróciła się do krawca, oddając mu rysunek i obdarzając go łaskawym uśmiechem. - Postąpię zgodnie z twoją radą. Przebiorę się za Królową Miecz... ale pod jednym warunkiem. Musisz przygotować kostium Pazia dla Delfiny.

Luigi i ja spojrzeliśmy sobie w oczy, zaskoczeni takim rozwojem sytuacji.

- Będę chciała mieć ją przy sobie w czasie maskarady na wypadek, gdybym zaczęła się nudzić. A ponieważ nikomu nie przyjdzie do głowy, że kostium może kryć służącą, będzie mogła zostać na balu, dopóki nie przyjdzie pora zdjęcia masek. I przynajmniej przez jedną noc będzie mogła się cieszyć odrobiną wolności od długich sukien.

- Hm, tak. To brzmi rozsądnie - odparł niepewnie krawiec.

Kiedy hrabina wzięła do ręki szkie i zaczęła go uważnie oglądać, Luigi i ja jeszcze raz wymieniliśmy spojrzenia. Wzruszyłam lekko ramionami i uniosłam brwi. Niewątpliwie był to pomyślny dla nas rozwój wydarzeń i życzenie Cateriny uratowało plan Mistra. Na koniec zwróciłam się do hrabiny.

- Czynisz mi wielki zaszczyt - powiedziałam najzupełniej szczerze. - Jeśli jesteś pewna, pani, że chcesz mieć mnie przy sobie, z przyjemnością stanę u twego boku.

- Wiedziałam, że mogę na tobie polegać. A teraz szybko, niech krawiec weźmie miarę, bo dziś mamy dużo spraw do załatwienia.

Na jej życzenie Luigi zmierzył najpierw mnie, choć z pewnością na pamięć znał już każdy mój wymiar. Na szczęście nie musiałam mu się tłumaczyć z kontuzji, gdyż przed wyjściem z zamku zdjęłam temblak mimo protestów hrabiny. Zauważyłam, że zmarszczyła brwi z dezaprobatą, gdy zobaczyła, jak skrzywiłam się, unosząc rękę, i modliłam się, by nie uznała tego za powód, by kazać mi znowu włożyć to niewygodne urządzenie.

Caterina spokojnie obserwowała, jak przymierzał do mnie kawałki różnych tkanin, zaś Pio z wielkim zainteresowaniem przyglądał się skowronkowi siedzącemu w wiklinowej klatce nad nami. Kiedy już skończył ze mną, krawiec specjalnym sznurkiem z węzełkami zmierzył hrabinę, zauważając przy tym:

- Jesteś, pani, tak zbliżona rozmiarami do Delfiny, że niemal nie muszę brać miary.

Wyglądało na to, że na kostium hrabiny już zdążył przygotować cały zbiór eleganckich białych sukien, gorsetów i rękawów. Przyjrzawszy się bliżej, zauważyłam, że wiele z nich pochodziło z pamiętnej partii żywych szachów, w której gracze byli ubrani całkowicie na czarno lub na biało. Zastanawiałam się, czy hrabina znajdowała się wśród uczestników rozgrywki. Nawet jeżeli tak, to nie wspomniała o tym ani słowem, gdy krawiec ubierał ją w zwoje śnieżnobiałego jedwabiu i adamaszku.

Pomogłam Caterinie włożyć wszystkie części kostiumu, które zręcznie dla niej dobrał. Chwilę potem, kiedy przeglądała się przed stojącym w rogu zwierciadłem, Luigi pospiesznie zabrał mnie na stronę.

- Co się stało z tą piękną suknią, którą dla ciebie uszyłem? - zapytał szeptem, wskazując na ciemnoczerwony jedwab, który miałam na sobie. Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, dodał zrezygnowanym tonem: - Nie, nie mów mi...

- Nie obawiaj się, signore. Jest właśnie naprawiana i będzie wyglądać jak nowa. Wyjaśnię ci wszystko później - szepnęłam, bacznie obserwując Pio.

Skowronek w klatce najwyraźniej uznał, że nic mu nie grozi ze strony drapieżnika, i drażnił go swoimi trelami. Pio tymczasem nie mógł uwierzyć, że ptak wisi poza zasięgiem jego pyska. Zaczął podskakiwać na swych długich tylnych łapach, licząc na to, że w końcu uda mu się dopaść zdobycz.

Zabawiłyśmy w pracowni jeszcze chwilę. W końcu Luigi, odkładając swój sznurek i szpilki, zwrócił się do hrabiny:

- Będę potrzebował mniej więcej dwóch dni na dokończenie obu kostiumów. Zawiadomię cię, pani, kiedy będą gotowe do ostatniej przymiarki.

- I jesteś pewien, signor Luigi, że zdążysz przed maskaradą? - spytała Caterina, marszcząc brwi.

Luigi machnął ręką, rozpraszając jej obawy.

- Będą gotowe dużo wcześniej. - Spojrzał na Pio. Pies w końcu pogodził się z porażką i leżał teraz pod klatką z nosem

na skrzyżowanych łapach, jakby nachmurzony, w czym bardzo przypominał hrabinę. - Prawdę mówiąc, zdażyłbym nawet uszyć ładną obrozę dla tego przystojniaka.

- Jesteś taki miły! - wykrzyknęła i na wzmiankę o pupilu uśmiechnęła się znowu. - Chodź, Pio - zwróciła się do pieska, pociągając lekko za smycz. - Powinniśmy już iść, by nie przeszkadzać signorowi Luigiemu w pracy.

Na zewnątrz, w wąskiej uliczce czekał powóz z jednym z książęcych woźniców, którym przebyłyśmy niewielką odległość dzielącą zamek od warsztatu Luigiiego. Kiedy jednak woźnica zszedł z kozła, by pomóc jej wsiąść, Caterina z rozdrażnieniem machnęła ręką.

- Chcę się przejść - oznajmiła. - Możesz jechać za nami, ale na tyle daleko, żeby konie nie deptały nam po piętach.

Woźnica skłonił się i zrobił, jak sobie życzyła; poczekał, aż Caterina, Pio i ja przeszłyśmy kawałek wąską brukowaną uliczką i dopiero wtedy ściągnął lejce. Choć oczywiście nikt nie pytał mnie o zdanie, nie protestowałam przeciwko tej zmianie planów. Uliczki były tak nierówne, że nawet przy bardzo spokojnym tempie jazdy zawsze istniało niebezpieczeństwo, że spadnie się z twardego siedzenia, gdyby powóz podskoczył na dziurze lub wyboju. Znacznie przyjemniejszym rozwiązaniem były jazda wierzchem lub po prostu spacer.

Tymczasem Caterina z żywym zainteresowaniem obserwowała mieszkańców miasta, którzy zajmowali się swymi codziennymi sprawami, kupując coś u rzeźnika lub aptekarza czy zatrzymując się przy fontannie na łyk wody i chwilę odpoczynku. Pio i ja szliśmy z zadowoleniem obok niej, ciesząc się pięknym popołudniem. Po kilku chwilach takiego spaceru Caterina zwróciła się do mnie:

- Nie wiesz nawet, jakie masz szczęście, Delfino, że jesteś tylko córką kupca - powiedziała z westchnieniem, przypominając mi o mojej fikcyjnej rodzinie. - Możesz przychodzić do miasta, kiedy zechcesz, ja zaś nawet na targowisko nie mogę pójść

sama. A kiedy jest ze mną służba, nie wypada targować się ze sprzedawcami. Muszę czekać na powóz i wysłać jakiegoś mężczyznę, żeby załatwił to za mnie. - Pokręciła głową i westchnęła żałośnie. - Bywają dni, kiedy wołałabym urodzić się kimkolwiek innym, byle nie córką hrabiego!

Zastanawiałam się, czy nie powinnam jej przypomnieć, że wokół miasta żyje sporo głodnych ludzi, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby się z nią zamienić, kiedy nagle chwyciła mnie za ramię i przyciągnęła do siebie.

- Czy nie ekscytuje cię myśl, że będziesz na maskaradzie, wśród wszystkich arystokratów, chociaż jesteś tylko córką kupca? - spytała z satysfakcją. Kiedy skinęłam głową, mówiła dalej. - Widzisz, wyświadczyłam ci przysługę, nieprawdaż? A teraz ty, Delfino, musisz zrobić coś dla mnie.

- Ależ oczywiście, hrabino - zgodziłam się natychmiast, choć z tajemniczego uśmiechu na jej twarzy domyśliłam się, że to nie będzie prosta sprawa. - Co mam zrobić?

- To naprawdę drobiazg. Chciałabym, żebyś dostarczyła pewną wiadomość.

Nagle przypomniałam sobie, co Esta mówiła o Bellance i o tym, że dziewczyna dostarczała jakieś wiadomości od hrabiny. Byłam wówczas pewna, że jeśli dowiem się, co zawierają te listy, znajdziemy się znacznie bliżej rozwiązania tajemnicy śmierci Bellanki. Starając się nie okazywać niestosownego podniecenia takim rozwojem sytuacji, odparłam:

- Naturalnie, hrabino. Komu mam dostarczyć tę wiadomość?

Wyraz jej twarzy nie był już radosny. Zerknęła do tyłu, by sprawdzić, czy woźnica nie może nas usłyszeć.

- Najpierw musisz przysiąc, że nigdy nikomu nie powiesz, o co cię prosiłam - szepnęła z naciskiem. - Nie wolno ci też wyjawić tożsamości osoby, której zanieziesz wiadomość, żeby nie dowiedział się o niczym mój kuzyn, książę. To mogłoby być niebezpieczne i dla mnie, i dla tamtej osoby. Przysięgnij, Delfino!

Zawahałam się, zdając sobie sprawę, że muszę o wszystkim powiedzieć Mistrzowi, a równocześnie wiedząc, że jeśli dam słowo, nie będę mogła go złamać. Ale może znajdę jakiś inny sposób, by zaznajomić Mistrza z prawdą, nie mówiąc mu wszystkiego wprost.

Pospiesznie skinęłam głową.

- Hrabino, przysięgam, że nie będę o tym z nikim rozmawiać bez twego zezwolenia - odparłam cicho, dla lepszego efektu czyniąc znak krzyża.

Najwyraźniej usatysfakcjonowana, puściła moje ramię, po czym wolną ręką - w drugiej wciąż ścisnęła smycz Pio - wyjęła zza gorsetu złożoną chusteczkę. Przyłożyła ją do twarzy, jakby ocierając z czoła kroplę potu.

- W tej chusteczce jest zaszyty list - szepnęła. - Za chwilę ją upuszczę, ty zaś musisz ją podnieść. Ale nie oddawaj mi tej chusteczki. Schowaj ją w rękawie, a ja powiem, co masz z nią zrobić.

Nie czekając na moją odpowiedź, pochyliła się, jakby chcąc pogłaskać Pio. Wtedy chusteczka wysunęła się jej z dłoni. Zatrzymałam się, podniosłam ją z bruku i wsunęłam do rękawa, jak mi poleciła.

- Doskonale - rzekła, zerkając na mnie ukradkiem. - A teraz posłuchaj mojego planu. Zanim dotrzemy do zamkowej bramy, wsiądę do powozu i pożegnaj się z tobą, jakbyś miała zostać w mieście. Odczekasz kilka minut, aż przejedziemy przez bramę. Czy wszystko rozumiesz?

- Tak, hrabino. Co mam potem zrobić?

Ściszyła głos tak, że musiałam dobrze wytężyć słuch, by coś zrozumieć.

- Podejź do bramy, ale nie przechodź przez nią. Powiedz gwardziście stojącemu na straży, że masz pilną wiadomość dla kapitana.

- Dla kapitana gwardii? - spytałam również szeptem. - Chodzi o Gregoria?

- Tak. - Obejrzała się za siebie znów, by sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje, i uśmiechnęła się, wyraźnie przejęta. - Czyż to nie ekscytujące? - wykrzyknęła cicho. - Zawsze obawiałam się, że nigdy nie będę miała okazji poznać prawdziwej miłości. Właściwie byłam pewna, że położę się do grobu, znając tylko dotykiem jakiegoś starego księcia, do którego poślubienia mój kuzyn zmusi mnie pewnego dnia. - Uśmiechnęła się szerzej. - Ale to się zmieniło, gdy kilka miesięcy temu do zamku przybył Gregorio. Właśnie rozmawiał o czymś z moim kuzynem, a ja przypadkowo przechodziłam w pobliżu. Zobaczył mnie, a ja jego... I od tamtej pory wysyłałyśmy sobie potajemnie liściki, a nawet czasami się spotykamy.

- Ależ jak to możliwe? - spytała słabym głosem. - Przecież...

- Och, nie bądź taka oburzona, Delfino - odparła na moje protesty. - To prawda, że różnimy się pozycją, ale przez to wszystko jest jeszcze bardziej romantyczne. Zakochałam się, on także przysiągł mi miłość. Powiedział nawet, że nigdy nie dotknie innej kobiety, jeśli nie będzie mógł mieć mnie. Czyż to nie cudowne?

W odpowiedzi zdobyłam się na uśmiech, mając nadzieję, że hrabina nie dostrzegła mojego rozczarowania. Domyślałam się już co prawda, że związek między Gregoriem a hrabiną może być bliższy, niż pozwalały na to zasady przyzwoitości, ale nie spodziewałam się, że usłyszę to od niej. Oczywiście, gdyby to były tylko przelotne igraszki, można by przymknąć oko na ten związek, o ile hrabina utrzymałaby całą sprawę w tajemnicy. Ale ona chyba naprawdę wierzyła, że jest zakochana i że Gregorio odwzajemnia to uczucie.

Wbrew sobie poczułam, że ogarnia mnie fala współczucia. Czy tylko ona nie zna prawdy o kapitanie? Nie wie, że jest bardziej niestały, niż sam przyznaje? Nie potrafiłam zapomnieć o wszystkich plotkach dotyczących upodobania Gregoria do pięknych kobiet i jego własnych słowach, że niektóre kobiety zna lepiej niż inne.

Nie udało mi się też stłumić ukłucia zazdrości. Po co Caterinie przystojny kapitan, skoro wkrótce poślubi księżcia?

Starając się odsunąć od siebie tak niegodne uczucia, spytałam szeptem:

- Czy bezpiecznie jest zanosić mu list w takiej sytuacji? A co będzie, jeśli wpadnie w niepowołane ręce?

- Nie martw się. On zawsze pali moje listy po przeczytaniu, więc nikt nie będzie wiedział, że kiedykolwiek istniały.

Miałam wielką ochotę zadawać dalsze pytania, tymczasem jednak dotarłyśmy do zamkowej bramy. Zgodnie z planem Caterina wzięła na ręce Pio i gestem wezwała woźnicę.

- Dalej już pojedę - oznajmiła wyniosłe, kiedy powóz zatrzymał się tuż obok niej. Do mnie zaś powiedziała: - Dobrze, Delfino. Możesz odwiedzić swoją przyjaciółkę. Ale nie zostawaj zbyt długo.

- Wkrótce wrócę, hrabino - odparłam, podejmując moją rolę. Odsunęłam się na bok z ukłonem, podczas gdy woźnica pomagał jej zająć miejsce na twardym siedzeniu.

Patrzyłam za odjeżdżającym powozem, w którym Caterina siedziała dostojnie wyprostowana, trzymając w objęciach Pio, który wyglądał ponad jej ramieniem, jakby się do mnie uśmiechał. Rozpieszczony zwierzak zapewne uważa, że jestem głupia, skoro idę, zamiast jechać, pomyślałam z rozbawieniem. Kiedy jednak zobaczyłam, że wóz wjeżdża w furtę wyciętą w wielkiej bramie, dobry humor mnie opuścił.

- Po prostu zanieś mu wiadomość i sprawa będzie załatwiona - mruknęłam sama do siebie, wyjmując kawałek kosztownej koronki, który wsunęłam w rękaw.

Tylko cichutki szelest rozwijanego materiału wskazywał, że coś zostało ukryte wewnątrz. Przyszło mi do głowy, by wyjąć list i przeczytać go przed doręczeniem, lecz nie odważyłam się tego zrobić. Gregorio prawdopodobnie przywykł dostawać wiadomości od hrabiny zaszyte w chusteczkach. Domyśliłby się, że ktoś manipulował przy liście, gdyby dotarł do niego w inny sposób.

Zmarszczyłam brwi. Oczywiście mogłabym poprosić signora Luigiego, by odtworzył ścieg, ale to zajęłoby zbyt dużo czasu. Poza tym krawiec chciałby poznać treść listu i trudno byłoby go przed tym powstrzymać. Jedyna nadzieja, że kapitan da mi list do Cateriny, który będę mogła przeczytać przed oddaniem.

Chyba że Gregorio równie starannie zaszywa swoje listy w chusteczkach, pomyślałam i stłumiłam chichot, wyobrażając sobie dzielnego kapitana z igłą w ręce zamiast miecza.

Odzyskawszy dobry humor, wsunęłam chusteczkę do rękawa i skierowałam się w stronę otaczających zamek potężnych murów z czerwonej cegły. Kiedy jednak podeszłam do ciężkiej drewnianej bramy w imponującej wieży zegarowej, poczułam niepokój na myśl o tym, co mam zrobić. Po chwili niepokój przerodził się w przerażenie, gdy zobaczyłam, że przy bramie stoją ci sami gwardziści, którzy towarzyszyli Gregoriowi kilka dni wcześniej, gdy znaleziono ciało Lidii.

Oczywiście nie rozpoznają we mnie ucznia Leonarda, nawet jeżeli tamtego dnia raczyli na mnie zerknąć w całym zamieszaniu. Mimo wszystko, podchodząc do nich, starałam się trzymać wzrok skromnie spuszczonego.

- Wiadomość dla kapitana, co? - rzekł wyższy z gwardzistów w odpowiedzi na moją prośbę.

Mówił z silnym akcentem i przypomniałam sobie, jak Mistrz mówił, że wielu najemników jest cudzoziemcami. Był jasnowłosy, o kwadratowej twarzy i grubo ciosanych rysach, a malującego się na niej wyrazu okrucieństwa nie łagodził szeroki uśmiech odsłaniający wybrakowane uzębienie.

Jego kolega łypnął na mnie w równie bezczelny sposób.

- Jesteś pewna, dziewczyno, że nie mnie chciałabyś oddać tę wiadomość? - spytał i, mrugając porozumiewawczo, trącił łokciem drugiego gwardzistę.

Przygryzłam wargę, wiedząc, że muszę postępować z nimi ostrożnie, inaczej odprawią mnie z kwitkiem. Zdobywając się na uśmiech, powiedziałam:

- Ta wiadomość jest od kogoś, kto poprosił mnie, żebym ją przekazała kapitanowi. Bądźcie tak dobrzy i wezwijcie go albo powiedzcie, gdzie mogę go znaleźć.

Strażnicy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. W końcu jasnowłosey najemnik uśmiechnął się i wskazał grubym kciukiem za siebie.

- Jeśli chcesz do kapitana, możesz iść tam. Schody prowadzą na mury. Jeśli będziesz miała szczęście, tam znajdziesz kapitana.

- O ile nie będzie akurat zajęty - dodał drugi, znacząco poruszając brwiami.

Pohamowując dreszcz obrzydzenia, podziękowałam im i ruszyłam we wskazanym kierunku. Kiedy jednak przy wtórze przeraźliwego skrzypienia źle naoliwionych zawiasów zamykałam za sobą nieheblowane drzwi, zastanawiałam się, czy to nie jakiś głupi dowcip. Przez wąskie okienko na górze wpadało tylko kilka promieni słońca, więc ledwie widziałam schody. Gdyby któryś z żołnierzy poszedł za mną, mogłabym uciekać tylko na górę.

Poczekalam, aż moje oczy przywykną do ciemności, i zaczęłam ostrożnie wspinać się po schodach. Nie słyszałam za sobą żadnych kroków, a po kilku chwilach dotarłam na szczyt schodów. Stałam przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami, które również zaskrzypiały przeraźliwie, kiedy nacisnęłam klamkę. Jeśli kapitan rzeczywiście był zajęty, jak sugerował gwardzista, z pewnością ten dźwięk uprzedził go o moim nadejściu.

Z ulgą stwierdziłam, że drzwi prowadzą na pierwsze piętro wieży zegarowej. Znalazłam się w podłużnym pomieszczeniu o wysokich oknach, zupełnie pustym, jeśli nie liczyć paleniska w kącie. Zaintrygowana, wbrew samej sobie, wyjrzałam przez okno na rozciągające się w dole miasto. Zobaczyłam gęsto stłoczone budynki, wiele z nich połączonych niczym mostkami sznurami furkoczącej na wietrze suszącej się bielizny. Widziałam plac targowy i te same brukowane uliczki, którymi niedawno szłam razem z hrabiną. Odwróciwszy się w drugą stronę, mogłam z po-

dobnej perspektywy obejrzeć teren zamku. Dziedzińce, barwne ogrody i zielone trawniki ciągnęły się w równym szyku, a między nimi poruszało się mrowie ludzi niezających sobie sprawy, że są obserwowani. Gdybym nie miała misji do wypełnienia, mógłabym godzinami obserwować te drobne scenki rozgrywające się na dole.

Przypomniałam sobie jednak, po co tu przyszłam, i rozejrzałam się dookoła. Otwarte drzwi prowadziły do przypominających tunel chodników, które biegły wokół fortyfikacji. Były to te same wąskie korytarze, gdzie wielokrotnie widziałam żołnierzy trzymających straż. Idąc w jedną stronę, dotarłabym do tej samej wieży, przy której znaleziono ciało Lidii. Korytarz biegnący w przeciwnym kierunku doprowadzi mnie do wieży, z której spadła Bellanca.

Doszłam do wniosku, że nie mam ochoty oglądać miejsca, z którego Bellanca skoczyła w dół, i zawróciłam w stronę drugiej wieży... I nagle w ciemnościach wpadłam na coś twardego.

13. Śmierć

Raczej śmierć niż zmęczenie.

Leonardo da Vinci *Windsor Drawings*

Zastanawiałem się, czy będę miał okazję znowu cię spotkać - odezwał się cicho senny głos, a silne dłonie chwyciły mnie mocno w pasie.

Podniosłam wzrok i ujrzałam Gregoria, patrzącego na mnie z tym samym niebezpiecznym uśmiechem, który zawsze tak mnie drażnił. W mroku nie mogłam jednak odczytać nic w jego spojrzeniu. Czy widział, jak nadchodzę, i czekał na mnie, czy może ja również go zaskoczyłam?

- Kapitanie, porusza się pan cicho jak Pio! - Te słowa same mi się wyrwały. Po chwili, czując, że się rumienię, dodałam pospiesznie: - To znaczy... nie spodziewałam się, że na pana wpadnę.

- Ach, ranisz mnie, droga Delfino - odparł, uśmiechając się szerzej. - Miałem nadzieję, że przysłaś tu specjalnie, by mnie zobaczyć i podziękować za ratunek. Powiedz, jak twoja ręka?

- Dziękuję, kapitanie... z ręką coraz lepiej - odparłam, rumieniając się jeszcze bardziej. - Hrabina nalegała, żeby mi podać jedną z mikstur Lidii, która, jak powiedziała, przyspieszy gojenie się rany.

- Jedną z mikstur Lidii?

Cień przemknął przez jego twarz, a ściskające mnie dłonie rozluźniły chwyt. Pod wpływem jego reakcji zganiłam sama siebie za ten błąd, obawiając się, że mogłabym zbyt wiele ujawnić. W następnej chwili zdałam sobie jednak sprawę, że to nie ma znaczenia. Nie mógł przecież wiedzieć, że wiem, iż Lidia była jego matką, ani że widziałam go przy jej ciele, dziwnie obojętnego wobec tego, co się zdarzyło.

Tak więc skinęłam głową i odparłam niewinnym głosem:

- Hrabina i jej dziewczęta mówią, że była bardzo mądra. Żałuję, że nie miałam okazji jej poznać.

- Tak - odpowiedział tylko. Po czym, unosząc brew, spytał: - Przysłaś tu zobaczyć się ze mną czy może czekasz na kogoś z moich ludzi?

- Któraś z nich? - pisnęłam z autentycznym oburzeniem, przypominając sobie dwóch nieokrzesanych żołnierzy, z którymi przed chwilą rozmawiałam. Ale natychmiast, widząc rozbawienie na jego twarzy, zrozumiałam, że znowu żartuje, i przywołałam uśmiech. - Jestem tutaj, żeby się z tobą zobaczyć, kapitanie, jednakże nie we własnym imieniu - odparłam i wyjęłam z rękawa chusteczkę.

Skinął głową ze zrozumieniem i wziął ją ode mnie.

- A więc ty jesteś nowym posłańcem hrabiny.

Po tym ironicznym stwierdzeniu wyjął zza cholewy nóż, którego ostrze błysnęło w migotliwym blasku płomieni na palenisku. Z taką samą łatwością, z jaką wcześniej rozciął mój zniszczony rękaw, przeciął szew i wydobył ukrytą wewnątrz kartkę.

Podszedł do paleniska, oparł się o kamienną ścianę i rozłożył list. Studiował go tak długo, że zaczęłam się obawiać, czy nie jest w nim zawarta jakaś zła wiadomość. I nagle przyszło mi do głowy zupełnie inne wyjaśnienie jego skupienia.

W końcu był żołnierzem, najemnikiem. Czy człowiek o jego pozycji miał okazję zdobyć cokolwiek poza najbardziej podstawową odrobiną umiejętności czytania i pisania - tylko tyle, by umiał się podpisać, odbierając żołd? Poza tym widziałam przykład pisma Cateriny, tak ozdobnego i wymyślnego, że mogłoby konkurować z manuskryptami mnichów. Może więc kapitanowi po prostu trudno było odczytać list.

- Mogę ci to przeczytać, kapitanie, jeśli chcesz - zaproponowałam nieśmiało, nie chcąc go wprawiać w zakłopotanie, a jednak czując, że powinnam tak postąpić. Poza tym był to najlepszy sposób, by dowiedzieć się, co zawierała wiadomość.

Podniósł wzrok znad papieru i spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Twoja propozycja jest bardzo uprzejma, ale niepotrzebna. Możesz być spokojna, posiadam pewną biegłość w tej dziedzinie.

Kiedy zaś, cała czerwona, zaczęłam go przeproszać, machnął lekceważąco ręką.

- Oczywiście słusznie założyłaś, że nie spędziłem dzieciństwa pod okiem nauczyciela. Prawdę mówiąc, do szesnastego roku życia byłem prawdziwym dzikusiem. Ale kiedy wstąpiłem do oddziałów II Moro, miałem szczęście zaprzyjaźnić się z pewnym starszym człowiekiem, który odebrał prawdziwą edukację. Wziął mnie pod swoje skrzydła i nauczył dość, bym mógł uchodzić za dżentelmena. - Lekki uśmiech przemknął po jego wargach. - Okazałem się całkiem pojętym uczniem, ku jego

i mojemu zaskoczeniu. Później, już sam, liźnąłem nawet nieco łaciny - powiedział, na potwierdzenie przechodząc na chwilę na ten język, po czym dodał: - Poznałem też trochę greki. Chciałaś posłuchać paru wersów z *Iliady*?

- Nie trzeba - zapewniłam go, czując, że moje policzki płoną, gdy zdałam sobie sprawę, że błędnie go oceniłam.

Martwiłam się, że wprawię go w zakłopotanie, a tymczasem sama palę się ze wstydu, a przy tym odczuwam wobec niego niechęć podziwu. Pomyślałam, że Gregorio jako samouk jest nieco podobny do Mistrza. Doprawdy, ten kapitan gwardii jest człowiekiem mającym liczne sekrety.

Podczas gdy walczyłam z zawstydzeniem, on odczytał list Cateriny i wsunął kartkę pod tunikę. Patrzyłam na jego poczynania z niepokojem, przypominając sobie zapewnienia hrabiny, że Gregorio niszczy wszystkie listy, aby nie wpadły w niepowołane ręce.

- Nie spalisz go, kapitanie? - odważyłam się spytać, wskazując na rozżarzone węgle.

Wzruszył ramionami, wyprostował się i podszedł do mnie z chusteczką w dłoni. Gasnące słońce i czerwony blask z paleniska spowijały go ognistym płaszczem, w tym świetle przypominał mi upadłego anioła. Na ten widok serce zaczęło mi bić szybciej.

- Może później - odparł sennie. - A ty możesz powiedzieć hrabinie, że moja odpowiedź brzmi „tak”.

- Dobrze, kapitanie - powiedziałam, dygając.

Stojąc niespełna dziesięć centymetrów ode mnie, uśmiechnął się i pokręcił kędzierzawą głową.

- Droga Delfino, nie musisz być aż tak oficjalna. Przestań się ciągle kłaniać. I może mów mi po prostu Gregorio.

Z tymi słowami wsunął mi koronkową chusteczkę za gorset gestem tak szokująco intymnym, że aż jęknęłam. Odruchowo cofnęłam się o krok, chociaż dreszcz, który mnie przesyłał, nie był wyrazem niechęci.

Posłał mi jeszcze uśmiech, groźny i kuszący zarazem.

- Mam nadzieję, że nadal będziesz pośląncem Cateriny - rzekł cicho. - A czy teraz mam cię odprowadzić na dół, czy zostaniesz jeszcze chwilę?

Wiedziałam, co mi proponuje, i jakaś próżna, niespokojna część mnie samej pragnęła przyjąć jego ofertę. Myśl o Caterinie i Mistrzu przywróciła mi zdrowy rozsądek.

- Ja... ja muszę wracać do zamku, kapitanie - wyjąkałam. - Hrabina czeka na mój powrót i twoją odpowiedź. Poradzę sobie z zejściem.

- Jak chcesz. - Uśmiechnął się szerzej i zrozumiałam, że wie, jak kusząca była dla mnie jego propozycja. - Do zobaczenia następnym razem. I uważaj na schodach, droga Delfino. Potrafią być zdradzieckie.

Mimo ostrzeżenia zbiegłam po stopniach szybciej, niż nakażywał rozsądek; zatrzymałam się dopiero przy drzwiach na dole, by wyjąć zza gorsetu chusteczkę. Włożyłam ją z powrotem do rękawa, wzięłam głęboki oddech i wyszłam na zewnątrz.

Z ulgą stwierdziłam, że obaj strażnicy toczą właśnie zacieklą sprzeczkę z wychudzonym staruszkiem, który chciał wjechać przeładowanym wozem. Jasnowłosy najemnik tylko machnął ręką, pokazując, bym przeszła przez bramę, toteż z zadowoleniem wróciłam na zamkowy dziedziniec.

Z największym trudem oparłam się pokusie spojrzenia na wieżę, by się przekonać, czy Gregorio mnie obserwuje. A kiedy serce znowu zaczęło bić normalnie, w duchu skarciłam się za swoje zachowanie. Mistrz kazał mi dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe o hrabinie, zaś Caterina zwierzyła się z najgłębszego sekretu. A mimo to pozwoliłam, by kusiły mnie uwodzicielskie słowa tego samego mężczyzny, którego potajemnie kochała hrabina... tego samego, który mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Bellanki i Lidii.

Nagle odczułam ogromną chęć, by pobiec do pracowni Leonarda i wszystko mu wyznać. Wtedy jednak nie tylko złamałabym słowo dane Caterinie, ale też musiałabym wyjawić własny sekret. Tego nie mogłam zrobić. W każdym razie nie teraz.

Wzięłam głęboki oddech i starałam się niespiesznie iść przez dziedziniec w stronę skrzydła zamku, gdzie czekała na mnie Caterina. Przekażę jej lakoniczną odpowiedź Gregoria na list i wróćcę do obowiązków. Przy odrobinie szczęścia może nie poprosi mnie już więcej o podobną przysługę.

Gdyby jednak to zrobiła, trudno byłoby mi po raz drugi odrzucić propozycję przystojnego kapitana.

- Hrabina będzie przebrana za Królową Mieczy - opowiadałam Mistrzowi z przejęciem. - A Signor Luigi szyje dla mnie kostium Pazia Buław, na jej wyraźne życzenie. Postanowiła, że wezmę udział w maskaradzie razem z nią, chociaż nie wiem dlaczego. Ale ponieważ będę nosił maskę, nikt się nie domyśli, że nie jestem jednym z zaproszonych gości. - Następnego ranka siedziałam na dobrze mi znanym krześle w prywatnej pracowni Mistrza.

Pio, mając na szyi skromną czarną obrozę wyszywaną srebrem, leżał grzecznie tuż obok. Tym razem jednak nie Mistrz wezwał mnie do siebie. Zostałam wysłana przez samą Caterinę, która zawiadamiiała Leonarda, że dziś nie będzie pozować do portretu.

Jako powód podała lekką niedyspozycję. Wiedziałam jednak, że to nieprawda, gdyż chwilę później słyszałam, jak wysłała Estę do stajni z poleceniem osiodłania klaczy. Nie mogłam jednak odmówić, nawet gdy beztrąsko poprosiła, bym tego dnia zajęła się również jej pupilem.

Na razie Leonardo bardziej przejmował się moim udziałem w maskaradzie niż portretem.

- Ach, to znacznie ułatwia sprawę - rzekł z uśmiechem, potwierdzając moje przypuszczenie, iż zamierzał wysłać mnie między gości. - Gdyby tego nie zaproponowała, byłbym zmuszony przemycić cię do sali ukrytego za półmiskiem. Czy Luigi użył szkiców, które mu posłałam?

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o kostiumach i planowanych rozrywkach. Miały być śpiewy i gra na lutni. I stosownie

do tematu balu Leonardo zamierzał też pokazać swojego naturalnej wielkości mechanicznego lwa - zmyślne urządzenie, które widziałam już wcześniej.

- Poprzedzimy tę demonstrację małym widowiskiem - tłumaczył. - Nie dalej jak dziś rano rozmawiałem z naszym dobrym księciem, który zgodził się wystąpić przebrany za kartę tarota zwaną Siłą. Przypuszczam, że gościom to widowisko przypadnie do gustu. - Nagle Mistrz spoważniał i usiadł na krześle. - Ale dość o tym. Mamy o wiele ważniejsze sprawy do omówienia - rzekł, w roztargnieniu przyglądając się delikatnym szwom na koronkowej chusteczce Cateriny.

Przez całą noc zmagalam się ze świadomością, że będę musiała złamać słowo dane hrabinie i powiedzieć Mistrzowi, że teraz jestem jej posłańcem, jak niegdyś Bellanca. Leonardo natychmiast zapewnił mnie, że powaga sytuacji usprawiedliwia moje przewinienie. Następnie wyjaśnił, że obowiązek czasami zmusza do podejmowania trudnych decyzji, które ludzie nieznający prawdziwych okoliczności mogą uznać za przejaw tchórzostwa lub okrucieństwa. Jak mnie zapewnił, właśnie w takiej sytuacji się znalazłam.

Przyniosłam ze sobą chusteczkę, aby pokazać, w jaki sposób Caterina komunikowała się z Gregoriem, co wzbudziło zainteresowanie Mistrza. Starannie ją zwinął i odłożył na bok, po czym spytał:

- Powiedz mi, czy twoim zdaniem dzisiejsza nieobecność hrabiny ma jakiś związek z listem, który zaniósłś kapitanowi, i odpowiedzią, jakiej udzielił?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę, w końcu odpowiedziałam tonem bardziej poirytowanym, niż zamierzałam:

- Z tego, jak była szczęśliwa i jak się niecierpliwiła, kiedy przekazałem jej wiadomość, domyślałam się, że dziś rano pojechała gdzieś spotkać się z kapitanem. Zastanawiam się, jak bardzo hrabina będzie rozczarowana, odkrywając pewnego dnia, że jemu znacznie mniej zależy na niej niż jej na nim.

- Istotnie - odparł Leonardo, gładząc brodę i przyglądając mi się uważnie. - Warto się też zastanowić, jakie on ma powody, poza oczywistymi, utrzymywania tego związku. Musi przecież wiedzieć, że księżę kiedyś wyda ją za mąż za jakiegoś arystokratę, a sam ryzykuje karierę, gdyby Ludovico dowiedział się o romansie z jego młodą kuzynką.

Lecz kiedy skinęłam głową, aby potwierdzić, że jestem podobnego zdania, Leonardo nieoczekiwanie dodał:

- Ale to nie wszystko. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że w twoich słowach na temat hrabiny kryje się cień zupełnie nie stosownej zazdrości. Powiedz mi, czy się zakochałeś?

To niespodziewane pytanie spadło na mnie jak cios. Czyż nie robiłam wszystkiego, co w mojej mocy, by utrzymać swoją maskaradę, a teraz zdradziła mnie chwila słabości? Nie odważyłam się odpowiedzieć, a jedynie spojrzałam na niego żałośnie. Chyba się nie domyślił...

- Nie winię cię o to, drogi Dino - powiedział Mistrz, widząc moją konsternację. - Caterina jest piękną młodą kobietą i nic dziwnego, że tak wrażliwy chłopiec jak ty uległ jej urokowi. Świadomość, że hrabina kocha innego, musi ci sprawiać wielki ból. Ale przecież powinieneś wiedzieć, że to, czego pragniesz, nie może się spełnić.

- Ja... ja wiem o tym, Mistrzu - odparłam, zwieszając głowę i rumieniąc się, podczas gdy Pio współczująco dotknął wilgotnym nosem mojej dłoni. Ulgę, jaką odczułam, gdy zdałam sobie sprawę, że mój sekret jest bezpieczny, przyćmiewał tylko fakt, iż Leonardo prawidłowo odczytał moje uczucia. Niewiele zmieniało, iż logicznie założył, że Caterina jest obiektem moich uczuć.

- Wszystko w porządku - uspokoił mnie łagodnie, gdy zamilkłam. - Nigdy nie wstydz się tego, że kogoś kochasz. To uczucie jest wielkim darem, zarówno kiedy je dajesz, jak i kiedy przyjmujesz. Chociaż oczywiście - dodał z uśmiechem - muszę cię ostrzec, że fizyczny wyraz tych uczuć ma w sobie więcej farsy niż wzniosłości, jeśli wziąć pod uwagę rozmaite dodatki, jakich wymaga.

Ten poryw dobrego humoru szybko jednak minął i Mistrz znowu przybrał poważny ton.

- Wkrótce się przekonasz, że romantyczna miłość częściej kończy się złamanym sercem niż szczęściem - rzekł, potrząsając kasztanową grzywą. - A ból tylko się pogłębia, kiedy obiektem twoich uczuć jest ktoś, kto nie chce albo nie może ich odwzajemnić. Spróbuj więc odsunąć to od siebie, jeśli potrafisz. Na razie twoje obowiązki wymagają, być używał raczej głowy niż serca.

- Zrobię, jak mówisz, Mistrzu - rzekłam z westchnieniem, chociaż przypuszczałam, że uwolnienie się od tych uczuć nie będzie tak proste, jak przedstawiał.

Skinął głową z aprobatą.

- Dobry chłopak. A teraz, żeby oderwać cię od przykrych rozmyślań, opowiem ci, czego dowiedziałem się w ostatnich dniach.

Sięgnął po leżący na stole stos papierów. Zauważyłam przedstawiające Caterinę szkice, które wcześniej wykonał, a także kilka innych rysunków, będących zapewne projektami kostiumów, podobnymi do przekazanych krawcowi. Jednak szkic, który wyjął spośród papierów, nie był jego dziełem.

- Jestem pewien, że pamiętasz ten rysunek.

Skinęłam głową, natychmiast rozpoznając portret, który na życzenie Mistrza naszkicowałam przed kilkoma dniami. Przedstawiał młodego pazia, którego widziałam wraz ze służącym przy grobie Bellanki.

Marszcząc brwi, przyglądałam się szczupłej twarzy okolonej aureolą kasztanowatych loków.

- Tak, pamiętam twarz tego młodzieńca, chociaż nie udało mi się go odszukać.

- A mnie się udało. - Spojrzał na mnie triumfalnie i odebrał szkic. - Twój rysunek całkiem dobrze oddaje podobieństwo - ciągnął z uznaniem, od czego zrobiło mi się ciepło na sercu. - Kiedy po rozmowie z księciem wyszedłem z jego komnat, natknąłem się na tego młodego człowieka i natychmiast rozpoznałem

twarz z twojego szkicu. Wyjaśniłem mu, że Il Moro życzy sobie, by współpracował w tej sprawie, on zaś opowiedział mi wszystko, co mu było wiadomo.

Podczas gdy słuchałam z podziwem, Mistrz przedstawił wspomnienia paiza z ostatniej rozmowy z Bellancą. On i Bellanca rozmawiali ze sobą wielokrotnie, choć paż przyznawał, że łączyła ich tylko przyjaźń. Mimo to zaniepokoił się, gdy - po raz pierwszy odkąd ją znał - urodziwa służąca sprawiała wrażenie przerażonej.

Wkrótce wyjaśniła mu przyczynę swoich obaw, choć młodzieńcowi wydała się ona niedorzeczna. Bellanca zgodziła się, by hrabina odczytała jej przyszłość z kart, a wtedy usłyszała, że zostanie zdradzona przez mężczyznę i poniesie tego ponure konsekwencje. Wspomniała też, z jaką ulgą usłyszała, że inna ze służących hrabiny potrafi odwrócić ciężące na niej przekleństwo. Najpierw jednak Bellanca musi wykraść hrabinie feralne karty, co też zrobiła.

- Nasz paż twierdził, że to była jego ostatnia rozmowa z Bellancą, która potem najwyraźniej poszła zobaczyć się z ową tajemniczą służącą, choć nie miał pojęcia, co się wtedy wydarzyło. Mówił też, że później Bellanca skoczyła z wieży.

Siedziałam w milczeniu, analizując nowe informacje, zaś Mistrz odłożył rysunek na bok.

- Zdaje się, że rozrywka hrabiny nie jest aż tak nieszkodliwa, jak się wydaje - zauważył, marszcząc brwi. - Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że stała się przyczyną śmierci Bellanki. Natomiast jeśli idzie o służącą, która twierdziła, że umie zdjąć klątwę, przypuszczam, że obaj domyślamy się, jak miała na imię.

- Lidia! - wykrzyknęłam, na co Mistrz skinął głową potakująco. - To wyjaśnia, skąd karty tarota wzięły się w wieży.

- Tak, pamiętaj bowiem, że synem Lidii jest kapitan gwardii. Zatem możliwe, że i ona miała wstęp na fortyfikacje.

Przypominając sobie, jak łatwo dwaj gwardziści wpuścili mnie do wieży zegarowej, nie wątpiłam w to ani przez chwilę. Mistrz jednak nie był do końca przekonany.

- Ale chyba nie sądzisz, że Lidię łączyło coś ze śmiercią Bellanki? - spytałam z oburzeniem, przypominając sobie jej autentyczną rozpacz na skromnym pogrzebie.

Leonardo wzruszył ramionami.

- To możliwe. Niestety, już nie ma jej wśród nas, więc nie odpowie nam na to pytanie. Ale muszę przyznać, że wciąż nie potrafię znaleźć przyczyny, dla której chciałyby wyrządzić krzywdę młodszej służącej.

- Może więc Bellanca naprawdę popełniła samobójstwo, a Lidia to widziała - podsunęłam. - Możliwe też, że odebrała sobie życie dręczona wyrzutami sumienia, że nie powstrzymała Bellanki przed skokiem.

- To interesująca teoria, mój chłopcze, i niepozbawiona podstaw. Oczywiście istnieje możliwość, że śmierć Lidii była w rzeczywistości morderstwem i trzeba ją było uciszyć, by nie powiedziała czegoś, co wiedziała.

- A czyż trucizna nie jest metodą zwykle stosowaną przez arystokratów? - wtrąciłam pospiesznie i w następnej chwili zdałam sobie sprawę, co to może oznaczać. - Przecież hrabina nie może być odpowiedzialna za śmierć Lidii... i Bellanki?

- Przypomnij sobie, że to właśnie hrabina przepowiedziała Bellance, iż spotka ją coś złego. Poza tym warto podkreślić, że Bellanca niegdyś odgrywała rolę posłańca między hrabiną a Gregoriem, która teraz przypadła tobie. Może Bellanca wdała się w romans z kapitanem, a Caterina dowiedziała się o jej zdradzie.

- Być może - odparłam, czując się trochę nieswojo na wspomnienie swoich nie całkiem uczciwych myśli.

Leonardo zdawał się nie dostrzegać mojego niepokoju; wziął kartkę i na szkicu przedstawiającym Caterinę zaczął rysować inną twarz.

- Dino, mój chłopcze - powiedział, wzdychając ze zmęczeniem. - Mamy w tej sprawie zbyt wielu podejrzanych i bardzo mało czasu na rozwiązanie tajemnicy. Kiedy traktat Il Moro

zostanie zawarty, a zaręczyny Cateriny ogłoszone, nie może już być żadnych incydentów. Tak więc na załatwienie sprawy zostały nam tylko cztery dni.

Ja także westchnęłam, zastanawiając się, czy uda nam się kiedykolwiek rozwikłać splątane wątki. Ten cichy dźwięk powtórzył Pio, opierając się o moje kolano, najwyraźniej zasmucony tym, że został opuszczony przez swoją panią. Poklepałam go z czułością po grzbiecie i zwróciłam się do Mistrza:

- Muszę już iść, żeby moja zbyt długa nieobecność nie zwróciła niczyjej uwagi. Czy chcesz, żebym coś jeszcze zrobił, Mistrzu?

- Spróbuj jeszcze raz z kartami tarota - odpowiedział nieobecny głosem, całkowicie skupiony na swoim rysunku. - Wciąż uważam, że zawierają przynajmniej wskazówkę do rozwiązania tej zagadki.

- Spróbuję dziś wieczorem - obiecałam, biorąc smycz Pio i wstając z krzesła. W tym momencie jeszcze jedna myśl przyszła mi do głowy i zatrzymałam się. - Mistrzu, a co z portretem? - spytałam z obawą. - Czy będzie gotowy na czas?

- O to, drogi chłopcze, nie musisz się martwić. Książę dostanie portret damy przed nocą maskarady.

Nieco podniesiona na duchu opuściłam pracownię. Mój nastrój jednak wciąż był melancholijny, gdy prowadząc Pio, ruszyłam przez dziedziniec, szerokim łukiem omijając stajnie. Z mojej rozmowy z Mistrzem wynikało, że przed nami wciąż jest jeszcze więcej pytań bez odpowiedzi niż wyjaśnionych spraw. Nie potrafiłam też uwolnić się od myśli, że może nam się nie udać odkryć prawdy... I że to niepowodzenie zakończy karierę Leonarda na dworze Sforzy.

Kilka minut później byłam już w eleganckim portyku biegnącym wzdłuż skrzydła zamku zamieszkiwanego przez arystokratów. Zatrzymałam się na chwilę, by usiąść na jednej z ustawionych tam kamiennych ław, i patrzyłam w zadumie na przylegający do niego dziedziniec. Zbyt długa nieobecność była wymówką, by

wyjsć od Mistrza, lecz nie miałam jeszcze ochoty wracać do pokojów hrabiny i wysłuchiwać ani zjadliwych uwag bliźniaczek, ani przyjaznego paplania Esty.

Siedząc na zimnym kamieniu, nagle zdałam sobie sprawę, że nie unikam służących, lecz nie mogę znieść myśli o spotkaniu z Cateriną wracającą z potajemnej porannej wyprawy i o zobaczeniu jej twarzy promieniejącej podnieceniem jak wtedy, gdy wyjeżdżała.

Widać Pio wyczuwał mój nastrój, ponieważ on także wydawał się nieswój. Przeszł powązł z łapy na łapę i nie chciał usiąść na ławie przy mnie.

- Na krew świętych męczenników, czy nic cię nie zadowoli? - jęknęłam w końcu, pociągając za smycz.

Ledwie jednak skończyłam mówić te słowa, gdy senny głos szepnął mi wprost do ucha:

- Tylko jedno może mnie zadowolić... Tylko ty.

14. *Umiarkowanie*

*Panuj nad swymi namiętnościami,
by nie okazały się twoją zgubą.*

Leonardo da Vinci *Notatniki Delfiny della Fazio*

Naturalnie nie musiałam patrzeć, by wiedzieć, kto usiadł na kamiennej ławie obok mnie. Tak samo bezszelestnie wślizgnął się na kościelną ławę, a później zaskoczył mnie w wieży zegarowej.

Udając niezadowolenie, choć serce zaczęło mi bić szybciej z podniecenia, odwróciłam się i spojrzałam na niego surowo.

- Doprawdy, kapitanie, czy za każdym razem musi się pan tak podkradać?

- Droga Delfino, w twoich ustach zabrzmiało to dosyć... nie-
miło - odparł Gregorio z sennym uśmiechem, który tak dobrze
już znałam. Wyciągając swe długie nogi (siedział zwrócony twa-
rzą do murów zamku, podczas gdy ja wciąż patrzyłam w stronę
dziedzińca), dodał: - Poza tym wcale nie szukałem ciebie. To
zbieg okoliczności, że przysiadłem na tej samej ławie.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności, kapitanie - odparłam,
starając się bez większego powodzenia ukryć uśmiech. I nagle
przypomniałam sobie, dlaczego tu siedzę; moje rozbawienie na-
tychmiast minęło i rozejrzałam się dookoła, by sprawdzić, czy
ktoś nas nie obserwuje. Uspokoiłam się, widząc, że nikt nie pa-
trzy w naszą stronę, i powiedziałam z naciskiem: - Ale przecież
ciebie nie powinno tu być. To znaczy... myślałam, że jesteś z hra-
biną... że jesteście...

- Księżę wezwał mnie dziś rano, by omówić kilka spraw
związanych z bezpieczeństwem w czasie maskarady - rzekł,
wzruszając ramionami. - Spodziewa się jakiegoś specjalnego
gościa, którego obecność będzie wymagała podjęcia większych
środków ostrożności niż zwykle przy takich okazjach. Niestety,
nie zdążyłem na czas zawiadomić Cateriny o zmianie planów.

Wyobraziłam sobie Caterinę czekającą gdzieś niecierpliwie,
by w końcu zdać sobie sprawę, że kochanek się nie pojawi. Zna-
jąc jej charakter, byłam pewna, że wróciła do zamku wściekła.

- Ale musisz jej powiedzieć, co się wydarzyło - nalegałam. -
Co będzie, jeśli ktoś zobaczy, że rozmawiasz tu ze mną, i powie
jej o tym, a ona zacznie podejrzewać najgorsze?

- Przypuszczam, że już zaczęła podejrzewać najgorsze - od-
parł z szerokim uśmiechem zupełnie niepasującym do tych słów. -
Jeśli zaś idzie o to, że ktoś mógłby nas zobaczyć, to rozmawiam
z tobą właśnie dlatego, żeby przekazać ci wiadomość dla niej.

- Jaka to wiadomość, kapitanie? - spytałam podejrzliwie.

Pochylił się ku mnie tak blisko, że czułam ciepło z jego ciała.

- Wiadomość jest taka: chciałbym, abyś opowiedziała jej, co
się stało, i przekazała moje przeprosiny - rzekł cicho, przesuwa-

jąc palcem w skórzanej rękawiczce wzdłuż mojego ramienia. - A teraz, skoro przekazałem ci wiadomość, czekam na wiadomość od ciebie.

- Ode mnie? - wyjąkałam, czując, że jego dotyk przyprawia mnie o dreszcz. Zdałam sobie sprawę, że z jakiegoś tajemniczego powodu nie potrafię odsunąć się od niego... Nie mogę zerwać się na równe nogi, jak powinnam wobec takiej poufałości.

- Może ci w tym pomogę - szepnął, muskając oddechem moją szyję. - Powiedz, że znajdziesz jakiś pretekst, by jutro wymknąć się z zamku i spotkać ze mną w katedrze.

- Ależ nie mogę - zaprotestowałam, lecz nagle, czując dreszcz podniecenia, zdałam sobie sprawę, że mogłabym.

Hrabinę i mnie czekała bowiem jeszcze jedna wizyta w warsztacie signora Luigiego, aby krawiec mógł dopasować kostiumy na maskaradę. Czemuż nie miałabym zaproponować, że zajmę się tym zamiast niej? W ten sposób ona mogłaby pozować Mistrzowi dłużej niż zwykle, aby nadrobić dzisiejsze stracone spotkanie.

Sama nie wierząc we własną śmiałość, pospiesznie przedstawiłam mój plan Gregoriowi, dodając:

- Katedra znajduje się niedaleko od warsztatu krawca, więc jeśli hrabina pozwoli mi go odwiedzić, mogę spotkać się z tobą, gdy zadzwonią na Anioł Pański. Ale dlaczego...

Przyłożył palec do moich warg, by powstrzymać dalsze słowa.

- Zadajesz zbyt dużo pytań, Delfino - rzekł z tym swoim sennym uśmiechem. - Przyjdź jutro do katedry, a dowiesz się wszystkiego, czego chcesz. Wstał gwałtownie, aż zadźwięczał miecz wiszący u jego pasa. - Obawiam się, że muszę porzucić twoje czarujące towarzystwo, gdyż mam parę spraw do załatwienia dla Il Moro. Liczę na to, że przekażesz hrabinie wiadomość ode mnie.

Skinęłam głową, a wtedy dodał:

- A gdy będziesz w katedrze, przyjrzyj się witrażom w nawie. Najbardziej cenię ten, który przedstawia świętego Michała.

Po tych zagadkowych słowach, skłoniwszy się lekko, odszedł, kierując się w stronę bramy w murze. Muszę przyznać, że patrzyłam w ślad za nim, podziwiając jego muskularne nogi opięte pończochami i obcisły kaftan podkreślający szerokie ramiona. Nic dziwnego, że poznał wiele kobiet w zamku.

Pod wpływem tej myśli jęknęłam cicho i ukryłam twarz w dłoniach. Spotkam się z nim jutro w katedrze... Wiedział o tym równie dobrze jak ja. A zatem czy zaprzedałam właśnie duszę diabłu, czy też wkroczyłam na drogę prowadzącą do rajskich rozkoszy?

- Doskonale. Teraz kolej Delfiny - oznajmiła hrabina z uśmiechem. - Przetasuję karty jeszcze raz i zobaczymy, co przyniesie jej los.

Karty tarota zostały ponownie rozłożone na stoliku w pierwszej komnacie hrabiny. Wszystkie cztery zgromadziłyśmy się wokół niego, Caterina siedziała u szczytu. Świece przy obu jej łokciach rzucały na przemian złociste światło i czarne cienie na egzotyczne rysy jej twarzy, gdy przekładała karty z jednej ręki do drugiej. Obserwując ją, wróciłam myślami do wcześniejszych wydarzeń tego dnia.

Tak, jak się obawiałam, hrabina wróciła do zamku niedługo po tym, jak Gregorio mnie opuścił. Była zrozpaczona, choć moje pospieszne wyjaśnienie nieco ją udobruchało.

- Prawdę mówiąc, przeklinał swoją służbę i przysięgał, że wkrótce będzie przy tobie! - wykrzyknęłam, przekazując jego wyjaśnienia, a równocześnie starałam się wymazać z pamięci obraz jego sennego uśmiechu i obojętne wzruszenie ramion.

Na szczęście takie dramatyczne słowa były właśnie tym, co Caterina pragnęła usłyszeć, więc dąsała się jeszcze tylko przez chwilę. Wkrótce przymilne zaczepki Pio i zabiegi służących całkiem rozproszyły niezadowolone. Spędziłyśmy całkiem miłe popołudnie i nieco później poruszyłam sprawę mojej wizyty w warsztacie krawca. Chociaż obawiałam się, że może odczytać

prawdę w moich oczach, ku memu zaskoczeniu chętnie przystała na ten plan.

- To rozsądny pomysł, Delfino - rzekła z aprobatą. - Signor Luigi może równie dobrze dopasować mój kostium na tobie, jak na mnie. A kiedy skończę pozować dla mistrza Leonarda, ty zdązysz wrócić od krawca.

Teraz jednak, siedząc naprzeciwko niej, poczułam wyrzuty sumienia. Potajemne spotkanie z kapitanem można uznać za zdradę, pomyślałam z poczuciem winy. Ale z drugiej strony Mistrz polecił mi dowiedzieć się wszystkiego, czego będę mogła, o otoczeniu hrabiny. To, co planowałam, było przecież tylko tym, czego ode mnie oczekiwał.

I Dino by to zrobił, nieprawdaż?

Uchwyciwszy się tego tłumaczenia kurczowo, jak tonący chwyta rzuconą mu linę, mogłam w miarę spokojnie spojrzeć w ciemne oczy Cateriny. Dyskretne dołożenie kart Mistrza do talii było o wiele prostszym zadaniem.

Pio nieświadomie okazał się moim pomocnikiem. Poczekałam, aż wyciągnie długą szyję, by złapać smakołyk, który celowo zostawiłam na skraju stołu. Następnie, gdy wszystkie śmiałyśmy się, widząc, jak Caterina bez większego przekonania próbuje mu odebrać kąsek, błyskawicznie wyjęłam wcześniej przygotowane karty i dołożyłam do tych, które rozrzucił Pio.

- Musisz zadać pytanie - przypomniała Rosetta, gdy hrabina ułożyła karty w równy stosik i rozsunęła je przede mną w długi rząd.

Przez chwilę udawałam, że zastanawiam się nad pytaniem, szukając wzrokiem czterech duplikatów umieszczonych w talii. Na szczęście Mistrz oznaczył wszystkie cztery narożniki każdej karty, więc mogłam je rozpoznać niezależnie od tego, jak leżały. Mimo to chwilę trwało, nim znalazłam je w przyćmionym świetle.

- Mam pytanie - oznajmiłam w końcu, gdy Isabella fuknęła w końcu z irytacją. - Co powinno być dla mnie ważniejsze, miłość czy obowiązek?

- Na to i ja potrafię odpowiedzieć - mruknęła, krzywiąc się, Rosetta.

Jej siostra i Esta tylko pokręciły głowami, zapewne oburzone marnowaniem mocy kart na coś takiego.

Caterina jednak się uśmiechnęła.

- Wspaniałe pytanie. Dalej, wybierz karty, a ja dam ci odpowiedź.

Udając, że wybieram przypadkowe karty, wyciągnęłam cztery znaczone, starannie trzymając je licem do dołu, dopóki wszystkie cztery nie leżały przede mną. Wtedy, zachęcona skinieniem głowy, powoli odwróciłam jedną po drugiej.

Nie byłam pewna, jak tym razem hrabina zareaguje. Krzykiem? Może omdleniem? Kiedy jednak w końcu podniosłam wzrok, ujrzałam, że jej ciemne spojrzenie jest utkwione nie w kartach, lecz we mnie. Ale wyraz jej twarzy nie był wyrazem dziewczynki bawiącej się we wróżby, lecz kobiety, która naprawdę widzi przyszłość i która posiadała wiedzę niedostępną dla innych.

- Już znasz odpowiedź - rzekła, jej twarz była teraz nieprzeniknioną maską. - Zawsze będziesz wybierać obowiązek kosztem miłości, choć niekoniecznie z właściwych powodów. Często dajesz się zwieść tym, którym sądzisz, że możesz ufać. Ostatecznie jednak zwyciężysz ty i twoje poczucie obowiązku, choć stanie się to kosztem twego serca, a pewnego dnia może nawet życia.

Potem zamilkła i zamknęła oczy, jakby chcąc powstrzymać dalsze wizje. Gdy ucichło echo jej słów, spoglądałam na pozostałe kobiety, chcąc poznać ich reakcję.

Rosetta już się nie uśmiechała, a na jej twarzy malowała się niepewność. Esta i Isabella chwyciły się za ręce i odsunęły od stołu, na ich twarzach malował się lęk.

Chwilę później Caterina otworzyła oczy i znowu wyglądała jak zwykle. Nie uśmiechała się już jednak; westchnęła tylko i ze znużeniem pokręciła głową.

- To był bardzo długi dzień, więc pójdę już do siebie. Nie, Esto - dodała, gdy pokojówka poderwała się z krzesła. - Nie będę dzisiaj potrzebowała twojej pomocy. Możecie zostać i pograć dalej w tarota, jeśli macie ochotę.

Dała znak swemu pupilowi, wstała i wyszła, zostawiając na stole karty. Pio zerknął jeszcze w naszą stronę, jakby licząc na jeszcze jeden kąsek, po czym posłusznie podreptał za swą panią.

Ledwie drzwi zamknęły się za Cateriną, Rosetta zerwała się z krzesła, w pośpiechu niemal przewracając stół. Połowa kart spadła na podłogę, migocząc kolorowymi obrazkami. Szybkim ruchem podniosłam cztery kopie, nim przemieszały się z pozostałymi, i ukryłam je pod suknią.

Rosetta sprawiała wrażenie, jakby nie dotarło do niej to, co zrobiła, więc tym bardziej nie zwróciła uwagi na mój manewr.

- Słyszeliście, co hrabina powiedziała o śmierci! Przysięgam, że nigdy więcej nie dotknę tych kart, nawet po to, by tylko grać w tarota - wykrzyknęła cicho, zaś jej siostra przytaknęła energicznie. - Pamiętacie, co spotkało Bellancę?

- Ależ to bzdury - odparła Esta, choć niepokój widoczny na jej twarzy, gdy zbierała rozsypane karty, wyraźnie zaprzeczał tym słowom. - Nie słuchaj ich, Delfino. To tylko głupia zabawa. Ta cała gadanina o śmierci nic nie znaczy.

- Wcale się nie martwię - zapewniłam ją, choć wiedziałam, że zabrzmiało to fałszywie.

Wsuwając karty do sakiewki, a następnie pomagając przy zbieraniu pozostałych, zdałam sobie jednak sprawę, że to nie o siebie się martwię. Obawiałam się o bezpieczeństwo Cateriny. Wobec wszystkiego, co wydarzyło się ostatnio, nie mogłam uwolnić się od myśli, że mimowolnie ściągnęła nieszczęście... nie tylko na swoje służące, ale też na samą siebie. Wiedziałam, że Mistrz wykpiłby taki pomysł, lecz coś mi mówiło, że się nie mylę.

I jeśli nie uda się nam jej ochronić, Caterinę spotka los tamtych dwóch kobiet.

- A więc, Delfino, przypomnij signorowi Luigiemu, że musi do mojego kostiumu znaleźć miecz i koronę - oznajmiła Caterina następnego ranka, gdy razem z Estą pomagałam jej włożyć złocistą suknię. - I ma to być prawdziwy miecz, a nie drewniana zabawka. - Uśmiechając się figlarnie jak mała dziewczynka, dodała: - Wiem, że kuzyn Ludovico nigdy nie pożyczy mi żadnego ze swoich ostrzy, nie mogę więc stracić tej okazji potrzymania prawdziwej broni!

- Na pewno mu to powtórzę - potwierdziłam z uśmiechem w nadziei, że w ten sposób ukryję niepokój.

Mistrz jeszcze nie przybył, by kontynuować pracę nad portretem, z czego ucieszyłam się w duchu. Obawiałam się spotkać go tego dnia, aby nie domyślił się z wyrazu mojej twarzy, że moje plany nie ograniczają się do wizyty u krawca. Postanowiłam bowiem odbyć potajemne spotkanie z Gregoriem.

Ale czy naprawdę chodziło mu o schadzkę? Po wczorajszej pierwszej fali podniecenia odzyskałam zdolność racjonalnego myślenia. W nocy, kiedy odłożyliśmy już karty i leżeliśmy w łóżkach, walczyłam ze snem, szukając odpowiedzi. Nim sen zwyciężył, przyszło mi do głowy, że zainteresowanie kapitana wcale nie musi wynikać z chęci romansowania. Może jego uczucia wobec hrabiny były szczere i wpadł na pomysł, by odwrócić uwagę od ich zakazanej miłości, udając, że adoruje mnie.

A może jego intencje wcale nie były czyste? Może wyczuł, że go podejrzewam, i tylko udawał zainteresowanie, aby uspić moją czujność?

W każdej innej sytuacji nie zмагаłabym się sama z takimi rozterkami, lecz zasięgnęła rady Mistrza. On nie dawał się ponieść niestosownym emocjom ani niedopuszczalnym tęsknotom. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziałby, co należy zrobić. Tym razem jednak rozmowa z nim nie mogła mi pomóc. Zrozumiałam, że nie pojmie mojej sytuacji po prostu dlatego, że uważa mnie za chłopca.

Esta i ja skończyłyśmy ubierać hrabinę; następnie Esta zaczęła układać jej fryzurę, ja zaś zajęłam się wkładaniem na długą

szyję Pio czerwono-złotej obroży, a następnie szczotkowaniem jego lśniącej sierści. Kiedy skończyłam, opuściłam hrabinę z małym poczuciem winy.

- Pamiętaj o mieczu, Delfino! - zawołała za mną wesoło, tym razem wywołując mój szczery uśmiech. Zastanawiałam się, co powie na taki pomysł Luigi. Prawdę mówiąc, będę też musiała poprosić go o buławę do mojego kostiumu.

Tego dnia jednak nie miałam okazji pogawędzić z krawcem. Ponieważ do maskarady zostały już tylko dwa dni, on i jego uczniowie przez ostatni tydzień pokłuli sobie palce do krwi, szyjąc kostiumy dla połowy dworu. W pracowni musiałam stanąć w kolejce za jakimś niskim, siwowłosym baronem i sztywnym służącym, nim wreszcie mogłam zamienić słowo z krawcem.

- Nie powiem, bym nie dbał o floreny - przyznał cierpko Luigi jakiś czas później. Patrząc z urazą na moją czerwoną suknię (celowo włożyłam tego dnia bardziej elegancki strój, a nie naprawioną zieloną suknię), przymierzył na mnie najpierw kostium Cateriny, a następnie mój. - Po prostu nie mogę ufać terminatorom w żadnej sprawie bardziej skomplikowanej niż obszycie rąbka - narzekał. - Tak więc cała praca spada na mnie.

Skinęłam głową ze współczuciem, lecz nie potrafiłam zdobyć się na uśmiech. Wiedziałam dobrze, że pod surowym nadzorem patrona chłopcy nabierają większej biegłości niż można by oczekiwać, zważywszy na ich wiek. Prawdę mówiąc, posługiwali się igłą niemal tak sprawnie jak mistrz, nawet jeśli brakowało im jego geniuszu. Luigi pracował intensywnie, lecz i tak najcięższe roboty spadały na jego uczniów.

Ostatnie poprawki obu kostiumów zajęły więcej czasu, niż sądziłam. Toteż gdy wreszcie skończył, pożegnałam się pośpiesznie i pobiegłam w stronę katedry.

Mimo wcześniejszych rozterek owładnęło mnie podniecenie, gdy ujrzałam w oddali katedralną wieżę. Nagle, zwinnie jak Pio, przyspieszyłam kroku. Ledwie dotarłam do placu przed katedrą, z wieży rozległo się bicie dzwonu.

I jak zawsze na ten dźwięk uklęknęłam na bruku, pochylając głowę. Razem z ludźmi klęczącymi na placu odmówiłam trzy zdrowaśki za każdym razem, gdy dzwonił. Teraz jednak znajome słowa modlitwy więzły mi w gardle, nie chciały płynąć ze zwykłą łatwością.

Zastanawiałam się, czy to jakiś znak... a może po prostu zderzenie tym, co miałam za chwilę zrobić?

Jeszcze nie ucichł ostatni dźwięk dzwonu, gdy wstałam z klęczek i skierowałam się w stronę katedry. Martwiło mnie, że mogę się spóźnić i że Gregorio na mnie nie poczeka. Przyspieszyłam kroku i kiedy dotarłam przed białą marmurową fasadę katedry, byłam zdyszana.

Stojąc przed górującą nade mną budowlą, uświadomiłam sobie, że jeszcze mogę się rozmyślić. Jeśli Gregorio zapytałby mnie o to, mogłabym po prostu powiedzieć, że hrabina mnie nie puściła. Takiego wytłumaczenia nie mógłby zakwestionować, skoro aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę, na ile sam jest uzależniony od wyższych rangą.

Pokręciłam głową. Zbyt wiele elementów tej układanki łączyło się z Gregoriem. Wyobraziłam sobie model konia rozbity przez Mistrza na tak małe kawałeczki, że nie można było rozpoznać figurki, dopóki nie zostały połączone w większe części. Teraz miałam szansę się dowiedzieć, w jaki sposób inne, znacznie ważniejsze fragmenty mogą do siebie pasować. A jeśli nie odważę się skorzystać z tej szansy, może powinnam z powrotem włożyć chłopięcą tunikę i porzucić tę maskaradę!

Utwierdzona w tym postanowieniu, ujęłam ozdobną metalową klamkę z taką determinacją, jakbym otwierała wrota piekła. Uchyliłam masywne drzwi, i porzucając słoneczny blask, weszłam do środka.

Chłodny mrok spowił mnie niczym fala oceanu; nagłe przejście ze światła w ciemność odczułam jak uderzenie. Głęboko wciągnęłam powietrze ciężkie od kadzidła, grzechu i odkupienia. Ten dźwięk nie zakłócił panującej we wnętrzu katedry ci-

szy, gdyż nie byłam tu sama. Dookoła słyszałam odbijające się echem szepty modlitw, rytmiczny stukot paciorków, ciche kroki duchownych i pielgrzymów.

Przyklekłam pospiesznie i czekałam, aż moje oczy przywykną do mroku. Co niedzielę chodziłam na msze do kaplicy przy cmentarzu w pobliżu zamku. Nigdy wcześniej nie byłam w wielkiej mediolańskiej katedrze. Wielokrotnie słyszałam zarówno zachwyty nad jej wspaniałością, jak i liczne kpiny. Katedra bowiem miała już niemal sto lat, a prace wciąż trwały. Dowcipnisie twierdzili, że nim zostanie ukończona, może minąć następnych sto lat... a może nawet dwieście, jeśli wziąć pod uwagę to, że prace przy fasadzie jeszcze się nie rozpoczęły!

Choć moje oko artysty wyłowiło kilka niedoskonałości planu, rozglądałam się dookoła z zaciekawieniem. Zastanawiałam się, jak można nie czuć podziwu, patrząc na tę budowlę z białego marmuru, wzniesioną na kształt ogromnego krzyża. Wzdłuż zewnętrznych murów ciągnęły się nisze, w których stały kamienne posagi. Większość przedstawiała świętych, lecz było też kilka nagrobków arystokratów i duchownych.

Niestety, trudno było dostrzec detale wszystkich tych dzieł. Poza migotliwymi płomykami świec płonących przed niektórymi posagami, światło wpadało tylko przez witrażowe okna rozmieszczone na całej długości budowli. Barwne niczym klejnoty szkła rzucały kolorowe plamy na wymyślne kamienne mozaiki na podłodze, nadając surowemu wnętrzu odświętny wygląd.

Okna były zbyt małe, by oświetlić tak wielką przestrzeń, toteż cienie pogłębiały się, a najgęstszy mrok panował pod sklepieniem. Ogromna centralna nawa ciągnęła się od wejścia aż do ołtarza, równoległe do niej biegły nawy boczne, po dwie z każdej strony. Oddzielały je cztery rzędy marmurowych kolumn, sięgające aż poza transept - dwa boczne skrzydła budowli, tworzące poziome ramie krzyża widocznego w planie katedry.

Stwierdziłam ze zdumieniem, że kolumn było jakieś pół setki, a każda tak wielka, że z trudem mogłoby ją objąć pięciu albo

sześciu ludzi. Z rozszerzającymi się ku górze bogato rzeźbionymi kapitelami, kolumny przypominały zamrożony kamienny las rosnący w ciemności równymi rzędami.

Tymczasem zdążyłam przywyknąć do mroku i nie miałam już pretekstu, by dłużej odkładać wykonanie misji. Przypomniałam sobie, że Gregorio mówił o witrażu przedstawiającym świętego Michała, i ruszyłam, rozglądając się w poszukiwaniu wizerunku wojowniczego archanioła.

Tuż przed transeptem za jedną z kolumn znalazłam niebiańskiego mściciela z płomienistym mieczem. Witraż był utrzymany w ciemnych barwach, a jedyną jaśniejszą nutę stanowił złoty miecz. Gdybym go nie szukała, mogłabym go minąć, bowiem prawie całkiem niknął w ciemnościach.

Podziwiając dzieło, zdałam sobie sprawę, że moją uwagę przykuwa nie tyle maestria wykonania, ile ciemne oblicze anioła. Szklana postać o zmysłowych wargach i malującym się na twarzy wyrazie chłodnej dumy, dziwnie harmonizującym z jego misją, przypominała Gregoria. Nic dziwnego, że kapitan upodobał sobie ten wizerunek, pomyślałam cierpko. Najpewniej i on dostrzegł w nim pewne podobieństwo.

Ale gdzie Gregorio? Dlaczego jeszcze nie pojawił się za mną, bezszelestnie niczym cień, jak miał w zwyczaju?

Ledwie zdążyłam o tym pomyśleć, gdy coś poruszyło się w mroku szerokiej niszy obok okna z witrażem. Przeszył mnie dreszcz, gdyż w pierwszej chwili pomyślałam, że ożyła stojąca w niej kamienna statua. Bezwiednie uniosłam rękę, by się przeżegnać i odpędzić złego ducha, kiedy z ulgą zdałam sobie sprawę, że postać, którą widzę, jest najzupełniej ludzka.

Kiedy Gregorio wynurzył się z mroku, pomyślałam, że może powinnam się go wystrzegać tak samo jak istot z zaświatów. Nie mogłam zapomnieć, że wie więcej niż powinien o śmierci obu kobiet... a może nawet to za jego właśnie sprawą kundel stajenny stanął na mojej drodze. Co też przyszło mi do głowy, żeby spotykać się z nim tutaj sam na sam, nikogo o tym nie uprzedzając?

W tym momencie kapitan z sennym uśmiechem chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Jego ciepły dotyk dodał mi odwagi. Pochylił się ku mnie i muskając wargami moje ucho, szepnął:

- Od wczoraj z niecierpliwością czekałem na tę chwilę. Kiedy zadzwonili na Anioł Pański, a ciebie nie było, zacząłem się bać, że jednak nie przyjdiesz.

- Spieszyłam się, jak mogłam - odparłam również szeptem. - Ale signor Luigi był zajęty i musiałam poczekać, aż skończy z baronem, potem był służący, a potem...

Zamilkłam, słysząc cichy śmiech Gregoria.

- Nie musisz zdawać mi relacji ze wszystkiego, co dzisiaj robiłaś, Delfino. Najważniejsze, że teraz jesteś tutaj. - Przerwał i rozejrzał się dookoła, po czym pokręcił głową. - Obawiam się, że pęta się tu zbyt wielu pobożnych pielgrzymów, byśmy mogli spokojnie porozmawiać. Chodź ze mną. Znam pewne zaciszne miejsce.

15. *Diabeł*

*Ten, kto zaniecha ukarania zła,
wyraża zgodę na jego czynienie.*

Leonardo da Vinci *Manuskrypt H*

Zanim zdążyłam zaprotestować, Gregorio poprowadził mnie obok kolumny do transeptu, gdzie kilka marmurowych stopni wiodło do bogatego bocznego ołtarza ustawionego przy przeciwległej ścianie. Świece w złotych lichtarzach stały wzdłuż jego boków, rozjaśniając wyszywane złotem tkaniny i rzucając głębokie cienie na mały krucyfiks w górze. Zastanawiałam się, co zamierza, gdyż transept, choć cofnięty w stosunku do nawy, otwierał się na nią i każdy przechodzący mógł dobrze widzieć, co się

dzieje w środku. Wtedy Gregorio skinął głową w stronę szerokiej niszy w bocznej ścianie.

Spowita mrokiem przestrzeń za czarną żelazną bramą sprawiała wrażenie ziejącej otchłani. Kiedy zajrzałam głębiej, dostrzegłam zarys nagrobka. Na wieku leżała kamienna rzeźba przedstawiająca zmarłego w sztywnej pozie. Zdumiona popatrzyłam znowu na Gregoria i zobaczyłam, że otwiera zasuwę zamykającą ozdobne odrzwia.

Uchyliła się z cichym zgrzytem. Ściskając moją dłoń, wprowadził mnie do mrocznego pomieszczenia i zamknął za nami bramę.

Początkowo byłam przede wszystkim zaskoczona tym, że nisza wcale nie jest mała. Migoczący płomień świecy zawieszony wysoko na ścianie dawał dość światła, by dało się zauważyć, że jesteśmy w pomieszczeniu, wąskim wprawdzie, lecz niemal równie długim jak transept. W następnej chwili ogarnęło mnie przerażenie, gdy przypomniałam sobie, że już raz byłam zamknięta w grobowcu. Zesztywniałam, z trudem powstrzymując się, by nie chwycić z krzykiem za żelazne pręty bramy.

Jednakże przypomniałam sobie czym prędzej, że tu zasuwą nie została zamknięta ani nie jest to podziemna krypta. Jednym krzykiem mogłabym bez trudu wezwać pomoc, gdybym z jakiegoś powodu została tu uwięziona.

Błędnie odczytując powody mojego niepokoju, Gregorio poprowadził mnie w głąb pomieszczenia, do nagrobka, gdzie kamienne pantofle posągu celowały w niebo. Usłyszałam rozbawienie w jego głosie, gdy szepnął mi do ucha:

- Nie martw się, nikt nas tu nie zobaczy, a biskup nie będzie miał nic przeciwko naszemu towarzystwu. - Gdy spojrzałam na niego pytająco, wyjaśnił: - Plotki głoszą, że za życia nie stronił od cielesnych uciech i zabawiał się z wieloma kobietami, które przychodziły się do niego spowiadać. Przypuszczam, że nie miałby za złe innym, gdyby robili to samo.

Chwilę później zrozumiałam, co ma na myśli. Zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, zostałam przyparta do szorst-

kiej ściany, poza kręgiem migotliwego blasku świecy. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że każda krzywizna mojego ciała wydawała się topnieć pod dotykiem twardych mięśni Gregoria. Jego ramiona unieruchomiły mnie niczym żelazne sztaby, a z drżeniem serca zdałam sobie sprawę, że wcale nie mam ochoty mu uciekać.

W ciemności jego usta odszukały moje i wpiły się w nie z zachłannością, której niemal nie rozumiałam... w każdym razie początkowo. Jednak po pierwszej chwili oszołomienia odpowiedziałam na jego pocałunek. W tamtej chwili nie miało już znaczenia, że zimny kamień wbija mi się w plecy ani że od chłodu kamiennej podłogi stopy miałam zimne jak lód. Nie czułam nic poza biciem własnego serca tak szybkim, że obawiałam się, iż zemdleję.

I wtedy Gregorio się odsunął.

Nagle pozbawiona oparcia, poczułam się, jakby mnie rozerwano na dwoje. Nie zdołałam ukryć cichego jęku rozczarowania. W odpowiedzi usłyszałam stłumiony śmiech Gregoria; nagle objął mnie w pasie, podniósł i posadził na nagrobku tak, że siedziałam na skraju kamiennej płyty przed stopami zmarłego biskupa.

Nasze oczy znalazły się teraz na tej samej wysokości i mogłam dostrzec w mroku jego przystojne rysy. Wypełniła mnie fala kobiecej mocy i instynktownie wyciągnęłam rękę do jego twarzy. Pod wpływem mego dotyku jego rozbawienie zniknęło, zastąpione pożądaniami, którego nie potrafił opanować.

Pocałował mnie znowu, tym razem wręcz brutalnie, lecz nie protestowałam. Nie krzyknęłam też, kiedy poczułam, jak odsuwa mi spódnicę nad kolana i rozchyła moje nogi, aby z szokującą poufałością przycisnąć się do mnie. Przez głowę przemknęła mi niejasna myśl, że za chwilę dojdzie między nami do czegoś grzesznego, lecz ku własnemu zdziwieniu nie dbałam o to.

Główny metaliczny szczepek zatrzaszkującej się żelaznej bramy wytrącił mnie z oszołomienia namiętnością. Na mój cichy krzyk

zaskoczenia odpowiedział zduszony jęk, gdy tuż za nami rozległ się oburzony głos:

- Jak śmiecie bezcześcić dom boży!

W poczuciu winy spojrzałam za siebie i zobaczyłam starego zakonnika w brązowym habicie, który wygrażał nam drżąca pięścią. Stał tuż za bramą, nie na tyle blisko, by nas rozpoznać, lecz dostatecznie, by nie mieć wątpliwości, co zamierzaliśmy zrobić.

Pałac się ze wstydu, zeskoczyłabym z mojego zupełnie niestosownego siedzenia, gdyby nie to, że Gregorio nie wypuszczał mnie z objęć. A kiedy odwróciłam się, już otwierając usta, by poprosić go, żeby ustąpił, zobaczyłam coś, co przyprawiło mnie o dreszcz... Tym razem przerażenia.

W ciemnych oczach kapitana wpatrującego się w zakonnika malowała się zimna furia; miał wyraz twarzy człowieka gotowego zabić w mgnieniu oka bez najmniejszych skrupułów. I wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek spojrzę w taki sposób na mnie, powinienam się modlić, by moje nogi okazały się szybsze niż jego ostrze.

Jednak ledwie ta straszna myśl przemknęła mi przez głowę, ujrzałam w jego oczach znajomy wyraz sennego rozbawienia i chętnie doszłam do wniosku, że wcześniej musiałam ulec złudzeniu wywołanemu migoczącym płomykiem świecy.

- Obawiam się, że jednak zostaliśmy nakryci - mruknął, podniósł mnie z nagrobka i postawił na posadzce obok siebie.

- Przepraszamy, ojcze - zwrócił się do zaszuszonego zakonnika, biorąc mnie za rękę i wyprowadzając przez bramę. - Odrobinę zbyt dosłownie potraktowaliśmy nakaz, by iść i się rozmnażać.

- Będziecie się smażyć w piekle za takie świętokradztwo - warknął staruszek, lecz widząc miecz u pasa Gregoria, roztropnie cofnął się, by nas przepuścić.

Gregorio tylko wzruszył ramionami.

- Nie wątpię, że będę się smażyć, ale zapewniam cię, że za rzeczy znacznie gorsze niż to...

Tymczasem nasze szeptki zwróciły uwagę kilku wiernych, którzy przerwali modły i przyglądali się nam z nieukrywaną cie-

kawością. Czułam, że policzki mi płoną, i dziękowałam Bogu, że panujący tu półmrok osłania nas przed dokładniejszymi oględzinami.

Ku mojej rozpaczy, Gregorio nie skierował się do bocznej nawy, którą moglibyśmy wyjść szybko i dyskretnie, nie zwracając na siebie większej uwagi. Zamiast tak postąpić, przyklęknął ostentacyjnie przed głównym ołtarzem i beztrudnie ruszył środkiem głównej nawy w stronę drzwi. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko ruszyć za nim z głową spuszczoną ze wstydu i świadomością, że oburzony zakonnik idzie za nami, cały czas wyrażając pięćcią.

Nigdy oślepiający blask słońca nie cieszył mnie tak bardzo jak w chwili, gdy znalazłam się z powrotem na placu przed katedrą. Uciekłabym czym prędzej, lecz Gregorio wciąż trzymał moją rękę i nic nie wskazywało na to, by zamierzał pozwolić mi odejść.

- Dokąd tak się spieszysz? - spytał mnie z uśmiechem, wyglądając jak psotny chłopiec, z rozwichrzonymi włosami i wyraźnie zadowolony z siebie. - Zapewniam cię, że poczciwy ojczulek da nam spokój, skoro już przepędził nas z katedry. Choć muszę przyznać, że jestem zaskoczony, iż nie poczekał, aż skończymy. W ten sposób mógłby nurzać się w grzechu zazdrości i pożądania, a także gniewu.

- Jak możesz mówić takie rzeczy? - wykrztusiłam, w głębi duszy zastanawiając się, czy za takie bluźnierstwo oboje nie zostaniemy rażeni gromem.

Odniosłam wrażenie, że mój oburzony ton jeszcze bardziej rozbawił Gregoria. Podniósł rękę, jakby zamierzając musnąć mój policzek, lecz cofnął ją z udawanym niepokojem.

- Obawiam się, że mógłbym się sparzyć, dotykając twojego policzka, tak jest rozpalony - powiedział, śmiejąc się cicho. - Może powinienem wrzucić cię do wody, żeby ostudzić twój zapał.

Wskazał głową wielką fontannę pośrodku placu. Strumień wody spływał z dzbana trzymanego przez kamienną dziewczynę

przez szereg coraz większych basenów, kończąc w kręgu z białego marmuru. Spojrzałam na Gregoria z obawą, zaniepokojona perspektywą znalezienia się w wodzie. Po chwili jednak zrozumiałam, że tylko żartuje, i uśmiechnęłam się ponuro.

- Zaczerwieniłam się z zakłopotania, a nie z zapału. Dziękuję wszystkim świętym, że zakonnik nie zrobił nic gorszego, a tylko wyrzucił nas z kościoła.

- Zupełnie jak Adama i Ewę z raju... Chociaż na szczęście w chwili wypędzenia byliśmy lepiej ubrani niż oni.

- Na szczęście - przyznałam. Moje wcześniejsze zawstydzenie zaczęło powoli ustępować wobec rozbawienia tym, w jaki sposób Gregorio zareagował na oburzenie zakonnika. Znałam tylko jednego człowieka, który umiałby do tego stopnia zlekceważyć Boga i człowieka.

Nieco udobruchana, ruszyłam za nim na drugą stronę placu, gdzie zatrzymaliśmy się przy niewielkim sklepie. Pas błękitnego płótna przymocowany do ściany i podparty dwiema tyczkami zapewniał nieco cienia. Tym razem Gregorio bez wahania dotknął mojego policzka.

- Bardzo ci do twarzy z tym zapałem, droga Delfino - powiedział, gładząc mnie po policzku w sposób, który był przyjemny, lecz jednocześnie w publicznym miejscu zbyt poufały. - Następnym razem gdy się spotkamy, musimy wybrać bardziej ustronny zakątek.

W innych okolicznościach przyznałabym mu rację. Teraz jednak, stojąc w blasku dnia, zdałam sobie sprawę, jak głupie było to, co się wydarzyło w ciemnościach katedry. Na krew świętych męczenników! A co by było, gdyby zakonnik nam nie przeszkodził? Zdradziłabym nie tylko samą siebie, ale i Caterinę.

Spuściłam głowę i powiedziałam cicho:

- Nie rozumiem, Gregorio. Próbujesz mnie uwieść, a ja myślałam, że ty i hrabina... to znaczy, zdawało mi się, że wy dwoje...

Plątałam się rozpaczliwie, nie potrafiąc dokończyć zdania, choć wiedziałam, że on dobrze wie, o co mi chodzi. Czekałam na

jego odpowiedź, spodziewając się, że się roześmieje albo powie coś, co jego zdaniem będzie usprawiedliwiało taką niestałość. Ale kiedy odważyłam się na niego spojrzeć, dostrzegłam w jego spojrzeniu błysk gniewu.

Również i teraz trwało to tak krótko, że gdybym nie wyczekiwała jego reakcji, mogłabym nie zauważyć. Nie była to jednak ta sama zimna furia, z jaką patrzył na zakonnika. To było raczej gorące uczucie, zabarwione bólem i rozpaczą, rodzaj gniewu, jaki może człowieka pchnąć do czynów desperackich. I zdałam sobie sprawę, że właśnie dostrzegłam prawdziwego człowieka ukrytego pod maską zmysłowego kochanka, a może także bezwzględnego żołnierza.

- Zapominasz, że Caterina jest hrabiną, a ja tylko kapitanem straży - odparł, wyrzucając z siebie słowa z wściekłością, choć widziałam, że starał się ją hamować. - Jako dziecko znała tylko bogactwa, piękne stroje i obfite posiłki. Kiedy byłem chłopcem, myślałem, że floren to wielka fortuna. Nosiłem szmaty po chłopcu stajennym i nie chciałem sobie teraz przypominać, ile nocy przespałem z pustym brzuchem. Wtedy dzielił nas cały świat... i dzieli nadal. I pewnego dnia, już niedługo, Caterina dowie się, jakie naprawdę miała szczęście.

To była dziwna deklaracja, nawet w ustach odrzuconego kochanka. Musiał zauważyć, jak bardzo zdumiały mnie jego słowa, gdyż nagle pokręcił głową, jakby przed chwilą zamoczył ją w fontannie. Na wargi Gregoria powrócił ów charakterystyczny senny uśmiech, choć kiedy się odezwał, jego głos brzmiał ostro.

- Powiniennem się starać, żebyś zapomniała o tym, co powiedziałem - parsknął lekceważąco. - Ale ponieważ wiem, że tego nie zrobisz, wyznam ci wszystko. Tylko uważaj, bo kiedy skończę, z pewnością będziesz miała o mnie jeszcze gorsze zdanie.

- Ależ proszę, mów - zachęciłam go. - Nie będę cię osądzać.

- Ach, ale jeśli ty tego nie zrobisz, sam będę musiał tego dokończyć - oznajmił, unosząc kpiąco brew. - To prawda, że darzę uczuciem hrabinę, ale nie jestem aż takim głupcem, by sądzić, że

z jej strony to coś więcej niż chwilowe oczarowanie. A teraz, kiedy już wiem, że pragnę innej kobiety - posiał mi znaczące spojrzenie, od którego znów się zarumieniłam - chciałbym położyć kres tej farsie. - Mówił dalej, lecz uśmiech zniknął z jego twarzy. - Niestety, znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Jeśli spróbuję zakończyć romans z Cateriną, ona może wpaść w gniew i powiedzieć o wszystkim swojemu kuzynowi, księciu... a wtedy będę miał szczęście, tracąc jedynie stanowisko. Z drugiej strony, jeśli będę to kontynuował, a książe dowie się o naszym związku w jakikolwiek inny sposób, także ryzykuję.

- Więc co zamierzasz zrobić? - spytałam, czując przypływ sympatii jak do kogoś, kto także wie, co znaczy żyć, wiecznie udając.

Wzruszył ramionami.

- Na razie nic. Mogę tylko mieć nadzieję, że ona wkrótce się mną znudzi i znajdzie sobie kogoś bardziej odpowiedniego. Chyba że ty masz dla mnie jakąś radę?

Zagryzłam wargi, pragnąc mu powiedzieć o planach księcia związanych z małżeństwem hrabiny, lecz wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Dlatego tylko pokręciłam głową.

- Obawiam się, że nie potrafię ci w tym pomóc, choć jestem pewna, że wszystko wkrótce się rozwiąże. A do tego czasu chyba powinnam poprosić hrabinę, żeby znalazła kogoś innego na posłańca - dodałam po chwili wahania.

- Zrób to, Delfino, a złamiesz mi serce - odparł spokojnie.

Jego słowa wywołały we mnie dreszcz radości i nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

- Dobrze, zatem będę dalej odgrywać tę rolę - oznajmiłam z satysfakcją. I nagle przypomniałam sobie, że załatwiam własnie sprawę dla Cateriny. - Muszę wracać do zamku - powiedziałam zaniepokojona. - Nie ma mnie już bardzo długo i hrabina będzie się zastanawiać, co się ze mną stało.

- A zatem powinnaś wiedzieć, że są pewne korzyści z bycia kobietą kapitana straży - odparł, dając mi znak, bym poszła

za nim. - Jedną z nich jest to, że zwykle mam gdzieś w pobliżu konia.

I rzeczywiście, w wąskiej uliczce, przy której staliśmy, zaspanny chłopiec trzymał wodze wielkiego czarnego rumaka.

Szybko zbliżaliśmy się do zamku. I choć nie bałam się jeździć konno, czułam się dziwnie bezpieczna, siedząc przed Gregoriem. Droga trwała aż nazbyt krótko. Zatrzymaliśmy się przy głównej bramie; Gregorio zeskokczył z siodła, uniósł mnie bez trudu i postawił na ziemi, nieco dłużej zatrzymując ręce na mojej talii.

Widząc, że ci sami dwaj nieokrzesani gwardziści obserwują nas z nieskrywanym zainteresowaniem, uwolniłam się z jego uścisku.

- Może jutro hrabina da mi jakąś wiadomość dla ciebie - powiedziałam z nadzieją.

Wzruszył ramionami, wyglądając na lekko rozbawionego moim entuzjazmem.

- Może - odparł. - A jeśli nie, dam ci dla niej list, który z pewnością będzie wymagał odpowiedzi.

Brama stała otworem, więc rzuciwszy kapitanowi ostatnie spojrzenie, wbiegłam na dziedziniec. Patrząc na wieżę zegarową, stwierdziłam ze zdziwieniem, że od mojego wyjścia z zamku minęło mniej czasu, niż sądziłam. Mistrz zapewne dopiero przed chwilą skończył na dziś pracę i zanim dotrę do komnat hrabiny, pokojówki zaczną pomagać jej zmieniać suknię. Przy odrobinie szczęścia Caterina nie skomentuje mojej nieobecności, tylko zapyta, jak poszła przymiarka. I będzie zadowolona, gdy usłyszy, że signor Luigi zgodził się dostarczyć miecz do jej kostiumu, więc będzie miała broń, której tak pragnie.

Reszta dnia minęła spokojnie, jeśli nie liczyć cierpkiej uwagi Isabelli, iż wyglądam na weselszą niż zwykle.

- Gdybym jej nie znała - stwierdziła złośliwie - powiedziała-bym, że Delfina znalazła sobie mężczyznę.

I, tak jak się spodziewałam, Caterina była zadowolona, że signor Luigi zgodził się przygotować dla niej prawdziwy miecz, a nie drewnianą imitację.

- Ale skończy nasze kostiumy na jutro, prawda? - pytała z niepokojem. - W końcu maskarada będzie pojutrze.

Zapewniłam ją, że krawiec obiecał, iż jeden z jego uczniów jutro wieczorem przyniesie gotowe stroje do zamku.

- I jesteś pewna, że mój kostium będzie piękny? Nie mogę się doczekać, by wszyscy mnie w nim zobaczyli - oznajmiła, uśmiechając się z zadowoleniem.

Wywnioskowałam z tego, że chce, aby przede wszystkim jedna osoba ujrzała ją w całej świetności. Zastanawiałam się, czy nie opuści jej entuzjazm, kiedy pozna związane z nią matrymonialne plany księcia.

Z westchnieniem położyłam się do łóżka, wracając myślami do tamtej rozmowy. Jeszcze nie rozeszła się wieść o planowanym sojuszu, więc zastanawiałam się, czy w ogóle dojdzie on do skutku. A jeśli tak, to być może wojowniczy książę, z którym Il Moro się porozumie, okaże się równie dziarski jak pewien kapitan gwardii i Caterina jednak będzie zadowolona ze swego losu.

A kiedy sprawa hrabiny zostanie załatwiona, będę mogła zdecydować, co zrobię... Czy wrócę do roli chłopca, ucznia Leonarda, czy może zostanę Delfiną, kobietą kapitana gwardii. To drugie rozwiązanie oznaczałoby rezygnację z malarstwa, przynajmniej na pewien czas, ale nagle zdałam sobie sprawę, że jestem gotowa ponieść taką ofiarę.

Kiedy już zamknęłam oczy i zaczęłam zasypiać, nagle przypomniała mi się Bellanca. Niektórzy mówili, że była kobietą kapitana gwardii. Ale przecież ona tylko przenosiła wiadomości między nim a hrabiną. Gregorio z pewnością nie myślał o niej w taki sposób. Gdyby żywił wobec niej jakieś uczucie, nie mógłby tak szybko zapomnieć o dziewczynie i zainteresować się mną. Tylko trochę uspokojona tymi argumentami, postanowiłam, że przy następnym spotkaniu zapytam go o to.

Leżąc samotnie w ciemności, nie chciałam przypominać sobie wróżby, którą odczytała dla mnie z kart Caterina... mglistej

przepowiedni, która głosiła, że mogę się dać zwieść mężczyźnie i przypłacić to złamanym sercem... a może nawet życiem.

16. Wieża

*Ogień niszczy wszelką sofistykę...
i pozostawia tylko prawdę...*

Leonardo da Vinci *Windsor Drawings*

Leonardo odłożył pędzel i wytarł dłonie w zaplamioną farbami szmatkę, starając się nie ubrudzić żółtej tuniki, którą włożył do czerwono-czarnych pończoch. Następnie odsunął się od obrazu ustawionego na sztalugach, zdjął czerwoną czapkę i skłonił się hrabinie.

- Uczyniłaś mi zaszczyt, pani, pozując do dzieła, które będzie uważane za jedno z moich najlepszych - oznajmił, nie siląc się na skromność. - Teraz oświadczam, że twój portret jest gotowy, i to o dzień wcześniej.

- Nareszcie!

Caterina z radosnym okrzykiem ulgi wstała z krzesła. Postawiła Pio na podłodze i rozłożyła szeroko ramiona, jakby chcąc usunąć odrętwienie. Uśmiechnęłam się, widząc, że Pio poszedł za przykładem swojej pani, wyciągając przed siebie długie łapy i prężąc wąski grzbiet. On jednak uzupełnił ten pokaz szerokim ziewnięciem, które odsłoniło długi różowy język i rząd małych, lecz groźnych zębów.

- Nie sądzę, żebym mogła wysiedzieć na tym krześle dłużej choćby jeszcze jeden dzień. - Uśmiechnęła się do Mistrza. - Obawiam się, że teraz wyglądam znacznie starszej niż wtedy, gdy zaczynałeś malować, tak długo to trwało. - Złożyła ręce w geście udawanego błagania i dodała: - A teraz, mistrzu Leonardo, czy w końcu pozwolisz mi zobaczyć ten wspaniały obraz?

- Pozwolę go zobaczyć wam wszystkim, drogie panie. - Skłonił się z galanterią, po czym włożył czapkę. Jego słowa wywołały ekscytację bliźniaczek i Esty. - Ale najpierw musicie obiecać, że żadna z was nie przyzna się, że go widziała, nim księżę osobiście nie zaprezentuje obrazu na jutrzejszej maskaradzie.

- Wszystkie to obiecujemy - zapewniła pospiesznie Caterina w imieniu pańien, my zaś tylko uroczyście skinęłyśmy głowami. - Czy teraz możemy spojrzeć?

- Możecie - odrzekł Leonardo z zapraszającym gestem.

Podbiegłyśmy do niego, ja z nie mniejszym zainteresowaniem niż pozostałe dziewczęta. Znając już nieco technikę Mistrza, byłam ciekawa, jak sportretował młodą kobietę... Czy namalował ją na prostym tle, czy też może dodał jakiś wymaginowany krajobraz. Chciałam zobaczyć, jak przedstawił draperie i fałdy jej pięknej złotej sukni oraz kaskadę kruczonych włosów. I naturalnie nie mogłam się doczekać, kiedy się przekonam, czy przedstawił Pio jako eleganckiego towarzysza, czy jako chudego małego klauna.

Caterina spojrzała pierwsza i jej uśmiech nagle zgasł. Patrzyła na portret przez dłuższą chwilę, nie mówiąc ani słowa, więc nie odważyłyśmy się podejść do sztalug. Wyczuwając kłopoty, Pio przestał merdać ogonem i z niepokojem patrzył na swą panią. Nawet Leonardo przestał się uśmiechać z dumą, gdy nie padły oczekiwane pochwały.

Kiedy już zaczęłam się obawiać, że hrabina może wybiec z komnaty, ona nagle oderwała wzrok od obrazu. Wprawdzie w oczach miała łzy, lecz uśmiechnęła się znowu i zawołała cicho:

- Och, signore, to jest piękne!

Słyszac to, wszystkie podbiegłyśmy do niej. Isabella, Rosetta i Esta dołączyły swoje entuzjastyczne okrzyki. Ja potrafiłam tylko patrzeć, podobnie jak Caterina.

Portret był utrzymany w barwach czerni i złota, a jednak trudno byłoby go nazwać posępnym. Kontemplując dzieło przez chwilę, pomyślałam, że znacznie lepiej pasuje do niego określe-

nie „tajemniczy”. Choć bohaterką była młoda kobieta z psem, Leonardowi udało się nadać tej na pozór banalnej scenie atmosferę dramatu. Odziana w złotą szatę, z burzą czarnych włosów, Caterina przypominała nie tyle młodą hrabinę, ile pradawną kapłankę. Mistrz doskonale uchwycił jej nieco egzotyczne rysy, rozjaśniając je światłem odbitym od złotej sukni. Miała wprawdzie zaokrąglone policzki dziewczynki, lecz ciemne oczy odzwierciedlały tajemną wiedzę znacznie starszej kobiety. A jednak zamiast poważnego wyrazu twarzy, jakiego można by oczekiwać, na jej pełnych wargach błąkał się zagadkowy uśmiech.

Im dokładniej przyglądałam się portretowi, tym więcej znajdowałam w nim elementów wzbudzających podziw. Leonardo nie namalował jej siedzącej przy ścianie, lecz na tle poszarpanych skał i trzech czarnych poskręcanych drzew; pod największym leżało kilka opadłych czerwonych liści. Sceneria kojarzyła się z położonymi z dala od świata grotami, w jakich poszukują mądrości ci, którzy zwątpili w sens życia. Niebo w górze było niemal równie ciemne jak drzewa, choć przebłyski złotych promieni na wpół ukrytego za chmurami słońca nadawały szacie hrabiny metaliczny połysk.

Jedynym jasnym akcentem był smukły pies leżący na jej kolanach. Namalowany Pio trzymał skrzyżowane łapy na kolanie swej pani w pozycji powtarzającej układ jej dłoni na wąskim grzbiecie zwierzęcia. A jeśli przyjrzeć się bliżej, można było zauważyć, że namalowany pies miał na pysku wyraz lekkiego rozbawienia.

- A co ty sądzisz o tym portrecie, Delfino? - usłyszałam głos Mistrza.

Niechętnie odrywając wzrok od obrazu, pokręciłam tylko głową ze zdumieniem.

- Jest piękny. Doprawdy jesteś geniuszem, signor Leonardo.

Wyraźnie zadowolony z pochwał Mistrz zakrył obraz płótnem.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, hrabino, zostawię tutaj obraz do jutrzejszego wieczoru. A teraz, czy mógłbym prosić, by

Delfina pomogła mi odnieść pędzle do pracowni? - spytał, zbierając farby.

Kilka minut później wyszłam za nim z komnaty, niosąc znacznie więcej niż tylko pędzle. Prawdę mówiąc, oboje byliśmy dość obciążeni. Tego dnia Mistrz oprócz tego, co zwykle przyniósł ze sobą długi pakunek i ogromny foliał. Wsunął je sobie pod pachy i skinął na mnie, bym wzięła garnek z pędzlami, stojący na skrzynce z farbami.

Szybko jednak przekonałam się, że wcale nie zmierzamy do pracowni. Mistrz udał się do tej samej wielkiej sali, w której kilka tygodni wcześniej przebrana za służącego nalewałam wino na jednej z uczt II Moro.

Wtedy całą salę wypełniały rzędy stołów, przy których zajmowali miejsca liczni dostojni goście, książę i jego rodzina. Teraz pozostało wzdłuż ścian tylko kilka kozłów podpierających starannie rzeźbione deski. Krzesła i ławy, ustawione w kilku rzędach naprzeciw nowego elementu w sali, także służyły innemu celowi.

Przy tylnej ścianie, gdzie książę zwykle zasiadał do posiłków, zamiast marmurowego stołu mieściła się okrągła drewniana platforma. Nie przychodziło mi do głowy, czemu mogłaby służyć ta scena, gdyż zasłaniały ją ciemnozielone aksamitne kotary zawieszane na złotych linach przymocowanych u sufitu.

Zielone zasłony łagodziły surowość kolumn, tworząc coś na kształt niewielkich nisz. Mogli się w nich ukryć muzykanci lub goście szukający chwili odosobnienia. Pokryte freskami ściany sprawiały wrażenie, jakby ożyły. Zielone girlandy z wplecionymi wielkimi kwiatami w najróżniejszych kolorach zdobiły drzwi i okna, zdając się wyrastać z namalowanych krajobrazów. Gdyby jednak ktokolwiek zapomniał, jaki jest temat maskarady, z góry zwieszały się niczym fantastyczne gwiazdy złożone znaki z kart tarota - Denary, Buławy, Puchary i Miecze. Leonardo położył foliał i pakunek na jednym ze stołów, po czym wskazał mi platformę.

- Zostało jeszcze dużo do zrobienia, ale prawie wszystko jest gotowe na jutrzejszą maskaradę Il Moro. A teraz, jeśli chcesz, pokażę ci, jakie zaplanowałem rozrywki.

Kiedy entuzjastycznie skinęłam głową, pociągnął mocno za złotą, ozdobioną chwostem linę przymocowaną do zielonych kotar. Ciężka tkanina opadła szerokim półkołem na scenę, odsłaniając niezwykle widok.

Pośrodku podwyższonej platformy - spowita zielonym aksamitem, przypominała niewielki pagórek - wznosiło się ogromne złote słońce dwukrotnie wyższe od człowieka. Przy tylnej krawędzi platformy wisiały kotary z czerwonego aksamitu, więc wydawało się, jakby słońce wschodziło o świcie.

- Constantin, Paolo i David będą tu ze mną, ukryci za tą kotarą, zza której będziemy wszystko obsługiwać - wyjaśniał Mistrz. - Zwróć uwagę, że słońce składa się z dwóch części, przedniej i tylnej. Pomiędzy nimi znajdują się przekładnie i tryby, dzięki którym nasze słońce będzie mogło się obracać niczym koło. Ale to tylko początek.

Poprowadził mnie na drugą stronę platformy, gdzie mogłam zobaczyć, że słońce skrywa jeszcze większy cud - metalowego lwa! Figura, dorównująca mi wzrostem, była nieruchoma. Po raz kolejny podziwiałam wszystkie detale mechanicznej bestii, od groźnie wyglądających pazurów po wykonane z drutu sterczące wąsy.

- Inny zestaw trybów pozwala kontrolować środek platformy - wyjaśnił. Z mojego miejsca mogłam dostrzec teraz mechanizm. - Ta część sceny obróci się i odsłoni leżącą bestię.

Zostawiając mnie tam, gdzie stałam, wskoczył z gracją na platformę.

- Jak już ci mówiłem, Il Moro będzie przebrany za kartę Siły. W wyznaczonym momencie wskoczy na scenę, aby zmierzyć się z lwem, który w odpowiedzi ryknie i stanie na łapach, kiedy pociągnę za odpowiednie dźwignie. Ja oczywiście będę ukryty za słońcem - dodał. Wskazał na mechanizm sprytnie schowany na

piersi lwa. - Kiedy księżę uda, że uderza go swą buławą, otworzę ten maty zamek i wysypie się deszcz karmazynowych kwiatów, wyobrażający rozlewającą się na ziemię krew. Wówczas nasz dzielny księżę zbierze brawa. - Skończywszy wyjaśnienia, poklepał czule lwa po metalowej grzywie. - A więc, mój drogi chłopcze, jak ci się to podoba?

- Księżę powinien być zachwycony - oznajmiłam, uśmiechając się z podziwem. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę to cudowne widowisko.

- Musisz się bacznie przyglądać, ponieważ w kulminacyjnym momencie będę ukryty za kulisami. Chcę, żebyś dokładnie opowiedział mi o reakcji gości.

Zadowolony z moich komplementów, lekko zeskoczył na ziemię. Kilka razy pociągnął za złotą linę, umieścił kotary z powrotem na miejscu, zasłaniając lwa i słońce.

- A skoro już mowa o jutrzejszych uroczystościach, jak postępuje praca nad kostiumami dla ciebie i dla hrabiny? Czy uczeń Luigiego dostarczy je dzisiaj?

Gdy potwierdziłam, że ostatnia przymiarka wypadła pomyślnie, skinął głową z satysfakcją.

- To dobrze. - Po czym, unosząc kpiąco brew, dodał: - To doprawdy niepokojące. Jesteś przebrany za dziewczynę i to tak sprytnie, że chwilami zapominam, iż pod tymi spódnicami kryje się Dino. A teraz poczciwy Luigi znowu ma przebrać cię za chłopca. Kiedy następnym razem się spotkamy, będę musiał bardzo się pilnować, by zwracać się do ciebie właściwym imieniem.

- Ja także czuję się zagubiony - przyznałam ze smutnym uśmiechem. - Prawdę mówiąc, z przyjemnością zacznę się znowu ubierać jak dawniej.

Ale jako kto? - pomyślałam. Jako Dino czy jako Delfina?

Mistrz jednak przeszedł już do następnego tematu.

- A teraz powiedz mi, czego się dowiedziałeś od naszej ostatniej rozmowy? Czy udało ci się użyć kart tarota? I czy nosiłeś jeszcze jakieś listy między hrabiną a kapitanem?

Zaczęłam od sprawy kart i opowiedziałam, jak udało mi się podłożyć je do talii. Potem powtórzyłam przepowiednię hrabiny i opisałam reakcję służących, które wydawały się dostrzegać jakiś związek między tymi kartami a śmiercią Bellanki. Następnie, przypominając sobie o roli Dina, dodałam:

- Przyznaję, Mistrzu, że czuję się odrobinę nieswojo wobec ponurego losu, jaki mi przepowiedziała, nawet jeśli mówiła to, jakbym był dziewczyną.

- Nie obawiaj się, mój chłopcze. Wróżbici zwykle przepowiadają śmierć i nieszczęścia - zlekceważył moje obawy, strzelając palcami ze zniecierpliwieniem, choć widziałam, że mówiąc to, zmarszczył nieco brwi.

Kiwał głową w zamyśleniu, kiedy opowiadałam, że zaplanowane spotkanie hrabiny z kapitanem jednak nie doszło do skutku. Powtórzyłam wyjaśnienie, jakie podał Gregorio, by wytłumaczyć swą nieobecność, i to, jak je przyjęła hrabina. Naturalnie nie wspomniałam ani słowem o moim spotkaniu z Gregoriem w katedrze następnego dnia; obawiałam się, że wspomnienie tamtych niepokojących chwil wywoła na moich policzkach rumieńce, które mogą mnie zdradzić.

Z ulgą jednak stwierdziłam, że uwagę Mistrza całkowicie zaprzątnęła rozmowa księcia z kapitanem.

- To musi oznaczać, że Il Moro w końcu wybrał swego przyszłego kuzyna i sojusznika - mruknął Leonardo i gładząc brodę, rozważał moje słowa. - Inaczej po cóż miałby omawiać z kapitanem gwardii zwiększenie środków bezpieczeństwa? Istnieje też możliwość, że kapitan zna nie tylko tożsamość tego człowieka, ale również drugi powód, dla którego będzie on honorowym gościem księcia na maskaradzie. Zastanawiam się, czy nie uprzedził hrabiny o planach Il Moro. Czy dostarczałeś jeszcze jakies listy? - zapytał, spoglądając na mnie.

Choć Gregorio obiecał, że w taki czy inny sposób zadba, bym musiała tego dnia dostarczyć wiadomość, jeszcze się z nim nie

widziałam. Hrabina także nie powierzyła mi żadnego listu zaszytego w chusteczkę. Pokręciłam zatem głową.

- To nie ma sensu - odparł, choć z jego nieobecnego wyrazu twarzy wywnioskowałam, że mówi o jakiejś zupełnie innej sprawie. - Ale, z drugiej strony, jest to jakaś możliwość. - Nagle jakby przypomniał sobie o mojej obecności. - Ale nie po to cię tu przyprowadziłem - powiedział. - Chcę ci pokazać coś, co może mieć jakieś znaczenie dla tych zagadek, których dotychczas nie udało się nam rozwiązać.

Podeszłam za nim do stołu, na którym wcześniej położył pakunek i folia. Przyglądałam się, jak przewraca kartki wypełnione najróżniejszymi notatkami i szkicami. Wreszcie zatrzymał się na jednej ze stron.

- Spójrz, mój chłopcze, i powiedz, co o tym sądzisz.

Na pierwszy rzut oka rysunek wydawał się po prostu mocno cieniowanym studium nagiej kobiety, choć naszkicowane były tylko jej szczupły tułów i jedno smukłe ramię. Przyglądałam się rysunkowi przez chwilę, po czym pokręciłam głową.

- Jest interesujący - przyznałam. - Ale nie rozumiem, na co chciałeś mi zwrócić uwagę, Mistrzu.

- Za chwilę to stanie się całkiem jasne.

Kiedy rozmyślałam nad rysunkiem, Leonardo zaczął rozwijać długi pakunek. W końcu wyjął z zawoju grubego płótna przedmiot znajomy, którego jednak nie spodziewałam się zobaczyć.

Przyniósł bowiem ze sobą jeden z glinianych modeli, których używaliśmy w pracowni. Ten przedstawiał kobiece ramię i dłoń, której lekko zagięte palce zdawały się mnie wzywać, gdy Leonardo odwrócił model.

Spojrzałam jeszcze raz na szkic i poczułam, że zaczynam rozumieć. Zauważyłam, że to, co wzięłam za cieniowanie, tworzyło wzór, który wcale nie miał oddawać światłocienia, lecz sińce.

- To jest szkic ciała Bellanki, który wykonałeś, kiedy leżała w infirmerii! - wykrzyknęłam cicho. - Ale wciąż nie rozumiem...

- Jeśli pozwolisz, że użyję cię jako modelu - przerwał mi, posyłając surowe spojrzenie - zobaczysz, o co mi chodzi. Pamiętaj, że jeszcze nie jesteś w pełni dojrzały, mój chłopcze. Dlatego twoje członki zachowały młodzieńczą smukłość i dla celów mojej demonstracji wystarczająco przypominają członki kobiety.

Odłożył gliniane ramię i, sięgając do skrzynki z farbami, wyjął garnuszek z sadzą. Ostrożnie zdjął zamykający go kawałek tkaniny, po czym sięgnął po pędzel gruby jak jego kciuk. Zanurzył jego koniec w sadzy i spojrzał na mnie wyczekująco.

- Twoja ręka - wyjaśnił, gdy patrzyłam na niego, niczego nie rozumiejąc.

Posłusznie podałam mu rękę i przyglądałam się ze zdumieniem, jak oprószał czarnym proszkiem moją dłoń i palce.

- Gotowe - oznajmił z satysfakcją, gdy sadza pokryła już całe wnętrze dłoni. Odłożył pędzel, wziął gliniany model i wyciągnął w moją stronę niczym własną rękę. - A teraz, na potrzeby naszego eksperymentu, chciałbym, Dino, żebyś poczernioną dłonią złapał tę rękę za nadgarstek.

Kiedy wykonałam jego polecenie, obrócił ramię, tak że mogłam zobaczyć czarne ślady odcisnięte w miejscach, gdzie moja pokryta sadzą skóra dotknęła gliny. Jeszcze raz odłożył model i podczas gdy ja byłam zajęta ścieraniem sadzy, on posypał swoją znacznie większą od mojej dłoń sproszkowaną ochrą.

- Teraz moja kolej. Potrzymaj to ramię tak, jak ja przedtem, a ja chwycę je tak jak ty.

Chwilę później na glinianym ramieniu pojawił się drugi odcisk dłoni, tym razem czerwony i zajmujący nieco więcej miejsca niż mój.

Leonardo otarł dłoń z czerwonego pyłu i wzięwszy ode mnie model, oglądał go pod różnymi kątami. Na koniec skinął głową.

- Nasz eksperyment dowiódł, że mam rację - oznajmił z satysfakcją. - Zwróć uwagę, że palce czarnego odcisku dłoni nie są rozpostarte tak szeroko jak czerwonego ani nie obejmują całego nadgarstka. Co się zaś tyczy czerwonego śladu, to jest nie tylko

znacznie szerszy, ale też palce i kciuk zachodzą na siebie, otaczając cały obwód nadgarstka.

Następnie wskazał swój szkic.

- Przyjrzyj się jeszcze raz sińcom na ramionach i nadgarstkach ofiary. Sam szkic zajmuje wprawdzie zaledwie ćwierć strony, lecz i tak widać, że ślady na ciele wydają się bardziej podobne do mniejszego czarnego odcisku dłoni.

Kiedy skinęłam głową, przewrócił stronicę foliału.

- Ponieważ mój oryginalny szkic był wykonany w skali, bez trudu powiększyłem jego fragment do naturalnych wymiarów - mówił dalej, pokazując naturalnej wielkości rysunek kobiecej dłoni i nadgarstka z widocznymi sińcami.

Kiedy ja, zaczynając go coraz lepiej rozumieć, patrzyłam na rysunek, Mistrz położył na sąsiedniej stronie gliniany model.

Podobieństwo między czarnymi śladami na modelu a sińcami na rysunku było niezaprzeczalne.

- A więc obrażenia, jakich doznała Bellanca, zostały spowodowane przez kobietę! - zawołałam cicho, czując wielką ulgę na widok dowodu, iż Gregorio nie miał nic wspólnego ze śmiercią służącej.

- Powiedziałbym, że to logiczne założenie - przyznał Mistrz. - A biorąc pod uwagę inne informacje, jakie zgromadziliśmy, sądzę, że mamy dość faktów, by się pokusić o odgadnięcie tożsamości tej kobiety. A zatem doszedłem do wniosku, że sprawczynią jej śmierci była służąca imieniem Lidia. - Zawinał gliniane ramię, starając się nie rozmazać odcisniętych na nim śladów. Włożył je do skrzynki z farbami i zamknął foliał. - Wiesz, pozorne samobójstwo Lidii nie dawało mi spokoju, ponieważ zdawała się nie mieć żadnego powodu, by odebrać sobie życie - kontynuował. - I w ten sposób dochodzimy do kwestii wina. - Podał mi foliał, sam zaś podniósł skrzynkę zawierającą resztę jego sprzętów. Kiedy ruszyliśmy razem ku drzwiom, tłumaczył dalej: - Lidia umarła w wyniku wypicia zatrutego wina. Wprawdzie rozważałem możliwość, że ktoś inny podał jej ów zabójczy napój, lecz doszedłem do wniosku, że jest to niepraw-

dopodobne. Jak pamiętasz, Lidia posiadała imponującą wiedzę o leczeniu. Z pewnością rozpoznałaby charakterystyczny zapach trucizny przyrządzonej z pestek owoców i nasion.

- Sama też używała wina do przygotowywania leczniczych mikstur - dodałam z ożywieniem, przypominając sobie napój, który Caterina kazała mi wypić po napaści psa. Dzięki niemu i maści Lidii rana na moim ramieniu niemal zupełnie się zagoiła i prawie jej już nie czułam.

Leonardo przytaknął.

- Poza tym są te dwa psy ze stajni. Jeden niemal na pewno padł po wypiciu dużej ilości zatrutego wina, zaś drugi zaatakował ciebie i Pio zapewne dlatego, że cierpiał na niegroźne, lecz przykre konsekwencje przyjęcia jego małej ilości. Oczywiście żaden z nich nie wypił trucizny z własnej woli. Przypuszczam raczej, że Lidia użyła psów, by określić wielkość śmiertelnej dawki, nim sama ją zażyła.

- A więc zamordowała Bellancę, a potem odebrała sobie życie dręczona wyrzutami sumienia? - spytałam, kręcąc głową. - Ale jaki mogła mieć powód, by chcieć śmierci Bellanki?

- To wciąż pozostaje tajemnicą, którą musimy rozwiązać, mój chłopcze. Ale jeśli moje podejrzenia są słuszne, jutrzejsza maskarada może rzucić pewne światło na tę sprawę.

17. Gwiazda

Ten, kto ustala swój kurs na gwiazdę, się nie zmienia.

Leonardo da Vinci *Windsor Drawings*

Suknia Królowej Mieczki leżała starannie ułożona na łóżku hrabiny di Sasina. Srebrna spódnica obszyta białym futrem była rozpostarta na kształt dzwonu, spod rąbka wystawały złote pantofle. Doczepiane rękawy ze srebrnego i złotego brokatu - bufiaste

od ramienia do łokcia, a obcisłe od łokcia do nadgarstka - zostały wsunięte w krótkie srebrne rękawiczki i starannie skrzyżowane na gorscie ze srebrnego brokatu. Na poduszce spoczywała korona ze srebrnymi zwieńczeniami, zaś ze złotego sznura z kutasami zwieszał się obiecany miecz w pochwie bogato zdobionej srebrem i złotem.

A jednak kiedy patrzyłam na olśniewające dzieło signora Luigiiego, kojarzyło mi się ono z elegancko ubranymi zwłokami złożonymi na marach.

Może kamienny wyraz twarzy Cateriny, z jakim patrzyła na swój kostium, wywołał w mojej głowie tak niepokojący obraz. Wezwała mnie do swej komnaty rano. Wcześniej odesłała pospiesznie inne służące, poleciwszy im, by nie przeszkadzały jej przez resztę dnia.

Wszystkie skwapliwie wypełniły to polecenie. Z pełnego liutości spojrzenia, jakim obdarzyła mnie Esta, zamykając za sobą drzwi, wywnioskowałam, że cieszyły się, nie musząc znosić humorów hrabiny. Nawet Pio wyczuł zły nastrój pani i przezornie wycofał się na swoją poduszkę w rogu pokoju komnaty, gdzie teraz spokojnie drzemał.

Przypuszczałam, że znam przyczynę jej zmartwienia, ponieważ Caterina właśnie wróciła z rozmowy, na którą niespodziewanie wezwał ją jej kuzyn, Il Moro. Dzisiejszego wieczoru miała się odbyć od dawna wyczekiwana maskarada, a wraz z nią ogłoszenie zaręczyn Cateriny. Zastanawiałam się, czy książę jednak nie postanowił uprzedzić jej o swoich planach. Być może obawiał się, że zaskoczona tą nowiną mogłaby zepsuć uroczystość zupełnie niestosownym wybuchem płaczu.

Wreszcie hrabina spojrzała na mnie i kamienna obojętność na jej twarzy zamieniła się w wyraz skrajnej rozpacz, potwierdzając moje domysły.

- Stało się! - wykrzyknęła. - Kuzyn Ludovico oznajmił, że postanowił, iż muszę wyjść za mąż i że poznam swojego przyszłego męża tej nocy, kiedy wszyscy zrzucą maski na koniec

balu. - Zamilkła i pokiwała głową z niesmakiem. - Nigdy nawet nie słyszałam o tym księciu Pontalbie. Jego kraj to jakaś maleńka prowincja, zaledwie plamka na mapie, z którą Ludovico toczy wojnę. Teraz zgodził się zawrzeć pokój w zamian za żonę z dużym posagiem. Och, Delfino, co mam zrobić?

Nie czekając na moją odpowiedź, siadła ciężko na łożu - nie zważając, że zgniecie swoją piękną suknię - i skryła twarz w dłoniach. Milczałam przez chwilę, wiedząc aż za dobrze, jak musi się czuć. Mnie przecież właśnie perspektywa zaaranżowanego małżeństwa skłoniła do przebrania się za chłopca i ucieczki z domu...

Z westchnieniem uklęknęłam na podłodze obok niej, tak że znalazłyśmy się na tym samym poziomie.

- Nie płacz, hrabino - pocieszałam ją. - Może to nie jest aż tak wielka tragedia, jak się wydaje. Jestem pewna, że twój kuzyn nie chciałby, abyś była nieszczęśliwa. Może ów książę Pontalba jest miłym i przystojnym mężczyzną, który okaże się wspaniałym mężem.

Uniosła zapłakane oczy i pokręciła głową.

- Czy nie rozumiesz, że to nie ma żadnego znaczenia? Nie chcę żadnego księcia... Pragnę tylko Gregoria.

Jej żałosny lament sprawił, że poczułam ukłucie w sercu. Dlaczego Caterina nie może się zadowolić księciem, a mnie zostawić Gregoria? Poza tym nawet jeśli nie zgodziłaby się na to małżeństwo, Il Moro nie pozwoli jej zapomnieć o ciężących na niej obowiązkach. O ile zwykła kobieta może odejść, rozpoczynając gdzie indziej życie, to dla hrabiny, wychowanej w luksusach i przywykłej do służby gotowej na każde skinienie spełniać jej życzenia, byłoby to znacznie trudniejsze - a niewyklucone, że w ogóle niemożliwe, nawet w imię miłości.

Tak więc udało mi się wzbudzić w sobie szczere współczucie i zapytałam:

- Czy życzysz sobie, pani, żebym zaniósła kapitanowi wiadomość o tym, co się zdarzyło?

- Tak, musisz to zrobić jak najprędzej. - Ocierając łzy z policzków, sięgnęła za gorset i wyjęła złożony kawałek delikatnej

tkaniny. - Już napisałam list - rzekła, podając mi haftowaną chusteczkę, a lekki szelest zdradził zaszyty wewnątrz papier. - Oddaj mu go i powtórz to, co tobie powiedziałam. Ale musisz się pospieszyć, zanim Gregorio wyjedzie ze swoimi ludźmi. Mają wyruszyć, żeby spotkać się z księciem Pontalbą i eskortować go do zamku.

Skinęłam głową i wstałam.

- Będę się spieszyć - obiecałam, ukrywając chusteczkę w rękawie.

Uśmiechnęła się blado i chwyciła mnie za rękę.

- Jesteś moją zaufaną służącą, Delfino. Jestem niezmiernie wdzięczna signorowi Leonardo, że przysłał cię do mnie.

Skłoniłam się lekko i zdobyłam na uśmiech, choć nagle ogarnęło mnie poczucie winy. Mogłam się tylko modlić, żeby hrabina nigdy się nie dowiedziała, że ją oszukałam - najpierw wchodząc jako szpieg do jej domu, potem potajemnie rywalizując z nią o względy przystojnego kapitana.

Było wcześniej, więc zmoczyłam pantofle w porannej rosie, biegnąc przez dziedziniec w stronę głównej bramy zamku. Przy stajniach zobaczyłam kilkanaście rumaków o lśniącej sierści, którym stajenni zakładali ozdobne siodła i uprząże na kolorowe derki. Oczywiście Il Moro chciał, aby jego dawnego wroga powitał imponujący oddział żołnierzy reprezentujący świetną armię Mediolanu, nawet jeśli obie strony już zawarły pokój.

Z ulgą spostrzegłam, że bramy pilnuje dwóch gwardzistów, których nie widziałam, nie zaś dwaj nieokrzesani najemnicy znający mnie już z widzenia. Potężniej zbudowany z nich dwóch przyjął wzruszeniem ramion moją prośbę o spotkanie z kapitanem.

- Znajdziesz go w jego kwaterze, jeśli się pospieszysz - padła znudzona odpowiedź.

Grubym palcem wskazał kilka otworów w ścianie, najwyraźniej prowadzących do pomieszczeń, w których mieszkali książęcy gwardziści. Krużganek, do którego mnie skierował, kończył

się przy ciężkich, okutych żelazem drewnianych drzwiach. Zastukałam ostrożnie, modląc się, by nie trafić do koszar pełnych żołdaków.

Stłumiony głos zaprosił mnie do środka; ale nawet wtedy, już z dłonią na klamce, zawahałam się nad stosownością tego, co zamierzałam zrobić. Naturalnie bywałam już wcześniej sam na sam z Mistrzem w jego mieszkaniu, ale wtedy występowałam w przebraniu Dina. Przypuszczałam, że spotkanie w cztery oczy z Gregoriem w jego kwaterze to zupełnie inna sprawa. Ale przyszłam tu z polecenia hrabiny, napomniałam się surowo, i muszę się zachowywać odpowiednio.

Widocznie trochę zbyt długo zwlekałam, stojąc przy drzwiach, gdyż nagle klamka poruszyła się pod moją dłonią. Nie zdążyłam się cofnąć, drzwi otworzyły się do środka. Zachwiałam się i omal nie wpadłam do pokoju, prosto w ramiona Gregoria.

- Cóż za miła niespodzianka - rzekł z sennym uśmiechem. - Spodziewałem się jednego z moich ludzi, a nie uroczej młodej damy. Co sprowadza cię do mnie o tak wczesnej porze?

Udzieliłabym jakiejś stosownej odpowiedzi, lecz opuściła mnie wcześniejsza determinacja, kiedy zdałam sobie sprawę, że stoi przede mną ubrany w pończochy, wysokie buty i nic poza tym. Nie pomogło moim dobrym intencjom to, gdy przyciągnął mnie do siebie i zamknął za mną drzwi.

- Mam wiadomość od hrabiny - wykrztusiłam w końcu, nie ośmielając się spojrzeć mu w oczy. Tak więc nie pozostawało mi nic innego, jak wpatrywać się z fascynacją w jego nagi tors.

Złocista skóra, napięta na idealnie zarysowanych mięśniach, była niemal bez skazy, jeśli nie liczyć czerwonej blizny przecinającej prawy bok i dziwnego kształtu ciemnego znaku tuż nad sercem. Domyśliłam się, że blizna jest pamiątką po ranie, która kilka miesięcy wcześniej spowodowała jego powrót z wojny. Co zaś się tyczy owej plamy, nie wyglądała na zwykłe przebarwienie skóry, lecz raczej na znamię. Słońce, pomyślałam, opierając się chęci dotknięcia tego miejsca.

Zdałam sobie sprawę, że gdybym nie pohamowała tej na pozór niewinnej pokusy, mogłabym ulec znacznie bardziej niebezpiecznym pragnieniom.

- Wiadomość może poczekać, przynajmniej chwilę - powiedział, przyciągając mnie do siebie.

Znalazłam się w uścisku jego smukłych, muskularnych ramion. Kiedy mówił, jego wargi musnęły moje ucho, przyprawiając mnie o dreszcz, a ciepło jego ciała zdawało się roztopiać mój opór.

Niespodziewany odgłos ciężkiej pięści łomoczącej do drzwi przerwał czar, który mną owładnął.

- Kapitanie, chciałeś, żeby cię zawiadomić, kiedy ludzie będą gotowi! - zawołał ochrypły głos.

Przekleństwo, rzucone półgłosem przez Gregoria, wyrażało w równym stopniu irytację, co rozbawienie; wypuścił mnie z objęć.

- Coś mi to przypomina - rzekł, kręcąc głową ze smutnym uśmiechem. - Każ im dosiadać koni! - krzyknął do swojego człowieka. - Będę za chwilę.

Jego senny sposób bycia zniknął, zastąpiony zdecydowanym pośpiechem, gdy gestem zaprosił mnie w głąb pokoju.

- Obawiam się, że moja kwatera nie jest tak wytworna jak komnaty hrabiny - rzekł cierpko. - Ale możesz usiąść na chwilę, kiedy ja będę kończył się szykować. Możesz wybrać: łóżko albo ławę. Są równie niewygodne.

Rozważnie przysiadłam na twardej drewnianej ławie ustawionej przy prostym stole, podczas gdy Gregorio podszedł do dużej szafy, z której zaczął wyjmować ubranie. Aby nie skupiać się zbytnio na widoku jego półnagiej postaci, postanowiłam rozejrzeć się po wnętrzu.

Pokój Gregoria nie przypominał dobrze oświetlonego mieszkania Mistrza, pełnego papierów, ksiąg i wszelkiego rodzaju osobliwości. Było to pomieszczenie, w którym światło dawały tylko pochodnia i kilka wysoko umieszczonych wąskich okien, tak że

wydawało się pogrążone w półmroku. Surowości ciemnych ceglanych ścian nie łagodziły tkaniny, zaś obok szafy wisiała kolekcja mieczy, tarcz i lekkich pancerzy.

Ozdobnie rzeźbiona szafa, obok mebli, o których już wcześniej wspomniałam - łóżka, starannie przykrytego brązowym kocem, ławy i stołu - stanowiła jedyne wyposażenie. Na półce wiszącej na ścianie dostrzegłam kubek, talerz i miskę. Wszelki pozostały dobytek Gregoria musiał być schowany w szafie.

W istocie komnata wydawała się stosowna dla żołnierza, który nigdy nie bawi długo w jednym miejscu. Albo - jeśli pominąć uzbrojenie - dla mnicha.

Tymczasem Gregorio wydobyl czystą białą koszulę oraz długi czerwono-złoty dublet i przywiązał do niego czarne pończochy. Górne i dolne części rękawów były już połączone, a przez rozcięcia elegancko wystawała tkanina koszuli. Usatysfakcjonowany zwrócił się do mnie.

- Teraz mogę wziąć list.

Skinęłam głową i wydobylam z rękawa złożoną chusteczkę. Poczułam się nieco pewniej, kiedy kapitan był kompletnie ubrany. Wziął ode mnie kwadratowy kawałek materiału i znowu użył wyjętego zza cholewy noża, by rozciąć szwy. Gdy czytał te kilka linijek tekstu, na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Hrabina kazała mi też przekazać ci, że na dzisiejszej masakradzie Il Moro ogłosi ważną wiadomość - dodałam. - Księżę Pontalba, którego ty i twoi ludzie będziecie eskortować do zamku, ma zostać jej mężem. Ich ślub będzie częścią traktatu pokojowego zawartego między książętami.

- Słyszałem o tym.

Odpowiedział z roztargnieniem, ale jego uwaga była wciąż skupiona na liście. Jego słowa potwierdziły przypuszczenie Leonarda, iż Il Moro podzielił się tą informacją z kapitanem. Przypomniawszy sobie naszą rozmowę na placu katedralnym, nie byłam zaskoczona, że w odróżnieniu od Cateriny przygnębionej nowiną Gregorio zareagował z satysfakcją.

Starannie złożył list i chusteczkę, po czym wsunął je pod tunikę i dopiero wtedy zwrócił się do mnie.

- Z pewnością nie oczekiwałaś, że na tę wieść wybuchnę płaczem - rzekł z ironicznym uśmiechem. - Wiesz, że wyczekiwałem tego z niecierpliwością. Teraz zaś, skoro już to nastąpiło, musimy poczynić nasze plany, gdyż nie mamy dużo czasu. - Powoli krążył wokół mnie niczym smukła ciemna pantera osaczająca zdobycz. - Przede wszystkim wróć i powiedz hrabinie, że przystaję na jej prośbę i będę na nią czekał w wieży mniej więcej godzinę przed północą. Wygląda na to, że Caterina pragnie, by nasze ostatnie pożegnanie miało... powiedzmy... cielesny charakter.

Poczułam, że rumienię się, słysząc te słowa, lecz zdobyłam się na skiniecie głową. Nie byłam pewna, czy zauważył moją reakcję, gdyż mówił dalej:

- Byłoby z mojej strony nieuprzejmością odmówić jej ostatniej prośbie, nie sądzisz? A ponieważ jest szansa, że Il Moro będzie nalegał, by ślub odbył się jak najszybciej, dzisiejsza noc może być dla nas ostatnią okazją do takiego spotkania. - Zatrzymał się tuż za mną i położył ręce na moich ramionach. - A teraz, droga Delfino, muszę wiedzieć, wobec kogo jesteś lojalna... wobec Cateriny czy wobec mnie?

- Nie rozumiem - wyszeptalam zgodnie z prawdą.

Jego palce się zacisnęły.

- Ależ to zupełnie proste - odparł, a w jego głosie pojawił się ton uwodzicielskiego przynaglenia. - Mam w głowie pewien plan, który może mnie uczynić bogatym człowiekiem, znacznie bogatszym niż mógłbym się stać dzięki nędznej jałmużnie, jakie płacą mi Il Moro i jemu podobni. Wybierz mnie, zostań kobietą kapitana gwardii, a ja podzielę się z tobą tym bogactwem. Zapewnię ci życie, jakiego nigdy nie zaznałabyś w swojej obecnej sytuacji. - Zamilkł na chwilę, bym mogła rozważyć taką możliwość, po czym dokończył obojętnie: - Wybierz Caterinę, a spędzisz resztę życia jako służąca.

Gwałtownym ruchem wyrwałam się z jego uścisku.

- A jeśli wybiorę ciebie - spytałam, przyglądając się uważnie jego twarzy i usiłując odgadnąć, co miał na myśli - jaką rolę miałabym odegrać?

- Twoja rola będzie całkiem prosta. Wystarczy, że dopilnujesz, by Caterina mogła spotkać się ze mną w wieży zgodnie z planem... I ty także musisz tam być, aby niepostrzeżenie obserwować wszystko, co się wydarzy między nami.

Na mojej twarzy musiało się odmalować zaskoczenie i oburzenie tą prośbą, gdyż roześmiał się cicho.

- Droga Delfino, nie bądź tak wstrząśnięta - rzekł, chociaż w jego głosie wyczułam napięcie i wiedziałam, że nie żartuje. - Uwierz, że nie proszę cię o to, by zaspokoić "jakieś dziwaczne zachcianki. Potrzebuję świadka tego, co się zdarzy, inaczej mój plan spełznie na niczym.

- A więc zamierzasz szantażować hrabinę? - spytałam, pojmując, do czego zmierza. Pokręciłam głową. - Ale wciąż nie rozumiem. Powszechnie wiadomo, że wiele dam na dworze szuka przyjemności z mężczyznami, którzy nie są ich mężami. Dlaczego miałyby się przejmować, że grozisz jej czymś takim? Czy taka sprawa mogłaby ją skrzywdzić?

- Powiedzmy, że mnie i Caterinę łączy więcej, niż sądzisz, a nawet więcej niż ona sama się domyśla - odparł, wzruszając ramionami. - Ale zapewniam cię, że kiedy dowie się o tym, co mógłbym wyjawić, każdą cenę zapłaci za moje milczenie.

Ponowne walenie do drzwi nagle przerwało naszą rozmowę.

- Proszę o wybaczenie, kapitanie - dobiegł niepewny głos zza drzwi. - Ludzie są już gotowi do drogi.

- Idę! - odrzyknął i podszedł do przeciwległej ściany. Wybrał kilka sztuk z wiszącej na niej kolekcji i wprawnymi ruchami zapiął na sobie lśniący srebrny napierśnik i przypasał dwa miecze: długie ceremonialne ostrze oraz krótki miecz, z jakim arystokraci zwykli poruszać się po mieście. Na koniec włożył sięgającą kolan czarną pelerynę i wzięł lśniący srebrny hełm z niewielkim

czarnym pióropuszem oraz parę srebrnych rękawic. Wsunął rękawice za pas, hełm włożył pod pachę i podszedł do mnie.

- Czasu jest coraz mniej. Muszę poznać twoją odpowiedź teraz, Delfino. Wobec kogo będziesz lojalna? Wobec mnie czy wobec hrabiny?

Wykorzystałam kilka chwil, kiedy kończył się ubierać, by gorączkowo rozważyć wszystkie możliwości. Jeśli nie zgodzę się do niego przyłączyć, Mistrz i ja możemy stracić ostatnią szansę poznania prawdy o śmierci Bellanki i Lidii... zakładając, że miały one jakikolwiek związek z tym, co teraz proponował Gregorio. Jeśli natomiast stanę po stronie Gregoria, mogę się dowiedzieć nie tylko tej, ale również wielu innych rzeczy. Może będzie za późno, by ocalić hrabinę przed jego planem, ale przynajmniej Mistrz, znając sytuację, na pewno będzie wiedział, co należy zrobić.

Tak więc moja decyzja była prosta.

- Będę lojalna wobec ciebie, Gregorio - odparłam cicho.

Uśmiechnął się z chłodną aprobata. Delikatnie pogładził ciepłą dłonią mój policzek i skinał głową.

- Miałem nadzieję, że podejmiesz taką decyzję - powiedział. - Zdażyłem się do ciebie przywiązać i żałowałbym, gdybyśmy musieli się rozstać. Nieczęsto spotyka się kobietę, która jest zarazem piękna, mądra i lojalna.

Zarumieniłam się, słysząc to, ale jego następne słowa zepsuły miły efekt komplementu:

- Pamiętaj jednak, droga Delfino, że dokonałaś wyboru. Gdybyś później zmieniła zdanie i przyszłoby ci do głowy mnie zdradzić, wiedz, że poniesiesz konsekwencje, podobnie jak ja.

- Nie zmienię zdania. Masz moją lojalność - powtórzyłam, wytrzymując jego mroczne spojrzenie.

Skinał głową i pochylił się, by musnąć ustami moje wargi.

- A więc pamiętaj, wschodnia wieża dziś w nocy o wpół do jedenastej. A teraz muszę jechać, by przywieźć Caterinie jej oblubieńca.

Otworzył drzwi i gestem dał znak, bym poszła przodem. W zamkowej bramie już czekała grupa konnych. Ich kolorowe

stroje, końskie derki w jaskrawych barwach oraz chorągwie na długich drzewcach składały się na imponujący widok. Niewątpliwie wywrą wrażenie na księciu Pontalbie!

Pozostałam w cieniu krużganka, podczas gdy Gregorio podszedł do żołnierza trzymającego wodze tego samego czarnego rumaka, na którym przyjechaliśmy z katedry. Kiedy włożył hełm i rękawice, wyglądał jak wojownik. Wyrwało mi się mimowolne westchnienie, gdy patrzyłam na jego wspaniałą postać; zastanawiałam się, jaki wpływ na to, że zdobył swoją pozycję, miała jego powierzchowność.

Pozostali żołnierze równocześnie ściągnęli wodze i niewielki oddział ruszył w stronę otwartej bramy. Patrzyłam, jak odjeżdżają, nieco rozczarowana tym, że jedyną*osobą, jaka odwróciła się, by na mnie spojrzeć, był nie Gregorio, lecz znany mi nieokrzesany najemnik. Jego jasne wąsy nastroszyły się nad szczerbatym uśmiechem, jaki posłał mi przez ramię. Pohamowałam grymas. Gdybym była oficjalnie kobietą kapitana gwardii, pomyślałam ze złością, przede wszystkim zażądałabym, aby Gregorio go odprawił... albo przynajmniej wymierzył mu chłostę.

W tym momencie otrząsnęłam się i przypomniałam sobie, że przecież tylko odgrywam rolę. Kiedy cała sprawa się zakończy, Delfina z pewnością znowu zniknie, a zamiast niej pojawi się Dino. Jaki los spotka Gregoria, nie odważyłam się zgadywać.

I nie powinno mnie to obchodzić, powiedziałam sobie stanowczo. Czyż nie udowodnił, że mimo pięknej powierzchowności jest tylko najemnikiem - zimnym, przebiegłym i gotowym zrobić wszystko oraz wykorzystać każdego, by zrealizować własne cele? Byłabym głupia, sądząc, że cokolwiek go obchodzi, mimo uwodzicielskich pocałunków i słodkich słów, jakimi mnie obsypywał.

Dopiero kiedy brama zamknęła się za odjeżdżającymi, zastanowiłam się, co by zrobił, gdybym nie przystała na jego plan.

Ta myśl nie dawała mi spokoju, gdy szłam przez zamkowy dziedziniec. Może właśnie to spotkało Bellancę, pomyślałam

z lękiem. Może zgodziła się na jego propozycję, lecz potem zmieniła zdanie. A wtedy Gregorio, zamiast samemu załatwić sprawę, powierzył Lidii zadanie dopilnowania, by Bellanca nie wydała go przed hrabiną.

Zwolniłam kroku, lecz moje myśli pędziły jak szalone. A może to Lidia postanowiła rozprawić się z Bellancą, zaś Gregorio dowiedział się o tym dopiero po fakcie? Przypominając sobie jego kamienny spokój na pogrzebie Bellanki oraz nieskrywaną rozpacz Lidii, pomyślałam, że taki scenariusz jest równie prawdopodobny.

Mogłam nawet sobie wyobrazić, jak do tego doszło. Lidia, jak każda matka w obliczu niebezpieczeństwa grożącego jej dziecku, starała się chronić syna wszelkimi dostępnymi sposobami. Może upadek Bellanki był przypadkowy, a Lidia próbowała tylko groźbami skłonić ją do milczenia. A może zepchnięcie biedaczki z okna na wieży było zaplanowaną zbrodnią? W każdym razie wyglądało na to, że Lidia pożałowała swego czynu.

Pokręciłam głową. Dzień wcześniej Mistrz dał mi do zrozumienia, że zna prawdę, chociaż nie chciał rzec nic więcej. Powiedział, że być może wszystko wyjaśni się tej nocy. Ja mogłam tylko o wyznaczonej godzinie pójść do wieży i modlić się, aby wszelkie sekrety, jakie poznam, złamały nie moje serce, lecz hrabiny.

18. *Księżyc*

Księżyc w każdym miesiącu ma zimę i lato.

Leonardo da Vinci *Kodeks Atlantycki*

Nie, Constantinie, postaw to tutaj! - zawołał Mistrz ponad słodkimi dźwiękami muzyki docierającymi zza zielonej aksamitnej kotary.

Stałam za platformą na końcu wielkiej sali. Leonardo i jego uczniowie dokonywali ostatnich poprawek przy mechanicznym lwie i słońcu, które miały odegrać tak ważną rolę w wieczornych rozrywkach. Mistrz wskazywał coś, co wyglądało jak sterta kamieni, lecz w rzeczywistości było tylko dekoracją wykonaną z malowanego płótna rozciągniętego na drewnianej ramie. Constantin przesunął tę konstrukcję we wskazane miejsce za lwem, dokładnie ukrywając rury i linki ciągnące się od metalowego zwierzęcia do tylnej strony słońca. Tam Mistrz, niewidoczny dla publiczności, mógł za ich pomocą kontrolować ruchy lwa. Teraz jednak linki były ukryte pod półkolem z zielonego aksamitu leżącym na tej stronie platformy, która jako pierwsza miała być zwrócona ku publiczności.

Nieco wcześniej znalazłam Leonarda właśnie w tej sali, gdzie kierował robotnikami zawieszającymi ostatnie dekoracje i kolejny raz przedstawiającymi ławy i krzesła. Z wielkim zainteresowaniem wysłuchał mojej relacji o ostatnim spotkaniu z Gregoriem, to marszcząc brwi, to kiwając głową. Zarumieniłam się, wyjawiając intencje hrabiny, zamierzającej obcować z mężczyzną niebędącym jej mężem w noc zaręczyn z innym. Jednak ku mojemu zaskoczeniu Mistrz wydawał się nie tyle wstrząśnięty, ile raczej zmartwiony moimi słowami.

Jeszcze trudniejsze było wyjaśnienie, w jaki sposób Gregorio zmusił mnie do dokonania wyboru między nim a hrabiną. Gdybym bowiem była naprawdę chłopcem, w takiej sytuacji kapitan naturalnie odgadłby moją prawdziwą płęć. Tak więc mogłam tylko bardzo ogólnikowo opowiedzieć, co zaszło między nami, pozwalając Mistrzowi odnieść wrażenie, że kluczową rolę w całej sprawie odegrały floreny, a nie uwiedzenie.

Przyjmując postawę Dina, chełpiłam się:

- Musiałem naprawdę dobrze odegrać moją rolę, gdyż natchmiast uwierzył, że jestem dziewczyną skuszoną obietnicą bogactwa.

- Tak, dobrze to odegrałeś - przyznał z roztargnieniem Leonardo, po czym, coraz bardziej zaszępiiony, odesłał mnie do

komnat hrabiny. - Muszę się jeszcze chwilę nad tym zastanowić i znaleźć jakieś rozwiązanie - oznajmił. - Zachowuj się przez resztę dnia tak, jakbyśmy ze sobą nie rozmawiali, ale obserwuj bacznie, czy przypadkiem hrabina nie zamierza zmienić swego planu. Kiedy oboje się pojawicie na balu, możesz się wymknąć i znaleźć mnie na platformie lwa. Wtedy dam ci ostateczne instrukcje.

Dalsza część dnia mijała nieznośnie powoli, choć przypuszczałam, że Caterina nie może się doczekać nocy. Z wypiekami na twarzy spacerowała po komnacie, na przemian śmiejąc się i łkając. W pewnej chwili dla żartu wyjęła miecz z wysadzanej klejnotami pochwy i przyłożyła go sobie do piersi.

- Mogłabym teraz wbić w siebie ostrze - oznajmiła dramatycznie - bowiem dziś w nocy moje serce przeszyje taki sam ból. Poznam radość obcowania z mężczyzną, którego kocham, równocześnie wiedząc, że nigdy więcej nie zaznam takiego szczęścia. Powinnam teraz umrzeć i położyć kres mojej rozpacz.

- Proszę, hrabino, niepokoisz biednego Pio - zaprotestowałam pospiesznie, próbując odwrócić jej uwagę. Podbiegłam w róg komnaty, podniosłam śpiącego pieska z poduszki i podałam go hrabinie. - Spójrz, jaki jest wystraszony. Gdyby cokolwiek ci się stało, byłby niepokieszony, tak samo jak ja.

W tym momencie Pio ziewnął przeraźliwie, zupełnie niezainteresowany poczynaniami swej pani. Widząc to, Caterina mimowolnie się roześmiała. Odłożyła miecz, wzięła Pio na rękę i uścisnęła czule.

- Dobrze, Delfino, masz rację, a ja zachowuję się głupio. - Lecz nagle jej uśmiech zbladł. - A co będzie, jeśli mój mąż nie zgodzi się, żeby Pio mi towarzyszył? Nie mogę do tego dopuścić!

- Nie martw się - pocieszyłam ją czym prędzej. - Większość szlachetnie urodzonych bardzo lubi psy i jestem pewna, że twój mąż polubi Pio. Ale nawet jeżeli nie, bądź pewna, że mistrz Leonardo zadba, by znalazł się pod dobrą opieką.

- Obiecujesz? - Jej ciemne oczy płonęły i nagle wydała mi się podobna do Gregoria. - Jest moim wiernym przyjacielem i nie zniósłabym, gdyby czegoś mu zabrakło.

- Przysięgam, hrabino - odparłam, patrząc jej prosto w oczy. - Ale nie martw się tym teraz. Powinnaś odpocząć, gdyż czeka nas długa noc.

- A ja oczywiście nie chciałam się pojawić przed moim przysłym mężem znużona i z podkrążonymi oczami - powiedziała kpiąco, lecz posłusznie położyła się, a Pio zwinął się w kłębek u jej boku. - Jednak ledwie zamknęła oczy, znowu usiadła na łóżku. - Zapomniałam ci powiedzieć, że dzisiejszego ranka po raz ostatni rozłożyłam dla siebie karty tarota. I jeszcze raz wyciągnęłam te same cztery karty, które prześladują nas od śmierci Bellanki. Ale wydaje mi się, że teraz wiem, co oznaczają. - Położyła się, wbijając spojrzenie w sufit. - Przepowiedziały mi zdradę Ludovica; sprzeda mnie jak kłacz jakiemuś nieznanemu mężczyźnie. A zatem nastąpi kres szczęśliwego życia. Ale pogodziłam się już, że tak być musi, ponieważ karty nigdy dotąd nie kłamały.

Zamknęła oczy, a ja cichutko przeszłam do drugiej komnaty, ciesząc się z powrotu Isabelli i pozostałych dziewcząt. Wieść o zbliżających się zaręczynach hrabiny dotarła do zamkowej służby i teraz wszystkie trzy zastanawiały się, jaki wpływ na ich los będzie miała nowa rola Cateriny. Przysłuchiwałam się rozmowie, lecz nie włączałam się do niej, myśląc wciąż o nadchodzącej nocy.

Ku mojemu zaskoczeniu Caterina obudziła się niemal radosna i sprawiała wrażenie podekscytowanej, kiedy z pomocą Esty i Rosetty ubierała się w ozdobną suknię. Gdy Esta włożyła jej na głowę koronę i cofnęła się o krok, by ocenić efekt, wszystkie cztery aż westchnęłyśmy zachwycone widokiem Cateriny.

- Będziesz najpiękniejszą z kobiet na balu, hrabino! - wykrzyknęła Isabella ze szczerym entuzjazmem, klaszcząc w ręce.

Wszystkie gorliwie przytaknęłyśmy i przyniosłyśmy z kąta duże lustro, aby mogła zobaczyć swe odbicie.

Caterina słusznie postąpiła, słuchając rady Luigiego w tej sprawie, pomyślałam z aprobatą. Kostium utrzymany w barwach bieli, srebra i złota podkreślał jej złocistą cerę i czarne włosy. Ponadto zręcznie umieszczone przez krawca zakładki uwypuklały krągłości ciała, dzięki czemu hrabina w nowej sukni wyglądała bardziej kobieco.

Nie należy też umniejszać zdolności Esty. Zamiast ukryć włosy pod koroną, Esta ułożyła kruczoczarne loki hrabiny w luźne pukle, zebrane na karku i miękko spływające na plecy. Efekt okazał się olśniewający i doskonale pasował do pełnej wdzięku urody wojowniczej królowej.

Kiedy dziewczęta wygładzały i układały materiał, dokonując ostatnich poprawek, pospieszyłam do pokoju służących, by włożyć swoje przebranie na tę noc.

Signor Luigi potraktował ten kostium z równą starannością, stwierdziłam z satysfakcją, naciągając czerwone pończochy i dopasowane do nich czerwone buty, a następnie krótką tunikę z czerwono-złotego brokatu. Dokładnie jak na szkicu Leonarda, rękawy wykończone były zielonymi mankietami, które podwinęłam zawadiacko. Krótka peleryna w błękitno-złote pasy również zgadzała się z projektem Leonarda, choć oczywiście białe i złociste futerko nie było tak piękne, jak obszycie sukni Cateriny.

Aby nadać kostiumowi bardziej chłopięcy wygląd, upięłam fałszywe włosy wokół głowy na kształt wieńca zwycięzcy. I choć nie wróciłam do gorsetu, który nosiłam przebrana za Dina, pod tuniką miałam inny, ciasno zasznurowany, dzięki któremu moja figura wyglądała bardziej chłopięco. Ostateczny efekt wydał mi się przyjemnie znajomy, choć naturalnie cieszyłam się, nosząc kobiece stroje przez ostatnie dwa tygodnie.

Na koniec wzięłam do ręki pałkę uzupełniającą mój kostium. Prosty drewniany kij był niemal mojej wysokości, pomalowany na złoto, z ozdobnymi okuciami na obu końcach. Uśmiechnęłam się i machnęłam kilka razy, jakbym odpierała napastnika. Wreszcie zawiesiłam maskę na szyi i dołączyłam do pozostałych w komnacie hrabiny.

Mój nowy wygląd wywołał niemałe poruszenie wśród trzech słuźących. Esta tylko się uśmiechnęła, ale Rosetta, zwracając się do siostry, zauważyła:

- Nie sądzisz, że z Delfiny byłby ładny chłopiec?
- Łatwo mogłaby mnie oszukać.

Nucie drwiny w jej głosie towarzyszył kpiący uśmiech, choć szybko nachmurzyła się, gdy Esta mruknęła tylko jedno słowo:

- Zazdrosna?

Bliźniaczki przez ostatnie dni głośno narzekały - oczywiście tylko, gdy hrabina nie słyszała - twierdząc, że nie ja, lecz któraś z nich powinna towarzyszyć hrabinie w czasie maskarady. Na szczęście ich złośliwości ustały, gdy do komnaty weszła Caterina z mieczem zawieszonym u pasa i maską w dłoni, gotowa udać się na bal.

Było już dość późno i, zbliżając się do sali, słyszałyśmy dobiegający z niej zgiełk. Caterinę jednak znowu ogarnęło przygnębienie. Zerkałam na nią kilkakrotnie, zamierzając wciągnąć ją w niezobowiązującą rozmowę, ale za każdym razem powstrzymywał mnie wyraz rozpaczony na jej twarzy. Kiedy zatrzymałyśmy przed wejściem, by włożyć maski, wyciągnęłam do niej rękę.

Chwyciła moją dłoń kurczowo, tak że przez chwilę miałam ochotę uciec wraz z nią jak najdalej od zamku i wszystkiego, co miało nastąpić. Myślałam gorączkowo, że mogłabym obciąć jej włosy i przebrać ją za chłopca, może nawet wprowadzić do pracowni Mistrza jako nowego terminatora. Naturalnie musiałabym przyznać się do oszustwa, lecz byłaby to niewielka cena za ocalenie szczęścia Cateriny.

Jednak w tej samej chwili, gdy zdałam sobie sprawę, jak nie-realny jest ten plan, Caterina puściła moją dłoń i wyprostowała się dumnie.

- Dlaczego jesteście takie ponure? - spytała z szyderczym uśmiechem. - W końcu nie idę na śmierć. Chodź, cieszymy się tą nocą.

Kiedy weszła między arystokratów, wycofałam się w gęstniejący tłum, by poszukać Mistrza. Bal już teraz można było uznać

za sukces Leonarda, gdyż odgłosy wesołej zabawy niemal zupełnie zagłuszały dźwięki muzyki dobiegające z narożnika. Mistrz rozmieścił oświetlenie w taki sposób, iż wydawało się, jakby sala zastygła w ostatnich momentach zmierzchu, kiedy różowe niebo nadaje całej ziemi ów specyficzny odcień. Takie iście magiczne światło ożywiało roślinne girlandy i roziskrzało kostiumy - zarówno olśniewające bogactwem, jak i te, które oszczędną formą rozpałały wyobraźnię.

Nie wątpiałam, że tej nocy Il Moro będzie zadowolony ze swego mistrza ceremonii... Naturalnie zakładając, że ogłoszenie traktatu pokojowego i zaręczyn Cateriny przebiegnie zgodnie z planem.

Kiedy już wypatrzyłam Leonarda przy platformie z lwem, czekałam, aż mnie zauważy i przejdziemy na stronę. Na szczęście mogłam się nie obawiać, że choć miałam na sobie znowu chłopięcy strój, inni uczniowie mnie rozpoznają. Złota maska wystarczająco ukrywała moje rysy.

Leonardo miał na sobie kostium, lecz nie nosił maski, co zauważyłam z zainteresowaniem. Jego strój wydał mi się znajomy, lecz dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, za kogo jest przebrany. Był w długiej czerwonej pelerynie z białym obszyciem, włożonej na zieloną tunikę, czerwonych pończochach i krótkich, czerwonych butach. Na głowie miał szeroką, miękką czapkę z czerwonego aksamitu obszytą białym futrem, nałożoną na zielony turban.

- Mag - powiedziałam na głos, przypominając sobie pierwszą kartę Wielkich Arkanów.

Słyszając mój głos, odwrócił się, po czym, najwyraźniej rozpoznając w moim kostiumie swój projekt, uśmiechnął się i pospieszył ku mnie.

- Dino, czy to ty kryjesz się pod tą maską? - spytał cicho.

Skinęłam głową, unosząc kartonową zasłonę na tyle, by przez moment mógł zobaczyć moją twarz. Usatysfakcjonowany wzięł mnie za ramię i odprowadził poza zasięg uszu reszty terminatorów.

- Dobrze zobaczyć cię znowu w stroju młodzieńca - rzekł z aprobatą. - I widzę, że signor Luigi całkiem znośnie zrealizował mój projekt. Czy podobnie poradził sobie z kostiumem hrabiny?

- Wygląda pięknie - zapewniłam go, co przyjął z uśmiechem zadowolenia. Po czym rozejrzał się dookoła, by mieć pewność, że nikt nas nie usłyszy, i przybrał poważniejszy ton. - Sądzę, że odkryłem, na czym polega plan szantażu kapitana - powiedział. - Jest tyleż niegodziwy, co przemyślny w swej prostocie, i z pewnością się powiedzie, jeśli nie powstrzymamy go, zanim spotka się dzisiaj z hrabiną.

- Ale o co chodzi? - spytałam z ciekawością i lękiem zarazem. - Czy ma coś wspólnego ze śmiercią Bellanki albo Lidii?

Poczułam ulgę, gdy Leonardo przecząco pokręcił głową.

- Nie przypuszczam, żeby był winny morderstwa, choć z pewnością wie, dlaczego obie kobiety zginęły. Co zaś się tyczy jego planu wymierzonego przeciwko Caterinie, wolałbym poczekać z ujawnieniem, aż porozmawiamy z Gregoriem, na wypadek gdybym się jednak mylił. - Pochylił się bliżej, chwytając mnie za ramię. - Ale niezależnie od tego, co jeszcze się dzisiaj wydarzy, najważniejsze, by hrabina nie znalazła się na wieży, gdyż wtedy czeka ją pewny upadek. Dopóki trzyma się z dala od jego łóżka i nie wie nic o skrywanym przez niego sekrecie, nie musi się obawiać, że kapitan wykorzysta go przeciwko niej. - Sięgnął pod pelerynę i wydobył tę samą chusteczkę Cateriny, z którą go kiedyś widziałam. - Zaszyłem w tej chustce kartkę, którą musisz jej przekazać, mówiąc, że przysłała ją Gregorio. List ten informuje ją o zmianie planów, o tym, że kapitan jednak nie może się z nią dzisiaj spotkać. Oddaj to hrabinie natychmiast po tym, gdy się rozstaniemy.

Wzięłam chusteczkę, ukryłam ją w rękawie i skinęłam głową.

- A co ze mną? Powiedziałeś, Mistrzu, że spotkamy się z Gregoriem na wieży.

- Ty będziesz w wieży - odparł. - Ale to ja, a nie hrabina, pojawię się tam o wyznaczonej godzinie. Mam nadzieję, że uda mi się go nakłonić do wyznania prawdy. A w ten sposób przynajmniej

powstrzymamy hrabinę przed zrobieniem czegoś, czego by ponad wszelką wątpliwość żałowała. To, co zdarzy się potem, będzie zależało od kapitana.

- I kiedy noc dobiegnie końca, wrócę do mojej roli terminatora? - spytałam cicho.

Poklepał mnie pocieszająco po ramieniu.

- Jestem pewien, że kiedy ta noc się skończy i cała sprawa zostanie rozwiązana... tak, jutro powrócisz jako Dino.

- To dobrze - odetchnęłam z prawdziwą ulgą. - Ta rola już mnie zmęczyła.

- Dobrze się sprawiłeś, mój chłopcze - rzekł z uśmiechem. - Jestem z ciebie dumny. I chociaż hrabina nigdy się o tym nie dowie, także będzie ci wdzięczna. A teraz już idź.

Powiedziawszy to, szybko ruszył w stronę platformy, gdzie Constantin, David i Paolo już zapalali lampy, które miały rozświetlić sztuczne słońce od środka.

- Uważajcie z olejem i piecykiem - zawołał cicho - by nie podpalić całej sali.

Pozostawiając ich przy tych zajęciach, obeszłam dookoła obszar zasłonięty kurtyną. Długi marmurowy stół, przy którym Il Moro zwykle spożywał posiłki, był odsunięty na bok. Siedzieli przy nim liczni goście. Pośrodku stał książę, którego mimo maśki łatwo było rozpoznać po krępej posturze i gęstej szopie czarnych włosów. Trzymał w ręce pałkę i był ubrany w błękitną tunikę oraz czerwoną koszulę, co było kostiumem Siły. Patrzyłam jeszcze przez chwilę i zdawało mi się, że rozpoznałam kilku innych członków jego rodziny. Po przeciwnej stronie siedziała stara markiza d'Este, ubrana jak zwykle na czarno; biała maseczka zasłaniająca oczy stanowiła jedyne ustępstwo na rzecz maskarady. Wuj i kuzyn księcia, przebrani za Króla i Rycerza Pucharów, siedzieli po obu stronach młodej kobiety w stroju Fortuny, która musiała być kochanką Il Moro.

Po prawej stronie księcia stał wysoki, szczupły mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam na dworze. Miał na sobie

złote pończochy i złotą tunikę, która rozchyłała się nieco, odsłaniając zapadniętą pierś. Z jego chudych ramion wyrastały skrzydła, w ręce trzymał złote widły. Nawet gdyby nie nosił rogatej złotej maski o złym spojrzeniu, wykonanej z tłoczonej skóry, coś w jego postaci natychmiast przywodziło na myśl Diabła.

To zapewne przyszedł mąż Cateriny, pomyślałam z niesmakiem, choć zaraz zganiłam się za ocenianie go wyłącznie po kostiumie. Przyglądałam się, jak on i księżę rozmawiają ze sobą przyjaźnie, pociągając obficie z trzymanyh w dłoniach pucharów. Zauważyłam też puste miejsce obok księcia Pontalby. Zapewne czekało na Caterinę.

Leonardo umieścił w pobliżu sceny duży zegar, aby goście wiedzieli, kiedy nadejdzie północ, a wraz z nią pora zrzucenia masek - i oczywiście ogłoszenia zaręczyn. Widziałam więc, że mam jeszcze dość czasu, by odszukać hrabinę i przekazać jej list, zanim wymknę się do wieży. Ale gdzie ona mogła być?

Pospiesznie rozejrzałam się po sali, wypatrując olśniewająco białej sukni. Chyba nie uciekła na widok swego przyszłego męża, pomyślałam z niepokojem. Zastanawiałam się też, czy wśród gości jest Gregorio. Wprawdzie nie był jednym z zaproszonych, ale księżę mógł polecić mu ukryć się gdzieś w cieniu, aby w obecności byłego wroga nie doszło do żadnych kłopotów.

Dlaczego nie pomyślałam, by zapytać go o to dziś rano? Nie widziałam ani jego, ani żołnierzy, kiedy przyjechali do zamku, lecz na pewno wrócili cało. Czy zdjął swój piękny mundur i przywdział jakiś kostium? Być może jest gdzieś w sali i obserwuje Caterinę, mnie i Leonarda.

Nagle zdenerwowana, skupiłam się na poszukiwaniu hrabiny, lecz bez rezultatu. Już miałam wrócić do jej pokojów, kiedy za jedną ze spowitych w zieloną draperię kolumn zauważyłam błysk srebrzystej tkaniny. Zajrzałam za nią i zobaczyłam z ulgą, że hrabina siedzi samotnie na kamiennej ławce. Maskę leżała u jej stóp, twarz miała ukrytą w dłoniach, koronę przekrzywioną.

- Hrabino - zawołałam cicho, zdejmując maskę i klękając przy Caterinie.

Zaskoczona, podniosła wzrok, w pierwszej chwili najwyraźniej mnie nie rozpoznając. Po chwili jednak znowu zasłoniła twarz dłońmi i cicho załkała.

- Delfino, nie mogę tego znieść. Czy widziałeś księcia Pontalbę?

- Widziałam, lecz tylko przelotnie. Był w kostiumie, więc trudno wiedzieć, jak wygląda.

- Ja wiem - odparła z goryczą, podnosząc na mnie oczy pełne łez. - Jest stary, brzydki i wygląda na okrutnika. Jak Ludovico mógł mi zrobić coś takiego?

- Czy nie możesz po prostu powiedzieć swemu kuzynowi, że nie poślubisz tego człowieka? - spytałam, chociaż znałam odpowiedź równie dobrze, jak ona.

Pokręciła głową w milczeniu. Widząc jej rozpacz, zebrałam siły, gdyż wiedziałam, że przysporzę jej jeszcze więcej smutku.

- Hrabino, przynoszę ci wiadomość od kapitana - powiedziałam, wręczając jej chusteczkę.

Wzięła ją skwapliwie, lecz na jej twarzy odmalowała się niepewność.

- Dlaczego przesyła mi wiadomość? - zastanawiała się, niecierpliwie rozrywając szew. - Chyba że... - Przebiegła wzrokiem kartkę i wyraz niepewności ustąpił miejsca konsternacji. - Przesyła wiadomość, że jednak nie może się ze mną spotkać - szepnęła. - Pisz, że Ludovico żąda, aby przez cały czas był obecny na maskaradzie, a on nie śmie sprzeciwić się jego rozkazom.

- Z pewnością jest zmartwiony rozwojem wypadków tak samo jak ty - pocieszyłam ją pospiesznie, tłumiąc wyrzuty sumienia. - Na pewno uda ci się spotkać z nim innego dnia, zanim odbędzie się ślub.

- Nie! Muszę się z nim zobaczyć dzisiaj. - Zerwała się z ławy, przewracając z łoskotem kielich, w którym wcześniej musiało

być wino. - Idę go poszukać. Powiedz, jak był ubrany, kiedy dawał ci ten list?

- Ubrany? - powtórzyłam zmieszana. - Nie... to znaczy... Ja go nie widziałam, hrabino. Szepnął mi tylko do ucha i dał chusteczkę. Kiedy się odwróciłam, już go nie było.

- Nieważne. Odnajdę go - powtarzała uparcie, płacząc się w fałdach sukni.

Patrzyłam na nią z niepokojem i zastanawiałam się, ile wina zdążyła wypić. Dla jej własnego dobra nie powinnam dopuścić, by poszła szukać Gregoria. Mogłaby powiedzieć coś niewłaściwego w obecności gości.

- Hrabino, nie zdręczaj się - prosiłam. - Ja go znajdę i powiem, że chcesz z nim porozmawiać. Aby nie wzbudzać podejrzeń, powinnaś zostać tutaj i udawać, że nic się nie stało. Poza tym, jeśli pójdziesz szukać kapitana, ominie cię wielkie przedstawienie Leonarda. Mistrz byłby rozczarowany, gdybyś tego nie zobaczyła.

Zamrugnęła, po czym energicznie skinęła głową, unosząc dumnie podbródek.

- Masz rację, Delfino, jak zwykle. Idź i odszukaj Gregoria. Ja tymczasem zajmę miejsce obok mojego przyszętego męża. - Uśmiechnęła się drżącymi wargami i dodała z oczyma pełnymi łez: - Może po jeszcze kilku pucharach wina wyda mi się mniej odrażający.

Włożyła trochę krzywo maskę, po czym z gracją, choć nieco chwiejnie ruszyła w stronę siedzącego za stołem kuzyna. Patrzyłam za nią, modląc się żarliwie, aby wystarczyło jej rozsądku, by się tam nie odzywać.

Rzut oka na zegar uświadomił mi, że wkrótce nadejdzie pora, by wymknąć się do wieży. Powrócił niepokój, o którym zapomniałam, rozmawiając z Cateriną. Mistrz na pewno ma rację, tłumaczyłam sobie, i kiedy nadejdzie świt, wszystko znowu będzie dobrze.

Jednakże sama nie do końca wierzyłam, że to może być prawdą. Włożywszy maskę, wmieszałam się w tłum.

19. Słońce

Nic nie jest ukryte pod słońcem.

Leonardo da Vinci *Windsor Drawings*

Wielmożni panowie, szlachetne damy, chciałbym prosić was o uwagę! - Leonardo zwrócił się do zebranych gości, stojąc na niewielkiej skrzynce przy zasłoniętej kotarą platformie. Kiedy ucichły wszystkie dźwięki oprócz cichego pobrzękiwania kielichów z winem, odwrócił się do stołu, za którym siedział Il Moro, i złożył głęboki ukłon. - Zanim rozpoczniemy dzisiejsze rozrywki, podziękujmy naszemu dobroczyńcy, jego ekscelencji Ludovicowi Sforzy, któremu zawdzięczamy tę maskaradę - rzekł, kłaniając się ponownie, a tłum gości odpowiedział głośnym aplauzem.

Księżę uśmiechnął się z aprobatą i skinął głową, przyjmując wyrazy uznania. Następnie uniósł kielich z winem i oznajmił:

- Muszę podziękować mistrzowi ceremonii, Leonardowi Florentyńczykowi, który zamienił tę posępną salę w miejsce tak piękne i który obiecuje, że czekają nas dalsze cudowności.

Leonardo, nagrodzony równie entuzjastycznymi oklaskami, uśmiechnął się lekko i skinieniem głowy podziękował za pochwałę. Następnie gestem dłoni poprosił o ciszę i rzekł:

- I oto ja, pokorny magik, jestem tu, by dostarczyć wam rozrywki. Nasyćcie oczy widokami, jakich nie ujrzycie nigdzie poza Mediolanem.

Pociągnął za złoty sznur, który zwolnił kurtynę zasłaniającą platformę. Tłum jęknął z zachwytu na widok ogromnego złotego słońca. Mimo że stałam w odległym końcu sali, zaparło mi dech

w piersiach. Światła migotały na metalowych promieniach, rzucając błyski niemal tak oślepiające, jak prawdziwe słońce,

Sztuczne słońce zaczęło się obracać; wirowało coraz szybciej, wszystkie odblaski zlały się w jeden ognisty pierścień. Kiedy już wydawało się, że ta wirująca jasność za chwilę zeskoczy z platformy, Leonardo uniósł rękę. Światło przygasło, pogrążając salę w półmroku.

Rozległy się oklaski, ale Mistrz wcale nie skończył. Następny gest jego dłoni spowodował, że wzdłuż krawędzi platformy zapłonęły ogniki, wywołując kolejne westchnienie zachwytu. Zagrała orkiestra; bębny wybijały rytm, podczas gdy słońce znowu zaczęło się powoli obracać. Leonardo tymczasem zniknął, lecz ja wiedziałam, że ukrył się za platformą, czekając, aż słońce wykona pełen obrót.

Chwilę później ukazał się wielki mechaniczny lew, w tym migotliwym oświetleniu wyglądający niemal jak żywy. Bestia otworzyła paszczę i ryknęła - wiedziałam, że ten dźwięk wydobył David, dmuchając w szereg rur. Rozległy się piski podniecenia dam i ©krzyki uznania mężczyzn.

Wówczas zza kurtyny dobiegł głos Leonarda, wzmocniony przez jedno z jego akustycznych urządzeń.

- Panowie i panie - mówił. - Spójrzcie na tę bestię, która jest Wojną zagrażającą naszemu świetnemu miastu. I zobaczcie, jak nasz wspaniały władca w postaci Siły pokonuje lwa, przynosząc pokój całemu krajowi.

Na te słowa dość już upojony winem Ludovico wskoczył na scenę, omal nie wpadając na jedno z płonących naczyń. Uśmiechając się, podniósł buławę na mechanicznego lwa. W odpowiedzi lew uniósł jedną łapę, potem drugą, jakby zamierzał zaatakować księcia pazurami. Ludovico cofnął się zaskoczony, lecz uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaczął wymachiwać pałką.

Szcześnie dla dzieła Mistrza, chybiał za każdym ciosem, gdyż inaczej lew zostałaby poważnie poturbowany. Zmagania trwały, więc kilka kobiet krzyknęło ze strachu, zaś mężczyźni

zagrzewali Il Moro do walki, a muzycy grali z coraz większym entuzjazmem.

Jeszcze raz rozległ się głos Mistrza przekrzykującego zgiełk:

- A teraz lew zostanie pokonany przez naszego władcę!

Na tę wskazówkę książe lekko stuknął mechaniczne zwierzę w pierś. Łapy lwa opadły, a jego paszcza zamknęła się ze szczęciem. W następnej chwili pierś lwa się otworzyła i wysypała się z niej na platformę istna rzeka czerwonych kwiatów, niczym rozlana krew.

Aplauz, jaki się rozległ, usatysfakcjonowałyby człowieka o dwa-kroć większym poczuciu własnej wartości, niż miał je Mistrz. Tymczasem Il Moro uniósł triumfalnie pięść i zaczął rzucać kwiaty w tłum. Omal nie doszło do bójki, bo kilka dam pokłóciło się o nie, lecz więcej nie zdążyłam już zobaczyć. Wymknęłam się cichaczem z mojego miejsca na tyłach sali i pobiegłam do wieży.

Pomyślałam z ulgą, że przynajmniej hrabina jest bezpieczna. Opuszczając salę, zobaczyłam ją siedzącą pomiędzy księżętami. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej upojonej winem, choć przez maskę trudno było mieć co do tego pewność. Ponieważ jednak wydawała się na tyle spokojna, bym mogła dalej pełnić funkcję jej posłańca, stwierdziłam, że jutro wraz z Mistrzem zastanowimy się, jak jej opowiedzieć o wszystkim.

Zwolniłam kroku, ogarnięta lękiem, co wyniknie z potajemnego spotkania. Obawiałam się, że sprawy mogą przybrać fatalny obrót, choć z drugiej strony wiedziałam, że Mistrz potrafi poradzić sobie z niemal każdą nieprzyjemną sytuacją. Ale czy moja obecność w wieży wystarczy, by nie dopuścić do przemocy? Zadrżałam, przypominając sobie kolekcję broni na ścianie pokoju Gregoria. Takie przedmioty musiały należeć do człowieka, który umiał się biegle nimi posługiwać.

Ale znacznie gorsza była świadomość, że przyłączając się do Mistrza w konfrontacji z Gregoriem, zniszczę więź, która zaczęła się między nami tworzyć... Więź, która w moich marzeniach przeradzała się w coś poważniejszego. Choć oczywiście,

przypomniałam sobie z goryczą, jak mogłam przejmować się człowiekiem, który zamierzał niecnie zdradzić hrabinę, okrutnie wykorzystując przeciwko niej skłonność jej serca? A co powstrzymałoby go przed postąpieniem w taki sam sposób ze mną w dniu, gdy poczuły się znużony naszym związkiem?

Otuliłam się ciasniej peleryną, ale nawet jej miękkość nie mogła złagodzić bólu, jaki nagle poczułam. Obiecałam sobie stanowczo, że kiedy już wszystko się skończy, wrócę do chłopięcego przebrania i nigdy więcej nie będę odgrywać roli kobiety. Takie życie niosło ze sobą zbyt wiele bólu i smutku.

Długi, mroczny cień wieży padał na drogę. Zdjęłam maskę i mrużąc oczy, spojrzałam w górę, gdyż wydało mi się, że widzę tam błysk światła. Gregorio zapewne już czeka, pomyślałam z przygnębieniem, upuszczając maskę na trawę. Dłużej nie mogłam zwlekać; musiałam dołączyć do niego i odegrać wyznaczoną rolę.

Zasuwa w wąskich drzwiach wieży była otwarta. Rozejrzałam się wokół, by mieć pewność, że nikt mnie nie śledzi - choć przecież nie zauważyłabym, gdyby ktoś czał się w ciemnościach - i wślizgnęłam się przez drzwi, po czym zamknęłam je cichutko za sobą. Nigdy wcześniej nie wchodziłam na wieżę tą drogą i na widok ciemnych kamiennych schodów wijących się spiralnie ku górze zakreśliło mi się w głowie. Stając na pierwszym stopniu, próbowałam się pocieszać, że przynajmniej w ciemności nie będzie aż tak strasznie patrzeć w dół.

Byłam zdenerwowana tym, co miało się wydarzyć już za chwilę. Serce zaczęło mi bić szybciej. Zanim wspięłam się na najwyższy stopień, straciłam rachubę, ile ich pokonałam. Miałam wrażenie, że dudnienie mojego serca słychać aż w sali balowej. Zatrzymałam się na chwilę przed zamkniętymi drzwiami, by ochłonać i złapać oddech; wreszcie ostrożnie nacisnęłam klamkę i weszłam do środka.

Widziana z dołu, wieża wydawała się ogromna; koliste pomieszczenie, w którym się znalazłam, było przestronne. Okna,

umieszczone na całym obwodzie, były otwarte. Nocny mrok wypełniał wnętrze. Gdyby komnata była pusta, można by w niej stoczyć pojedynek. Jednak większą część zajmowały poukładane jedno na drugich pudła i skrzynie, które wyglądały, jakby miały za chwilę runąć.

W ciemności poruszałam się ostrożnie, słyszałam tylko chrzęst suchej trzciny, którą rozrzucono na podłodze, aby nie skrzypiała pod stopami. Ten dźwięk sygnalizował wyraźnie moją obecność, więc nie wątpiłam, że Gregorio wie, iż tu jestem. Mimo to nie zawołałam go, ale szłam ostrożnie dalej.

Po kilku krokach minęłam stosy pudeł i wyszłam na pustą przestrzeń z widokiem na ścianę z oknami. Gdy pomyślałam, że właśnie przez jedno z nich wypadła nieszczęsna Bellanca, przesyłał mnie dreszcz. Cienie nie były tu już tak gęste, nie tylko dlatego, że oknami wpadał księżycowy blask, ale także za sprawą niskiego piecyka, który rozsiewał blask i przyjemne ciepło.

Jakiś stłumiony dźwięk dobiegł z mroku, z którego się wynurzyłam. Odwróciłam się błyskawicznie.

- Gregorio? - spytałam cicho. Po czym, zdając sobie sprawę, że może mnie nie rozpoznać w chłopięcym przebraniu, dodałam: - To ja, Delfina.

Ciemna postać wyłoniła się z mroku i stanęła w promieniu księżycowego światła, na którego tle widać było tylko jej kontur.

- Słowo daję, omal cię nie poznałem, tak dobrze jesteś przebrana.

W jego głosie dosłyszałam lekkie rozbawienie.

Gdy podszedł bliżej, w migotliwym świetle piecyka ujrzałam jego twarz, na której malował się dobrze mi znany senny uśmiech.

- W stroju Pazia przypominasz mi kogoś, choć w tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć...

Przyszło mi do głowy, że powinnam rzucić jakąś zręczną odpowiedź. Tymczasem potrafiłam jedynie patrzeć, w milczeniu napawając się jego widokiem, zanim przemyślny plan Mistrza zrukuje nieodwracalnie to, co nas łączyło.

Gregorio zdjął swój olśniewający, barwny uniform, był teraz ubrany na czarno, jeśli nie liczyć srebrnego połysku miecza zawieszzonego u pasa. Wyglądał jak człowiek przywykły do ciemności, doświadczony w skradaniu się nocą.

I w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek wcześniej jego rysy przywoływały mi na myśl upadłego anioła, a nie jednego z tych złocistych, którzy roztropnie zasiadają po prawicy Boga.

Nie potrafiłam się opanować. Z moich ust wyrwało się ciche westchnienie, którego nie zdołałam stłumić. Wiedziałam, że po dzisiejszej nocy nigdy więcej nie zobaczę skierowanego do mnie uwodzicielskiego uśmiechu, nie poczuję rąk Gregoria na moim ciele. Nigdy więcej nie będzie kusił mnie pocałunkami ani obietnicą czegoś, co płonęło w jego wzroku.

I nigdy więcej moje imię nie padnie z jego ust, chyba że jako przekleństwo.

Zmarszczył brwi, widząc tak gwałtowną zmianę mojego nastroju, lecz starał się, by jego głos zabrzmiał beztrudnie.

- Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek mój widok doprowadził kobietę do łez. Powiedz, co się dzieje.

- Naprawdę, nic - zapewniłam, siląc się na uśmiech, a równocześnie próbując wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo. - Po prostu boję się tego, co może się dzisiaj zdarzyć. Co będzie, jeśli hrabina dowie się, że tu jestem? Czy nie mógłbyś powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, aby mnie choć trochę uspokoić?

Powoli pokręcił głową, przyglądając mi się uważnie.

- Chyba nie rozmyślałaś się teraz, prawda? - spytał cicho.

Dłoń, która musnęła moją twarz, przesunęła się na ramię, zaciskając się lekko na ramieniu. Druga ręka chwyciła moje drugie ramię... Może po to, by mnie powstrzymać przed ucieczką? A może po prostu, żeby przyciągnąć mnie bliżej?

Uniosłam głowę i stanowczo spojrzałam w jego ciemne oczy.

- Nie zmieniałam zdania - zapewniłam. - Powiedz, czego ode mnie oczekujesz, a ja chętnie to zrobię.

Skinął głową z satysfakcją i rozluźnił uścisk.

- Jak już mówiłem, twoje zadanie jest całkiem proste. Wystarczy, że będziesz siedzieć cicho i patrzeć, a pokażesz się dopiero, gdy ci powiem. - Rozejrzał się po pomieszczeniu i dodał ironicznie: - Jak widzisz, jest tu mnóstwo miejsc, w których można się ukryć. Ale najpierw podejdź do ognia, żeby się ogrzać. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim skryjesz się w ciemnościach.

Z wdzięcznością podeszłam do stojącego na podłodze niskiego piecyka. Przyniosłam dłonie jak najbliżej rozżarzonych węgli, ciesząc się odrobiną ciepła w tym miejscu, które zdawało mi się dziwnie chłodne, chociaż noc wcale nie była mroźna. Gregorio usiadł na trzcinie naprzeciwko, lecz nie przysunął dłoni do ognia.

- Nie jest ci zimno? - spytałam ze zdziwieniem.

Pokręcił głową.

- Pamiętaj, że jestem żołnierzem. Nie czuję zimna ani gorąca. - Roześmiał się cicho i mówił dalej z ironią w głosie: - Nie czuję też głodu ani pragnienia, ani nawet bólu... najczęściej. I strachu... Nigdy nie czuję strachu.

- A co z... - Nagle zreflektowałam się. A co z miłością? Już chciałam postawić to pytanie, kiedy zdałam sobie sprawę, że wcale nie pragnę usłyszeć odpowiedzi. Dlatego dokończyłam bez przekonania: - Ale chyba czasami coś czujesz?

Milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w ciemność, i już myślałam, że nie odpowie. I nagle, dziwnie bezbarwnym głosem, powiedział:

- Pustka. To jest coś, co czuję. I gniew... Czuję gniew. - Ledwie wypowiedział te słowa, roześmiał się cicho i ochryple, po czym pokiwał głową. Zręcznym ruchem wstał z podłogi i mrugnał: - Nie wiem, dlaczego tak jest, ale jakoś udaje ci się skłonić mnie do mówienia rzeczy, których wcale nie zamierzałem powiedzieć. - W jego głosie brzmiała nuta żalu.

Wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wstać właśnie w chwili, gdy zegar na wieży wybił trzeci kwadrans. Zerknął w dół na dziedziniec, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy widział mnie, jak chwilę wcześniej tamtędy szłam.

- Najlepiej będzie, jeśli ukryjesz się już teraz, na wypadek gdyby niecierpliwość sprowadziła hrabinę wcześniej - rzekł cicho i lekko musnął wargami moją skroń.

Z wielkim wysiłkiem woli puściłam jego ręce i odwróciłam się plecami. Ostrożnie stąpając w ciemnościach, skryłam się za stosem ciężkich skrzyń. Upewniłam się, że będę miała miejsce, by usiąść, i przezornie oczyściłam kawałek podłogi z trzciny, aby nie zaszeleściła, gdybym się poruszyła.

Z ciężkim sercem sprawdziłam też, czy z miejsca, które wybrałam, będę mogła przejść do drzwi. Nie chciałyby znaleźć się w pułapce, gdyby w czasie spotkania Mistrza z Gregoriem sytuacja rozwinęła się niepomyślnie. Szczelina szerokości dłoni zapewniała mi widok na przestrzeń między piecykiem a drzwiami do wieży. Dzięki temu będę widziała wszystko, co się wydarzy... choć nie tak, jak planował Gregorio.

Kiedy został sam, usiadł, opierając się o ścianę, i czekał. W mroku widziałam zarys jego postaci, nieruchomej jak pantera czająca się na ofiarę. Poczułam lęk na myśl o tym, że Mistrz będzie musiał się z nim zmierzyć. Wprawdzie na korzyść Leonarda działało zaskoczenie, ale jego jedyną bronią jest wiedza o tym, co planuje Gregorio. A nawet wtedy Gregorio może po prostu wszystkim zaprzeczyć i odejść.

A co się stanie, jeżeli Gregorio nie zadowolony takim rozwiązaniem? Co wtedy?

Nagle zegar na wieży zaczął wybijać pełną godzinę. Zaciśkając pięści, odliczałam uderzenia, aż doszłam do jedenastego. Gdy przebrzmiał ostatni dźwięk, usłyszałam ciche skrzypienie zawiasów i drzwi do wieży się otworzyły.

Gregorio także musiał to usłyszeć, lecz jego cień nie poruszył się w ciemności. Zapewne, podobnie jak wtedy, kiedy tu przyszedłam, chciał się upewnić, że to hrabina.

Jednak gdy jakaś postać oderwała się od drzwi, zmarszczyłam brwi, nagle zdezorientowana. Z kształtu i wzrostu wydawała się kobietą, lecz nie poruszała się jak człowiek. Nie było

też słychać szelestu kroków na suchej trzcinie. Postać płynęła, kierując się na środek pomieszczenia, przypominając raczej cień niż materialne ciało.

Poczułam, że dostaję gęziej skórki, i nagle ucieszyłam się, że jestem bezpiecznie ukryta w mojej małej twierdzy ze skrzyń. To nie była Caterina, co do tego nie miałam wątpliwości. Nie był to także Mistrz przebrany w kobiece szaty... Chyba że umiał unosić się w powietrzu i płynąć nad podłogą niczym obłok. A zatem kto to mógł być?

Bellanca?

Otworzyłam szerzej oczy i przeszedł mnie dreszcz. Oczywiście, nie wierzę w duchy, powtarzałam sobie daremnie. Istota bowiem, która pojawiła się w pomieszczeniu na wieży, z pewnością nie pochodziła z tego świata.

Teraz zauważyłam nieznaczny ruch w cieniu, w którym siedział Gregorio. Zdałam sobie sprawę, że wstał z miejsca i opuścił je, poruszając się równie cicho jak ta dryfująca w powietrzu postać. Teraz był już dość widoczny w półmroku. Zobaczyłam z przerażeniem, że widmowa istota kieruje się wprost na kapitana, i chociaż trzęsły mi się nogi, byłam gotowa ruszyć z pomocą, gdyby zaszła taka potrzeba.

I wtedy usłyszałam ten dźwięk - cichy szept stali. Zanim zdążyłam zrozumieć, co ów odgłos oznacza, światło księżyca odbiło się od ostrza, które z zabójczą szybkością rozcięło mrok. Biała postać, która jeszcze przed chwilą stała przed nim, teraz leżała nieruchomo u jego stóp.

- Bardzo sprytnie - rzekł Gregorio, a w jego głosie brzmiał ostry ton ledwie hamowanego gniewu.

Końcem ostrza podniósł długi kawałek cieniutkiej białej tkaniny leżącej przed nim na deskach podłogi. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę - z rozczarowaniem, ale i ulgą - że właśnie to zostało ze zjawy. Z pogardliwym parsknięciem Gregorio odrzucił tkaninę w stronę drzwi.

- Cóż za żartowniś bawi się ze mną w takie dziecinne gierki w tych ciemnościach? - spytał lodowatym tonem. - Przestań kryć się w mroku i wyjdź, żebym mógł cię zobaczyć.

W pobliżu rozległy się ciche kroki, a ja zamarłam. Kiedy już poznałam prawdziwą naturę widmowej postaci, nie miałam żadnych wątpliwości, kto stoi za niesamowitym widowiskiem.

Domyśliłam się, że Leonardo wszedł tu dzisiaj za dnia sekretnymi drzwiami, które najwidoczniej znalazł. Podobnie jak zawieszał kotary wokół platformy z lwem, musiał tu umocować pod sufitem szereg bloczków i wielokrążków. Dzięki temu wystarczyło pociągnąć za kilka sznurków, by tkanina płynęła w powietrzu zgodnie z jego wolą.

Ale w jakim celu?

W tej samej chwili, gdy zadałam sobie pytanie, usłyszałam łagodną odpowiedź Mistrza:

- Przepraszam, kapitanie. Pomyślałem, że może sprawi ci przyjemność drobna rozrywka, skoro nie mogłeś oglądać mojego spektaklu na maskaradzie.

Kiedy to mówił, odsłonił trzymaną w rękę, podobną do pudełka lampę. Nagle jej kilka płomieni, przemyślnie odbitych od lustra rozproszyło otaczające ciemności i w części pokoju na wieży zrobiło się jasno jak w dzień.

- Ty! - Gregorio wypluł to słowo jak łyk skwaśniałego wina. - Powinienem się domyślić, że to twoje sztuczki, Florentyńczyku.

Powoli okrążał pomieszczenie, po kilku krokach znalazł się na samym środku. Wtedy dodał z nutą szyderstwa:

- Ale czego innego można oczekiwać po człowieku, którego dziełem jest największa ze wszystkich iluzji: wpojenie Ludovicowi Sforzy przekonania, że jest człowiekiem kulturalnym tylko dlatego, że ty jesteś jego nadwornym artystą.

- A czy ty nie jesteś równie wielkim mistrzem iluzji? - spytał spokojnym głosem Leonardo. Postawił lampę na najbliższej

beczce i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę Gregoria. - Za-
ledwie kilkoma słowami potrafisz sprawić, że kobieta uwierzy
we wszystko, co zechcesz jej wmówić, czy będzie chodziło o słu-
żącą... czy hrabinę.

- Nie twoja sprawa.

- Ach, oczywiście, że moja.

Mistrz stanął przed kapitanem, a na jego twarzy pojawił się
wyraz surowości i determinacji. Gregorio zmrużył ciemne oczy
i nagle miecz błysnął w świetle, koniec ostrza zatrzymał się pod
brodą Leonarda.

- Gdzie ona jest, Florentyńczyku? - zapytał cicho. - Gdzie
jest Caterina?

- Nie przyjdzie, kapitanie. Ani dzisiaj, ani żadnej następnej
nocy, bo teraz już wie, że nie można ci ufać. I wbijając we mnie
swe ostrze, nie uda ci się zmienić tego faktu.

- Być może - przyznał Gregorio z cieniem uśmiechu, uno-
sząc rękojęść miecza. - Ale widok twojej krwi sprawi mi wielką
satysfakcję.

20. *Sąd Boży*

*Doświadczenie nie jest błędem;
to tylko nasza ocena może być mylna...*

Leonardo da Vinci *Kodeks Atlantycki*

Nie! - krzyknęłam bezwiednie i zerwałam się na równe nogi.

Nie zważając na instrukcje, jakich obaj mi udzielili, wysko-
czyłam z kryjówki i pobiegłam tam, gdzie stali po dwóch stro-
nach miecza. Wiedziałam, że żaden z nich nie spodziewał się
mnie zobaczyć, i modliłam się, żeby zaskoczenie starczyło, by
zapobiec rozlewowi krwi.

Stając obok Gregoria, chwyciłam go za ramię i spojrzałam na niego błagalnie.

- Proszę, nie rób tego, błagam... Jestem pewna, że Mistrz... to znaczy Leonardo... chce tylko z tobą porozmawiać.

- Powiedziałem ci, żebyś nie wychodziła z kryjówki - padła lodowata odpowiedź. Nie spuszczać wzroku z przeciwnika, wyzwolił się z mojego uścisku ruchem tak energicznym, że aż cofnęłam się o kilka kroków. - Co cię obchodzi ten malarz?

- Znam go. Jest przyjacielem mojej rodziny

Nie byłam pewna, czy uwierzył, ale z ulgą zobaczyłam, że opuścił ostrze na tyle, by Leonardo mógł się trochę cofnąć. Gregorio zerknął na mnie z ukosa, a ja zadrżałam, widząc, z jaką łatwością jego rysy zmieniają się w bezlitosną maskę człowieka przywykłego do wydawania niekwestionowanych rozkazów. Zdałam sobie sprawę, że gdybym była jednym z jego podwładnych, gorzko odpokutowałabym za wtrącanie się w sprawę wbrew jego woli.

- Radziłbym ci, droga Delfino, byś pamiętała, że to ja...

Nagle urwał i zmrużył oczy, przyglądając mi się uważnie przez chwilę. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego wpatruje się we mnie z takim napięciem. A wtedy pokręcił głową i zrozumiałam, że mnie rozpoznał.

- To ty byłaś tym młodym paziem ukrywającym się za nagrobkiem, na cmentarzu.

W jego słowach nie było cienia niepewności, więc wiedziałam, że nie ma sensu zaprzeczać. Skinęłam głową.

Jego lodowaty wzrok prześlizgnął się na Leonarda, po czym znów wrócił spojrzeniem na mnie.

- A zatem powiedz, droga Delfino, od jak dawna ty i ten Florentyńczyk coś knujecie? I kogo staraliście się pogrożyć... mnie czy Caterinę?

- To nie był spisek, Gregorio - zaprotestowałam żałośnie. - My tylko próbowaliśmy się dowiedzieć...

- Milcz, Dino!

Słowa Leonarda zabrzmiały jak trzask bicia; zaskoczona zamarłam. Jego gniew nie był jednak wymierzony przeciwko mnie, gdyż Mistrz nie odrywał wzroku od przeciwnika.

- Cokolwiek chcesz wiedzieć, pytaj mnie - mówił dalej, nie przejmując się zupełnie tym, że ostrze miecza Gregoria wciąż znajdowało się w niewielkiej odległości od jego serca. - Nasz dobry książę mnie powierzył zadanie rozwiązania tajemnicy kryjącej się za ostatnimi tajemniczymi zgonami na dworze. - Zawiesił głos, wskazując ręką w moją stronę. - Osoba, którą znasz jako Delfinę, w rzeczywistości jest moim terminatorem. Dino przez ostatnie dwa tygodnie wiernie służył jako moje oczy i uszy, odgrywając rolę dziewczyny wśród służących hrabiny. Cokolwiek zrobił, zrobił to na moje polecenie... dlatego odpowiada tylko przede mną.

Błysk niedowierzania pojawił się na twarzy Gregoria, kiedy spojrzał na mnie. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, niczego nie pragnąc bardziej niż zaprzeczyć tym słowom, chociaż wiedziałam, że nie mogę tak postąpić. Ale czy Gregorio przyjmie zapewnienia Mistrza? Czy uwierzy, że to, co myśli Leonardo, jest prawdą... że jestem chłopcem o imieniu Dino?

Czy też kapitan gwardii jest w takich sprawach bystrzejszy od Mistrza?

Wtedy zauważyłam, że cień ironicznego uśmiechu błąka się na jego wargach, i zrozumiałam, że Gregorio zna prawdę. Choć w drobnej mierze cieszyłam się z tego, zwiesiłam głowę, czekając z lękiem, aż uświadomi Leonarda, w jaki sposób oszukiwałam go przez ostatnie miesiące.

Jednak ku mojemu zaskoczeniu opuścił miecz, roześmiał się i pokiwał głową.

- Doskonale, Florentyńczyku. Obiecałeś rozrywkę i dotrzymałeś słowa - powiedział, a w jego głosie zabrzmiało autentyczne rozbawienie.

Wsunął miecz do pochwy i powoli zbliżył się do mnie. Ujął mnie za podbródek i zmusił, bym spojrzała mu prosto w oczy.

Jego dotyk był lekki, lecz skuliłam się pod palącym spojrzeniem.

- Co zaś się tyczy twojego terminatora, gratuluję mu tak przekonującego występu.

Nagle puścił mnie i podszedł do najbliższego stosu skrzyń. Postawił jedną z nich na podłodze, po czym usiadł na niej ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, wyciągając przed siebie długie nogi i opierając się o pozostałe skrzynie. Wreszcie z sennym uśmiechem zwrócił się do Leonarda:

- Scena należy do ciebie, Florentyńczyku. Czekam na następny akt.

- A ja oczekuję odpowiedzi, kapitanie - odparł ostro Mistrz, dając wyraźnie do zrozumienia, iż nie zamierza udawać, że to tylko gra. - Na początek chciałbym się dowiedzieć, co łączy śmierć Bellanki i twojej matki, Lidii.

Gregorio spojrział na niego z namysłem i skinał głową.

- Dobrze - rzekł, wzruszając ramionami. - Nie mam nic do ukrycia w tej sprawie. Bellanca i ja zawarliśmy pewien układ, podobny do tego, jaki próbowałem zawrzeć z twoim tak zwanym terminatorem - dodał, posyłając mi lodowate spojrzenie. - Na swoje nieszczęście Bellanca była bardziej chciwa niż sprytna - mówił dalej. - Nie zadowoliliła się wykonywaniem moich rozkazów, lecz przyszło jej do głowy, by spróbować małego szantażu, nie wiedząc, że zna tylko niewielką część prawdy. Jej błędem było to, że zwierzyła się Lidii, nieświadoma, iż hrabina zajmuje szczególne miejsce w sercu mojej matki.

W tych słowach kryła się gorycz, która mnie zaskoczyła, lecz zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, odezwał się znowu.

- Później Lidia powiedziała mi, co się wydarzyło. Naprawdę wierzę, że chciała tylko przestraszyć Bellancę. Użyła kart, żeby ją przekonać, że przytrafi się jej coś złego, jeśli zrealizuje swoje plany. Co ciekawe, ostatecznie okazało się, że to wyłącznie Lidia powinna się bać. - Wstał ze skrzyni i zaczął się przechadzać, jakby tropiąc w mroku własne myśli. Opuścił krąg światła i znowu

podszedł do okna. - Zwabiła tutaj dziewczynę pod jakimś pretekstem, mając nadzieję, że uda się ją przekonać w rozmowie. Jednak kiedy Bellanca nie zgodziła się zrezygnować ze swego planu, Lidia zrobiła to, co musiała, żeby ochronić Caterinę. Szarpały się ze sobą i wtedy piękna Bellanca wypadła z wieży.

Zatrzymał się przy jednym z okien, być może właśnie tym, z którego wypadła młoda kobieta, i spoglądał w noc. Ta beznamietna relacja przyprawiła mnie o dreszcz... Zadrżałam, przypominając sobie, jak znalazłam martwe ciało Bellanki.

Leonardo jednak tylko skinął głową.

- To doskonale pasuje do mojej teorii - przyznał. - Ale obaj wiemy, że w śmierci Lidii kryje się coś jeszcze. Zagrożenie ze strony Bellanki zostało wyeliminowane, lecz to nie gwarantowało, że nie spróbujesz zrealizować tego samego planu z inną współniczką. Nie mogę uwierzyć, że Lidia postanowiła popełnić samobójstwo, kiedy ty wciąż znałeś sekret, który mogłeś wykorzystać przeciwko Caterinie.

- Tu masz rację, Florentyńczyku - odparł Gregorio, odwracając się od okna i spoglądając znowu na Mistrza. - I właśnie dlatego, zanim odebrała sobie życie, próbowała mnie zabić.

Nawet Leonardo wydawał się przez moment oszołomiony jego słowami, ja zaś nie potrafiłam pohamować westchnienia. Gregorio tylko roześmiał się cicho.

- Ach tak, cóż za wyrodna matka... Próbowała zabić własnego syna! Oczywiście spodziewałem się czegoś podobnego, lecz byłem rozczarowany, w jak prostacki sposób chciała tego dokonać. Podała mi to własną ręką, twierdząc, że to dar na przeprosiny za gorzkie słowa, jakie padły między nami. - Na jego wargach znów pojawił się ironiczny uśmiezek. - Zatrute wino... niezbyt oryginalna taktyka, nie sądzisz?

- To tłumaczyłoby sprawę psów - powiedział Mistrz z namysłem. - Podejrzewałeś, że wino, które ci dała, może być zatrute, i podałeś je psom.

Gregorio wzruszył ramionami.

- Przyznaję, że nie byłem do końca przekonany, czy jest do tego zdolna. Aż do chwili, gdy zobaczyłem, jak jeden pies leży martwy u moich stóp, a drugi wyje z bólu.

- Ten sam pies, który później zaatakował Dina i Pio - przerwał mu Mistrz, a kapitan przytaknął skinieniem głowy.

- Nie spodziewałem się takich skutków, inaczej zabiłbym psa na miejscu. - Zerknął na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Całe szczęście, że kiedy to się zdarzyło, byłem właśnie przy stajni i oporządzałem konia. Obawiam się, że w przeciwnym razie wielki malarz mógłby stracić swego sprytnego terminatora.

Leonardo spojrzał na niego ostro, lecz powiedział tylko:

- A więc Lidia postanowiła odczekać, aż wypijesz wino, i dopiero wtedy zażyć swoją porcję, by połączyć się z tobą w śmierci.

Na chwilę zapadło milczenie, a ja nie potrafiłam oprzeć się współczuciu na myśl o tym, co przeszedł. Wiedziałam aż nazbyt dobrze, jak bolało, kiedy moja matka zdawała się troszczyć bardziej o braci niż o mnie. Żołnierz czy nie, jakże musiał cierpieć, kiedy uświadomił sobie, że matka kocha swoją szlachetnie urodzoną panią bardziej niż własnego syna... I że wolała go zabić, niż dopuścić, by tę dziewczynę spotkała jakaś krzywda.

Wtedy Gregorio pokręcił kędzierzawą głową jak człowiek, który zbudził się z nieprzyjemnego snu. Zatarł dłonie, jakby chciał strząsnąć z nich ślady tego koszmaru, po czym zwrócił się do Leonarda.

- Dobrze, Florentyńczyku. Sądzę, że teraz znasz już odpowiedzi, których szukałeś - powiedział, zbliżając się do niego. - A ponieważ jestem rozsądnym człowiekiem, mogę pozwolić odejść stąd tobie i twojemu terminatorowi bez rozlewu krwi. Wszystko, czego chcę, to twoje słowo, że po raz drugi nie będziesz się mieszał w moje sprawy... Innym razem mogę okazać się mniej rozsądnym.

- To hojna oferta, kapitanie - odparł spokojnie Leonardo, gdy Gregorio zatrzymał się kilka kroków od niego, patrząc wyczekująco. - Innym razem mógłbym ją przyjąć. Ale pozostaje

jeszcze sprawa sekretu, który skrywasz, a który dotyczy Cateriny. Nie mogę stąd odejść, nie poznawszy go.

Wtedy zobaczyłam w ciemnych oczach Gregoria tę samą furie, z jaką spojrział na zakonnik w katedrze. Teraz jednak nawet nie starał się ukryć tego uczucia, a ja, jak nigdy dotąd, zaczęłam obawiać się o życie Mistrza.

- Dałem ci szansę, Florentyńczyku - oznajmił tonem łagodnej groźby. - Przestałeś już być zabawny, więc zamierzam położyć temu kres. Delfino - spojrział obojętnie w moją stronę - kiedy skończymy, dam ci ostatnią szansę podjęcia decyzji, po której stronie staniesz. Ale nawet nie próbuj uciekać z wieży, gdy będzie ci się zdawało, że jestem zajęty twoim Mistrzem. Pamiętaj, co powiedziałem ci tamtego dnia przy stajniach.

Przygryzłam wargę i skinęłam głową. Nie miałam wątpliwości, że gdybym spróbowała ruszyć po pomoc, ostatnią rzeczą, jaką bym poczuła, byłoby ostrze jego noża w plecach. Zanim zdążyłabym dobiec do drzwi, byłabym martwa jak tamten pies przy stajni.

Mówiąc to, Gregorio wkładał czarne skórzane rękawice, które wyjął zza pasa. Teraz zaczął krążyć wokół Mistrza, z ręką opartą na rękojeści miecza, którego jeszcze nie wyjął z pochwy. Wiedziałam, że Leonardo nie ma broni... zawsze wołał polegać na swojej sile i zwinności niż na mieczu lub nożu.

Zbyt późno pomyślałam o pałce stanowiącej część mojego kostiumu i zdałam sobie sprawę, że zostawiłam ją w wielkiej sali. Ale nawet gdybym miała ją ze sobą, cienka pałka w starciu z mieczem byłaby marną bronią.

Leonardo nie czekał jednak beczynn timer. Z tą samą gracją szermierza, z jaką Gregorio krążył wokół niego, starał się trzymać poza jego zasięgiem. Tonem wciąż nienaturalnie spokojnym rzekł:

- Możesz mnie zabić, ale wiedz, że odkryłem twój sekret. Miałem nadzieję usłyszeć to z twoich własnych ust, ale wygląda na to, że musi wyjść ode mnie.

- Możesz wyjawiać wszelkie sekrety, jakie zechcesz. Nie usłyszysz ich nikt oprócz twojego terminatora.

- Mylisz się, Gregorio - z głębokiego cienia w pobliżu drzwi dobiegł cichy głos. - Ja także je usłyszę.

Na te niespodziewane słowa zatrzymał się i odwrócił gwałtownie. Błysk zaskoczenia na moment przyćmił furję w jego oczach. Zmarszczył brwi.

- Caterina?

Ja również rozpoznałam jej głos. Młoda hrabina wyłoniła się z ciemności w swojej olśniewającej srebrno-białej sukni i weszła w krąg światła. Na jej twarzy malował się wyraz niedowierzania mieszającego się z rozpaczą i domyśliłam się, że musiała słyszeć wszystko, co zostało tu powiedziane.

Teraz zrozumiałam, że niewątpliwie taki był powód, dla którego Leonardo przygotował swoją sztuczkę z widmową postacią z białego materiału. Kiedy naszą uwagę odwracała rzekoma zjawia nie z tego świata, do pomieszczenia na wieży wślizgnął się nie tylko on, ale również hrabina. Ale dlaczego mnie okłamała, mówiąc, że Caterina będzie w bezpiecznym miejscu?

Zauważył moje pełne wyrzutu spojrzenie i lekko pokręcił głową.

- Wiedziałem, że hrabina nie uwierzy, słysząc prawdę ode mnie, dlatego sprowadziłem ją tutaj, żeby dowiedziała się wszystkiego od samego kapitana. Hrabino, powinnaś pozostać w ukryciu, jak prosiłem - zwrócił się łagodnie do Cateriny.

- Nie będę się ukrywała i słuchała okrutnych oskarżeń - oświadczyła, dumnie unosząc głowę, lecz widziałam, że wargi jej drżą. Odwróciła się do kapitana i powiedziała nieco ciszej: - Gregorio, nie rozumiem. Proszę, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Jaki sekret ukrywasz przede mną poza tym, że najwyraźniej wcale o mnie nie dbasz?

Jej ostatnie słowa przeszły w łkanie, lecz ani na chwilę nie oderwała od niego dumnego spojrzenia. Tymczasem jego wściekłość przygasła i zwrócił się do Leonarda z głęboką pogardą:

- Dalej, Florentyńczyku. Powiedz jej, jeśli wiesz... Jeśli się odważysz.

Kiedy padły te słowa, dostrzegłam wyraz smutku na twarzy Mistrza i zrozumiałam, że żałował, iż do tego doszło.

- To dość długa historia, hrabino - zaczął posępnie. - Ale postaram się przedstawić ją krótko, aby nie przedłużać twojego cierpienia. Wiesz już, że twoja służąca Lidia była matką kapitana. Ale znacznie wcześniej usłyszałaś od niej historię swoich najmłodszych lat, kiedy była twoją piastunką. Opowiedziała ci zapewne, że twoja matka umarła krótko po twoim urodzeniu i że ojciec, zrozpaczony stratą, nie mógł ci poświęcić wiele uwagi.

Caterina niepewnie skinęła głową.

- Lidia zawsze mi to powtarzała.

- Musiała ci także powiedzieć, że ona także miała córkę urodzoną niedługo przed tobą, która jednak umarła, mając zaledwie kilka tygodni.

Caterina znowu skinęła głową, lecz tym razem jej niepokój zaczął się przeradzać w zniecierpliwienie.

- Tak, signor Leonardo, dobrze znam tę historię. Powiedz mi coś, o czym nie wiem.

- Nie wiesz, hrabino, że dzieckiem, które umarło, wcale nie była córka Lidii. Było to dziecko hrabiego di Sasina, które pewnego ranka nie obudziło się ze snu.

Spoglądał smutno to na Caterinę, to na mnie, my zaś obie wpatrywałyśmy się w niego szeroko otwartymi oczami. Na Gregorciu słowa Mistrza zdawały się nie robić żadnego wrażenia, choć wyczułam w nim napięcie zupełnie niepasujące do jego pozornej obojętności.

- Oczywiście Lidia wpadła w przerażenie, ujrawszy w kołysce martwą córeczkę hrabiego - mówił dalej Leonardo. - Była nie tylko zrozpaczona śmiercią dziewczynki, ale miała też powody lękać się o samą siebie. Kogo obwiniałby już i tak pogrążony w żałobie ojciec, jeśli nie piastunkę, skoro nie było widać żadnej wyraźnej przyczyny śmierci dziecka? - Zamilkł i wziął głęboki oddech, po czym dokończył z westchnieniem: - I tak oto Lidia obmyśliła śmiały plan zrodzony z jej strachu. Kiedy

cały dom opłakiwał zmarłą hrabinę, Lidia jako jedyna miała kontakt z osieroconym dzieckiem... I na razie jako jedyna wiedziała o jego śmierci. Dlatego właśnie wiedziała, że może zrealizować swój plan i nikt się niczego nie domyśli.

Nieruchoma twarz Cateriny stała się niemal tak biała, jak jej suknia; w oczach hrabiny malowało się osłupienie, gdy wobec okrutnej prawdy wszystko, co przyjmowała za pewnik, legło w gruzach. Rozumiałam równie dobrze, jak Caterina, co to oznacza; wciąż jednak nie mogłam uwierzyć, dopóki Mistrz nie spojrzał ponuro na Gregoria.

- Nikt, nawet ojciec dziecka, nigdy się nie domyślił, że Lidia na miejsce zmarłego niemowlęcia podłożyła własną córkę. Nikt nigdy nie podał w wątpliwość, gdy twierdziła, że to jej dziecko umarło. Lata mijały, a nikt oprócz Lidii nie wiedział, że dziewczynka znana jako Caterina di Sasina jest w rzeczywistości córką własnej piastunki.

- Nikt prócz jej brata.

Po tych słowach zapadła cisza tak absolutna, że słyszałam trzask płomienia latarni i cichy szelest trzciny poruszanej lekką bryzą wiejącą przez okna wieży. Caterina stała w bezruchu niczym jeden z glinianych modeli Mistrza, zdawało się, że przestała oddychać. W końcu, bardzo powoli, odwróciła się do Gregoria.

- To nie może być prawda - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. - Nie ma żadnego dowodu na to, co on mówi. Gregorio, powiedz, że on kłamie...

Wytrzymał przez chwilę jej surowe spojrzenie, a kiedy wreszcie przemówił, jego słowa były skierowane do Leonarda.

- Jak się dowiedziałeś? - spytał beznamiętnym tonem.

Mistrz pokręcił głową.

- Wiedziałem, że coś mrocznego kryje się pod tym, co łączy was troje - wyjaśnił. - Ale dopiero kiedy zacząłem malować Caterinę, zdałem sobie z tego sprawę. Widzisz, mam zwyczaj szkicowania twarzy, które mnie zainteresowały. Kilka dni wcześniej zupełnie przypadkowo utrwaliłem twoje rysy na papierze obok

jednego z portretów hrabiny. Natychmiast uderzyło mnie podobieństwo waszych twarzy, podobieństwo zbyt wyraźne, by mogło być dziełem przypadku. Odtąd zestawienie pozostałych elementów układanki było już tylko kwestią czasu. - Zwracając się do mnie, dodał: - I miałem szczęście odnieść kawałek płótna pracze, która znała Lidię w tamtych czasach i zawsze dziwiła się, jak spokojnie przyjęła śmierć własnego dziecka. Wiedziała też o dziwnej obsesji Lidii wobec młodej hrabiny i o tym, jak bardzo starała się ją widywać, mimo że została odesłana z dworu.

Tak byłem pochłonięta patrzeniem na twarze ich obojga i wychwytywaniem podobieństw, o których mówił Mistrz, że ledwie usłyszałam jego ostatnie słowa. Przypomniałam też sobie, że gdy po raz pierwszy zobaczyłam ich razem, pomyślałam, iż są dziwnie do siebie podobni. Teraz zdałam sobie sprawę, że nieświadomie rozpoznałam łączące ich więzy krwi.

Caterina pokręciła głową, rozpaczliwie próbując protestować.

- Kłamiesz, Leonardo! - zatkała z mieszaniną bólu i złości. - Nie przekonasz mnie, bym uwierzyła w coś tak niegodziwego. Gregorio nie jest moim bratem.

Zimny śmiech ukrócił jej krzyki. Gregorio przełamał milczenie i spoglądał na nią z ironicznym rozbawieniem.

- Ach, Caterino, zawsze miałeś dar oszukiwania samej siebie. Pozwól więc, że rozwieję twoje złudzenia raz na zawsze. Jest bardzo prosty sposób potwierdzenia tego, co mówi Florentyńczyk. - Krążył wokół niej, podobnie jak wcześniej podchodził do Mistrza. - Na twoim ciele jest znak - powiedział. - Bardzo niezwykły. W pierwszej chwili można go uznać za małe przebarwienie skóry, ale jeśli przyjrzeć mu się dokładniej, ma szczególnie kształt. - Zatrzymał się za Cateriną i położył dłonie na jej ramionach zaborczym gestem, pod którego wpływem zadrzała. Nachylił się ku niej i mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. - Znak ten ma kształt słońca i jest mniej więcej wielkości florena. - Przesunął dłonią po gładkim jedwabiu sukni hrabiny. - I znajduje się dokładnie tutaj, nieprawdaż?

Wyrwała się gwałtownie z jego uścisku, jakby ją parzył, i stanęła naprzeciw Gregoria.

- Mogłeś się dowiedzieć o moim znamieniu od Lidii lub od kórejkolwiek z moich służących! - krzyknęła. - Zawsze je miałam... to niczego nie dowodzi.

- Doprawdy? - padła ironiczna odpowiedź. - I mam rozumieć, że to także niczego nie dowodzi?

Mówiąc to, szybko rozsnuował swoją czarną skórzaną kurtkę i rozchylił ją szeroko. Wiedziała, co teraz się stanie; mimo to nie potrafiła powstrzymać westchnienia, kiedy obiema rękoma chwycił kołnierz czarnej koszuli i rozerwał ją, odsłaniając pierś.

W słabym, migotliwym świetle na jego złocistej skórze ujrzeliśmy ciemne znamię wielkości monety, tuż powyżej serca. To znamię, które widziałam z bliska poprzedniego dnia, gdy stał przede mną na wpół rozebrany.

Tak samo, jak ja chciałam zrobić, Caterina wyciągnęła drżącą dłoń, by dotknąć niewielkiego czarnego znaku w kształcie słońca.

- Jest takie samo - wyszeptwała. I wtedy, jakby to słońce sparzyło jej palce, cofnęła gwałtownie dłoń i spojrzała prosto w oczy Gregoria.

21. Świat

*Zmysły należą do ziemi;
rozum oddziela się od nich w kontemplacji.*

Leonardo da Vinci *Kodeks Trivulziów*

Wiedziałaś! - wykrzyknęła cicho Caterina głosem wyrażającym zarazem rozpacz i niedowierzenie. - Cały czas wiedziałaś, że jestem twoją siostrą, a jednak próbowałaś mnie uwieść... Jak

mogłeś? - Z szeroko otwartymi oczami sięgnęła za gorset i wyjęła cztery kawałki tektury, w których natychmiast rozpoznałam karty tarota. Nie musiałam przyglądać się im dokładniej, by wiedzieć, które to karty. Przez chwilę patrzyła na nie z niedowierzaniem, po czym pokiwała głową. - Te same karty przepowiedziały zdradę ze strony człowieka, któremu ufałam. Sądziłam, że chodzi o Ludovica, ale teraz wiem, że to ty wbiłeś mi nóż prosto w serce!

Z okrzykiem oburzenia rzuciła kartami w brata, odwróciła się gwałtownie i ruszyła w stronę jednego z okien. Przez jedną straszną chwilę sądziłam, że może się z niego rzucić. Mistrz zapewne obawiał się tego samego, gdyż z wyrazem niepokoju na twarzy pospieszył za nią.

Jednak kiedy podszedł bliżej, Caterina zatrzymała się, padła na kolana otoczona chmurą białego jedwabiu i ukryła twarz w dłoniach, by stłumić łkanie. Leonardo, którego twarz wyrażała smutek, ukląkł obok i przygarnął ją ramieniem. W pierwszej chwili próbowała się odsunąć, sądząc najwyraźniej, że to brat do niej podszedł. Kiedy zdała sobie sprawę, że to Leonardo, a nie Gregorio, pozwoliła się objąć, lecz nadal łkała żałośnie.

Czując, że i po moim policzku spływa łza, odważyłam się jeszcze raz spojrzeć na Gregoria. Utkwił obojętne spojrzenie w siostrze, zupełnie nieporuszony jej bólem.

- Płacz, Caterino, płacz - przemówił do niej. - Ale zapewniam cię, że przez to, co się wydarzyło, przelałem o wiele więcej łez niż ty przez całe swoje życie. - I ciągnął dalej łagodniejszym tonem: - Byłem przy tym, jak Lidia... nasza matka... zrobiła ten znak na twoim ciele. To było w tym samym dniu, kiedy pochowała dziecko, które wszyscy uważali za jej córkę. Wzięła igłę i odrobinę sadzy, i narysowała małe słońce na twoich plecach. - Zawiesił głos i smutny uśmiech pojawił się na jego wargach. - Nie zapłakałaś ani razu, choć chwilę trwało, nim skończyła. Kiedy robiła mi taki sam znak, nie ośmieliłem się nawet pisać, bo ty wniosłaś to tak dzielnie, chociaż każde nakłucie bardzo bolało. -

Nagle jego rysy stwardniały, jakby cofnął się do tamtego dnia. - A kiedy zrobiła ten znak na moim ciele, kazała mi przysiąc, że nigdy nikomu nie powiem o tym, co się stało. Zawsze miałem się zachowywać, jakby to moja siostra została pochowana na cmentarzu. Miałem wtedy tylko siedem lat i niczego nie rozumiałem. Wiedziałem tylko, że kochałem cię taką bezinteresowną miłością, jaką potrafi obdarzyć jedynie dziecko... a jednak ona zabrała cię ode mnie.

Bezwiednie dotknął palcami słońca na swojej piersi, a ja pomyślałam, niespodziewanie czując ukłucie żalu, jak często musiał to robić przez ostatnie lata. Kiedy jednak usłyszałam twarde ton jego głosu, gdy wypowiadał następne słowa, zrozumiałam, że gest ten nie oznaczał czułości.

- Kiedy już zrobiła mi ten znak, powiedziała, że w ten sposób zawsze się rozpoznamy, nawet jeśli minie wiele lat. Ale oczywiście ja nigdy potem nie mogłem cię zobaczyć, chyba że z daleka, kiedy szłaś na spacer z hrabią w jakiś świąteczny dzień. W końcu minęło tyle czasu, że mógłbym zapomnieć, iż w ogóle mam siostrę. Ale za każdym razem, kiedy zdejmowałem tunikę i widziałem znak słońca na mojej piersi, nie mogłem nie myśleć o tobie.

Gdy mówił te słowa, łkanie Cateriny zaczęło cichnąć. Wtulona w ramiona Mistrza, uniosła ku bratu zalaną łzami twarz.

- Nigdy mnie naprawdę nie kochałeś! - zawołała z rozpaczą. - Inaczej nie zrobiłbyś mi czegoś takiego!

W odpowiedzi roześmiał się krótko, lecz jego śmiech zabrzmiał gorzko.

- Och, kochałem cię... wtedy.

Spojrzała na niego niepewnie, a wówczas on wyjaśnił:

- Widzisz, moja droga Caterino, twój prawdziwy ojciec był najemnikiem. Pojawiał się w domu co kilka lat i najczęściej zatrzymywał się tylko tak długo, by zostawić Lidii następne dziecko, po czym znów wyruszał walczyć. Ale po twoim urodzeniu nigdy już nie wrócił. Później dowiedzieliśmy się, że zginął

w jakiejś potyczce, a jego ciało było jednym z wielu bezimiennych, jakie zostały na polu bitewnym.

Wzruszył ramionami, lecz mimo pozorów nonszalancji mogłam w jego twarzy dostrzec ślad cierpienia małego nieszczęśliwego chłopca sprzed wielu lat.

- Nieliczne floreny, jakie przysyłał nam przez lata, przestały oczywiście nadchodzić. Co gorsza, właśnie wtedy Lidia została odprawiona z dworu hrabiego. - Ironiczny uśmiech na moment wykrzywił jego wargi. - Zdaje się, że niektórzy słuźący obawiali się jej, ponieważ umiała przepowiadać przyszłość z kart. Przez wiele następnych miesięcy nikt nie chciał przyjąć jej do pracy. A ja byłem wciąż jeszcze za młody, by móc zarobić choć parę soldów. Najczęściej kładłem się spać głodny... ale takiego głodu nie znają ludzie jak ty. - Patrzył na nią, a w jego głosie i na twarzy nie było cienia wesołości. - Mój głód nie był głodem, jaki się czuje, wstając rankiem zbyt późno i kiedy trzeba czekać aż do obiadu, żeby coś zjeść. Mój głód wynikał z tego, że dzień po dniu żyłem o skórce chleba albo grudce sera. Czasami zdarzało się nam znaleźć jakieś zeschnięte warzywo, które mogliśmy ugotować w garnku i nazywać to zupą. Nigdy nie zapomnę tego głodu... tego nieustającego bólu w brzuchu, jakby jakieś żywe stworzenie rozszarpywało mnie kłami i pazurami. - Parsknął pogardliwie i odwrócił się gwałtownie, nie mogąc dłużej patrzeć na nią. - A cały ten czas ty żyłaś w zamku hrabiego, zadowolona i karmiona specjałami, które trafiały na twój stół. O niczym innym nie myślałem przez wszystkie te noce, leżąc i płacząc z głodu... Wtedy zacząłem cię nienawidzić.

Kiedy Gregorio mówił, Leonardo pomógł Caterinie wstać. Spojrzała na niego z wdzięcznością, lecz odsunęła się, by stanąć o własnych siłach. Jej łyzy obeschły, a w głosie zabrzmiała pogarda podobna do tej, z jaką zwracał się do niej Gregorio.

- Jak możesz mnie o to winić? I nie sądzisz chyba, że ty jeden cierpiełeś z powodu wyboru dokonanego przez naszą matkę. Hrabia mnie nie kochał. Od pierwszego dnia, odkąd pamiętam,

obwinał mnie o śmierć matki... - Zawiesiła głos, przygryzła wargę, po czym poprawiła się: - O śmierć hrabiny. Wolałabym znać prawdziwą matkę i kochającego brata, nawet jeśli mielibyśmy głodować, niż żyć w chłodzie zamku hrabiego.

Gregorio pokręcił głową i odwrócił się, by spojrzeć jej w oczy. W jego cichym, ochrypłym śmiechu nie było wesołości.

- Teraz tak mówisz, droga Caterino, ale przypuszczam, że po jakimś czasie chętnie oddałabyś i matkę, i brata za pełny brzuch. Ja bym tak postąpił, bez chwili namysłu. Jestem pewien, że dołączyłbym do mojej rzekomej siostry na cmentarzu kilka miesięcy po jej śmierci, gdyby nie to, że znalazłem mały nóż, który jakiś pechowy podróżny zgubił na drodze. Codziennie ćwiczyłem godzinami, aż w końcu potrafiłem zabić każdego ptaka i zwierzę, jakie pojawiło się w zasięgu mojego wzroku. Wtedy mieliśmy jedzenie... niedużo, ale dość, żebym nabrał trochę ciała. Jednak nigdy nie przestałem myśleć o tobie, siostrze mieszkającej w pięknym zamku. Nawet wtedy, gdy dorosłem na tyle, że mogłem wstąpić do armii Il Moro i wyjechać daleko stąd. Bowiem przysiągłem sobie, że pewnego dnia wrócę, by zabrać to, co jest twoje... i że wtedy dowiesz się prawdy.

Zamilkł nagle i na chwilę spuścił głowę, jakby starając się uciszyć emocje, które wyzwoliła ta opowieść. Nie śmiejąc nawet odetchnąć, spojrzałam na Mistrza, który wciąż stał u boku Cateriny. Z surową twarzą zwrócił się do niej:

- Obawiam się, że plan twojego brata był dość prosty. Wiedział, że odziedziczyłaś tytuł i ziemie hrabiego, a także związany z tym majątek. Wiedział też, że prędzej czy później książe zechce oddać cię komuś ze swoich sojuszników... Albo, jak w tym przypadku, wrogów. - Zachmurzył się jeszcze bardziej. - Gdybyś dobrowolnie znalazła się w jego łóżku, musiałyby ci uświadomić, co was naprawdę łączy. Przypuszczają... i jestem pewien, że słusznie, iż zapłaciłabyś mu każdą cenę, byle tylko zachował milczenie i by prawda nie dotarła do uszu Il Moro przed dniem zaślubin.

- Florentyńczyku, jesteś sprytniejszy, niż myślałem. - Brutalne słowa Gregoria przecięły powietrze niczym miecz, który, co zauważyłam z trwogą, wy dobył właśnie z pochwy. Chwila słabości, którą w nim dostrzegłam, minęła; teraz był zdeterminowany. - Spoglądając znacząco na Leonarda, dodał: - Zastanawiam się, co bardziej zmartwiłoby wielkiego Ludovica: wiadomość, że jego piękna młoda kuzynka przespała się z własnym bratem, czy też to, że naprawdę w jej żyłach nie płynie szlachetna krew. Ale sądzę, że to nie ma już większego znaczenia. - Trzymając nisko miecz, wykonał kilka szybkich cięć, jakby sprawdzając jego ostrość, i uśmiechnął się z satysfakcją. - A teraz, niestety, za swój spryt będziesz musiał zapłacić życiem. Za twoją sprawą zbyt wielu ludzi poznało sekret, który powinien pozostać między mną a moją siostrą. Ale możemy jeszcze odbyć ładną walkę, zanim cię zabiję.

- Wiesz, kapitanie, że nie mam broni - odparł spokojnie Leonardo, unosząc ręce, by to udowodnić.

Gregorio uniósł brew.

- Widzę. Ale na twoje szczęście moja siostra pomyślała o tym, by przyjść na schadzke uzbrojona. Daj Florentyńczykowi swój miecz - rozkazał, wskazując głową w jej stronę.

- Nie!

Z oczami szeroko otwartymi ze strachu, lecz głową dumnie uniesioną, pokręciła głową.

- Nie pozwolę, żebyś to zrobił, Gregorio. Zabij mnie, jeśli chcesz, ale nie możesz skrzywdzić Leonarda ani Delfiny.

Wiedziałam, że nie spodziewał się jej odmowy. Spojrzenie, jakie na nią skierował, było takie samo, jakim wcześniej zmierzył Leonarda... W jego oczach malował się wyraz niepohamowanej furii, która powinna powalić ją na miejscu. A jednak jego słowa, choć strzeliły niczym bicz, były dziwnie spokojne.

- Daj mu swój miecz, Caterino, albo, na wszystko co święte, zarżnę go tam, gdzie stoi, a później zmuszę cię, żebyś wykapiała się w jego krwi.

Wiedziała równie dobrze, jak ja, że nie jest to czcza pogroźka; dlatego nawet nie próbowała protestować. Ze łzami spływającymi po policzkach odpięła pochwę od pasa i w milczeniu podała ją Mistrzowi.

Uśmiechnął się do niej pocieszająco, po czym wyszedł na środek pomieszczenia, gdzie czekał na niego Gregorio. Stał nieruchomo i tylko nieznaczne ruchy ostrza jego miecza - niczym ogon wielkiego kota szykującego się do ataku - zdradzały jego zniecierpliwienie.

Caterina pospiesznie przeżegnała się, jakby zabiegając o rozgrzeszenie z roli, jaką odegrała w tym pojedynku. Podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę. Wymieniłyśmy gorączkowe spojrzenia, obie zdając sobie sprawę, że próba ucieczki stąd byłaby bezcelowa. Nawet gdyby jednej z nas udało się umknąć przed nożem Gregoria, któryś z nich by zginął, zanim udałoby się sprowadzić pomoc. Nie miałyśmy innego wyjścia, mogłyśmy tylko bezradnie obserwować walkę.

Tymczasem Leonardo zsunął z ramion pelerynę, zdjął z głowy czapkę i turban i odrzucił je niedbale na bok. Niezdarnie wyciągnął miecz z wysadzanej klejnotami pochwy i obejrzał jego ostrze, jakby nigdy wcześniej nie widział takiej broni. Wreszcie, głosem dziwnie opanowanym, w tych okolicznościach, zwrócił się do przeciwnika:

- A co z moim uczniem, kapitanie? Biorąc pod uwagę możliwość, że pokonasz mnie w walce, chciałbym mieć twoje słowo, że jeśli ja zginę, Dino odejdzie wolno.

Gregorio spojrzał na mnie po raz pierwszy od kilku minut. Wytrzymałam jego spojrzenie, nie potrafiąc zapomnieć o uczuciach, jakie do niego żywiłam, i wiedząc, że nigdy mu nie wybaczę, jeśli uczyni jakąkolwiek krzywdę Mistrzowi. Jednak zacięty wyraz twarzy Gregoria wskazywał, że następna padnę ofiarą jego miecza, jeżeli kapitan pokona Leonarda.

Na tę myśl żołądek mi się ścisnął, a przez głowę przemknęła myśl, że gdyby okazał mi litość, nie spoczęłabym, póki pewnego dnia nie udałoby mi się pomścić Mistrza.

Musiał odgadnąć te emocje z wyrazu mojej twarzy, gdyż dostrzegłam w jego oczach błysk aprobaty.

- Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię z moją siostrą i twoim uczniem - odparł. - Ale jeśli z tym będzie ci źle, obiecuję ci, że przynajmniej rozważę twoją prośbę. - Zaczął powoli okrążyć Leonarda. W swoim czarnym stroju stapiał się z ciemnością. - A teraz przekonamy się, czy równie biegle władasz mieczem, jak pędzlem - powiedział cicho Gregorio, unosząc ostrze. - Miej się na baczności, zaczynamy walkę.

Jego pierwszy atak był tak szybki, że Leonardo ledwie zdążył unieść broń, gdy ostrze Gregoria pomknęło w jego stronę niczym stalowy wąż.

Wstrzymałam oddech. Człowiek o normalnym refleksie zginąłby od pierwszego pchnięcia, ale Leonardo nie był normalnym człowiekiem. Poruszając się z gracją lwa, wywinął się w samą porę, by swoim mieczem sparować ostrze Gregoria.

Chwilę później stali naprzeciwko siebie i Gregorio uniósł dłoń w geście kpiącego uznania.

- Doskonale, Florentyńczyku. Widzę, że jednak coś umiesz. W takim razie zabiję cię z tym większą przyjemnością.

Jego następny atak był równie szybki, lecz tym razem nie zaskoczył Leonarda. Nadal w defensywie, odpierał pchnięcia szybkimi ruchami. Pomieszczenie wypełnił szcęk stali.

Oddalili się od siebie; podczas walki rozrzucili leżącą na podłodze trzcinę, odsłaniając kamienne płyty posadzki. Wszelki ślad rozbawienia zniknął z twarzy Gregoria i teraz malował się na niej nieprzejednany wyraz człowieka, zdecydowanego bez zwłoki wyprawić przeciwnika na tamten świat. Błyskawiczne ruchy przychodziły Mistrzowi bez trudu, lecz zauważyłam z niepokojem, że teraz ciężiej oddycha.

Lęk, który na kilka chwil zdołałam opanować, teraz wrócił ze zdwojoną siłą. Jak Leonardo może mieć nadzieję, że pokona zawodowego żołnierza? Myślałam o tym z rozpaczą, przypominając sobie, że ludzie Gregoria całymi godzinami ćwiczyli na zamko-

wym dziedzińcu swe umiejętności. Mogłam się tylko modlić, by fakt, że Mistrz walczy lewą ręką, dał mu choć niewielką przewagę, gdyż Gregorio musiał dostosować do niego swą technikę walki.

Kapitan znowu zaatakował pierwszy, z przerażającą furją. Tym razem reakcje Leonarda były powolniejsze i mniej zgrabne, choć dzielnie parował każdy cios... aż do ostatniego.

Krzyknęłam głośno, gdy ostrze Gregoria trafiło w cel i, przecinając grubą tkaninę tuniki Mistrza, wbiło się w jego ramię.

Poza krótkim skurczem bólu, jaki przemknął przez jego twarz, Leonardo nie dał po sobie poznać, że został ranny. Dostrzegłszy wyraz zimnego triumfu na twarzy Gregoria, uświadomiłam sobie z przerażeniem, że następnym razem zaatakuje tak, by zakończyć walkę. Stali oddaleni od siebie na "kilka długości miecza, Gregorio zwrócony plecami do okien, Mistrz zaś pod stosem skrzyń i beczek. Jeśli Leonardo nie odsunie się szybko od znajdującej się za nim blokady, nie uniknie miecza przeciwnika!

Tym razem Leonardo nie czekał, aż Gregorio wykona pierwszy ruch. Znacznie szybciej niż dotychczas przypuścił atak, co pozwoliło mu odejść od drewnianej bariery. Gregorio jednak najwyraźniej spodziewał się takiego manewru, gdyż czekał na niego z mieczem w gotowości. Skutecznie blokując drogę Mistrzowi, odepchnął go na powrót pod stos skrzyń i wymierzył zabójcze pchnięcie.

Nie wiem, w jaki sposób Leonardo uniknął ciosu, gdyż zasłoniłam oczy rękoma. Moment później usłyszałam przekleństwo, a zaraz potem stukot drewna o kamienną podłogę i z niedowierzaniem podniosłam wzrok. Na podłodze leżały rozrzucone skrzynie i beczki, a wyschnięta trzcina wchłaniała olej, który powoli wylewał się z niewielkiej baryłki.

Mistrz zdołał się wymknąć!

Ale kiedy odetchnęłam z ulgą, zauważyłam, że rana daje mu się coraz mocnej we znaki. Leonardo, krążąc wokół przeciwnika, chwiał się lekko, a rękaw zielonej tuniki był przesiąknięty krwią od ramienia do nadgarstka. Wprawdzie dotąd jeszcze nie udało

mu się trafić kapitana, jednak na jego twarzy malowała się determinacja.

Gregorio cały ubrany na czarno, z rozerwaną koszulą nigdy bardziej nie przypominał upadłego anioła. Wcześniejszy wyraz triumfu zniknął z jego twarzy, a zamiast niego pojawił się gniew, gdy mniej wprawny rywal zyskał chwilową przewagę. On także oddychał nieco ciężiej, ja zaś miałam nadzieję, że zdenerwowanie w połączeniu ze zmęczeniem spowodują, iż w końcu popełni jakiś błąd.

Jednak gniew najwyraźniej tylko wzmocnił jego determinację. Rysy twarzy Gregoria były przerażająco nieruchome i rozumiałam, że tak właśnie wyglądał przed bitwą, zanim rozpętało się piekło, a ziemia poczerwieniała od krwi. Leonardo przerzucił miecz do prawej ręki, z twarzą równie kamienną jak on.

Wtedy Gregorio znowu rzucił się na niego niczym atakująca pantera, a ja wiedziałam ze straszliwą pewnością, że tym razem Mistrz nie obroni się przed ciosem. Ale choć chciałam zamknąć oczy, nie potrafiłam odwrócić wzroku, gdy Gregorio spychał go na środek podłogi, pod stos drewnianych skrzyń.

I nagle cięcie przez udo powaliło Leonarda na ziemię.

W ciszy, jaka zapadła, słyszałam dyszenie obu walczących i niespokojny oddech Cateriny stojącej tuż obok mnie. Gdy Gregorio stanął nad Leonardem, unosząc miecz, by zadać ostateczny cios, zamkowy zegar zaczął wybijać północ.

W odrętwieniu odliczałam każde uderzenie. W wielkiej sali rozbawieni goście księcia zdejmowali maski, a ich pijackie śmiechy niosły się daleko w noc.

Tutaj, na wieży, Śmierć za chwilę wykona swój radosny taniec, a po zimnej kamiennej posadzce popłynie krew.

Nie widziałam twarzy żadnego z przeciwników. Gregorio stał zwrócony do mnie tyłem, a jego ciemna sylwetka zasłaniała postać Mistrza. Przynajmniej zostanie mi oszczędzony widok ostatnich chwil jego cierpienia, pomyślałam, czekając z fatalistycznym spokojem, aż wszystko się zakończy.

- Gregorio, nie!

Wyrwawszy się z mojego uścisku, Caterina rzuciła się ku bratu niczym furia. Nie potrafiłam odgadnąć, co zamierzała zrobić... Wyrwać miecz czy może skierować go we własną pierś. Ale zanim zdążyła znaleźć się przy nim, Gregorio przerzucił miecz do lewej ręki i niemal nie patrząc na Caterinę, prawą dłonią przytrzymał ją przez chwilę, po czym bezceremonialnie odepchnął od siebie.

Żaden z walczących nie zauważył, co wydarzyło się potem, gdyż Leonardo klęczał na podłodze, a Gregorio zamierzył się, by zadać ostateczny cios. Ja jednak na zawsze zachowam w pamięci grozę tych kilku chwil. Znacznie później, kiedy potrafiłam już spokojniej myśleć o wydarzeniach tamtej nocy, zastanawiałam się, co by było, gdybym pierwsza zareagowała... Może wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Jednak w głębi serca wiedziałam, że niczego nie dało się zmienić, a ten tragiczny koniec los zaplanował od samego początku.

Caterina straciła równowagę i cofając się, wpadła na tę beczkę, na której Mistrz postawił swoją przemyślną latarnię ze zwierciadłem. Latarnia balansowała przez chwilę na brzegu. Zanim zdążyłam krzyknąć ostrzegawczo, upadła na kamienną podłogę, lądując miękko na trzcinie nasączonej olejem z rozbitej baryłki.

Niewielki płomyk latarni natychmiast wybuchnął wielkim ogniem. Niczym stado rozszalałych bestii płomienie otoczyły Caterinę, muskając brzeg jej sukni, gdy próbowała podnieść się z podłogi. Przez chwilę najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, co się stało, lecz gdy pierwsze płomienie dotknęły jej nagiej skóry, zaczęła krzyczeć.

Ten przenikliwy krzyk, niczym skomlenie rannego zwierzęcia, zmroził mi krew w żyłach i - niespodziewanie - zatrzymał rękę Gregoria.

Odwrócił się gwałtownie i ujrzał siostrę wśród płomieni. Jej krzyki przerodziły się w jęk agonii, gdy niczym budząca grozę parodia mechanicznego słońca Mistrza zbliżała się do okna, próbując uwolnić się od piekielnego ognia.

Ogień zaś płonął z furją, w którą trudno byłoby uwierzyć, oślepiając blaskiem, jakby sam Lucyfer zamknął młodą kobietę w siarkowym uścisku. Płomienie zdążyły już wspiąć się po jej sukni i pochłaniały wspaniałe kruczo-czarne pukle. Delikatne złote rękawy, uszyte tak pieczołowicie przez Luigiego, spłonęły, odsłaniając poczerniałą skórę nagich ramion.

- Caterina!

Ten ochrypliły krzyk był przesycony strachem, beznadzieją i rozpaczą. Wypuszczając miecz z dłoni, Gregorio rzucił się ku niej. W kilka sekund krzyki Cateriny przerodziły się w stłumione jęki. Milczałam, skamieniała w przerażeniu, zdając sobie sprawę, że już za późno na ratunek.

- Caterina! - krzyknął znowu i, nie zważając na płomienie, wziął ją w ramiona.

Tylko raz obrócili się dookoła, jak tancerze spowici piekielnym obłokiem, i przez krótką chwilę po raz ostatni ujrzałam twarz Gregoria. Nasze oczy spotkały się na jedno mgnienie, lecz zdążyłam w nich dostrzec smutek, żal i tęsknotę. Chwilę później brat i siostra wypadli przez okno i runęli w dół.

Krzyki nie ustały, lecz z trudem zdałam sobie sprawę, że teraz nie Caterina, lecz ja krzyczę z przerażenia. Dotarło też do mnie, że ogień się rozprzestrzenia, ogarniając wyschnięte drewno skrzyń i pędząc po kobiercu z trzciny pokrywającym większą część podłogi. Dym zaczął szybko wypełniać całe pomieszczenie i z każdym oddechem zaczynały mnie dusić jego macki.

Ale nie byłam w stanie się poruszyć, patrząc z niedowierzaniem na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stali Caterina i Gregorio. To się nie mogło wydarzyć! - krzyknął jakiś głos w mojej głowie. Może gdybym zamknęła oczy, obudziłabym się w swoim łóżku w pracowni, wśród innych uczniów, a Caterina i Gregorio nadal by żyli i nigdy nie spotkaliby się w takich okolicznościach.

W tym właśnie momencie jakaś dłoń chwyciła mnie bezceremonialnie i potrząsnęła mną tak mocno, że otworzyłam oczy.

- Dino! - krzyknął Mistrz. - Zakończ lamenty i chodź ze mną. Uciekajmy, zanim ogień nas ogarnie i podzielimy los Cateriny.

Te słowa przywróciły mi poczucie rzeczywistości.

- Tak! - odparłam i zaczęłam kaszleć, bo dym wypełnił mi płuca.

- Szybko, padnij na podłogę! - zawołał, ale jego słowa zagłuszał ryk ognia. Padł na kolana i pociągnął mnie za sobą. - Dym nie jest tutaj aż tak gęsty i będziemy mogli oddychać chwilę dłużej.

- Jesteśmy w pułapce - wykrztusiłam z przerażeniem, widząc, że ogień odciął nam drogę do drzwi. - Nie przejdziemy przez płomień!

- Nie musimy tak ryzykować. Trzymaj się nisko i idź za mną - polecił surowo. - Ukryte drzwi, którymi możemy wyjść, są blisko.

Wydostaliśmy się nie przez jakiś zamaskowany otwór w ścianie, lecz przez niewielką kłapę w podłodze. Tak małą, że ledwie mógł się przez nią przecisnąć człowiek rozmiarów Mistrza; niżej znajdował się podest z balustradą.

- Zachowaj ostrożność - powiedział, przytrzymując mnie za ramię, aby się upewnić, że dobrze go zrozumiałam, po czym spuścił mnie przez otwór w podłodze. - Kilka kroków po podście i dotrzesz do muru. Tam trafisz na szereg żelaznych szczebli wpuszczonych w kamień. Musisz zejść po nich aż do podnóża wieży. Droga jest niebezpieczna; jeden fałszywy krok i runiesz w dół, ale to nasza jedyna szansa.

- Poradzę sobie - zapewniłam, lecz przypominając sobie o ranach Leonarda, spojrzałam na niego z obawą. - Ale co z tobą, Mistrzu? Jesteś ranny i...

- Dam sobie radę - rzekł z energicznym skinieniem głowy, choć widziałam, że jego skóra pod warstwą sadzy jest biała jak mąka. - A teraz pospiesz się, chłopcze. Musimy zamknąć za sobą drzwi, żeby dym się tu nie przedostał.

Nie umiem powiedzieć, jak długo trwało zejście. Pamiętam tylko gorącą, przyprawiającą o zawrót głowy ciemność, którą tylko od czasu do czasu rozjaśniał promień księżyca wpadający przez szczeliny między kamiennymi blokami. Nad głową słyszałam rytmiczny stukot butów o metalowe klamry, bo Mistrz schodził za mną. Jego ciężki oddech od czasu do czasu przerywał jęk bólu i zaczęłam się obawiać, że wysiłek może się okazać dla niego zbyt wielki. Ale, jak sam powiedział, nie było żadnego innego wyjścia.

Wreszcie dotknęłam stopą kamienia. Z westchnieniem ulgi zesłam z ostatniej klamry i odsunęłam się na bok, czekając na Leonarda. Naprzeciwko widziałam zarys jaśniejszego prostokąta; musiały to być ukryte drzwi. Straciłam orientację, tak że nie umiałam powiedzieć, czy wychodzą na dziedziniec, czy w jakąś inną stronę.

Chwilę później ujrzałam ciemną postać Mistrza, który dotarł na dół z głębokim westchnieniem ulgi. Zachwiał się lekko, więc podtrzymałam go za zdrowe ramię.

- Dziękuję, mój chłopcze - mruknął. - A teraz chodź, musimy się stąd wydostać.

Trzymając rękę na moim ramieniu zarówno po to, by mieć oparcie, jak i po to, by pokierować, ruszył w stronę owego jaśniejszego prostokąta. Zatrzymał się przy nim i widziałam, że przesuwa dłońią po nierównych ceglach.

- To musi być gdzieś tutaj - powiedział cicho, a zaraz potem usłyszałam ciche szcęknięcie ustępującego zamka.

Część ściany uchyliła się na zewnątrz jak drzwi, ukazując wejście na wysoki krużganek u podnóża wieży. Dalej rozciągał się zamkowy trawnik, skąd dobiegały krzyki przerażenia i gorączko-
, we wołania żołnierzy na widok szalejącego w górze pożaru.

Powinnam wiedzieć, co ujrzę po wyjściu z krużganka, ale nie byłam przygotowana na ten widok. Przed nami, w budzącym grozę cieniu wieży leżały dwa nieruchome ciała. Kilka płomyków tańczyło jeszcze po resztkach olśniewającej sukni Cateriny, choć

na szczęście ona sama dawno już nie czuła bólu. Gregorio leżał kilka kroków od niej, twarzą do dołu, jakby spał na miękkiej trawie. Jedną rękę miał wyciągniętą ku siostrze w ostatnim geście tęsknoty tak czułym, że serce omal mi nie pękło.

Z okrzykiem bólu padłam na kolana i ukryłam twarz w dłoniach. Wokół mnie rozbrzmiewały teraz gorączkowe krzyki. Słyszałam, jak Mistrz opowiada o strasznym wypadku. Jakiś głos, o dziwnie znajomym obcym akcencie, zawołał tylko:

- Boże, dlaczego?

Wtedy poczułam, że ręce Mistrza podnoszą mnie delikatnie z ziemi. Usłyszałam, jak mówi głosem pełnym smutku:

- To nie jest widok dla chłopca. Proszę, zabierz go do signora Luigiego, żeby nie musiał dłużej patrzeć na tak straszne rzeczy.

Czyjeś silne ręce uniosły mnie, jakbym była dzieckiem. Z trudem otworzyłam oczy, by zobaczyć, komu Mistrz zlecił to niedzięczne zadanie. Przez łzy dostrzegłam znajomą twarz o grubo ciosanych rysach i wielkich jasnych wąsach. Tym razem twarzy najemnika nie wykrzywił szydery uśmiech; malował się na niej wyraz głębokiego przygnębienia, zupełnie nieoczekiwany u kogoś, kto nieraz miał do czynienia ze śmiercią.

Zamknęłam znowu oczy i poczułam, że na mój policzek spada kropla, która nie była moją łzą. A więc nie tylko ja go opłakuję, pomyślałam i pozwoliłam, by ogarnęła mnie ciemność.

Ocknęłam się, słysząc odgłos pięści łomoczącej o deski i ochryple wołanie:

- Krawcze, otwórz drzwi!

Otworzyłam zapuchnięte powieki, by zobaczyć, że stoimy na progu warsztatu Luigiego. W oknie zauważyłam zapaloną lampkę. Chwilę później drzwi się uchyliły i wystawił przez nie głowę zaspany krawiec, ubrany tylko w nocną koszulę.

- Kto zakłóca mój spokój? - zapytał ostro, lecz umilkł i zniechęcony z otwartymi ustami, gdy rozpoznał mnie pod warstwą sadzy. - Co się stało? - wykrztusił, gdy żołnierz bezceremonialnie postawił mnie na ziemi.

Mężczyzna pokręcił głową i odparł opryskliwie, choć wąsy mu zadrżały:

- Coś bardzo złego zdarzyło się w zamku. Mistrz Leonardo kazał mi przynieść do ciebie tego chłopca.

Odwrócił się na pięcie i oddalił w mrok, a ja zostałam, patrząc w milczeniu na krawca. Z wyrazem niepokoju na twarzy chwycił mnie za ramię i wciągnął do środka, po czym starannie zamknął drzwi.

- Delfino, co się stało?

Mówił łagodnie, a w jego małych, ciemnych oczach malowała się troska, gdy patrzył na mój rozpaczliwy wygląd, czując smród spalenizny, który do mnie przywarł.

Spoglądałam na niego przez dłuższą chwilę, nie mogąc wykrztusić słowa. Wreszcie, głosem ochrypłym od dymu i łez, krzyknęłam:

- Och, Luigi, on nie żyje!

I rzuciłam się krawcowi w ramiona.

Epilog

Głupiec

Głupota jest puklerzem wstydu...

Leonardo da Vinci *Kodeks Trivulziów*

poszłam na pogrzeb Cateriny, lecz Luigi powiedział mi, że było to wspaniałe widowisko. Jej spalone ciało, owinięte w najdelikatniejsze płótno i okryte kwiatami, złożono w wielkiej krypcie obok hrabiego di Sasina i innych jego krewnych. Nie potrafiłam odgadnąć, czy ona sama nie wolałaby spocząć w skromnym grobie przy swej prawdziwej matce. Ponieważ jednak żyła jako córka hrabiego, została pochowana jak hrabina, a nie jak dziecko piastunki.

Jej śmierć, chociaż tragiczna, nie zmieniła planów Il Moro. Miał inne podopieczne i kuzynki, spośród których mógł wybrać narzeczoną, by przypieczętować sojusz z księciem Pontalbą. Tego zaś niewiele obchodził fakt, że jedną jego przyszłą żonę zastąpiła inna. I tak dostawał obiecane ziemie i posag, więc był zadowolony z układu.

Nigdy nie dowiedziałam się, co się stało z Gregoriem... Czy pochowano go wśród książęcych żołnierzy, czy też spoczął obok Lidii i małej dziewczynki, która zostałaby prawdziwą hrabiną, gdyby dożyła dojrzałego wieku. Prawdę mówiąc, wolałam nie wiedzieć, gdzie znajduje się jego grób.

Gdybym to wiedziała, być może poszłabym tam, by położyć się na mogile i czekać, aż śmierć po mnie przyjdzie.

Bowiem w ostatnim momencie, gdy patrzyłam w jego udręczone oczy, zdałam sobie sprawę, że naprawdę go kochałam, bez względu na to, co zrobił lub co zamierzał zrobić. Później, tej samej nocy, wyznałam wszystko Luigiemu, opowiadając mu wśród łkań o sekretnych spotkaniach z Gregoriem i o jego propozycji - szczerzej lub nie - bym została jego kobietą.

Opryskliwy zwykle krawiec słucał mojego bolesnego wyznania z nieoczekiwanym współczuciem. Nie wiedziałam, czy dlatego, że z jakiegoś powodu rozumiał uczucia, o których mówiłam. Może kierowała nim zwykła dobroć, wiedział bowiem, że prócz niego nie mam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć.

- Dlaczego Gregorio to zrobił? - zaszlochałam, opowiadawszy mu już o wszystkich wydarzeniach, które doprowadziły do tej tragicznej nocy. - Przecież śmierć Cateriny była wystarczającą ofiarą. Nie musiał ginąć razem z nią.

- Może musiał - odparł cicho krawiec. - Być może skracając jej ostatnie cierpienia, odkupił choć część tego, co zdarzyło się wcześniej.

Lecz jego słowa, zamiast mnie pocieszyć, sprawiły, że rozplakałam się jeszcze żałośniej. Kiedy byłam już zbyt wyczerpana, by przelać choćby jeszcze jedną łzę, przygotował dla mnie posłanie i zapewnił, że mogę u niego zostać, jak długo będę chciała.

Leżąc samotnie w ciemności, tuż przed świtem, przypomniałam sobie, że nie wspomniałam o ranach Leonarda. Zdałam sobie sprawę, że zupełnie mnie nie obchodzi to, iż Mistrz leży ranny, nie mając nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować i pocieszać.

W jakimś momencie tego wybuchu rozpaczy kawałeczki ocalałe z mojego zdruzgotanego serca stwardniały. Moje uczucia zo-bojętniały. W końcu przez niego właśnie Caterina przyszła do wieży, chociaż zaklinał się, że tak się nie stanie. Gdyby nie zmienił planów, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Gdyby się nie wmieszał, Gregorio wciąż by żył.

Następnego ranka pożyczyłam od Luigiego proste ubranie i wyruszyłam do zamku. Esta, Isabella i Rosetta zebrały się w pierwszej komnacie hrabiny i rozpaczwały. Gdy wślizgnęłam się do środka, powitały mnie okrzykami ulgi, gdyż obawiały się, że i ja zginęłam w pożarze. Choć wieża była zbudowana w taki sposób, że ogień nie mógł się wydostać poza jedno pomieszczenie, wszystko wewnątrz spłonęło.

Machnięciem ręki zbyłam ich pytania, zbyt wyczerpana na ciele i duszy, by wymyślać jakąś opowieść. Zebrałam swój niewielki dobytek i pożegnałam się z nimi.

- Muszę wracać do rodziny - powiedziałam. - Nie mogę zostać w zamku, skoro zabrakło hrabiny.

Skinęły głowami ze zrozumieniem i nie próbowały mnie powstrzymywać, za co byłam im wdzięczna. Kiedy jednak skierowałam się do drzwi, zatrzymało mnie lekkie szarpnięcie za spódnice.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam Pio. Miał na szyi haftowaną obrozę, a podobny do biczka ogon, którym zwykle machał radośnie, podkulił pod siebie. Jego błyszczące czarne oczy patrzyły na mnie ze smutkiem i niemym pytaniem.

- On wie, że coś jest nie tak - załkała Esta. - Czeka na nią, ale nie wie, że nigdy nie wróci.

Skinęłam głową, po czym, przypominając sobie obietnicę złożoną Caterinie, zawołałam, by za mną poszedł.

Z Pio drepczącym posłusznie przy mojej nodze wróciłam do warsztatu Luigiego. Nie powiedział słowa o moim małym towarzyszku, tylko posadził mnie przy stole i z ostrymi nożycami w dłoni rozpoczął moją przemianę w Dina.

Później, kiedy włosy miałam znowu obcięte jak chłopiec i na powrót włożyłam swą brązową tunikę oraz zielone pończochy, odezwał się do mnie surowo:

- Twój Mistrz przyszedł dziś rano i pytał o ciebie, chociaż nie miał żadnych spraw do załatwienia w okolicy. Był ciężko ranny, ale udało mu się samemu pozszywać w miarę znośnie na tyle, że

może nadal używać obu kończyn. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Leonardo potrafi się o siebie zatroszczyć - odparłam chłodno, podając Pio kawałek mięsa, który wyprosiłam, wychodząc z zamku.

Luigi zasępił się jeszcze bardziej.

- Niewdzięczne dziecko... Czy nie obchodzi cię, że twój Mistrz jest ranny? Powinnaś wrócić do pracowni i zaopiekować się nim. A przynajmniej wypadałoby, żebyś tam poszła i uspokoiła go, że dobrze się czujesz.

Ale ja nie czuję się dobrze! - krzyczał jakiś przerażony głos w mojej głowie. I obawiam się, że tak może zostać na zawsze.

Na głos jednak powiedziałam tylko:

- Masz rację, Luigi. Pójdę z nim porozmawiać i zobaczyć, jak się czuje.

W asyście Pio skierowałam się do zamku po raz drugi tego dnia. Szłam ze spuszczoną głową, aby nie widzieć budzących grozę wież, w których wydarzyło się tyle złego. Tym razem przechodząc przez bramę, zobaczyłam, że najemnik o kwadratowej twarzy i jasnych włosach rozmawia z jakimś człowiekiem.

Był ubrany inaczej niż zwykle. Jego czarna skórzana kurtka i czerwono-czarne pończochy przypominały strój, jaki zawsze nosił Gregorio. Zastanawiałam się bez większego zainteresowania, czy po wszystkim, co się zdarzyło, doczekał się awansu.

Stwierdziłam z ulgą, że w pracowni nie było nikogo; wszyscy uczniowie zapewne pracowali nad freskiem. Gdyby byli tutaj, niewątpliwie zasypaliby mnie pytaniami, na które nie umiałabym odpowiedzieć.

Drzwi do pracowni Leonarda były otwarte. Zobaczyłam go siedzącego przy stole, pochylonego nad jakimś szkicem. Zauważyłam bez emocji, że jego twarz wydawała się blada, lecz na policzkach miał ciemne wypieki. Rany musiały sprawiać mu silny ból; właściwie powinien leżeć w łóżku, pielęgnowany przez kogoś z uczniów.

Ale nie przeze mnie. Niech zajmie się nim Constantin albo ktoś inny, z pewnością nie ja.

Takie oto niegodne myśli zatrzymały mnie na chwilę przy drzwiach. Nie byłam pewna, co chcę powiedzieć. Pio jednak nie miał podobnych wątpliwości, lecz zapiszczał radośnie, wpadł do środka i wskoczył Mistrzowi na kolana.

Noga Leonarda w miejscu, gdzie rozciął ją miecz Gregoria, była starannie obandażowana. Zauważyłam, że skrzywił się z bólu, gdy pies stanął na czułym miejscu. Natychmiast jednak uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z niespodziewanej wizyty.

- Pio - zawołał cicho, drapiąc psa za długimi uszami. - Zastanawiałem się, jak ci się powodzi. - Wtedy zdał sobie sprawę, że Pio nie mógł przyjść sam, i podniósł wzrok, napotykając moje zimne spojrzenie. - Dino - powiedział równie radośnie, z wyraźnym trudem wstając z krzesła i odstawiając Pio na swoje posłanie. - Podeszedł do mnie, kulejąc. - Czy Luigi powiedział ci, że pytałem dziś rano o ciebie? Wiedziałem, że będziesz bezpieczny pod jego opieką, ale nie chciałem opuszczać cię na zbyt długo, biorąc pod uwagę ostatnie tragiczne wydarzenia. Dobrze, że wróciłeś, bo o wielu rzeczach musimy porozmawiać.

Zapewne na mojej twarzy odmalowała się przynajmniej część tego, co czułam i myślałam, gdyż Leonardo nagle zamilkł i spojrzał na mnie z niepokojem.

- Dalej, mój chłopcze. Usiądź przy mnie - rzekł z naciskiem.
- Nie mogę.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, po czym powoli skinął głową.

- Dobrze, skoro tak wolisz - powiedział. - Ale może nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli ja usiądę. Stanie wciąż jeszcze sprawia mi ból.

Z pewnością mniej bólu niż śmierć, pomyślałam z wściekłością, lecz udało mi się zapanować nad językiem i nie wypowiedzieć tej zjadliwej uwagi na głos. Wytrzymałam jednak tylko krótką chwilę. Ledwie zdążył usiąść, ja wybuchnęłam:

- Dlaczego to zrobiłeś?! Dlaczego pozwoliłeś Caterinie przyjść do wieży, skoro powiedziałeś, że jej tam nie będzie?

- Tak, jak ci powiedziałem wcześniej - odparł ze smutkiem. - Wiedziałem, że nie uwierzy, jeśli nie usłyszy prawdy z ust samego kapitana. Nie mogłem wiedzieć, że sprawy przybiorą tak tragiczny obrót. Sądziłem, że tak będzie najlepiej.

- Zawsze uważasz, że wiesz, co jest najlepsze, Leonardo!

Moje słowa odbiły się echem w niewielkim pokoju i spojrzałam mu prosto w oczy z potępieniem. Patrzył na mnie tak zaskoczony, jakbym uderzyła go w twarz.

Choć przez krótką chwilę czułam się skonsternowana własną reakcją, jednak tama puściła. Nie potrafiąc się powstrzymać, wykrzyczałam:

- Zawsze sądziłem, że wiesz wszystko, a ty nigdy nie wprowadziłeś mnie z tego błędu! Przeciwnie, robiłeś wszystko, by przekonać każdego, że wielki Leonardo jest najmądrzejszym człowiekiem w Mediolanie, a może i na całym świecie. Ale prawda jest taka, że wcale nie wiesz więcej od nas, zwykłych śmiertelników... a czasami wiesz o wiele mniej!

- Powiedziałem ci, że pomyliłem się w tej sprawie - odparł, zasepiając się jeszcze bardziej. - Chciałbym cofnąć te ostatnie chwile, gdybym tylko mógł... Uwierz mi, że opłakuję Caterinę nie mniej niż ty.

- Jak mógłbyś ją opłakiwać? - spytałam z pogardą. - Żeby opłakiwać, musiałbyś umieć kochać. Nie sądzę, byś to potrafił.

Skurcz gniewu przemknął przez jego twarz i Leonardo uniósł się na krześle.

- Uważaj na słowa, Dino - ostrzegł. - Nie życzę sobie takiego braku szacunku. Wciąż jesteś moim uczniem i...

- Nie jestem już twoim uczniem! - Zerwałam z siebie brązową tunikę, zostając tylko w koszuli i pończochach. Cisnęłam mu ubranie pod nogi, krzycząc: - Znajdź jakiegoś innego ucznia, który będzie spełniał twoje zachcianki, szpiegował dla ciebie

i chodził za tobą po nocach! Nie mogę już nawet na ciebie patrzeć. - Nie czekając, aż mi odpowie, zawołałam Pio, a kiedy pies nie ruszył się z miejsca, wrzasnęłam: - Dobrze! Zostań z nim, zdradziecki psie, bo ja na pewno nie zostanę!

Na wpół oślepiona przez łzy wybiegłam z pracowni i pobiegłam przez dziedziniec w stronę głównej bramy. Przystanąłam na chwilę, czekając, aż przepuszczą mnie strażnicy, a potem zatrzymałam się dopiero w pracowni Luigiego.

Zaskoczony krawiec spojrzął na mnie znad stołu, zwracając niewątpliwie uwagę na mój niekompletny strój. Ocierając z oczu łzy, oznajmiłam:

- Nie jestem już uczniem Leonarda Florentyńczyka.

Luigi westchnął i pokiwał głową, po czym wstając ciężko z krzesła, powiedział:

- Rozważałem możliwość przyjęcia jeszcze jednego terminatora. Możesz nim zostać, jeśli chcesz.

Nie mogąc wykrztusić słowa, skinęłam tylko głową. Z westchnieniem podszedł do półki i zdjął z niej niebieską tunikę, podobną do tych, jakie nosili jego uczniowie.

- Chyba będzie na ciebie pasować - stwierdził, podając mi ją. - Ubierz się, a ja przedstawię cię moim dwóm chłopcom.

Odnalazłam się w warsztacie Luigiego z większą łatwością, niż sądziłam. Oczywiście nie miałam pojęcia o szyciu, ale mogłam zamiatać podłogę. Luigi nauczył mnie kilku prostych ściegów i pozwolił mi ćwiczyć na starych ubraniach, które przerabiałam i odnawiałam. Tu okazał się przydatny mój zmysł artystyczny, gdyż przekonałam się, że mam talent do dobierania wykończeń i kolorów, by stworzyć modną suknię lub dublet. Dwaj pozostali uczniowie, Giovanni i Batto, zapamiętali mnie z poprzednich wizyt u Luigiego i przyjęli z prawdziwą radością. Tak więc dni mijały mi szybko.

Tylko noce okazały się trudne. Leżąc na wąskim łóżku w głębi magazynu - Luigi znalazł jakiś pretekst, by zapewnić mi odosobniony kąt za zasłoną - wpatrywałam się w ciemność

i wracałam myślami do przeszłości. I każdego ranka budziłam się z policzkami mokrymi od łez.

Pod koniec czwartego tygodnia Luigi powierzył mi zadanie.

- Masz tu kilka florenów - powiedział, wysypując mi na dłoń monety i wręczając krótką listę. - Idź na główny plac przy katedrze. Za fontanną jest sklep, w którym znajdziesz dobre koronki. Przynieś to, co jest na liście, a nie ociągaj się.

- Oczywiście, signore - odparłam, bezlitośnie odsuwając od siebie wspomnienia o katedrze. - Wrócę jak najszybciej.

Szłam wąskimi uliczkami, mimo wszystko ciesząc się z chwili wytchnienia od pracy w warsztacie. Odkąd tam przybyłam, jego cztery ściany opuszczałam tylko po to, by opróżnić nocnik na ulicy. Dzień był piękny, błękitne niebo bez jednej chmurki i po raz pierwszy od tamtej straszliwej nocy poczułam, że mój ból odrobinę zelżał.

Kiedy dotarłam do rozległego placu przed katedrą, bez trudu odszukałam fontannę wspomnianą przez Luigiego. Był to ten sam marmurowy basen, do którego niegdyś Gregorio w żartach chciał mnie wrzucić. Serce mi się ścisnęło. Ale choć zamierzałam pójść w tamtą stronę, nagle zdałam sobie sprawę, że zamiast tego idę do wielkiej katedry, wznoszącej się po przeciwległej stronie placu.

Dotyk kłamki pod palcami wydał mi się znajomy, podobnie jak chłodny mrok i słodki zapach kadzidła, który mnie owionął. Jak już kiedyś wcześniej, stałam przez chwilę w wejściu, aby moje oczy przywykły do ciemności. Wreszcie powoli ruszyłam główną nawą w kierunku małego witrażowego okna, gdzie święty Michał wyłaniał się z mroku.

Może to tylko promienie słońca padały pod szczególnym kątem, lecz tego dnia okno promieniowało pięknem, które zaparło mi dech w piersiach. Ale coś jeszcze zmieniło się w tym wizerunku. Wcześniej zwróciły moją uwagę jego zmysłowa uroda i wyraz bezlitosnej determinacji, z jakim archanioł unosił swój miecz. Teraz dostrzegłam na pięknej szklanej twarzy cień smutku, jakby

jakaś jego część żałowała tego, że musi służyć Bogu jako narzędzie zniszczenia.

- Ach, archanioł Michał, boży mściciel - dobiegł mnie czyjś szept.

Oderwałam wzrok od witraża i ujrzałam obok siebie tego samego starego zakonnika, który - zdawałoby się, wieki temu - przyłapał mnie i Gregoria w niszy transeptu. Przez jedną krótką chwilę paniki obawiałam się, że mnie rozpoznał... ale oczywiście nie.

Tym razem gniew nie wykrzywił jego pomarszczonej twarzy. Staruszek spoglądał na mnie, a jego blade wargi uśmiechały się z lekkim rozbawieniem. Nagle coś w jego uśmiechu przypomniało mi Leonarda. Przyszło mi do głowy, że tak mógłby wyglądać pewnego dnia, z łagodnym poczuciem humoru na twarzy i smutną mądrością w oczach.

Skinęłam tylko głową, lecz zakonnik najwyraźniej nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Tym samym drżącym głosem mówił dalej:

- Wiele razy prosiłem archanioła o pomoc, kiedy widziałem zło wymagające naprawy. I jeszcze nigdy mnie nie zawiodł.

- Więc może nie zawiedzie i mnie - odrzekłam ze smutkiem. Zakonnik pokiwał głową.

- Moje dziecko, pamiętaj, że archanioł Michał nigdy nie wpada w gniew bez powodu. Jego słuszny gniew nie jest skalany bólem ani urazą. To jedyny gniew na tym świecie, jaki można usprawiedliwić.

- Ale co mam zrobić, ojcze? - zawołałam. - Gniew w moim sercu płonie tak gwałtownie, iż chyba nigdy nie wygaśnie.

- Jest tylko jeden sposób na stłumienie płomienia gniewu, a mianowicie wybaczenie - zawiesił głos i położył drżącą dłoń na mojej głowie w geście błogosławieństwa. - Znajdź w swym sercu moc przebaczenia, a uwolnisz się od bólu, który tak cię dręczy.

Zamknęłam oczy, starając się powstrzymać nieoczekiwane łzy. Kiedy je otworzyłam, zakonnika już przy mnie nie było.

A witrażowy wizerunek archanioła pociemniał, teraz lśnił już tylko jego złoty miecz.

Załkałam załośnie. I nagle zaczęłam biec nawą ku drzwiom katedry, a z każdym krokiem robiło mi się odrobinę lżej na sercu.

Kiedy już znalazłam się na placu, otarłam z twarzy łzy i weszłam do sklepika, gdzie zostałam wysłana. Z niecierpliwością czekałam, aż kupiec przygotuje koronki. Paczka, którą mi dał, była ciężka, ale niemal nie czułam jej wagi, biegnąc wąskimi uliczkami do warsztatu Luigiego.

Wpadłam do środka i gdy krawiec spojrział na mnie ze zdumieniem, rzuciłam pakunek na stół.

- Przepraszam, signore - powiedziałam, dysząc z wysiłku. - Obawiam się, że muszę wyjść jeszcze raz.

- Doprawdy - odparł cierpko, a jego krzaczaste brwi uniosły się wysoko. - A czy wolno zapytać, dokąd wybierasz się w takim pośpiechu?

- Do zamku - wydyszałam. - Muszę porozmawiać z Leonardem.

- A zatem idź - rzekł, odprawiając mnie machnięciem ręki.

Już byłam przy drzwiach, szybko wybiegłam na zewnątrz. Nie wiedziałam, czy Mistrz w ogóle będzie chciał mnie widzieć, a tym bardziej wysłuchać mojej szczerzej skruchy. Ale nie miało to znaczenia. Najważniejsze, że w swoim sercu odnalazłam umiejętność przebaczenia... a przez to być może również wybaczenia samej sobie.

Drzwi do pracowni były otwarte, lecz tym razem Mistrz nie siedział przy stole. Stał przed deską ustawioną na sztaludze i malował. Tak był pochłonięty tą czynnością, że nie zwrócił na mnie uwagi, dopóki Pio, wygodnie rozciągnięty na jego posłaniu, nie obudził się z popołudniowej drzemki i nie zaszczekał radośnie.

Leonardo podniósł wzrok i na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Dino? - spytał, jakby nie mógł uwierzyć, kogo przed sobą widzi.

Skinęłam głową, przez chwilę starając się złapać oddech.

- Wybacz, że ci przeszkadzam, Mistrzu - wysapałam. - Ale miałem nadzieję, że będę mógł chwilę z tobą porozmawiać.

- Ależ oczywiście.

Odszedł od sztalugi i zbliżył się do mnie. Z ulgą zauważyłam, że jego noga nie jest już obandażowana i że idąc, nie utykał. Również fakt, że na ramieniu nie miał bandaża i mógł malować, pocieszył mnie, gdyż znaczyło to, że Mistrz wraca do zdrowia.

Zatrzymał się przede mną i spytał z wyraźnym niepokojem w głosie:

- Cóż się stało, że wpadłeś tu w takim pośpiechu? Chyba nasz stary przyjaciel Luigi nie...

- Signor Luigi ma się doskonale - zapewniłam go pospiesznie, na co on z ulgą skinął głową. Zawahałam się przez moment i przygryzłam wargę, po czym wyrzuciłam z siebie: - Chciałem tylko porozmawiać.

- Możesz usiąść, jeśli chcesz.

Znowu pokręciłam głową, lecz tym razem to szacunek, nie gniew był powodem mojej odmowy.

- Nie ośmielę się usiąść w twojej obecności, Mistrzu, dopóki nie powiem tego, co muszę powiedzieć.

Spojrzał na mnie pytająco, a wtedy wzięłam głęboki oddech i zaczęłam:

- Jestem tutaj, aby pokornie przeprosić za wszystko, co powiedziałem, zanim rozstaliśmy się ostatnim razem. Myliłem się, wątpiąc w ciebie i sugerując, że twój smutek jest mniej czysty niż mój. Nie mogę cofnąć swoich słów i nie oczekuję, że mi wybaczysz, ale chcę prosić cię o przebaczenie i zapewnić, że w moim sercu nie ma już gniewu.

To powiedziawszy, spuściłam wzrok, oczekując, że mnie przeklnie lub przynajmniej wypędzi. On tymczasem cicho westchnął.

- Ach, Dino, mój chłopcze. Dawno już wybaczyłem ci to, co powiedziałeś powodowany gniewem i rozpaczą - odparł. -

I obawiam się, że sam byłem w znacznym stopniu przyczyną twojego gniewu, gdyż mówiłeś tylko prawdę.

- Nie! - zaprotestowałam, podnosząc na niego wzrok. - Górujesz nade mną mądrością i niczego nie robisz bez przyczyny.

- Ale tak samo jak każdy człowiek mogę się mylić w swych sądach i czasami zbyt łatwo o tym zapominam. - Uśmiechnął się łagodnie i wyciągnął rękę, delikatnie kładąc ją na mojej głowie takim samym gestem, jak stary zakonnik. - Jesteś młody, ale masz mądrość, którą na własne nieszczęście zignorowałem.

- Dino!

Okrzyk, który dobiegł od drzwi, zabrzmiał znajomo. Odwróciłam się i ujrzałam stojącego na progu rozpromienionego Vittoria. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, podbiegł do mnie i uściśnął tak mocno, że omal się nie przewróciłam.

- Dino! - zawołał jeszcze raz. - Bałem się, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Tak bardzo za tobą tęskniłem i wszyscy inni też. Bez ciebie tutaj nie jest już tak samo. Powiedz, że wróciłeś na dobre!

Spojrzałam na Mistrza, który rozpromienił się i skinął głową. Odwróciłam się do Vittoria i poczułam, że na mojej twarzy po raz pierwszy od tamtej strasznej nocy pojawia się uśmiech.

- Tak, Vittorio - powiedziałam stanowczo. - Wróciłem na dobre.

Na jego radosny okrzyk Pio zerwał się z posłania i zaczął wesoło skakać w kółko.

- Wiedziałem! Muszę natychmiast powiedzieć innym! - zawołał.

Uśmiechając się od ucha do ucha, wypadł z pracowni. Ja odwróciłam się do Leonarda i zobaczyłam, że pochylony przetrząsa niewielką skrzynkę stojącą obok łóżka. Chwilę później wydobył z niej znajomą brązową tunikę i rzucił mi ją.

- Sądzę, że to należy do ciebie, mój chłopcze. Mam tylko nadzieję, że nasz poczciwy Luigi nie będzie na mnie zły, że zabrałem mu terminatora. - Widząc zaś, że spoglądam w stronę sztalug, spytał: - Może chciałbyś zobaczyć mój ostatni obraz?

Skinęłam już głową, lecz nagle uśmiech zamarł mi na ustach.

- Czy... czy to Caterina? - spytałam, zdając sobie sprawę, że minie jeszcze sporo czasu, nim będę mogła znowu spojrzeć na jej portret.

Leonardo pokręcił głową.

- Obraz, który namalowałem dla Ludovica, wisi gdzieś w zamku wśród licznych portretów jego krewnych. - Widząc moje pytające spojrzenie, dodał: - Dla Il Moro i wszystkich innych Caterina była prawdziwą córką hrabiego, a pożar w wieży wybuchł przez przypadek. Co się zaś tyczy kapitana gwardii, zginął w bohaterskiej, choć daremnej próbie uratowania jej z płomieni.

Poczułam, że coś ściska mnie w gardle. Cieszyłam się, że udało się ocalić reputację obojga, ale nie chciałam wiedzieć nic więcej. Skinęłam głową w stronę sztalugi.

- Czy mógłbym zobaczyć obraz?

Uśmiechając się nieznacznie, teatralnym gestem zaprosił mnie, bym podeszła do obrazu. Wystarczył jeden rzut oka - jęknęłam i znów spjrzałam na Mistrza.

- Ależ... ten portret przedstawia mnie... to znaczy Delfinę.

Bowiem z na wpół wykończonego portretu patrzyło na mnie moje własne oblicze. A jednak ta twarz miała w sobie coś obcego. Z pewnością zdecydowane, lecz melancholijne spojrzenie, jakie twarz z obrazu kierowała na widza, nie było moje. Natomiast wyglądała znajomo... suknia w kolorze głębokiej czerwieni należąca do Cateriny, nalegającej, bym ją włożyła, gdy moja została zniszczona.

Leonardo wzruszył ramionami.

- Tamtego dnia, kiedy usiadłeś obok hrabiny, gdy ją malowałem, uderzył mnie wyraz twoich oczu, który poruszył jakąś strunę w moim sercu. Wykonałem wtedy kilka szkiców i odłożyłem je na bok. Kilka dni temu znalazłem je i doszedłem do wniosku, że będziesz dla mnie doskonałym modelem.

- A co będzie, jeśli ktoś rozpozna mnie w tej kobiecie? - spytałam z niepokojem.

- Nie obawiaj się, mój chłopcze - roześmiał się. - Jak widzisz, zmieniłem jej oczy z zielonych na bursztynowe, a włosy są jaśniejsze od twoich. Możemy nazwać ten obraz *Portretem damy* i nikt się niczego nie domyśli.

Skinęłam głową i westchnęłam.

- Wróć do signora Luigiego i powiem mu, że odchodzę - powiedziałam z uśmiechem. - Jestem pewna, że rad się mnie pozbędzie, bo sam twierdzi, iż nie potrafię zrobić jednego prostego szwu.

- Przepróż naszego poczciwego krawca w moim imieniu - rzekł, uśmiechając się również. - I wracaj czym prędzej. Jeśli dobrze pamiętam, czekają cię trzy tygodnie mieszania gipsu, zanim będziesz mógł znowu wziąć do ręki pędzel.

Luigi jednak okazał się mniej zmartwiony moim odejściem, niż się spodziewałam...

- A więc znowu Leonardo będzie miał z tobą problem - stwierdził, odprawiając mnie. Nie słyszałam w jego głosie urazy. I nie protestowałam, kiedy ucisnęłam go z wdzięcznością. Potem zdjęłam niebieską tunikę i zabrałam worek ze swoimi rzeczami.

Kiedy wróciłam, pracownia nadal była pusta, dzięki czemu zyskałam chwilę wytchnienia przed spotkaniem z kolegami. Wkrótce wszyscy mieli wrócić po posiłku; tak więc miałam trochę czasu dla siebie. Rozpakowałam swój skromny dobytek i włożyłam kilka ubrań oraz drogich mi przedmiotów do skrzyni stojącej w nogach łóżka.

Ostatnią rzeczą, jaką wyjęłam, był mój notatnik. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz coś w nim zapisałam; nie potrafiłam też jeszcze zdobyć się na czytanie wspomnień, które wciąż sprawiały mi ból. Ale kiedy zamierzałam ukryć go w skrzyni, pomiędzy stronic wypadły cztery duże karty, połyskując złocnymi rysunkami.

Zamknęłam notatnik w skrzyni, zaś karty zabrałam ze sobą do pracowni, gdzie uklękłam przy palenisku. Oryginały spłonęły w straszliwym pożarze, przez co należąca do Cateriny talia zo-

stała niepełna. Może powinnam znaleźć jakiś sposób, by dołożyć kopie do pozostałych kart, aby znowu tworzyły komplet.

Wpatrując się w te małe dzieła sztuki, podjęłam decyzję. Cztery oryginalne karty doprowadziły do tragedii. Strawił je ogień i ogień powinien pochłonąć kopie, które mogłyby je zastąpić.

Jedną po drugiej rzucałam do paleniska, patrząc, jak płoną w kolorowych rozbłyskach. Zwlekałam chwilę, nim wrzuciłam ostatnią kartę - Wieżę, z wizerunkiem pękniętej wieży i dwiema spadającymi postaciami. Zastanawiałam się, czy to tylko przypadek, czy też karty wiedziały, co się zdarzy, i próbowały ostrzec nas wszystkich?

Niestety, to nie miało już żadnego znaczenia.

Pod wpływem wspomnień zamknęłam na chwilę oczy. Kiedy je otworzyłam, dwie gorące łzy - jedna po Caterinie, druga po Gregorciu - spłynęły po moim policzku... Ostatnie łzy z powodu wszystkiego, co było, i wszystkiego, czego nigdy nie będzie. Z ciężkim westchnieniem wrzuciłam kartę w ogień.

Od autorki

Jedną z charakterystycznych cech gatunku ludzkiego jest zainteresowanie przyszłością. Nie zadowolając się przyjmowaniem rzeczy, kiedy się wydarzą, staramy się przewidzieć, co będzie, aby nie zaskoczyły nas niebezpieczeństwo, choroba lub inny niefortunny przypadek. Jednak wejrzenie poza teraźniejszość wymaga legendarnego szóstego zmysłu, którego większości z nas brakuje; dlatego pewnym przedmiotom przypisujemy moc przewidywania przyszłości. I tak za pomocą kości, kamieni lub patyków staramy się osiąść wiedzę pozostającą poza naszym zasięgiem.

Jednym z takich popularnych narzędzi używanych do przewidywania przyszłości są karty tarota, choć większość uczonych zajmujących się wiedzą tajemną przyznaje, że pierwotnie nie były przeznaczone do wrózenia. Pierwsze talie, które mogły się pojawić już w XIV wieku, były używane do włoskiej gry karcianej zwanej *trionfi* (triumfy), później zaś *tarocchi*. Podobnie jak w niektórych współczesnych grach, w *tarocchi* używano talii, która była pierwowzorem dzisiejszych kart do gry, choć o nieco innych kolorach, którymi były miecze, buławy, denary i puchary. W czasach Leonarda dodano do nich piąty komplet dwudziestu dwóch triumfów.

Każdy z triumfów był inny, obejmowały takie symbole jak Mag, Rydwan czy Umiarkowanie. Wywodziły się z symboliki religijnej i klasycznej, a przedstawiały swego rodzaju wędrowną bohatera - popularny motyw, dobrze znany ludziom w tamtych

czasach. W połowie XVI wieku triumfy przekształciły się w coś bardziej ezoterycznego. Nie były już symbolicznymi obrazami z historii Kościoła, zaczęły przybierać bardziej współczesne - i bardziej mroczne - znaczenia. W XVIII wieku talia tarota stała się narzędziem adeptów wiedzy tajemnej, którzy interpretując symbolikę kart, starali się odczytać niewiadome aspekty teraźniejszości lub przewidzieć przyszłe zdarzenia.

Prowadząc poszukiwania związane z pisaniem *Gambitu królowej*, natknęłam się na wzmiankę o pewnej szczególnej talii tarota z połowy XV wieku. Została namalowana przez nadwornego artystę imieniem Bonifacio Bembo dla arystokratycznych rodów Viscontich i Sforzów z Mediolanu i przetrwała (choć w opłakanym stanie) do naszych czasów. Niestety, talia ta nie jest kompletna. Brakuje w niej czterech kart: Trójki Mieczy, Rycerza Denarów, Diabła i Wieży.

Nikt nie wie, co stało się z tymi czterema kartami. Przypuszczano nawet, że dwóch brakujących triumfów, Diabła i Wieży, nigdy nie było w oryginalnej talii i że zostały dodane znacznie później. Lecz ta mała tajemnica czterech zaginionych kart stała się pożywką do interesujących domysłów i punktem wyjścia dla nowej książki. Jeśli bowiem ktokolwiek mógłby ustalić, gdzie podziały się brakujące karty, to z pewnością właśnie Leonardo i Dino!

I jeszcze kilka uwag. Starałam się jak najwierniej trzymać realiów, lecz od czasu do czasu pozwalałam sobie na pewną dowolność w przedstawianiu ludzi i miejsc, gdy było to potrzebne dla mojej opowieści. Jeśli więc będziecie odwiedzać wspaniały zamek Ludovica - a zwłaszcza jego potężne mury i wieże - oraz olśniewającą katedrę, Duomo, nie oczekujcie, że znajdziecie te same ukryte przejścia i mroczne nisze, które napotykał Dino. Podobnie jak wiele wynalazków Leonarda, które istnieją tylko na papierze.